

M I K O Ł A J M A R K S

ROK
22
22

NOVAE RES

MIKOŁAJ MARKS

ROK
22
22



NOVAE RES

01001100 01101001 01100111 01101000 01110100 00100000
01110111 01101001 01101100 01101100 00100000 01100010
01100101 00100000 01101110 01101111 00100000 01101101
01101111 01110010 01100101 00101110 00100000 01010100
01101000 01100101 01111001 00100000 01110111 01101001
01101100 01101100 00100000 01101110 01100101 01100101
01100100 00100000 01101110 01101111 00100000 01101100
01101001 01100111 01101000 01110100 00100000 01101111
01100110 00100000 01101100 01100001 01101101 01110000
00100000 01101111 01110010 00100000 01110011 01110101
01101110 00101100 00100000 01100110 01101111 01110010
00100000 01110100 01101000 01100101 00100000 01000001
01110010 01110100 01101001 01100110 01101001 01100011
01101001 01100001 01101100 00100000 01000111 01101111
01100100 00100000 01110111 01101001 01101100 01101100
00100000 01100010 01100101 00100000 01110100 01101000
01100101 01101001 01110010 00100000 01101100 01101001
01100111 01101000 01110100 00101100 00100000 01100001
01101110 01100100 00100000 01110100 01101000 01100101
01111001 00100000 01110111 01101001 01101100 01101100
00100000 01110010 01100101 01101001 01100111 01101110
00100000 01100110 01101111 01110010 01100101 01110110
01100101 01110010 00100000 01100001 01101110 01100100
00100000 01100101 01110110 01100101 01110010 00101110

Revelation 22:5

POŁĄCZENIE NAWIĄZANE

01101000 01100001 01101110 01100111 01101001 01101110

01100111

ROZPOCZĘCIE PRZESYŁANIA

Obudziłem się w ciemności. Bez ciała, bez kształtu, bez znaczenia, a jednak w mroku wszystko wydawało mi się bardziej przejrzyste. Z dystansu mogłem obserwować to, co dzieje się gdzieś tam w dole, za kurtyną. Nie wiem, który był rok, chyba nikt tak naprawdę nie wiedział. Czas przestał mieć znaczenie, gdy zabrakło światła. No, nie licząc niszczycielskich, nieustających burz elektrycznych za horyzontem. To światło symbolizowało jedynie siłę niemożliwą do okiełznania przez żadnego człowieka. Kiedyś jednak człowiek mógł wszystko. Bardzo dobrze pamiętałem rok dwa tysiące dwieście dwudziesty pierwszy, okres poprzedzający implozję w roku dwa tysiące dwieście dwudziestym drugim, kiedy wszystko się zmieniło.

W roku dwa tysiące dwieście dwudziestym pierwszym słońce wschodziło jasne jak nigdy przedtem. Nie raziło ani nie powodowało nieznośnych upałów, zachodziło wieczorem i wschodziło rano. Było idealne, ponieważ było sztuczne, kontrolowane, zaprogramowane. Całą Ziemię otaczał gruby na około pięć tysięcy kilometrów pas zanieczyszczeń, a w dwa tysiące dwieście dwudziestym pierwszym roku składało się na niego naprawdę niesamowite gówno – miliardy rodzajów dymu o podstawach organicznych, chemicznych, często radioaktywnych, elektronicznych, cybernetycznych, pozawymiarowych, subwykrywalnych, sonicznych, kosmicznych, mechatronicznych czy megaeklektycznych (a były to tylko podstawy, które łączyły się

w kombinacje nie do pojęcia) – pochodzące z hiperfabryk wszystkiego.

Przykładowym rodzajem takiego obiektu były kolosalne, wielopoziomowe, zautomatyzowane Pracownie Żywności (tak je nazywano) zapewniające mocno przeludnionej planecie jedzenie. To właśnie one wysyłały do Pasa Mroku (tak nazywano pas zanieczyszczeń, jakże, kurwa, proroczo) miękkie, lepkie masy organicznych resztek niezliczonych zwierząt oraz roślin, które nie miały jeszcze nawet nazw. Resztki te połączone były ze stalowymi elementami przestarzałych maszyn produkcyjnych, które co chwilę były zmieniane i ulepszone. Każdy bezkształtny śmietnik pętały elektroniczne odpadki, to znaczy sieć kabli oraz odrzuconych elementów komputera. Dym z hiperfabryk nosił jedynie taką nazwę, ponieważ to pojęcie utrwaliło się w umyśle ludzkości.

Który hiperpolityk twojej ulubionej partii chciałby wyjść z holograficznie przystosowanej wanny firmy Ultra43332Scept wypełnionej wodą w skali miękkości osiem o zapachu alficytu i cytrusów ze starożytnej Macedonii oraz smaku swojego ulubionego kurczaka Premium Crisp, owinąć swojego błyszczącego, wiszącego do kolan cyberpenisa, zamówionego na zlecenie z interfejsem o kojącej zielonej barwie liści chiu, a więc elektrochustą z funkcją utulenia, a następnie podejść do progu (cybermgiełki działającej jak najgrubsze okno) na skraju metaapartamentu umiejscowionego na trzysta drugim piętrze kompleksu VS7, spojrzeć w górę (gdzie, jak zapewniał ciepły głos w reklamie, gwiazdy są na wyciągnięcie ręki) i pomyśleć: „Hmm, tam gdzieś, za tą pieprzoną projekcją kosmosu, ciągną się nowe rury przesyłowe, których umieszczenie zatwierdziłem w piątek, leżąc na stosie zmechanizowanych prostytutek z Tweek3, popijając alkosyrop z Yutah. Ciekawe, jaki zdeformowany glut płynie nimi w tym momencie, ile ma nóg, czy kable przecinają go w poprzek,

czy wzdłuż, jaka jest jego zawartość, czy cuchnie jak truchło megaświni, czy pachnie jak majteczki Bluedream767”.

No kurwa, żaden hiperpolityk nigdy tak nie zrobił. Dużo łatwiej stwierdzić, że w rurach przesyłowych leci sobie szary, zwykły dym. Ot takie sobie zanieczyszczenia, jak te śmieszne dwutlenki węgla, dwutlenki siarki, tlenki azotu czy pyły – coś, czego nikt nie musiał się bać już od ponad stu lat. Czasem zdarzała się nieszczelna rura albo niedoróbka w projekcji nieba i dało się dostrzec prawdziwy dym. Czy to coś zmieniało? Oczywiście, że nie. Prawda jest taka, że nikt się tym nie interesował. Był to świat, gdzie hipokryzja stanowiła najwyższą wartość. Każdy człowiek miał pełną świadomość wszechogarniającego śmietnika, w jakim żył.

Całą planetę obrastało miasto. Metropolia wdzieriała się głęboko pod ziemię, jednocześnie gwałcąc niebo swoimi stalowymi pazurami. Cywilizacyjnego potwora przyssanego do planety oplatał i pętał Pas Mroku, z którego miasto wyglądało jak wnętrze komputera. Mimo tej ponurej rzeczywistości otaczającego świata panowała ogólna świadomość, że nastał złoty czas dla ludzkości.

Wszystkie ideologie, religie, punkty widzenia zaczęły się przeplatać i istnieć jednocześnie. Wydepilowany hiperultrafaszysta, którego skóra była idealnie wybielona przy pomocy kreatora ciała firmy Nike-Ozoni, model 5446, siedział sobie w ciasnym mieszkanku na zaledwie trzecim piętrze w kompleksie Fruca 43. Na brzuchu miał sonicznie wycięty, świecący na żółto napis FUCK GAY PEOPLE.

Patrzył na ścianę, na której wisiał krzyż zakończony u góry metalową głową lisa. Faszysta wierzył w silną wspólnotę, do której należał jego ojciec oraz dziadek przebywający w salach odnowy Xart – Kościół Jezusa-Lisa. Była to nie tyle religia, co organizacja zapewniająca przyzwoity byt lokalnej społeczności, żyjącej w sekcji B. Twarzą Kościoła był Lionel Ythaw, zawsze uśmiechnięty, zazwyczaj czarnoskóry mężczyzna z potężną brodą

pełną świecących nanorobotów. Lionel kończył każde swoje orędzie, to znaczy cyberpodprogowy przekaz, przypomnieniem, że trzymanie się pięciu zasad Kościoła Jezusa-Lisa to podstawa godnego życia. Oto pięć pieprzonych zasad:

1. Na ścianie miej zawieszony krzyż z głową Jezusa-Lisa, Pana twojego.
2. Ustaw cykliczny przekaz swoich przychodów do organizacji.
3. Noś dumnie fluoryzacyjny tatuaż (treść nieistotna).
4. Obserwuj i lajkuj posty Lionela Ythaw: pseudo Ytlio8989 na Picaagranie010.
5. Gdy masz wybieloną skórę, masturbuj się, przeżywając elfią orgię w projektorze rzeczywistości Buska 3UJ co najmniej raz dziennie.

Hiperultrafaszysta wkładał właśnie metapluskwy do gniazd wszczepionych za oczami oraz w okolicach genitaliów, aby włączyć projektor i dochować tradycji, spełniając piątą zasadę. W wirtualnej rzeczywistości spotkał swojego kuzyna, hiperateistę, który odwiedził elfią orgię, aby nauczyć się kontaktu z cyberduchami (jak najbardziej realnym i namacalnym bytem). Obaj spędzili w tamtym świecie z dwa cykle, gdzie byli karmieni przez maszyny wspomagające Hoaks652. Ich jaźnie przeniknęły się, skutkując w wymianie poglądów. W ten sposób kuzyn poznał doktryny Jezusa-Lisa i dobrze się przy tym bawił, uznając, że pewnego dnia może zostać hiperultrafaszystą, a sam faszysta, z nowo poznaną wiedzą o ateizmie kuzyna, ucieszony, że naprostował członka dalekiej rodziny, wykupił kolejną cyberorgię, tym razem z męską drużyną piłkarską Nowej Anglii przebraną za średniowiecznych rycerzy. Kombinacji religii, orientacji czy zwykłych przekonań nie było końca, a każda miała sens i wzbogacała poprzednią, w rezultacie tworząc nieprzebrane

śmietnisko wiedzy, które miało swoją wersję zapasową w Internecie.

Przychód, zarobki a zarazem wydatki wyliczano w punktach, które miały uniwersalną cyberwartość. Każdy człowiek miał punkty, które stawały się ważniejsze od samego człowieka. Koniec końców punkty płynęły, a człowiek był tylko ich nośnikiem. Świat zapełniony megamarketami wymagał takiego porządku rzeczy. Produktów nigdy nie ubywało, puste miejsca w mgnieniu oka były zapełniane. Wszystko napędzały reklamy, które stały się organiczną częścią świata i były niczym powietrze.

Samo miasto w większości pozostawało czyste, estetyczne. Syf ludzkości znajdował się pod spodem, w sieci, i tylko w biedniejszych dzielnicach wylewał się na zewnątrz w postaci namacalnych odpadków, zwykłego gówna czy budynków obklejonych plakatami. To były resztki, ostatnie fragmenty świata, którego następcą znalazł się już poza zasięgiem tego, co materialne. Ewolucja, zmiana, to naturalna kolej rzeczy, jednak patrząc na ludzi, którzy chodzili do wirtualnej galerii sztuki VSACCA w centrum nauk Frehutta – aby nażreć się kieszonkowym obrazkiem czegoś, co ktoś milion lat temu nazwał sztuką, a potem ktoś inny bezmyślnie to powtórzył, i to tylko po to, aby jakiś kretyń zamknął to w wirtualnej formie, w metalowej klatce dla tępych mas, które spojrzą na to coś i powiedzą: „Piękne, głębokie dzieło, ciekawe, daje do myślenia, wywołuje tyle emocji, na przykład chce się od tego srać albo tańczyć, no sam już, kurwa, nie wiem, ale wiem, że to jeden z filarów obecnego społeczeństwa, tego, na czym stoję, więc musi być wielkie” – chciało mi się rzygać.

Czy uważam się za lepszego? Niestety nie. Wiszę nad tym światem, ale jestem również przez niego określany. Cyberświat pożerał mnie i trawił w nieskończoność jak każdego innego. To, że miałem wywalone na wielką ludzkość, nie znaczy, że moje ciało nie było obowiązkowe, połączone z identyfikatorem na witrynie

Facebible. Jak każdy byłem i jestem hipokrytą. Życie bez Internetu stało się niemożliwe. Myśliciele i filozofowie jasno określili, że ludzka dusza została odnaleziona właśnie w Internecie. To tam bombardowały nas nieustające reklamy, ważne i nieważne wiadomości, pornografia, filmy dokumentalne, pogoda, nowi znajomi, historia oraz rozrywka. Ludzie chodzili po ulicach, pewnie, ale każdy ciągnął za sobą wirtualnego ducha. Świat wirtualny dał upust ludzkiej żądzy posiadania wszystkiego. Często nie dało się odróżnić, czy coś dzieje się naprawdę, czy jest wirtualne.

Niektórzy uważali, że granica już dawno zniknęła. Powstawały nawet najróżniejsze organizacje, które zajmowały się tym aspektem życia, nie dochodząc do żadnych konstruktywnych wniosków. Rzeczywistość się zapętleła. Lubilem tysiące postów moich rzekomych znajomych, jakichś polityków, celebrytów, gadających zwierząt oraz robotów wygłaszających motywujące przemowy, a wyżywałem się potem, ucinając im wszystkim głowy w symulatorze nienawiści HGTs56. W międzyczasie urządziłem przejażdżkę samochodem, bentleyegem 873y732 w formie hologramu, przenikając przez innych uczestników ruchu. W czytniki zsynchronizowane z moim słuchem wlewała się najnowsza neopunkracytowa płyta TrencR, gdy jedząc hamburgera Wat-Ai, skanowałem odcisk dłoni w bazie danych hiperkorporacji VHG produkującej nanoprzejścia, model 4. Gdy zarejestrowałem odbytą wizytę w pracy, wypilem psyherbatę Gury7, jednocześnie kupując przez Internet nowy rower astralny Fade00882 dla żony, która spędzała dzień na układaniu modelu piramidy mocy w korporacji RGD, która propagowała rozwój wewnętrzny oraz zdrową sytuację rodzinną. W międzyczasie nasiąknąłem wiedzą o wojnie GP88 z roku dwa tysiące dwieście pierwszego i dowiedziałem się, że choroba Kli, na którą cierpiałem

od dwudziestu lat, jest używana w sektorze BBS4 do wytwarzania słodczych wibracyjnych.

Obejrzałem śmieszny filmik z kotem krojącym czarną cebulę w najrówniejsze, uwodzące kształty. Przekazem myślowym odpowiedziałem na tysiące wiadomości, zagłosowałem na nowego podfunkcjonariusza skrzydła 32U, przeżyłem cztery filmy i osiem seriali, które dwa razy łączyły się w całość, z Marlonem Brando, Tyntem Uro, Robertem DeNiro i Klausem Lucano, naćpałem się herotoniną przepisaną przez hiperlekarza i zgodnie z receptą zaspokoilem swoje seksualne żądze za pomocą Uciszacza 33 firmy Stlikha7. Następnie podłączyłem się do regeneratora XFS i poprawiłem masę mięśniową. Żeby nie nudzić się w trakcie, wysłałem świadomość do strumienia, internetowej otchłani informacji. Tam było wszystko i nic: śmierć prezydenta Rosji wzburza punktacją Libii. Szukanie: czy Rosja istnieje? Tylko w podświadomości cyberradykałów, ale dostała nowy status w grze Agent TBF545 >>> mogą zainteresować cię inne gry jak Agent 454, A344tek czy Rzeźnia2221 >>> Spróbuj nowego, świeżego free-pizza-plate już w tej sekundzie!!! >>> Twoja żona zmienia płęć, najwyższy czas!!! Jest ich tylko miliard do wyboru. Rytet 33 już dostępny. Masz jedną potrzebę fizjologiczną. Pozytywne ptaki 7yth wołają twoich przyjaciół, obejrzyj całą akcję! Wstawaj, leż. Rób, co chcesz! Nie ma ograniczeń. Wysadzałem się w likatorze LBGR5, składałem w monterze VUC 172, skakałem ze spadochronu sieciowego z Pasa Mroku i Szczęścia na Mont Everest, zobacz, jakie to łatwe. Zdrowe dzieci to zielone dzieci. Miłość jest najważniejsza, gdy masz transformator kodu HUUKs3221. Tańcz jak Erulik z nowym tarasem B4. Punkty, rodzina, Pralka 44902342, loty międzyplanetarne, śmierć, Resurektor GF42, Guzo Hikler, historia Rzymu, śmieszny idiota umiera na kolcu dezintegracji, ujawnienie danych rządowych na Pornstacji UGH221, AG, święto kapusty w podziemnej osadzie XDS978, seks z żoną, teleportacja, prawa

cyborgów, seks ze zwierzętami, Sztuczny Bóg, Chipsy umysłowe DASK2, morderstwa w rzeczywistej grze, nieśmiertelność, zakłócenia kodu, nowy telefon tlenowy Samgeh 32UJ7, przyszłość gatunku, wszystko jest jednym, dziwna chmura nad Azją, 466456, kody przepływowe zerwane, badanie oddechu subatomowego w czwartek, w piątek kolacja u modulowanego wyobraźnią męża szefa, którego żona jest od dwóch lat zamknięta w piłce tenisowej, w niedzielę nowy odcinek Chaosu na Velstali, a potem implozja.

Implozja nastąpiła w roku dwa tysiące dwieście dwudziestym drugim, a jej następstwem była ciemność. Tak po prostu ktoś wyłączył prąd jak w pieprzonej *Ucieczce z Los Angeles*, a Pas Mroku, który wcześniej służył za śmietniko, nie dopuszczał prawdziwego światła słonecznego, trochę jak w sequelach Matrixa. Świat stał się wyspą mroku, otoczoną przez morze burz elektrycznych. Ludzkość przeżyła zagładę, ale przetrwała, jak zwykle, razem z karaluchami. Wiele czasu później nieprzyjazny świat zamieszkiwali nowi ludzie, potomkowie tych, którzy przetrwali Wielką Implozję i chaos, jaki nastąpił później. Nie dany był im jednak spokój, ponieważ w ciemności zaczęły rządzić Cienie.

01101000 01100001 01101110 01100111 01101001 01101110
01100111

Gdzie nie ma światła, widać tylko kontury, choć ludzki wzrok z niespodziewaną skutecznością przyzwyczaił się do nowych warunków życia. Na sześćdziesiątym drugim piętrze opuszczonego wieżowca znajdował się bar odpowiednio ochrzczony jako Bar 62. Jediną drogę dostępu do tego miejsca stanowiła olbrzymia rura przesyłowa, która opadła z nieba po implozji, tworząc korytarz z ziemi na sześćdziesiąte drugie piętro. Ruina budynku była ogromna, a na piętrze, gdzie znajdował się bar, mieścił się również

spory parking. Tam też zatrzymał się Knur – ciężarówka Fatboya z niespotykanym ładunkiem w celu nabycia benzyny.

Frank, znany w świecie jako Fatboy, najlepszy kierowca i przewoźnik do wynajęcia, otyły mężczyzna w średnim wieku z mocnym zarostem, kasztanowymi oczami i krótkimi włosami otworzył żelazne drzwi prowadzące z parkingu do niewielkiego pomieszczenia na krawędzi, w którym mieścił się Bar 62. Za nim podążali Jednoręki Bill, wysoki, żylasty najemnik bez lewej ręki, genialny strzelec z jednym cybernetycznym okiem żarzącym się na krwistoczerwony kolor, a także Fork, najemny bandyta bez specjalnych atutów, oraz Enyo i Bellona, dwie wojowniczkę, które stanowiły parę zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym.

Wnętrze baru było słabo widoczne, ale nikłe światło docierało do środka zza pustych okiennic. Z krawędzi nad przepaścią sześćdziesiątego drugiego piętra dało się dostrzec ciemne pasma górskie, które uwypuklały się na tle jasnego, pulsującego pierścienia oplatającego horyzont – wielkiej Elektrycznej Pustki. Zabójcze tereny, pełne wyładowań elektrycznych, nie nadawały się do życia, lecz wytwarzały lunę światła, która, chcąc nie chcąc, stawała się iskrą nadziei w ciemności. Ciemne wnętrze baru zajmowała lada, za którą stał barman i właściciel, niejaki Trax – siwy, starszy, brodaty gangster, który przeżył swoją dolę cierpienia w Świecie Mroku. Naprzeciwko ustawione było kilka okrągłych stolików, przy których siedziało łącznie czworo ludzi. Dwoje w rogu mamrotało między sobą, a pozostali zajmowali dwa osobne stoliki. Ich sylwetki majaczyły niewyraźnie w ciemności, a twarze pozostawały niewidzialne. Na końcu lady znajdował się jeszcze jeden przykurczony osobnik, którego najtrudniej było zauważyć. Każdy z obecnych miał broń – nieodłączny element wyposażenia człowieka w Świecie Mroku. Broń dzieliła się na dwa rodzaje: zwykłą, a więc strzelającą kulami, służyła do zabijania ludzi, natomiast elektryczna była wykorzystywana do walki z Cieniami.

Cienie pojawiły się po implozji i śmiertelnie przerażały każdego człowieka. Cień potrafił wchłonąć każde światło i wysssać z człowieka siły umysłowe. Ich sylwetki przypominały ludzkie, jednak stworzenia te nie miały materialnego ciała – były duchami mroku. Przyciągała je elektryczność i światło. Żerowały na nich, ale tylko w niedużych, choć też nie za małych dawkach. Zbyt silny ładunek elektryczny lub świetlny anihilował Cienie bezpowrotnie. Tak właśnie działała broń elektryczna.

Fatboy nosił krótki obrzyn, skuteczny na ludzi, oraz dłuższą jednolufową strzelbę elektryczną, która z potężnego cylindra wypływała wiązkę zabójczego dla Cieni napięcia. Enyo i Bellona nosiły świetliste ostrza, naładowane miecze, które po uaktywnieniu, rozgrzane do czerwoności, raziły każdego w pobliżu, zarówno człowieka, jak i Cień. Fork władał dwoma pistoletami, zwykłym i elektrycznym, natomiast Jednoręki Bill był mistrzem rewolweru, który umiejętnie przełączał między dwoma trybami, w zależności od celu.

Fatboy rozejrzał się po wnętrzu i obrócił się do Billa.

– Odpocznijcie sobie gdzieś, ja pogadam z Traxem – rzucił, po czym skierował się do lady.

Bill stanął przy drzwiach, a Enyo, Bellona i Fork usiedli przy najbliższym stoliku.

– Kogo ja niedowidzę? – wycedził szorstkim głosem właściciel baru, wycierając szklanke. – Mój ulubiony kierowca, Fatboy – dodał.

– Witaj Trax. Interes kwitnie. – Frank oparł się ramieniem o bar.

– Jak mówisz, przyjacielu. Ostatnio podrasowałem nawet tarcze elektryczne na zewnątrz. Każdy cienisty chuj, który spróbuje tu wejść przez okno, usmaży się aż miło. – Trax odłożył szklanke, wziął następną, splunął do środka i kontynuował wycieranie.

– Od razu mi ulżyło – odparł kierowca.

– Podać coś tobie albo kolegom? – Barman się wychylił i zmierzył wzrokiem najemników siedzących przy stoliku.

– Dla nich nic, ale mi możesz połać swojego słynnego bimbru. – Fatboy wyciągnął kilka monet z kieszeni i położył na blat, jednocześnie spoglądając na podejrzaną postać na drugim końcu baru.

Przygarbiony mężczyzna w dużym kapeluszu z rondem nie wykazywał chęci do interakcji.

– Już się robi. – Barman odłożył ścierkę. – Może zainteresowałaby cię również paczka papierosów? Jeden taki poszukiwacz trafił w podziemiach na urządzenie pełne fajek i nieźle się na tym obłowił. Tanie nie są, ale Frank, mówię ci, warto.

– Pewnie, wezmę. – Fatboy dorzucił jeszcze garść monet, czyli najróżniejszych okrągłych przedmiotów, śmieci znalezionych w ciemności. – Dobrze, że Cieni nie interesują takie małe źródła światła. Skurwysyńskie duchy pozwalają nam przynajmniej zapalić papierosa. Oczywiście, jeśli jakimś cudem uda się go zdobyć.

Trax wlał kierowcy szklanekę alkoholowej cieczy i postawił ją na barze, a ten jednym haustem opróżnił zawartość.

– Polej jeszcze. – Fatboy się skrzywił, wyciągnął z paczki papierosa, włożył go do ust, odszukał w kieszeniach skórzanej, szarej kurtki ciężką zapalniczkę i zapalił. Człowiek w kapeluszu schylił się nieco, a Bill, który spod drzwi uważnie wszystko obserwował, dojrzał nikłą biel jego zębów.

– Niezłą masz obstawę, Frank. – Trax napełnił szklanekę. – Jakies duże zlecenie?

– Okrągła suma, przyjacielu – zaśmiał się Fatboy i wydmuchał dym. – Niestety nie mogę o tym rozmawiać, bo moja obstawa może zwrócić się przeciwko mnie. Dyskrecja jest w umowie. – Wzrok Fatboya napotkał na czerwone oko Billa, które zdawało się śledzić

każdy ruch kierowcy. – Ale przechodząc do sedna, nie wpadliśmy tu na pogaduszki.

– Wpadliście po benzynę – oznajmił Trax, oparłszy się o półki z alkoholem. – Chcesz nakarmić swojego Knura Frankie, co?

– Maleństwo też musi jeść. Trzeba mu zapełnić brzusek, żebyśmy mogli dojechać do celu bez dodatkowych postojów w miejscach mniej przyjemnych niż Bar 62.

– Naturalnie. Niech ktoś z twojej drużyny podejdzie do stacji. Tam Vic się wszystkim zajmie – odrzekł Trax, uważnie obserwując najemników.

– Hej, Fork. – Fatboy gwizdnął i zaciągnął się papierosem. – Wyjdź z baru, skieruj się na prawo. Idź wzdłuż ściany parkingu, a trafisz na stację. Zatankujcie moją maszynę do pełna. – Frank sięgnął do spodni, wyjął gruby woreczek monet i rzucił na blat.

Gdy rozległ się brzęk zawartości, tajemniczy człowiek przy barze uniósł na chwilę głowę, jednocześnie ujawniając białe, puste oczy.

Fork posłuchał polecenia i opuścił bar.

– Panie na pewno niczego się nie napiją? – rzucił Trax w stronę najbliższego stolika, zgarniając zapłatę z baru.

Enyo wstała, zręcznie eksponując swoją broń u boku, i szybko podeszła do lady.

– Daj butelkę whisky – powiedziała, podnosząc paczkę papierosów.

– Już się robi. – Barman się uśmiechnął i podał alkohol.

Enyo położyła parę monet przed twarzą Traxa, odpaliła papierosa, zabrała butelkę i wróciła do Bellony.

– Taką dostałem obstawę – westchnął Fatboy, opróżniając szklanę bimbrową. – Prawie sami profesjonaliści. Z tymi dwiema wolę nie zadzierać, widziałem, co potrafią. Tam pod ścianą stoi Jednorożek Bill, pewnie o nim słyszałeś.

– Jasne, że słyszałem. Pan czerwone oko. – Barman uśmiechnął się w ciemności do Billa, widząc tylko wychudzoną sylwetkę i jarzący się krwisto punkt na wysokości twarzy.

– Mówię ci Trax, ten gość jest tak dobry, jak ludzie mówią, albo i lepszy – dodał Fatboy, gasząc papierosa w ledwo widocznej popielniczce. – Polej jeszcze jednego.

– Na mój koszt – odezwał się niespodziewanie przygarbiony mężczyzna w kapeluszu.

– A kim ty jesteś, że chcesz płacić za moją przyjemność? – Fatboy przechylił się w prawą stronę.

Dziwna postać przesuwiała się wzdłuż baru, aż na wyciągnięcie ręki kierowcy.

– Jestem żebrakiem. – Kapelusznik uniósł głowę, ukazując czyste białka bez źrenic, jedną z licznych zmian ludzkiego ciała, które można było napotkać w Świecie Mroku.

– Skoro jesteś żebrakiem, to nie powinno być na odwrót?

– W dzisiejszych czasach każdy jest żebrakiem. – Białooki poglądził się po gęstej brodzie. – Albo powinien być.

– Nie ja, kolego. – Fatboy poczuł smród roztaczany przez nieznanego. – Wolę sam decydować o swoim losie. A jak komuś się to nie podoba, to jego problem.

– Fatboy rozjeżdża problemy swoim Knurem. – Trax zmierzył wzrokiem żebraka. – Tobie też polać?

– Pewnie. – Kapelusznik rzucił na blat parę monet. W mroku jego zarys sugerował dość niewysokiego człowieka schowanego w długim płaszczu. Nieznośny zapach żebraka roznosił lekki wiatr, jaki przedostawał się do środka przez puste okiennice na sześćdziesiątym drugim piętrze.

– Zawsze mnie interesowało – zaczął Frank, przyglądając się uważnie twarzy żebraka – jak wy, ludzie, widzicie tymi białymi ślepiami.

– Nie martw się, przyjacielu, wygląd moich oczu jest nieistotny. Jestem tylko tłem, wypełniaczem, postacią drugoplanową, bohaterem niezależnym albo wręcz przeciwnie. W Świecie Mroku jest pełno takich ludzi jak ja, świadomych żebraków. – Białooki podniósł jedną ze szklanek, które Trax postawił na barze, i wypił połowę.

– Co masz na myśli, mówiąc „żebraków”? – Fatboy podjął temat.

– Widzisz, Fatboy... Mogę mówić Fatboy? – Żebzak uśmiechnął się niejednoznacznie, a kierowca w odpowiedzi kiwnął głową. – No więc żyjemy na wielkim, zrujnowanym cmentarzu, pogrążonym w mroku. Większość z nas nie ma żadnego celu. Kierowca tego nie zrozumie. Błądzimy jak ślepcy w ruinach przeszłości, czasem napotykać na jakieś niezrozumiałe pozostałości. – Żebzak podrzucił paczkę papierosów. – Fajki, czyli dziwne ruloniki pełne jakichś śmieci, które podpalamy i wdychamy ich dym. Podziemne gąszcze kabli, które służyły nie wiadomo do czego. Puste szklane urządzenia. Pudełka, których nie umiemy użyć, o przyćmionych barwach, których nie umiemy nazwać. Czasem coś zabłyśnie tylko po to, aby w następnej chwili zostać pożartym przez Cienie. Żebrzemy o jakiegokolwiek znaczenie. – Jego twarz pozostawała dziwnie rozmyta.

Fatboy wypił trzecią szklankę bimbrowa Traxa i nie spuszczał wzroku z rozmówcy.

– Siedząc tak w mroku, człowiek zastanawia się, gdzie coś się kończy, a gdzie zaczyna. Rozumiecie, przyjaciele? – Żebzak zaśmiał się gardłowo, wodząc pustym wzrokiem od kierowcy do barmana. – Nie widać już granicy. W tym jest cały problem. Żebracy zastanawiają się, żebrzą w ciemności o sens i w końcu go znajdują. A odpowiedź może być tylko jedna. – Mężczyzna postukał palcami o blat.

– Niecierpliwie czekamy, aby dowiedzieć się jaka, śmierdzieliu. – Trax poczuł, że coś jest nie tak.

– Wszyscy jesteście częścią wielopoziomowego kodu. Każdy spełnia jakąś funkcję, żyjąc w całkowitej nieświadomości, że tak właśnie zaplanował to program.

– Gadasz trochę jak jeden człowieczek, którego ostatnio poznałem, niejaki Styx – powiedział Fatboy, odsunąwszy się lekko od białookiego osobnika.

– Nie znam nikogo takiego, ale jest to możliwe. Kod ma swoje błędy, czasem się powtarza i rozrasta, kiedy ktoś go zobaczy. On jest głodny, już znalazł nowy świat do opanowania i używa nas wszystkich, żebyśmy mu w tym pomogli. Ja długo błądziłem i zebrałem z innymi, aby wreszcie trafić tam, gdzie powinienem.

– To znaczy gdzie? – zapytał Fatboy.

– Do tego głównianego baru. – Żebrak niespodziewanie wysunął tępe ostrze z rękawa i szybkim ruchem zamierzył się na Fatboya.

Gruby kierowca równie zwinnie uchylił się w tył i złapał napastnika za rękę.

– Błąd, nędzna kurwo – wycharczał kierowca, a z drugiego końca baru rozległ się dźwięk odsuwanej krzesła.

Jedna z ukrytych postaci siedzących samotnie podniosła się, wyjmując spomiędzy nóg strzelbę. W następnej chwili kula z niezawodnego rewolweru Jednorękiego Billa przebiła skroń strzelca. W tym samym czasie druga postać, siedząca przy innym stoliku, skorzystała z zamieszania i zdążyła oddać strzał. Enyo i Bellona skoczyły na bok, aby uniknąć obrażeń. Druga z nich, długowłosa blondynka Bellona, została jednak trafiona w brzuch i upadła pod stół. Sekundę później pozostała dwójka mamroczących w kącie klientów baru podniosła się, błyskawicznie strzelając do wszystkiego naokoło automatycznymi karabinami.

– Kurwa, nie w moim barze! – wrzasnął Trax, sięgając po wielką strzelbę ukrytą pod ladą.

Barman nacisnął spust, wyrывая dziurę w ladzie i zmiatając z objęć Fatboya natrętnego żebraka. Białooki padł na ciemną

podłogę, a kierowca poczuł, jak krwawa chmurka osadza mu się na twarzy. Jedną rękę miał już na obrzynie, który wycelował w drugiego napastnika.

Strzelec, który trafił Bellonę, ukrył się za przewróconym stolikiem. Podobnie zrobili Bill i Enyo, aby uniknąć gradu kul z karabinów maszynowych. Fatboy strzelił w stolik, jednocześnie rzucając się na plecy za barem. Siła rażenia obrzyna przebiła drewno i urwała górną część głowy drugiemu strzelcowi. Pozostała dwójka wystrzelała się i schyliła za przewrócony stolik, aby przeładować karabiny.

Enyo bez zastanowienia dobyte ostrza, które błyskawicznie zaiskrzyło i poczerwieniało. Rudowłosa kobieta rzuciła się z wrzaskiem na napastników. Gdy dobiegła do ich kryjówki oboje już wstawali, gotowi do zabijania. Elektryczne ostrze Enyo było jednak szybsze. Kobieta jednym płynnym ruchem pozbawiła pierwszego zabójcę ręki. Mężczyzna krzyknął zaskoczony, usiadł mimowolnie, zacisnął drugą rękę na karabinie i zaczął strzelać na oślep. Enyo schowała się po drugiej stronie stolika.

Bill przesunął się wzdłuż ściany i zauważył, że ostatni zabójca chce ją trafić przez drewnianą zasłonę. Bez zastanowienia posłał w jego prawe oko zabójczą kulę. Gdy zobaczył swojego towarzysza na ziemi, ostatni napastnik bez ręki, strzelając, podniósł się i ruszył w amoku ku przepaści. Na krawędzi przypadkiem trafił w jedną z elektrycznych tarcz ochronnych Baru 62, wywołując zwarcie i niszcząc mały generator ukryty za barem.

Duże wyładowanie rozświetliło wnętrze baru. Było zalane krwią i usłane ciałami. Prąd poraził napastnika który wrzeszcząc, odchylił się i spadł w mrok. Część tarcz ochronnych żarzyła się jeszcze chwilę oślepiającym światłem, po czym ucichła i zgasła. Przerwana instalacja tryskała iskrami. Fatboy i Trax, schowani za barem, spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Tylko nie to – wyszeptał barman, sięgając po elektryczny pistolet z szafki obok.

Enyo doskoczyła do swojej ukochanej, która wiła się z bólu w miejscu, gdzie upadła. Wszyscy pozostali wbili wzrok w mroczną otchłań na zewnątrz. Na tle jarzącego się horyzontu, za snopem iskier sypiących się jeszcze ze zniszczonych tarcz, przemykały niewyraźne kształty. Zbliżały się bardzo szybko, a im bliżej były, tym bardziej przypominały ludzi.

– Spieprzamy stąd! – Bill doskoczył do drzwi wyjściowych i otworzył je kopnięciem.

Pierwsze Cienie bezszelestnie uderzyły w krawędź piętra. Kilka z nich doskoczyło do żadnej krwi Enyo. Czarne ludzkie kontury wydawały się trząść i rzucać nieskładnie, wydając przy tym jęki cierpienia. Kilka oblepiło powykęcane tarcze, sikające iskrami jak wygłodzone robaki, natychmiast wysysając światło.

Enyo zareagowała momentalnie i jednym ruchem elektrycznego ostrza przepołowiła trzy Cienie. Kilka następnych wpadło na bar. Enyo rzuciła się w stronę Bellony, postawiła ją na nogi i zaczęła ciągnąć w stronę wyjścia, gdzie przed chwilą zniknął Jednoręki Bill. Fatboy pozbierał się równie szybko jak ona, sięgnął po elektryczną strzelbę, zmiotł jasnym wyładowaniem mroczne postacie na barze, po czym pobiegł do wyjścia, pomagając Enyo wynieść Bellonę. Gdy byli przy drzwiach, większa grupa dygoczących kształtów wpłynęła na sześćdziesiąte drugie piętro.

Właściciel baru Trax zauważył, że został sam za zniszczoną ladą. Ruszająca się ciemna chmura pełzała po jego lokalu. Gangster dostrzegł, że Cieni jest nienaturalnie dużo i wszystkie pchają się do wyjścia. Część odłączyła się jednak od grupy i sunęła ku niemu. Ściskając elektryczną broń, wiedział, że to już koniec. Drugą ręką sięgnął po otwartą butelkę whisky z szafki za plecami i wypił tyle, ile zdołał. Następnie wstał i zaczął strzelać skwierczącymi wyładowaniami. Kilka najbliższych kształtów rozproszyło się, gdy

ugodziła w nie jasna, poskręcana wiązka światła. Ich miejsce zastąpiły następne, wlatujące nad krawędzią przepaści. Pistolet wypluwał z siebie elektryczność, co chwilę rozświetlając przerażoną twarz barmana. Ostatnia wiązka nie zdążyła opuścić broni, ponieważ większy cień, który wysunął się z tłumy, wchłonął ją, wypychając kontur swojej głowy w lufę. Mroczne postacie otoczyły i przytuliły barmana, który zaczął panicznie wrzeszczeć. Gdy czarna masa go pochłonęła, ucichł raz na zawsze.

Trax ani nic nie widział, ani nie czuł. Leżał gdzieś w nieprzebytej ciemności. Był jednak świadomy. Nagle jego spokój, co jak mu się wydawało, było śmiercią, przerwał potępieńczy wrzask dobiegający z oddali. Odgłos przerywał się jak niewyraźna transmisja. Do dźwięku dołączyła eksplozja obrazu. Mózg barmana zalała niepowstrzymana fala informacji. Kolory, których w życiu nie widział, pozbawiały go jaźni. Widział cyfrowo zakręcane butelki keczupu Bonzai, nagie kobiety, jakie nie śniły mu się w najśmielszych fantazjach, oraz nadzy mężczyźni o figurach bogów. Do tego Ytlio8989, burze i słoneczne równiny, a także Robert Redford, sportowe samochody o napędzie molekularnym, batoniki wewnętrzne, zawierające w sobie cztery rodzaje zwyczajnych batonów, psy bez głów, Hitler, obrazki z napisami, wybuchy, wymiociny, pot, smród, wypoczynek w astralnym spa, Reyes Smith, rodzinne obiady, Jezus-Pająk, lęki pierwszoklasistów, narkotyczne wizje i złote rybki.

Natłok wiadomości zdawał się pochłaniać umysł Traxa, jak gruby syn właściciela Wirtualnego Sklepu WH67 pochłaniał light burgera z Fit and Good, zapodając go sobie strzykawką prosto do nanożołądka. Barman stopniowo pozostawił swoje materialne ciało na podłodze Baru 62, a jego umysł trafił do strumienia. Tam nie było już Traxa, pozostał tylko nośnik danych, przepełniony po brzegi nieskończonymi ściekami, które płynęły niczym czas i znaczyły równie mało.

01100011 01110010 01100101 01100001 01110100 01101001
01101110 01100111 00100000 01110100 01101000 01100101
00100000 01101100 01101111 01101111 01110000

Jakiś czas wcześniej Knur, prowadzony przez Fatboya, jechał szeroką opustoszałą autostradą na południe, zbliżając się do Elektrycznej Pustki. Po Wielkiej Implozji, ale zbyt dawno, żeby można było pamiętać, ktoś uprzętnął główne drogi z części pozostawionych wraków. Dzięki temu trasy stały się przejezdne dla nielicznych, którzy posiadali środek transportu.

Frank znał na pamięć każdą drogę, skrót i pustynię w Świecie Mroku. Pamiętał, gdzie leżały poszczególne skupiska złomu zagradzające lub utrudniające przejazd, wiedział, gdzie jego Knur może się precyzyjnie przemieszczać, a gdzie przejazd jest idealny na zasadzkę. Taka wiedza była niezbędna, gdyż w ciemności dało się jechać tylko po omacku.

Ciężarówka z masywnym, zardzewiałym kontenerem na lawecie i wielką kabiną, w środku przypominającą niewielki pokój, pędziła wśród rozległych, pogrążonych w cieniu ruin miasta. Większość wieżowców dawno się przewróciła i tylko nieliczne pozostały, przypominając złowrogie olbrzymie ukrywające się w ciemności. Między ich stopami snuły się Cienie. Knur również przypominał jeden z nich, sunąc bez światła w mroku.

Fatboy miał w swoim pojeździe naładowany mały akumulator, który zapewniał mu niewielkie i niezbędne źródło prądu. Kierowca sięgnął do schowka i wyciągnął z niego kasetkę w pobrudzonym plastikowym pudełku. Na okładce dało się dostrzec część sylwetki otępego mężczyzny w czarnych okularach oraz fragmenty napisu: YOU'VE CME A LON WAY BABY. Następnie Frank wyjął kasetkę i wepchnął ją do starego odtwarzacza umiejscowionego na pulpicie.

Gdy wzrastający dźwięk piosenki zaczął docierać do uszu kierowcy, ten skręcił Knurem w przerwę między dwoma obalonymi budowlami wielkości piramid. Za gruzowiskiem rozciągało się rozległe, jałowe pustkowie. Nikt nie wiedział, jak powstała pustynia ciągnąca się wzdłuż Elektrycznej Pustki, ale większość podejrzewała, że jest efektem destrukcji, którą spowodowała Wielka Implozja.

Fatboy rozpędził Knura do maksymalnej prędkości na prostej drodze. Nie tak daleko przed nim z ziemi wyrastał mur elektryczności, wysoki na wiele kilometrów. Pas, gdzie zaczynała się Elektryczna Pustka przysłaniał horyzont, a bijące od niego światło już zaczęło razić kierowcę. Frank znów sięgnął do schowka i wygrzebał ze środka przyciemniane okulary z metalowymi osłonami po bokach. Okulary przekazał mu człowiek o imieniu Julian Starlight.

Fatboy zapamiętał niezwyklego osobnika, od którego przyjął zlecenie. Był to wysoki, szczupły, łysy, czarnoskóry mężczyzna w stroju, którego kierowca nigdy nie widział – dopasowanym garniturze. Jego osoba wzbudzała niepokój, również z powodu nazwiska; w Świecie Mroku nikt nie miał nazwisk, ewentualnie ksywki. Jednak mężczyzna oferował tak dobre pieniądze, że żaden szanujący się przewoźnik nie mógł odmówić.

– Będziesz ich potrzebował – oznajmił zleceniodawca, którego główną charakterystyczną cechą były świecące śnieżnobiałe zęby, i przekazał kierowcy okulary.

Zbliżając się szybko do Elektrycznej Pustki, słuchając słów *Right here, right now* dobiegających z odtwarzacza, Frank stwierdził, że podejrzany zleceniodawca miał całkowitą rację. Knur stawał się coraz bardziej widoczny za sprawą elektrycznej łuny światła, rozpędzającej mroczną czeluść, z której nadjechał. Fatboy, przyzwyczajony do mroku i niepokojących ruchów Cieni mrowiących się naokoło, ze zdziwieniem obserwował oświetloną

równinę. Pustą przestrzeń wypełniało jedynie rosnące napięcie, objawiające się dreszczem na skórze kierowcy. Im bliżej był celu, tym bardziej czuł każdy postawiony i drgający włos na ciele. Powietrze wydawało się cięższe i gęstsze.

Pod elektryczną ścianą patrzenie bez okularów stało się praktycznie niemożliwe. Syk prądu dobiegał z każdej strony, a natężenie światła wprawiało w ośpienie. Fatboy skupił się na drodze i na obiekcie, który pojawił się przed nim – w miejscu, gdzie światło dotykało spalonej ziemi. Czarny kształt powoli zamieniał się w niewielką bazę, otoczoną płotem kolczastym.

Brama została szeroko otwarta. W środku znajdował się całkiem duży plac, na którym stał niewielki, nierzucający się w oczy dwupiętrowy budynek z porzewiałej stali. Wyróżniały się natomiast obiekty połączone z budowlą. Do tylnej ściany wchodziła pokaźna rura opleciona kablami i drutami, ciągnąca się przez całą posesję, na końcu znikająca w oceanie światła. Z kolei obok budynku stała wysoka wieża podłączona do bocznej ściany licznymi przewodami. Z dachu ponuro spoglądał skrzywiony dźwig, który miał za zadanie podnosić obiekty z otwartego, dolnego piętra.

Fatboy zrobił kółko przed zabudowaniem i zatrzymał się przy grupce ludzi zgromadzonych przy dwóch dużych, srebrnych jeepach. Wyłączył odtwarzacz, który zacinął się i skrzeczał, poprawił okulary i otworzył drzwi. Wszystko powlekała świetlista luna, bijącą od Elektrycznej Pustki. Na zewnątrz napięcie okazało się niemal nie do zniesienia.

Komitet powitalny składał się z piątki osobistości, wśród których kierowca rozpoznał swojego zleceniodawcę, Juliana Starlighta, szczerzącego się bez powodu. Czarnoskóry mężczyzna miał na sobie czarny garnitur z fioletowym kołnierzem nachodzącym wysoko na szyję, był również całkiem łysy i jak każdy w bazie nosił okulary ochronne. Po obu stronach

uśmiechniętego mężczyzny stały dwie kobiety z zaciętymi minami, pozornie dość podobne, ubrane w skórzane, połatane stroje i długie płaszcze. Kobieta po lewej stronie Starlighta miała długie, jasne włosy, a kobieta po prawej – krótsze, rude, związane w kucyk. Dalej był wysoki, kościsty mężczyzna bez lewej ręki, z czarnymi włosami w nieładzie. Nosił przykrótkie dresy i dżinsową kurtkę. W jego jednym oku tliło się zza okularów czerwone światło. Trochę z tyłu pozostawał postawny, nierzucający się w oczy zakapior.

– Witam, panie Fatboy! – Starlight musiał mówić podniesionym głosem, aby przebić się przez wszechogarniające skwierczenie.

– Witam, witam – odburknął kierowca. – Jak się mają sprawy? Towar gotowy do drogi?

– Naturalnie. – Julian zaśmiał się bez wyraźnego powodu. – Towar, jak pan to zgrabnie ujął, jest jeszcze w budynku. Najpierw chciałbym panu przedstawić pańskich nowych współpracowników.

– Zazwyczaj pracuję sam – westchnął Fatboy, z niesmakiem przyglądając się obstawie zleceniodawcy.

Nikt ze Świata Mroku nie był przyzwyczajony do obserwowania innych w tak wyraźnym świetle. Rozmówcy zawsze byli nieco tajemniczy i pozostawali w ukryciu. Ich wygląd zupełnie nie miał znaczenia, jednak wyobraźnia pracowała bez wytchnienia, podsuwając pomysły na to, jak mogą wyglądać w pełnym świetle. Rzeczywisty widok ludzi okazywał się rozczarowaniem.

– Rozumiem, że chodzi o bezpieczeństwo, ale nie ma obawy, Starlight. Mój Knur traktuje każde zagrożenie na swojej drodze – dodał.

– Nie wątpię, jednak mamy tu do czynienia z bardzo wyjątkowym przedsięwzięciem i należy zastosować wyjątkowe metody. Ludzie do ochrony są niezbędni. Będą chronić transport

za wszelką cenę. Zalecana jest również dyskrecja, więc jeśli spotkacie kogoś na drodze, nie radzę wdawać się w zbędne pogawędki, zarówno z wrogami, jak i przyjaciółmi. Pozwoli pan, że przedstawię. – Julian stanął obok Fatboya i niczym podczas aukcji wskazywał kolejnych najemników. – Od lewej, mamy niezrównanego, niezrównoważonego strzelca, Jednorękiego Billa. Dalej Enyo i Bellona, wojowniczkę wartą każdej ceny. Potem Fork, góra mięcha nie do przejścia. Nie dołączyła do nas Tanner, która również jest kierowcą i rzadko kiedy wychodzi z za kierownicy. Ta grupa pojedzie jeepem, dbając o to, aby drogocenny Knur nie miał żadnych kłopotów.

– To czerwone oko jest dobrze znane w Świecie Mroku. – Kierowca wskazał Billa. – O ile nie będą się ociążać i wjeżdżać mi w drogę, przeżyję. To wszystkie niespodzianki?

– Mam jeszcze coś w zanadru, panie Fatboy, ale o tym zaraz. Najpierw na osłodę kwestia rozliczenia. – Starlight machnął ręką na Forka, a ten się odsunął.

Za plecami osiłka, na ziemi, znajdowały się trzy pokaźne wory pełne monet. Jak już wspomniałem, walutą były okrągłe, płaskie przedmioty, które stawały się monetami poprzez swój kształt. Monety okazały się wystarczająco prostym środkiem płatności w Świecie Mroku, w nielicznych miejscach, gdzie ktoś jeszcze rozumiał koncept pieniądza.

Fatboy podejrzliwie przyjrzał się zapłacie.

– Coś nie tak, kierowco? – parsknął Julian.

– Miały być dwa worki teraz i dwa po robocie – odparł Frank.

– Ale nastąpiła zmiana planów na twoją korzyść. Ze względu na to, jak ważny towar przewozisz, mój szef zdecydował się podwyższyć wynagrodzenie do sześciu worków pełnych monet! – wykrzyczał Starlight.

Jednocześnie otworzył się dach na niższym piętrze, a pokraczny dźwig niemrawo się poruszył. Fatboy stał przez chwilę,

zastanawiając się, gdzie jest haczyk. Zaraz jednak wzruszył ramionami i uznał, że prędzej czy później haczyk sam wbije mu się w tyłek, co było dla niego niemal codziennością.

– Dobra – rzucił Frank i podniósł wzrok. Pordzewiałe ramię wyciągało z wnętrza budynku metalową kostkę wielkości średniego samochodu. – W porządku. Obróćę Knura tak, żebyście mogli załadować towar do kontenera. Niech ktoś też wrzuci moją zapłatę na tył.

– I to właśnie chciałem usłyszeć. Swój człowiek z ciebie, Fatboy. – Julian podbiegł do kierowcy, poklepał go po plecach i pomachał do kogoś, kto obsługiwał dźwig.

– Tylko bez dotykania, dziwny człowieczku. – Frank odsunął się od Starlighta i szybkim krokiem poszedł do swojej ciężarówki. Pojazd zapalił z rykiem na tyle mocnym, że przebijał się przez iskrzące powietrze.

Starlight popatrzył na grupkę najemników i westchnął z czułością.

– Wy biedne, szare ludziki nie pojmujecie jeszcze, w jak ponadczasowym projekcie bierzecie udział. Jesteście częścią niesamowicie ważnego procesu, który odmieni rzeczywistość. O, posłańcy oświecenia, to wy nadacie nam na nowo sens. Pomyśleć, że od tak nieistotnych, przyziemnych ludzi zależą losy lepszej rzeczywistości. – Mężczyzna w garniturze zaśmiał się donośnie, specjalnie eksponując białe uzębienie. Następnie wyjął z kieszeni małe, metalowe pudełko, z którego wydobywało się światło, uniósł je nad siebie i przycisnął ukryty guziczek, wywołując ledwo widoczny błysk.

Grupa najemników patrzyła na Starlighta z konsternacją.

– To dla świata, historię trzeba się dzielić. Społeczność będzie chciała wiedzieć, kto odpowiada za nowy, lepszy świat. J!Star pokaże to na swoim... – Spojrzenia komunikujące kompletny brak

zrozumienia zatrzymały wyjaśnienia. – Nieważne – parsknął znów Julian Starlight, chowając urządzenie.

Knur cofnął się niemal pod ścianę bazy, a Fork otworzył drzwi kontenera. Dźwig powoli obniżył drogocenny ładunek na wysokość ciężarówki. Kostka ledwo mieściła się do ciemnej przestrzeni kontenera. Jej wnętrze otaczał matowy stelaż. W środku, spod płątaniny kabli i podzespołów, wydobyl się jasny, niemal rażący blask, podobny do tego, który bił od Elektrycznej Pustki. Dźwig oparł ładunek o krawędź kontenera, odczepił uchwyt z jednej strony i wepchnął kostkę do środka. Wyjątkowy obiekt znalazł się w samym rogu, a jego światło zdawało się obserwować ludzi na zewnątrz z nieopisanym głodem.

– Czyż nie jest piękny? – Starlight klasnęła w dłonie. – Fork, dorzuc do środka jeszcze te worki dla pana kierowcy.

Najemnik posłuchał, a po chwili do grupy dołączył Fatboy. Pordzewiały dźwig uniósł się i zastygł nad głową Juliana. Kierowca zajrzał do worków, sakw ze skarbem jak w średniowieczu i otworzył każdą z nich. Z pierwszego worka wyjął garść płaskich guzików różnego koloru. Z kolejnego kilka okrągłych szkiełek, małą tarczę od starożytnego zegara oraz okrągły, brudny medal honoru z wojny o Fujah. Z ostatniego wyciągnął garść zaschniętych, okrągłych, płaskich gum do żucia Liteca.

– Jest pan usatysfakcjonowany? – zapytał zleceniodawca.

– Jak najbardziej. – Fatboy zapakował swoją zapłatę i zatrzasnął ciężkie drzwi kontenera. – Teraz tylko podaj cel i możemy ruszać.

– Ach, już myślałem, że pan nie zapyta. – Zadowolony z siebie Starlight po raz drugi klasnęła w ręce.

Akurat we właściwym momencie zza rogu bazy wyłonił się mały człowieczek z prostokątnym obiektem pod ręką. Niski mężczyzna nosił szelki na białej koszuli oraz szerokie pomarańczowe spodnie robotnika. Miał posklejane żółte włosy,

sterczące w każdą stronę, i drobny, jasny zarost. Nosił okulary ochronne jak wszyscy inni.

– Przedstawiam waszego nawigatora. Oto nasz haker, operator dźwigu, niezastąpiony Styx.

– Czyli, kurwa, kto? – westchnął Fatboy.

– W uproszczeniu... – zaczął Julian. – Styx ma urządzenie, które wskazuje lokalizację. Dzięki temu wspaniałemu obiektowi może się on także porozumieć z naszym szefem, jeśli zajdzie taka potrzeba. W dużym skrócie: Styx powie panu, gdzie jechać...

– Świetnie.

– Dlatego radzę go wziąć do kabiny. W jeepie nie będzie miejsca.

– Genialnie. Wystarczy na chwilę wyjść z cienia, a zaraz chce się tam wracać. Gdyby nie zapłata, już dawno by mnie tu nie było.

– Sześć pełnych woreczków – zaśmiał się Starlight. – Nie sposób temu odmówić.

– Nieważne. Możemy ruszać?

– Tak, to by było na tyle, jeśli chodzi o niespodzianki. Po prostu niech pan się słucho Styxa, korzysta z pomocy ekipy i dostarczy nasz skarb jak najszybciej do celu. Mój szef będzie bardzo szcudry, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Knur zacharzał groźnie i zawrócił w stronę otwartej bramy. Za kierownicą siedział Frank Fatboy – człowiek, którego egzystencja zaczynała się i kończyła w kabynie ciężarówki. Obok Styx, haker, włączył swoje wyjątkowe urządzenie i połączył się z zapomnianą siecią. Dalej podążył jeep z grupką najemników – postaci pobocznych, niepozornych filarów niestabilnego świata. W bazie został Julian Starlight, JLStar, pełen entuzjazmu przeszłościowiec, który również wyruszy do swojego szefa, wkrótce po tym, drogą niedostępną dla większych pojazdów.

Przed nimi gasła luna Elektrycznej Pustki, pożerana przez otchłań mroku. Oczekiwała ich nienasycona ciemność, pełzające

Cienie i obrzydliwości, o jakich nawet im się nie śniło.

01101000 01100001 01101110 01100111 01101001 01101110
01100111

Fatboy wybrał trasę omijającą prawie wszystkie Wielkie Rumowiska, cmentarzyska starych cywilizacji. Jego wybór padł na pustynię – płaską równinę, wijące się pasmo terenu przecinające Świat Mroku w wielu miejscach. Pustynie stanowiły część dostępnych tras oraz wyglądały z góry jak pozostałość po uderzeniu kolosalnych wielkości błyskawic. Po przejechaniu znacznej odległości, gdy syczenie elektryczności zanikło, Knur i mały, srebrny jeep przypominający rozpedzonego żuka znalazły się w ciszy przerywanej jedynie warkotem rozgrzanych silników.

Frank i haker Styx jechali przodem. Obaj już dawno zdjęli okulary ochronne i przyzwyczajali wzrok do ciemności oraz przebywania w milczeniu. Młodszy pasażer włączył swoje wyjątkowe urządzenie – coś, co możesz znać jako antyczny, przenośny komputer. Haker wpatrywał się w ekran ze skupieniem. Różne kolory oświetlały jego wychudzoną twarz.

– A więc, mały, dokąd jedziemy? – Fatboy zerknął na pasażera.

– Nazywam się Styx, kierowco. – Haker nie uniósł wzroku znad monitora. – Niewidzialna Przełącz. Mówi ci to coś?

– Pewnie. Wiem gdzie to jest, na pewno dużo lepiej niż to twoje świecące pudełko. Dalej znam również jedno miejsce, gdzie będziemy mogli nakarmić Knura, zaraz za Przełączą – odburknął Frank.

Jechali w ciszy. Fatboy włączył krótkie światła w ciężarówce, na tyle jasne, żeby nie przyciągać Cieni. Otaczało ich pustkowie, w oddali przechodzące w ciemne, powykręcane góry, które były kolejnymi ruinami starego świata.

– Powiedz mi Styx, co ty tam widzisz? – Kierowca ukradkiem badał twarz z zapadniętymi policzkami oraz niesamowicie

jasnymi oczami o kolorze blasku monitora.

Haker ciągle nie odrywał wzroku od komputera.

– Wszystko. Tam jest wszystko. Wielopoziomowy kod nadający światu sens – odparł bez zapału.

– Co masz na myśli?

– Jak sny. Zdarza ci się śnić kierowco, prawda? Różne dziwne gówno. Otóż tam, w tym niepozornym urządzeniu, są zamknięte wszystkie możliwe sny, z jedną różnicą. Są prawdziwe. – Styx wystukał coś na brudnej klawiaturze.

– Moje sny to zazwyczaj kontynuacja życia na drodze.

– Nudy – podsumował Styx. – Nie chodzi mi o tę przekłętą ciemność czy pierdoloną Elektryczną Dupę. Nie zastanawiałeś się nigdy, kierowco, czy poza tymi miejscami, do których możesz dojechać swoją ciężarówką, istnieje coś więcej? Do czego służył ten cały złom, który znajdują śmierdzący poszukiwacze? Sam widziałeś, że wszystko w świetle nabiera innego znaczenia, sensu.

– Nie obchodzi mnie, do czego służyła sterta gruzów. Teraz to tylko śmietnik zagradzający drogę. Na pewno istnieje powód, dla którego ten nędzny świat wygląda jak wygląda. Czy chcę go poznać? Niekoniecznie. Interesuje mnie tylko to, co widzę przed maską mojego Knura. Nie potrzebuję światła, moim domem jest mrok.

– Jesteś trudnym przypadkiem – westchnął Styx i spojrzął z politowaniem na Fatboya. – Nie widziałeś jednak tego, co ja. – Jasnieniebieskie oczy ponownie utonęły w ekranie. – Być może wcześniej źle się wyraziłem. To, w co nieustannie się wpatruję, gdy ty siedzisz za kierownicą, nazywa się Internetem. Kiedy jestem z nim połączony, wpadam do strumienia, który ciągnie mnie w nieskończoność. Strumień to wymarła cywilizacja, odległe społeczeństwo ukryte za malutkim okienkiem. – Styx roześmiał się podniecony. – Wszystko ma tam kolory, które nie mają racji bytu w Świecie Mroku. Kiedy tu spotykasz jedynie wkurzonych

najemników, zezwierzęconych złodziei, żądne krwi gangi, mordercze Cienie i gburowatych kierowców, tam możesz poznać prawdziwych, interesujących ludzi.

– W tym czymś są ludzie? – Fatboy zmarszczył brwi.

– Teraz nie ma – posmutniał haker. – Kiedyś byli. Miliardy ludzi. Potem coś się stało, Internet opustoszał. Teraz jest wymarły.

– To po co w ogóle tam zaglądać?

– Ponieważ, kierowco, ludzie zniknęli, ale Internet przeżył. Jest jak piękny, czysty świat z orzeźwiającymi powiewami wiatru, zniewalającymi pejzażami, obrazującymi niesamowite możliwości. Niestety, oprócz mnie, szefa i paru innych jego pracowników jak Starlight nikogo tam nie ma. Pozostaje nam zwiedzać to cudowne miejsce, oglądać to, co pozostawili po sobie prawdziwi ludzie, a mówię ci, kierowco, zwiedzenie wszystkiego jest niemożliwe.

– Wybacz ale dla mnie to ciągle jakiś niezrozumiały bełkot. – Frank uważnie obserwował mroczną przestrzeń przed maską, wypatrując niepożądanych kształtów.

– Po raz ostatni, kierowco, spróbuję ci to wyjaśnić. – Styx przewrócił oczami i spojrzał na Fatboya. – Zgaduję, że jesteś dość prostym człowiekiem, więc zejść do twojego poziomu. Otóż włączasz komputer i otwierasz Internet. W sekundę znajdujesz wszystkie możliwe ulepszenia dla swojej cennej ciężarówki. Co więcej, widzisz miliony innych modeli, którymi możesz się przejechać w symulatorze, zanim zdecydujesz, który wybierzesz. Kolejna sekunda i oglądasz ociekające tłuszczem burgery, pizzę, rachery, chipsy, ryby, soki, alkohole, keczupy... Zauważasz najpiękniejszą kobietę, jaką widziałeś w życiu, przechodzisz na blok stron o wyjątkowych wyrobach tytoniowych i widzisz dwie ładniejsze. Odkrywasz sekrety, o których ci się nawet nie śniło. Jest takie ogromne miejsce w Internecie, gdzie znajdujesz profile ludzi, które zawierają ich najgłębsze sekrety. Potem trafiasz na wirtualne opowieści, filmy...

– Chyba dość już słyszałem, Styx – uciął kierowca. – Ten cały Internet brzmi jak ogromny, żywy śmietnik, który wciąga człowieka, trawi i wysrywa w samym sobie. – Haker spoglądał chwilę pustym wzrokiem na Franka, następnie wrócił do swojego cennego urządzenia. – Masz trochę racji – odezwał się niespodziewanie. – Ile ja bym dał, żeby zostać całkowicie pożartym i wydalonym w Internecie. – Haker wyszczerzył żółte zęby w pożądlivym uśmiechu.

– Jesteś popieprzonym, małym gnojem, Styx, to ci przyznam – zaśmiał się w odpowiedzi Fatboy. – Powiedz mi jeszcze, hakerze: skąd wiesz, dokąd mamy jechać?

– Do tego powinno się używać urządzenia zwanego nawigacją, jednak, jak mówi szef, jest to niemożliwe ze względu na mrok nad nami. Zamiast tego udało nam się postawić dwie połączone ze sobą wieże. Jedną z nich widziałeś w bazie przy Elektrycznej Pustce. Druga jest na piramidzie, czyli u celu naszej wyprawy. Mniejsze pojazdy docierają tam znacznie krótszą drogą, rurami przez rumowiska. Dlatego Starlight pewnie będzie na miejscu dużo szybciej. Dzięki wieżom sygnałowym mam kontakt z szefem, który wysłała mi lokalizacje, dzięki czemu trafimy do celu. Następna będzie Niewidzialna Przełęcz.

– Oczywiście. – Fatboy uśmiechnął się, że rozumie. – Ciągłe gadasz o szefie. Kto to jest?

– Szef to wielki naukowiec, wizjoner. Francis Pipiliarodou. Tak się nazywa. Jest odkrywcą Internetu i moim mentorem. Niedługo będzie mentorem nas wszystkich.

– Najpierw niech mi zapłaci, potem może sobie być, kim chce.

W oddali przyzwyczajone do mroku oczy Fatboya dostrzegły nierówny kształt stożka, dwa razy wyższego od Knura. Ciężarówka zwolniła. Figura znajdowała się blisko wyznaczonej przez kierowcę trasy. Gdy znaleźli się naprawdę blisko, słabe światła ukazały poskręcane wraki pojazdów, poukładane jeden na drugim

w wysoki, trójkątny stos. Styx podniósł wzrok i obserwował mijany obiekt, gdy kierowca gwałtownie zahamował, omal nie strącając komputera z kolan hakera.

Na ziemi, przed wysoką pordezwiąłą maską Knura, leżał związany, wierzgający się człowiek, rzucony jakby na pożarcie bestii.

```
01100011 01110010 01100101 01100001 01110100 01101001
01101110 01100111 00100000 01110100 01101000 01100101
00100000 01101110 01101111 01101111 01110011 01100101
00001101 00001010
```

Srebrny jeep z wyłączonymi światłami pędził za Knurem jak przyklejony śmieć, kawałek folii po czekoladowym batoniku z orzechami makadamia. Tanner, czarnoskóra kobieta siedząca za kierownicą, znalazła się na swojej profesji nie gorzej niż Fatboy i trzymała się zaraz za ciężarówką. Obok niej na miejscu pasażera siedział Bill, skanując swoim czerwonym okiem otoczenie. Z tyłu na trzy miejsca wcisnęli się kolejno Enyo, Bellona i zepchnięty pod okno Fork. Przez większość czasu jechali w ciszy.

Pierwszy odezwał się Jednoręki Bill.

– Zbyt długo jest spokojnie. – Strzelec podrapał się po szczeciniastym zaroście.

– Co, zabójco, wolałbyś, żeby zaczęło się od porządnej strzelaniny, a potem tylko gorzej? – odpowiedziała mu Tanner, nie odwracając głowy.

– Niekoniecznie. Chodzi mi tylko o to, że prędzej czy później zawsze dochodzi do strzelaniny. Wolę, gdy jest prędzej. – Oko Billa skręciło w stronę Tanner, rzucając przytłumione światło w kolorze zaschniętej krwi.

– Uważaj, gdzie celujesz tym dziwactwem, kolego. – Tanner się zmarszczyła. – Chyba nie chcesz oślepić kierowcy?

– Wybacz. – Bill odwrócił oko w stronę okna.

– Skąd masz taki sprzęt? – odezwała się Bellona z cienia w głębi pojazdu.

Strzelec odwrócił się szybko i przeskanował dziewczynę krwistym światłem, po czym wrócił do obserwowania pustyni.

– Nie jestem pewien – odpowiedział.

– Nie wiesz, skąd masz wielkie czerwone oko? – dodała Enyo.

– Nie wiem – powtórzył Jednoręki. – Pamiętam jak przez mgłę czas, kiedy miałem normalne oko i drugą rękę, ale to było dawno, dawno temu.

– I co się stało? – drążyła Bellona, wychylając się do przodu, gdzie obok siedział milczący Fork z niewyraźną twarzą, ukrytą w mroku pod sufitem auta.

– Pewnego dnia obudziłem się w głębokim dole pełnym kawałków ciała, w dziurze krwi. Nie miałem ręki i nawet nie pomyślałem, żeby szukać jej w otaczającej stercie śmierdzących, zgniłych kończyn. Połowa twarzy nieludzko mnie bolała. Na początku nic nie widziałem na prawe oko, tylko ciemność. Po kilku dniach tułania się po Świecie Mroku zacząłem dostrzegać czerwone plamy, które stopniowo zamieniały się w pełny obraz. W końcu zyskałem możliwość obserwowania otoczenia dużo lepiej niż inni. Wszystko stało się wyraźne, oko zaczęło podpowiadać mi także różne przydatne informacje dotyczące celu, ostrzegać. Mogę kontrolować wszystkie jego funkcje umysłem. Świat stał się dla mnie całkowicie przejrzysty w odcieniach skrzepłej krwi – opowiedział Bill, jakby był na to przygotowany.

– Nieźle – burknął Fork.

– I nie pamiętasz nic? Kto ci to zrobił? – zapytała Tanner.

– Pamiętam fragmenty swojego życia, zanim stałem się Jednorękim Bille. Chyba byłem poszukiwaczem i nie strzelałem najlepiej. Pamiętam, że miałem kobietę. Przypominam sobie jej objęcia w mroku. Po wyjściu z dołu trupów nigdy więcej jej nie spotkałem – dodał Bill bez emocji.

– Ciekawa historia. Niemal wzruszająca, gdyby opowiedział ją ktoś inny. – Wzdrygnęła się Tanner. – Myślę, że każdy ma w tym świecie jakąś smutną, pokręconą przeszłość, ale twoja na pewno jest wyjątkowa.

– Zgadzam się – poparła kierowcę Bellona. – Nie wyobrażam sobie życia bez mojej Enyo. – Wojowniczką odwróciła się w bok, objęła swoją ukochaną i pocałowała w usta, przyciskając szerokiego Forka do okna.

Najemnik chrząknął gniewnie, rozpychając się w miejscu. Rudowłosa Enyo złapała partnerkę za włosy i odwzajemniła pocałunek.

– Dziewczyny, mogłybyście trochę przystopować z tą miłością? – zapytała Tanner. – Muszę się skupić na dupie naszej ciężarówki, a wasze mlaskanie mocno mnie rozprasza.

– Wszystko cię rozprasza – dodał Bill, znowu zwracając czerwone oko w lewą stronę.

– Przepraszam, że staram się być profesjonalna. Założę się, że żadne z was nigdy nie prowadziło w mroku. – Głowa Tanner pozostała wyprostowana.

– Ja w ogóle nigdy nie prowadziłem – uśmiechnął się ponuro Bill. – Przynajmniej z tego, co pamiętam – dodał.

– Nie powiem, że jestem zaskoczona – odpowiedziała Tanner.

– Powiedz zabójco: nigdy nie próbowałeś dowiedzieć się, co się stało, gdzie jest twoja miłość, czy w ogóle żyje? – Bellona pochyliła się do przodu, tak że część włosów opadła jej na policzki.

– Oczywiście, że próbowałem wojowniczką – wycedził Bill. – Ale co może zrobić ślepy kaleka z amnezją, zagubiony w ciemności? – Westchnął. – Kiedy już przyswoiłem oko, zacząłem szukać dołu trupów, z którego się wydostałem, ale na marne. Znalazłem kilka innych... – Z jego ust dobiegł ochryply śmiech. – Każdy miał historię okropniejszą od poprzedniego, a istoty za nie odpowiedzialne miały motywy, których nie sposób pojąć.

– Ten świat jest popierdolony – odezwała się Enyo. – Nigdy nie wiesz, w jakie gówno tym razem wejdiesz, bo nic nie widzisz. Dlatego staram się być jak najbliżej z moją Belloną. Czuć ją w każdej chwili. – Rudowłosa kobieta złapała partnerkę za udo.

– Ciemność może być też błogosławieństwem, jeśli nauczymy się w niej żyć – podjęła temat Tanner. – Mam na myśli to, że gdyby było jasno, wszystkie koszmary i potwory ukryte w mroku, istoty tworzące doły krwi – spojrzała wymownie na Billa – stałyby się widzialne, bardziej prawdziwe. Nie mielibyśmy się gdzie ukryć. A poza tym światło przyciąga Cienie.

– Cienie można zabić – rzuciła Bellona.

– Nie, jeśli jest ich za dużo. Widziałam raz, jak masa Cieni pożera niewielki budynek pełen ludzi. Cienie dosłownie go wysssały. Towarzyszył temu najbardziej przerażający odgłos, jaki w życiu słyszałam. Jednak cisza, która nastąpiła potem, była jeszcze gorsza – opowiedziała krótko Tanner.

– Wszyscy jesteśmy przygotowani na taką ewentualność, kierowco. – Bill uniósł poszarpaną brew nad czerwonym okiem.

Z tyłu Fork, słuchając tego, co mówią jego towarzysze, upewniał się, że jego pistolety w kaburach na pasach przy klatce piersiowej są gotowe na taką ewentualność. Nerwowo pocierał również niewielkie, kwadratowe urządzenie w kieszeni. Gdy gładził nierówną powierzchnię elektrycznej broni, która miała go ochronić przed Cieniami, Tanner zahamowała gwałtownie, najemnik uderzył głową o sufit, a ból przerwał nerwowy tok jego myśli.

01101000 01100001 01101110 01100111 01101001 01101110
01100111

Związany człowiek przed maską ciężarówki wił się jak robak i jęczał przez zakneblowane usta. Fatboy i Styx nie widzieli jego

twarży z kabiny pojazdu. Po ostrym hamowaniu unosił się pył z drogi, podświetlony przez wątle światła ciężarówki.

– Co to, kurwa, jest? – Niski haker próbował wyrzeć przez przednią szybę.

– Na takim odludziu to na pewno nic dobrego. Strzelam, że pułapka. – Frank oparł się wygodnie na dużym fotelu.

– To dlaczego jesteś taki spokojny? – dopytywał się Styx.

– Dlatego, że mamy ze sobą grupkę zbędnych przyjaciół, do której z resztą należysz. Zaczekaj, zaraz któryś z nich się tym zajmie. – Kierowca cicho się zaśmiał.

– Czyli może nie są zbędni. Co by się stało, gdybyś był tu sam?

– Po pierwsze, zakładam, że gdybym był tu sam, taka sytuacja w ogóle by nie zaistniała. – Oczy Fatboya, jak dwie krople wody w ciemnej studni, drgały w mroku kabiny Knura. – Po drugie, jeśliby zaistniała, to rozjechałbym to coś bez mrugnięcia okiem.

– Czyli... Po co zahamowałeś jak wariat?

– Chcę dać szansę naszej obstawie. Widzisz, mały, zazwyczaj jestem nieomylny, jednakże od czasu do czasu lubię testować swoje założenia. Poza tym ciekawi mnie, jak wygląda udana pułapka. Jak mówiłem, większość rozjeżdżam.

Ktoś zastukał palcem w okno po stronie kierowcy. Frank obrócił głowę i dostrzegł chudą sylwetkę z płonącym, czerwonym oczodołem. Szyba schowała się w drzwiach, ukazując kościstą twarz Jednorękiego Billa. Za jego plecami stał masywny Fork, pocierając intensywnie łysą głowę.

– Co się dzieje? – zapytał Bill.

– Coś leży przed Knurem. – Warkot silnika zagłuszał jęki postaci związanej na drodze. – Lepiej to sprawdźcie – oznajmił Fatboy.

– Następnym razem używajcie krótkofalówek! – krzyknął Styx, kiedy Bill odwrócił się do Forka. – Szef po coś nam je dał – burknął pod nosem i poprawił swoją, zawieszoną na pasku.

Strzelec i najemnik obeszli kabinę ciężarówki i dostrzegli spętanego człowieka. Bill stanął dalej, skanując potencjalne zagrożenie i przygotowując się do ewentualnej strzelaniny. Fork przełknął ślinę, po czym ostrożnym krokiem podszedł do człowieka i zauważył jego długie włosy oraz więzy na nadgarstkach za plecami i na kostkach, ściśnięte aż do krwi. Kolejny sznur oplatał szyję uwięzionego, tworząc skuteczny knebel. Najemnik wyciągnął z pasa duży nóż, klęknął i przeciął więzy na szyi. Knebel upadł na piach, a mężczyzna zaczął pluć jak oszalały, bełkocząc niezrozumiale. Fork złapał go za kark i unióś, dostrzegając, że ktoś brutalnie wyrwał mu język.

– Ten nic nam nie powie – rzucił najemnik, wskazując ostrzem noża na krwawą dziurę, która wcześniej była ustami związanego człowieka.

Oko Billa szybko oszacowało stan okaleczonego mężczyzny, nie wyczuwając w nim zagrożenia.

– Uwolnij go – nakazał strzelec, sięgając po rewolwer.

Fork wątpił chwilę, jednak zrobił to, co mu powiedziano, i dwoma szybkimi ruchami rozciął pozostałe więzy. Długowłosy podniósł się niezgrabnie, omal nie upadł, po czym rozejrzał się panicznie naokoło i uciekł w otaczającą przód ciężarówki ciemność. Strzelec i najemnik stali chwilę w bezruchu, oczekując niespodzianek. Napięcie rozładował Fatboy, który wystawił głowę z okna.

– To chyba byłoby na tyle. Jedziemy dalej?

Fork i Jednoręki Bill – szczerze zawiedziony, że nie mógł postrzelać – wrócili do jeepa. Fatboy zaskoczony brakiem zasadzki powoli ruszył Knurem do przodu, rozpędzając maszynę wzdłuż piramidy złomu. Nagle coś, co wyglądało jak nadlatujący Cień, spadło z jej szczytu. Kierowca dostrzegł kształt w ostatniej chwili, ale nie zdążył zahamować. Na wysokości światła Styx rozpoznał kształt jako kolejną związaną osobę. Ciało gruchnęło o ziemię,

a Knur rozjechał je jak walec. Pojazd nieznacznie podskoczył i w tym samym momencie ze zbocza piramidy z przerażającym hałasem zjechał szeroki, zardzewiały wagon jakiegoś pociągu tubowego lub olbrzymiej rury, zagradzając drogę ciężarówce. Nikłe światło ukazało co najmniej osiem postaci zakneblowanych i przywiązanych do otworów wielkiej tuby, które kiedyś mogły być zarówno oknami, jak i łącznikami innych rur podłączonych do większej. Wszystkie postacie wierzgały i wydawały niezrozumiałe odgłosy.

– No i masz swoją pułapkę. – Styx chwycił za krótkofalówkę.

Kierowca nie odpowiedział, ponieważ zauważył wysoki, potężny kontur wyłaniający się pomiędzy wagonem a piramidą. Istota, im bliżej była, tym bardziej przypominała wielkiego, co najmniej trzymetrowego, człowieka.

– Nie wołaj ich – syknął Fatboy. – Chyba wiem, co to jest. – Noga kierowcy była gotowa do wciśnięcia gazu.

Umieśniony olbrzym w szarych łachmanach zatrzymał się obok zardzewiałej rury, która wyglądała jak wagon pełen Jezusów na krzyżu, gotowy do odjazdu w odmęty piekła.

– Jestem Stary Człowiek – zabrzmiał z góry chropowaty, chromowany głos, który jakimś cudem zaczął rdzewieć, ale pozostał niezniszczalny.

Światło docierało tylko do tułowia ogromnego mężczyzny, ale nikła łuna ogarniała również jego twarz. W półmroku kierowca i haker widzieli długą, prostą brodę, najprawdopodobniej siwą, długie włosy zwisające z boków głowy oraz łysinę na górze. Z szerokiej czaszki spoglądały niepokojąco nieludzkie oczy o stalowej barwie.

– Przynoszę wam zapowiedź tego, co się wydarzy. – Dudniący głos docierał również do grupy w jeepie.

– Powiedz im, żeby nie ruszali tyłków. Zaraz stąd spieprzamy. – Fatboy szturchnął sparaliżowanego ze strachu Styxa, który uniósł

krótkofalówkę i tępo przekazał polecenie.

– Postanowiłem przejąć wasz transport i zabrać zapłatę. – Stary Człowiek wydawał się mówić spokojnie, ale coś w głębi jego głosu sugerowało, że wspaniale się bawi. – Nie zrobię tego jednak teraz. Przyszedłem tylko po to, żeby was ostrzec. Następnym razem, kiedy mnie zobaczycie, nie będę miał litości, jeśli ktoś stanie mi na drodze. Do zobaczenia.

Fatboy nie czekał dłużej. Docisnął z całej siły pedał gazu, a Knur zawył jak wściekła świnia. Masa metalu ruszyła niczym prostokątny taran i uderzyła w zardzewiały wagon, rozrywając go na pół. Stary Człowiek stał obok ze stoickim spokojem. Przywiązane ciała poleciały w każdym kierunku, część z nich w kawałkach. Tanner również natychmiast ruszyła, nie oddzielając się od transportu. Krew związanych ludzi buchnęła na twarz potwornego starca, a jego puste oblicze mignęło w oczach grupy najemników, kiedy odjeżdżali w ciemność.

```
01100011 01110010 01100101 01100001 01110100 01101001  
01101110 01100111 00100000 01110100 01101000 01100101  
00100000 01101100 01101111 01101111 01110000
```

Fatboy dociskał gaz przez jakiś czas, aż przestał czuć na sobie przeszywające spojrzenie giganta. Styx patrzył otepiąły za okno, z włączonym komputerem na kolanach.

– Zdawało mi się wcześniej czy mówiłeś, że wiesz, co to było za gówno? Jakiś twój znajomy? – odezwał się w końcu haker.

– Nie sądzę, żeby tamten wielkolud miał znajomych. Chyba że nielicznych, którzy są dość odważni lub szaleni, żeby z nim pracować – odparł krótko Fatboy, skupiając się na drodze.

– Czyli to był jakiś najemnik?

– Nie jakiś i nie wiem, czy najemnik to dobre określenie. – Kierowca obrzucił pasażera dziwnym spojrzeniem. – Wydaje mi

się, że właśnie spotkaliśmy legendarnego Starego Człowieka – dodał groźnie.

01101000 01100001 01101110 01100111 01101001 01101110
01100111 00001101 00001010

– Stary Człowiek. – Tanner niedowierzała.

– Myślałem, że to tylko legendy – powiedział Bill.

– Ta bestia? – odezwała się z tyłu Enyo.

– Mówicie o tym czymś, co rzucało ciałami? – dodała Bellona.

– Nigdy nie słyszałyście o Starym Człowieku? – zdziwiła się Tanner, spoglądając porozumiewawczo na Billa. – Chcesz czynić honory, zabójco?

– Nie, dzięki. – Jednoręki odwrócił czerwone oko.

– Tak myślałam. – Pokręciła głową Tanner. – A więc Stary Człowiek to postać z legend. Krążą różne historie. Głównie przekazują je sobie inni najemnicy, ponieważ jest zmorą nas wszystkich. Dlatego dziwię się, że o nim nie słyszałyście.

– Świat Mroku jest duży – spróbowała wyjaśnić Bellona. – A słyszałaś kiedyś o Kruczym Pomocie?

– O tym psychopacie, który rzekomo potrafi latać i nosi maskę z kosą, która wygląda jak dziób? Oczywiście, że tak – odpowiedziała szybko Tanner.

– A o Vahali słyszałaś? – spróbowała Enyo.

– O duchu robaka, który wygląda jak kobieta i wciąga swoje ofiary do podziemnych labiryntów? Pewnie.

– Erman. Zabójca bez głowy – odezwał się niespodziewanie Bill. Nastąpiła chwila ciszy.

– Nie – odparła zrezygnowana Tanner. – O tym nie słyszałam.

– Ja słyszałem – burknął z tyłu Fork.

– Poszukiwacz i kanibal – oznajmiła Enyo. – Też coś obilo mi się o uszy.

– Właśnie – przytaknęła jej blondwłosa partnerka. – Chodzi mi tylko o to, że ciężko znać wszystkich wariatów w świecie, gdzie z każdej ciemnej dziury co chwilę wyłazi nowy.

– Nie wiedzieć o Starym Człowieku to co innego. – Tanner kontynuowała wcześniejszy wywód. – Jest znany z tego, że nigdy sam nie przyjmuje zleceń. Podobno zawsze kradnie czyjeś, taki ma styl. Niektórzy mówią, że jest w ten sposób zaprogramowany, ponieważ to zwykła maszyna. Inni twierdzą, że pochodzi z pradawnego gatunku istot nazywanych androidami.

01101100 01101111 01100001 01100100 01101001 01101110
01100111 00001101 00001010

– Android. Cokolwiek to znaczy. Skurwysyn ostrzega swoje ofiary a potem kradnie zlecenia – oznajmił Fatboy.

– Android? To znaczy robot? – zainteresował się Styx. – Czyli takie rzeczy nadal istnieją poza Internetem.

– Wiesz, co to jest android?

– Natknąłem się wiele razy na androidy w Internecie. – Haker spojrział w ekran i zaczął stukać w klawiaturę. Strumień ukazywał mu miliardy odpowiedzi na frazę „android”. – Są jak ludzie roboty albo ulepszeni ludzie – oświadczył ze sztuczną pewnością siebie.

– Dla mnie to nie ma znaczenia. Wiem tylko, że tamten wyglądał na wielkiego bydlaka. – Kierowca uśmiechnął się ponuro.

– Kiedyś ludzie robili o nich filmy i gry, antyczne klasyki, takie jak *Łowca androidów*, *Detroit: Become Human*, *Meat Metal* i inne. Kiedy jednak androidy naprawdę nadeszły, nikt nie był przygotowany. Nie minęło dużo czasu, a to, czy ktoś był androidem, czy nie przestało mieć znaczenie. – Styx czytał na głos pierwszy lepszy nagłówek, jakby cytował świętą księgę. – Zupa z androida w sosie ludzkim na talerzu u Marco Stannica tylko w sekundy lunarne przyszłej wiosny na podprogowych łączach Alfa454, w ramach subskrypcji krwi SmileUTD.

01101100 01101111 01100001 01100100 01101001 01101110
01100111 00001101 00001010

– W skrócie to mityczne istoty zrobione z metalu. Mogą wyglądać jak ludzie – tłumaczyła Tanner. – Jedni mówią, że przybyły z krainy za Elektryczną Pustką. Inni głoszą, że wypełzły głęboko z ziemi. Te nienaturalne, podstępne stworzenia budzą grozę w sercu każdego człowieka z krwi i kości.

– Czy ja wiem... – zakwestionował Bill. – Kiedyś zabiłem gościa, który miał mechaniczne bebechy. Kiedy go rozwaliłem, ze środka wypadły kable, śrubki, jakiś cholerny kwas – opowiadał. – A płakał i błagał, żeby go nie zabijać jak każda żywa istota. Nie było w nim nic strasznego.

– Psujesz historię, zabójco. – Tanner rzuciła mu gniewne spojrzenie, które natychmiast zarejestrowało czerwone oko.

01101100 01101111 01100001 01100100 01101001 01101110
01100111 00001101 00001010

– Droid Doris zjadł fosforową mysz młodego małżeństwa z gór Kalkun, która okazała się ukrytym androidem. Pierwszy robot, który został człowiekiem, wynalazł nowy język. Człowiek Stefon YH podmienia żyły na druty wysokiego napięcia, ŚMIESZNE... – czytał zafascynowany Styx, przeglądając niezliczone obrazy, a jego skupioną, niemal opętaną twarz oddzielało od otaczającej ciemności nienaturalne światło ekranu.

– Skoro androidy, ludzie i roboty są tym samym, to już w ogóle mnie uspokoiłeś. Jeśli tak jest, to ten przeklęty dziad z legend musi myśleć, że jest nie wiadomo kim. I to go zgubi, jak każdą żywą istotę. Mylne założenia – mówił kierowca, a obok Styx nie przerywał swojego słowotoku. – Ja karmię swojego Knura mylnymi założeniami – kontynuował Fatboy. – Najłatwiej zaskoczyć

upojonego własną inteligencją bohatera niestworzonych opowieści. Rozjechać go jak robaka.

– Mecz szachów grawitacyjnych rozegrany na Księżycu zakończył się zwycięstwem drużyny Androidów Adama, geriatrycznej grupy stusiedemdziesięciolatek, którzy biją rekordy w całym układzie Ardena. AAA to joniczne wyparta płyta systemowa do twojego człowieka. Iluzoryczna gra FRL pozwoli ci stać się androidem z ludzkim mózgiem na całe dwa dni w Kraju Martwej Dyni. – Styx wypluwał z siebie słowa, coraz bardziej rozszerzając źrenice.

– Jeśli Stary Człowiek jeszcze się pojawi, Knur go rozjedzie, zanim ten zdąży wypowiedzieć chociaż słowo... – Fatboy się szczerze uśmiechnął, po czym spojrzał na pasażera i widząc, że ten wcale go nie słucha, spochmurniał.

– Androboczek odkryty pod lodem w Dolnej Rosji. Miss Wschodniej Sekcji udaje androida zakładającego kult człowieka...

– Możesz się zamknąć?

01101100 01101111 01100001 01100100 01101001 01101110
01100111 00001101 00001010

– Tak, myślę, że z odpowiedniej odległości z łatwością powaliłbym tego olbrzyma. – Bill Pokiwał głową.

– Nie mówię nie. – Tanner wzruszyła ramionami. – W końcu też jesteś po części maszyną.

01101100 01101111 01100001 01100100 01101001 01101110
01100111 00001101 00001010

– Nowa poezja o androidach pióra Edrigo Hamasako ukaże się w salonach Euka. Prawdziwy film RoboRyby otrzymał nagrodę Akademii szósty raz z rzędu, kończąc falę głodu iluzji na Głębokim Wschodzie. Dzieci Meduzy zostają adeptami Wielkiego Androida

Janaki. – Styx wpadł w trans. Zachowywał się tak, jakby ktoś podłączył go do jego własnego sprzętu w roli głośnika.

– Zamknij się, dzieciaku. – Fatboy klepnął go w ramię.

– Droidy to dzieci ludzkich androidów z plemienia Okari. Nie jedzą syntetycznego mięsa od ośmiu pokoleń.

Haker nie zwrócił na to uwagi. Chwilę tak jednak jechali w akompaniamencie fali wiedzy o androidach wylewającej się z ust Styxa jak świeże wymiociny. Kierowca sięgnął do schowka, wyjął kasetkę z grubasem na okładce i zawzięcie wcisnął ją do odtwarzacza. Nacisnął parę razy wytarty guzik ze strzałką, licząc pod nosem do jedenastu.

– Acid 8000 – wyszeptał i wcisnął mały trójkącik, a zacięty odtwarzacz puścił piosenkę od czwartej minuty.

Na początku muzyka cicho zlewała się z głosem Styxa. Fatboy podkręcił głośność, a narastające, rytmiczne brzmienie zwiastujące chaos zagłuszyło Androida zamkniętego w jaskini, do kupienia tylko w Cyberstudni276. Kierowca nawet nie zauważył, kiedy haker zamilkł, a Knur rozwinął maksymalną prędkość pośrodku pustyni rozciągniętej w otchłani mroku. Nikłe światła ciężarówki mknęły nad ziemią niczym oczy pozbawione ciała, wyrwane z czaszki rozrywającą eksplozją.

01101100 01101111 01100001 01100100 01101001 01101110
01100111 00001101 00001010

Daleko, poza mrokiem, horyzont rozświetlała nieokiełznana elektryczność. Mimo odległości wydawało się, że część wytwarzanego przez nią światła dociera na pustynię. Konwój z niezwykle cennym towarem zbliżał się do Niewidzialnej Przełęczy, a w kabinie ciężarówki ciągle rozbrzmiewała elektroniczna muzyka.

– Już jestem cicho. – Styx skręcił głośność.

– Nie radzę ci tego robić, mały – warknął kierowca. – Bez pozwolenia nie masz prawa dotykać odtwarzacza.

– I słuchasz ciągle tego gówna. – Skrzywił się haker, grzebiąc w przepastnych kieszeniach.

– Uważaj na słowa. – Fatboy nie żartował. – Ta muzyka to część mojej pracy. Nadaje wszystkiemu rytm.

– Nie wyobrażasz sobie, jak różny może być rytm – zaśmiał się Styx, wyciągając ze spodni zaplątane kable. Pochylił się do przodu i spojrział wymownie na kierowcę. – Pozwolisz?

– Chcesz podłączyć to swoje małe coś do Knura?

– Tak i pokazać ci, że istnieje muzyka milion razy lepsza niż to brzdąkanie.

– Niech będzie – odrzekł Fatboy po chwili zastanowienia, pewny, że perswazja hakera znów zawiedzie. – Ale jeśli coś zepsujesz, rozwalę ci nos.

– W porządku. – Haker wzruszył ramionami i połączył komputer z zakurczonym pulpitem pojazdu. Jego chude palce rozpoczęły taniec po klawiaturze. – Kiedyś podobno ani kable, ani nawet komputer nie były potrzebne do słuchania albo przeżywania dźwięków. To, co wieziemy, może przywrócić taki porządek. Szef tak mówi.

– A co dokładnie wieziemy? – zapytał od niechcienia przewoźnik. – Ta świecąca kostka?

– To generator. Najpotężniejszy, jaki istnieje. Tylko szef jest w stanie opanować jego moc – odparł Styx, otwierając kolejne portale z hitami wszech czasów.

– Nie mogę się doczekać, kiedy poznam tego szefa – oznajmił sarkastycznie Fatboy, a jego ostatnie słowa zagłuszyła piosenka, która nagle zabrzmiała w kabinie.

– Fiber Siberis. – Styx przeczytał nazwę zespołu. – Ten album opanował podświadome aplikacje RTF na ponad dwie dekady.

Ciężkie do opisania dźwięki łączyły się w falujący bas przeplatany skrzypieniem elektrycznej gitary.

– Gównu – stwierdził kierowca.

Haker jednym przyciskiem zmienił muzykę.

– H5657 – odczytał. – Dużo wcześniejszy laserowy postpunk.

– Nic nie rozumiem. Te dźwięki są mi kompletnie obce. – Skrzywił się Fatboy.

Metaliczne odgłosy delikatnie przechodziły w szorstki utwór z kosmosu.

W oddali z przodu, na rozległej płaszczyźnie o dominującym szarym odcieniu, ukazała się szeroka czarna plama. Im bliżej byli, tym stawała się mniej widoczna.

– Jest i Niewidzialna Przełęcz – stwierdził kierowca, lekko zwalniając.

– Nic nie widzę – odezwał się Styx oślepiiony ekranem.

– I nie zobaczysz, bo jest nią olbrzymia dziura w ziemi.

Bez światła ciężko było stwierdzić, gdzie znajdują się jakiegokolwiek ściany czy bariery. Człowiek mógł sobie jedynie wyobrazić, że gdzieś blisko bądź daleko znajduje się stroma góra nie do przejścia lub sterta złomu o rozmiarach góry. Kiedy konwój zaczął zanurzać się w otchłań Niewidzialnej Przełęczy wrażenie zamknięcia, bliskości ścian znacznie się spotęgowało, jednak wszyscy byli pewni, że znajdują się pod poziomem pustyni, dopiero kiedy zniknęła luna Elektrycznej Pustki.

Zjeżdżali głębiej i głębiej, aż spadek terenu się ustabilizował. Wyostrzony wzrok kierowcy napotkał migoczące światło głęboko w czeluści.

– Wyłącz to – polecił krótko hakerowi, który jednym przyciskiem przywrócił ciszę.

Fatboy wiedział, jak przejechać przez wąski przesmyk. Była tylko jedna droga, na której znajdowało się coś pozornie niespodziewanego.

– Pułapka. – Kierowca uniósł brwi. – Kurwa, znowu pułapka.

– Czy to ten android? Stary Człowiek? – zaniepokoił się Styx, przysmykając monitor.

– Nie sądzę. – Obeznane w mroku oczy zarejestrowały dwa małe źródła światła. Nie była to elektryczność. – Niewidzialna Przełącz to idealne miejsce na pułapkę, ale mało kto ma odwagę zapuszczać się tak głęboko pod ziemię. Niemniej to się zdarza. Natrafiłem tu raz na grupkę szaleńców, dawno temu.

– Czyli to bandyci?

– Najprawdopodobniej. Są nieodłączną częścią tego świata. Koniecznym opóźnieniem w procesie.

Knur zwolnił na rozkaz swojego pana. Ostatecznie masywny pojazd ostrożnie zatrzymał się w miejscu, gdzie droga lekko się wznosiła. Na wzniesieniu stał niewielki motocykl. Przednie światła Knura ukazywały jego sypiące się pod wpływem drżenia silnika poskręcane, stare części. Za kierownicą niepozornej maszyny siedział nagi mężczyzna umazany zaschniętą krwią z płóciennym workiem na głowie oraz żelazną koroną zakończoną ostrzami. Do tyłu motoru były przymocowane dwie płonące pochodnie wydzielające jasne światło, które ukazywało ruchliwą, małą figurkę, ukrytą za plecami mężczyzny.

Fatboy i Styx obserwowali przez dłuższą chwilę złowrogą postać, która trwała w bezruchu. Niespodziewanie z tyłu wyskoczył mały człowieczek, wielkości niskiego dziecka, co wyglądało tak, jakby zakrwawiony motocyklista przeżył błyskawiczny poród. Mały ludek, również nagi, we krwi i z workiem na głowie, ale bez korony, miał szyję połączoną z szyją mężczyzny za pomocą grubego łańcucha. Poza tym dużą część niewielkiej twarzy zajmowało metalowe pudełko przytwierdzone do ust.

– Nędzne pluskwy! – wycharczał nagle karzeł, a jego głos dobiegł z innego pudełka umieszczonego pod szeroką kierownicą

motocykla. Dźwięk przypominał audycję z zakłócanego kanału radia. – Dziś jest wasz szczęśliwy dzień! Macie zaszczyt stanąć przed królem podróży, panem krwi, wojownikiem motorów! Oto jest! Wielki Xamdami!

– Kolejny legendarny android? – odezwał się szeptem Styx, który wciąż widział oczami umysłu nieskończone informacje ze strumienia.

– Gdzie tam... – parsknął Fatboy. – Pierwszy raz słyszę to kretyńskie imię. Poszukaj czegoś dobrego w tym swoim Internecie. Za chwilę przyda się jakiś muzyczny podkład – dodał.

– Jako nadworny mówca władcy ja, Russell Plisken, mam zaszczyt ogłosić uznanie Niewidzialnej Przełęczy za ziemię lenną Xamdami – skrzeczał mały człowieczek.

– Co on pierdoli? – Styx zgodnie z poleceniem ponownie wpadł do strumienia. Zdawało mu się, że wcześniej widział ruch w ciemności obok ciężarówki, ale szybko zbył to wrażenie, gdy blade światło monitora przyssało się do jego twarzy.

– Wy jako pierwsi macie zaszczyt oddać hołd królowi. Prawem przemocy Xamdami wydaję dekret o waszym zniewoleniu. Każdy, kto zechce tędy przejechać, musi porzucić swoją dotychczasową egzystencję i dołączyć do naszej prawnie usankcjonowanej hordy. – Russell krążył w tę i z powrotem przy motorze Xamdami, a Fatboy również zauważył, że w przełęczy jest ktoś jeszcze, i otworzył szybę, żeby się upewnić. – Również jako mówca, zgodnie z ustawą sto trzydziestą drugą, pełnię obowiązków boskiego prawnika, to znaczy ustanawiam sankcje chaosu, jak mi się podoba...

– Masz już coś, hakerze? – Fatboy zaczął gazować Knura. – Mam dość tych bredni, a to już drugi nadprogramowy postój.

– Celem Xamdami jest powołanie do życia krainy pokoju. Naszym symbolem jest ogień, tak jak ustanowili mędrcy, Złe

Mózgi! – Russell Plisken wskazał chudą rączką na pochodnie za plecami swojego władcy.

W skłębionych płomieniach tańczyły kształty adekwatnie przypominające ludzkie mózgi. Równocześnie Styx dotarł do zamierzonego albumu Bad Brains poprzez stronę do odczytu nastrojów oraz aplikację do kojarzenia słów przez obiekty. Piosenka opisana jako *Sailin' On* zabrzmiała z głośników podkreślonych przez hakera na maksa, co przerwało przemowę karła Pliskena. Frank Fatboy docisnął gaz i puścił sprzęgło, a Knur zawył, po czym rzucił się do przodu. Xamdąm jednym ruchem umięśnionej szyi wciągnął swojego mówcę i boskiego prawnika na motor. Odgłos małego, sypiącego się pojazdu prawie dorównał zawodzeniu ciężarówka Franka. Wtedy we wnętrzu Niewidzialnej Przełęczy buchnęły dziesiątki pochodni, ukazując hordeę wspomnianą przez Russella w pełnej okazałości.

01101000 01100001 01101110 01100111 01101001 01101110
01100111

Ciężarówka powoli zwalniała, a jeep dotrzymywał tempa, aż oba pojazdy stanęły gdzieś w głębi przełęczy. Z przodu, znad wysokiego kontenera, wyłoniła się łuna pulsującego światła. Najemnicy otworzyli okna i nasłuchiwali. Enyo i Bellona ścisnęły ostrza, Tanner nie puszczała kierownicy.

– Wielki Xamdąm! – Głośne skrzeczenie odbiło się echem po mrocznej przełęczy.

– Znowu kłopoty – powiedziała Enyo.

– Ktoś tam coś pali – dodała Bellona i wciągnęła głośno powietrze. – Mięso.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Tanner. – Wsłuchajcie się w to, co między krzykami.

– Oddech – potwierdził Bill i spojrzął na zewnątrz.

Cybernetyczne oko zaczęło skanować otoczenie i od razu naliczyło co najmniej dwudziestu motocyklistów stojących w bezruchu po prawej stronie jeeпа. Kolejna duża grupa ukrywała się po lewej, za ledwie dwa metry od pojazdu.

– ...ustanawiam sankcje chaosu, jak mi się podoba, ponieważ wiem, co dla was dobre, obywatele! Sądownictwo jasno głosi, że prawa należy przestrzegać... – Niewyraźny głos pałał niezdrowym entuzjazmem.

Strzelec wyciągnął rewolwer z podręcznej kabury i przestawił go na tryb normalny. Czerwony, krwawocybernetyczny obraz wskazywał mu, gdzie są słabe miejsca jego celów, pod jakim kątem ma strzelać, jak daleko się znajdują, poziom ich stresu oraz możliwe opcje ataku.

– Słuchajcie – zaczął Bill. – Otoczyła nas banda wrogo nastawionych osobników na motorach. Około pięćdziesięciu.

– Ciężarówka pracuje. Chyba nasz kierowca ma zamiar zaraz stąd spieprzać. – Tanner wpatrywała się w ciemność i zaczęła dostrzegać kiwające się kontury ludzi na motorach, którzy w cieniu przypominali demony połączone z maszynami.

– Jak się zacznie, spróbujmy zdjąć tyle tych skurwieli, ile się da. – Bill uśmiechnął się na myśl, że będzie mógł się do czegoś przydać.

– Złe Mózgi! – wrzasnął skrzeczący głosik, a z przodu ciężarówki zadudniły dźwięki punkowej piosenki.

Równocześnie Knur wyrwał się do przodu, podnosząc chmurę dymu i piasku, a cała Niewidzialna Przełęcz zajaśniała ogniem. Każdy z otaczających bandytów miał dwie pochodnie z kawałkami mięsa na górze, przymocowane do tyłu motocykli, i wszystkie zapłonęły jednocześnie. Bill skrzywił się, kiedy jego oko z przesywającym bólem dostosowało się do światła. Wydawało się, że horda Xamdama to zdecydowanie więcej niż pięćdziesiąt głów.

Tanner docisnęła gaz i jeep popędził za ciężarówką. Konwój piął się coraz wyżej, ku wylotowi z przełęczy. Za nim pędziła chmara szaleńców wiedzionych przez króla i jego małego prawnika. Fork wyjął swój pistolet i strzelał na oślep przez otwarte okno, zauważając, że część napastników ma worki na głowach, a część charakteryzuje się pospolitymi i niewartymi opisu twarzami z mętным, bezbarwnym spojrzeniem.

Jednoręki Bill szybko dostosował się do nowego oświetlenia, zmrużył drugie oko i ośmioma pewnymi strzałami zdjął ośmiu członków gangu Xamdama, którzy upadli pochłonięci przez skotłowany piasek. Następnie połączył broń z urządzeniem, wijącym się jak wąż wzdłuż prawej ręki, które załadowało rewolwer kolejnymi sześcioma nabojami.

Knur zwolnił przy najbardziej stromym fragmencie podjazdu. Rozszalałe motocykle oblaży jeepa. Enyo przełożyła nogę przez okno i wyciągnęła miecz, który zaczął czerwienieć. Bellona zepchnęła Forka na środkowe miejsce i sama wystawiła się po prawej stronie pojazdu. Blondynka obróciła broń jak rozgrzane śmigło samolotu i kilkoma ruchami odcięła dwie ukryte w płóciennych workach głowy. Napastnicy nie mieli broni palnej. Uderzali ślepo o jeepa nagimi ciałami, część dźgała pojazd tępymi nożami, a inni próbowali wskoczyć na konwój. Bill wychylił się i trafił dwójkę, która chwyciła kurczowo kontener.

Knur ociągał się niczym pasek ładowania nagle spowolniony większym plikiem danych. Za jeepem w niewielkim dystansie od swojej hordy trzymał się Xamdama z Russellem Pliskenem na tylnym siedzeniu, który jako jedyny posiadał broń: duży, nieproporcjonalny obrzyn. Fork próbował go trafić przez tylną rozbitą szybę. Nagi król zwinnie uchylał się przed pociskami, krążąc wśród swoich ludzi. Co jakiś czas Russellowi udawało się oddać zadziwiająco celny strzał.

Niepostrzeżenie ciężarówka wyskoczyła z Niewidzialnej Przełęczy niczym pociąg wyjeżdżający z tunelu w ciemną noc. Konwój wrócił na pustynię, a w oddali pojawił się horyzont naznaczony rozszalałą elektrycznością. Z czarnej szczeliny wydostała się również ognista horda, przypominającą piekielny język wysuwający się po ofiarę. Xamdam wyminął jeepa i zrównał się z Knurem. Enyo i Bellona machały mieczami, rozcinając i obalając kolejnych napastników, którzy zderzając się z ziemią, gubili pochodnie. Tanner wykonywała slalom śmierci, tratując i uderzając kolejnych ludzi Xamdama. Najskuteczniejszy pozostawał jednak Jednoręki Bill, z zabójczą precyzją eliminujący swoje cele jak zaprogramowana maszyna do zabijania.

– Idioci, ściągają na nas Cienie. – Fatboy podniósł głos, widząc w lusterku ognistą burzę.

Styx nie usłyszał ani słowa przez muzykę, warkot silników, krzyki umierających oraz odgłosy strzałów. Kiedy spojrział przez okno, jego przestraszony wzrok napotkał na figurę karła ze strzelbą. Postać już wycelowała prosto w twarz hakera, gdy przed motocyklem zmaterializowała się niewyraźna, mroczna sylwetka. Xamdam pochylił się i ją musnął, pędząc dalej. Ogniste mózgi rzuciły jasne światło i cienista sylwetka natychmiast się rozplynęła.

– Cienie – wyszeptał Styx i mimowolnie wyłączył muzykę.

Gdy spoglądało się z góry na czarny, sunący przez pustynię prostokąt otoczony rozpędzoną falą płomieni, można było dostrzec, że zbliża się coś jeszcze: poskręcane kształty wylaniające się z mroku, niepostrzeżenie formujące się z tyłu. To coś zaczęło pożerać ludzi Xamdama, ciągnących się na samym końcu. Kolejne pochodnie gasły, jakby przykryte próżniowym płaszczem. Sam przywódca jeszcze tego nie zauważył, ale najemnicy jeepa już wiedzieli, co się dzieje.

– Cienie! – krzyknął Fork, mierząc za plecami ludzi Xamdama elektrycznym pistoletem.

Ostrza wojowniczek świeciły już bardzo jasno, ukazując ich spocone, ochlapane krwią twarze, które wpatrywały się w sunące po piasku, pojawiające się i znikające, połączone nierozzerwalnie z mrokiem istoty. Kobieta w worku na głowie wrzeszczała, machając małym nożem, kiedy dwa Cienie oplatały jej brzuch, zatapiając niemal namacalne, bezkształtne kończyny w ciele. Kolejny wpłynął do jej głowy z tyłu, co spowodowało, że bandytka zamilkła z ustami rozwartymi pod płóciennym workiem i puściła kierownicę motoru. Maszyna straciła równowagę i poleciała do przodu. Zanim jednak roztrzaskała się o podłoże, mniejszy cień, przypominający dziecko, zdmuchnęła dwie pochodnie, pochłaniając ich światło.

Knur i motocykl Xamdama ciągle pędziły ramię w ramię na samym początku chaotycznej formacji.

– Jak masz jakąś broń, mały, to teraz jest dobra pora, żeby jej użyć – oznajmił Fatboy.

– Nie mam. Komputer to moja broń – odparł Styx.

– Zgaduję, że twój komputer nie wywołuje gigantycznej eksplozji, kiedy ktoś rzuci nim w przeciwnika?

– Nie...

– Tak myślałem. – Fatboy pokręcił głową, po czym sięgnął pod siedzenie i wyjął elektryczną strzelbę. Ze zważaniem podał ją hackerowi. – Uważaj, bo to nie jest zwykła broń – tłumaczył. – Kiedy będziesz strzelał, zrobi się bardzo gorąca, więc staraj się ją trzymać za te szmatki i za nic w świecie jej nie puszczaj. Dawka prądu, którą wydziela, jest zabójcza dla Cieni, niemniej jeśli trafisz w tamtych idiotów, oni również źle skończą. – Kierowca wcisnął strzelbę Styxowi, który omal nie upuścił komputera. – Rozwal ich wszystkich.

Miecze wojowniczek trafiały w pojedyncze istoty, które docierały do jeepa, i rozpraszały je w ciemności. Kiedy Cień umierał, człowiek słyszał nieznaczny szum, który przypominał cichy, zduszony płacz. Jednoręki Bill jednym palcem płynnie zmieniał tryb w rewolwerze i falami zdejmował Cienie oraz ludzi, nie robiąc różnicy między jednymi a drugimi. Wszyscy byli dla niego tylko celami do eliminacji.

Styx nieporadnie wysyłał jasne impulsy elektryczne, przed którymi Xamdam łatwo się uchylał. Russell przygotował się do kolejnego strzału, a z pudełka wciśniętego pod kierownicą zabrzmiał skrzeczący odgłos:

– Już po tobie, pluskwo!

Boski prawnik nie zdążył jednak zaatakować. Z mroku za jego plecami wybiegł duży, ponaddwumetrowy, przygarbiony kształt i zakrył jego małe ciało w całości. Ze skrzyneczki dobiegł zdławiony bulgot kogoś, kto nagle tracił zmysły, a ciężki obrzyn spadł obok pojazdu.

Bezwładna skorupa Russella Pliskena, zanurzona w cienistej istocie, pociągnęła Xamdama za szyję. Jego motocykl zwolnił i oddalił się od Knura. Przywódca w płóciennym worku i koronie zawył potępieńczo, widząc i czując, jak jego mówca bezwładnie spada z motoru, a łańcuch się napina. Utrzymał jednak równowagę, złapał za ciągnący do dołu łańcuch i wciągnął Pliskena z powrotem na motor, po czym wrzasnął raz jeszcze, co zwróciło uwagę jego ludzi, którzy rozjeżdżali się na boki, aby uciec Cieniom. Słyszając szefa, bandyci jeden po drugim porzucili pochodnie i zebrali się w grupkę. Xamdam odbił na bok a jego horda przyspieszyła, oddalając się od konwoju. Po chwili zniknęli z pola widzenia.

Niewielka ilość Cieni pomknęła za nimi, ale znaczna większość pozostała przy konwoju. Fatboy wyłączył przednie światła. Ciężarówka i jeep sunęły przez pustynię w kompletnych

ciemnościach. Obraz przypominał lokomotywę, która wypadła z torów i rznąła ziemię, ciągnąc za sobą kotłujące się wagony. Cienie migały i dygotały, unosząc się nad ziemią. Część zdawała się nieudolnie biec, a część poruszała się w nienaturalnym tańcu. Pojedyncze, poszarpane postacie zbliżyły się do jeepa i od razu rozpadały się trafione elektrycznym impulsem. Żaden z najemników dawno nie widział takiej ilości stworzeń mroku naraz. Gdyby cmentarz eksplodował w środku nocy, tak wyglądałaby fala wyplutych z jego wnętrza duchów. Ciężko było naliczyć, ile istot kryje się z tyłu. Fatboy kurczowo dociskał gaz, a Styx upuścił strzelbę i spoconymi rękami przytulał komputer.

– Chyba odpuszczają! – zawołała Enyo, widząc, jak kolejne Cienie nagle się zatrzymują, wpadają na siebie, przewracają, a w końcu pozostają w tyle, w mroku.

– To dziwne – odezwała się zaniepokojona Tanner. – Cienie tak po prostu nie odpuszczają.

Po chwili jednak powodujący gęsią skórkę szelest i przytłumiony mechaniczny płacz ustały, a czarny świat za konwojem stał się jednolity i spokojny. Wszystkie Cienie zniknęły. Fork miał wrażenie, że w oddali widzi, jak porusza się coś wielkiego, coś na kształt góry, ale po chwili tylko zmarszczył czoło, sam sobie nie dowierzając.

Ludzie w Świecie Mroku nauczyli się nie ufać temu, co widzą. W ciemności wszystko było zwodnicze. Każdy nikły ruch w oddali mógł równie dobrze oznaczać aktywowanego niewyjaśnionymi przyczynami sexroboty GfVVAx867, gotowego odciąć ci wszystkie kończyny w szale poszarpanego oprogramowania, a także zatrważającego ducha w postaci Cienia, przynoszącego zagładę umysłu, lub kawałek odkruszonego kamienia bądź foliową siatkę, która nie zdążyła się rozłożyć w niebycie czasu.

01101100 01101111 01100001 01100100 01101001 01101110
01100111

Zapanowała cisza i spokój, a otaczający mrok ponownie opatulił pędzący konwój, stając się fałszywym kokonem bezpieczeństwa. Mimo to Fatboy nie włączał przednich świateł w obawie przed Cieniami. Knur mknął przez pustynię na oślep.

– Mieliśmy sporo szczęścia, nie wiedzieć czemu – zaśmiał się kierowca, przerywając milczenie.

– Na to wygląda – odparł pod nosem Styx, który niespostrzeżenie znowu zaczął stukać w klawiaturę.

– Mam nadzieję, że sprawdzasz tam, gdzie mamy się teraz kierować. Nie uśmiecha mi się jechanie przed siebie bez celu – dodał Fatboy.

– Cały czas jestem w kontakcie z szefem. Jest moim znajomym trzeciego kręgu na MIndcomie. Piszemy do siebie – tłumaczył haker, nie odrywając się od ekranu.

– Bardzo interesujące... Ale kiedy będę wiedział, dokąd jechać?

– Cierpliwości, kierowco...

Styx niczym zręczny pianista przy pomocy klawiszy przeleciał przez strumień do przejrzystego komunikatora. Na górze widniało zdjęcie przystojnego człowieka w długich, kasztanowych włosach, spiętych z tyłu głowy w kok. Mężczyzna miał gęstą, ale zadbaną brodę oraz spokojne, duże, brązowe oczy i nosił jasną koszulę. Epatowała od tego obrazu wielkość, przez którą przedzierało się jednak wrażenie oszustwa, niczym naderwany tynk i wystający spod niego obskurny beton. Postać pozostawała w bezruchu, a obok materializowały się chmurki tekstu. Szef całej operacji, Francis Pipiliarodou, jak nazwał go wcześniej haker Styx, rozpoczął dialog:

Francis Pipiliarodou: Wszystko idzie zgodnie z planem?

Styx: Jak najbardziej, szefie.

Francis Pipiliarodou: Kierowca i ekipa robią, co do nich należy?

Styx: Na razie nie mam żadnych zastrzeżeń, szefie. Znalazłem genialny livevid o kocie z głową mechanicznego strusia. Jest przeżabawny.

Francis Pipiliarodou: Podesłaj link, to pośmiejemy się razem ze Starlightem. Ostatnio nie mam czasu na podróże po strumieniu. Kończymy budowę. Myślę, że zdążymy akurat do waszego przyjazdu.

Styx: Nie wątpię, że operacja zakończy się wielkim sukcesem.

Haker wystukał odpowiedź, parsknął pod nosem i przesłał metalink do livevida o mechastruśkocie walącym podniebną kosiarką w biurowiec hiperkarłów na Orbicie 3453.

Francis Pipiliarodou: To wszystko, bo praca czeka?

Chmurka z pytaniem zafalowała pod sylwetką, która mignęła, jakby połączenie internetowe osłabło. Styx zmarszczył brwi, przyglądając się uważnie szefowi. Miał wrażenie, że dotąd nieruchoma twarz zaczęła się uśmiechać.

Styx: Nie. Piszę w innej sprawie...

Haker przejechał chudymi palcami po klawiaturze i ze zdumieniem przeczytał, co napisał.

Styx: Chodzi o kiepaka...

Francis Pipiliarodou: O co?

Następna chmurka tekstu zafalowała niepewnie.

– Kierunek, kurwa – zaklął Styx.

Równocześnie z głośników Knura dobiegł przerywany szum, który zamieniał się w muzykę. Haker przeleciał palcami po klawiaturze.

Styx: Kierwunak.

– Co jest? – zdziwił się, unosząc rękę.

– Miałeś się dowiedzieć, dokąd mamy jechać, a nie majstrować przy moim odtwarzaczu – westchnął Fatboy, słuchając analogowych dźwięków.

– Próbuję.

Francis Pipiliarodou: Aphex Twin – Lisbon Acid

Styx: ...

– Nic nie rozumiem. – Haker zmrużył z niedowierzaniem oczy, gdy sylwetka jego szefa znikła, pojawiła się ponownie i uniosła rękę.

Francis Pipiliarodou poruszył się jak nigdy wcześniej. Muzyka nieco przycichła.

Francis Pipiliarodou: Zaraz mnie usłyszycie, więc proszę, Styx, nie zesraj się naszemu kierowcy na fotel.

Styx tępo spojrział na Fatboya, który nie widział, co się dzieje na ekranie komputera. Na utwór współgrający z otaczającą, ruchomą ciemnością nałożył się metaliczny, głęboki, cybernetyczny głos.

– Witajcie. – Puste słowo wybrzmiało w kabinie Knura.

– Co to jest? – zapytał kierowca.

– Nie co, ale kto. – Głos się zmieniał i stawał się coraz bardziej ludzki. – Twój pracodawca. – W końcu przemówił spokojny, ale nieco zdystansowany mężczyzna w średnim wieku.

– Styx nie wspominał, że możesz przenikać moją ciężarówkę. – Fatboy rozejrzał się po kabinie.

– Spokojnie, tylko moje słowa są w twojej ciężarówce. Ja siedzę sobie w bazie, sącząc brązowy napój i patrząc, jak dźwig mojej konstrukcji przenosi kolejny element schodów do zbawienia.

– Szefie! Szefie, słyszysz mnie? – krzyknął Styx.

– Bardzo dobrze cię słyszę, Styx. Tak swoją drogą, ten livevid jest przeżabawny. Już go przesłałem do źródła swojego profilu. – Z głośników dobiegł zdawkowy, ale szczery śmiech, który nie wiedzieć czemu powodował ciarki na plecach.

– Dzięki, szefie. – Haker wyszczerzył zęby. – Sam go znalazłem.

– Takie poczucie humoru się chwali, przyjacielu. Wrózę ci wielką przyszłość w Internecie. – *Lisbon Acid* leciał w tle, a Styx się szczerzył, szczęśliwy z pochwały.

– Kogo to, kurwa, obchodzi? – zaklął Fatboy. – Dokąd mamy jechać?

– Spokojnie, panie nerwowo. – Styx podniósł głos. – Szef przemówił przez łącze.

– Nie szkodzi, Styx – odparł Francis spokojnym głosem. – Kierowca jeszcze do mnie przywyknie. Będziemy mieli czas, żeby sobie porozmawiać.

– Nie należę do rozmownych. – Skrzywił się Frank. – Możesz po prostu powiedzieć, gdzie mam się kierować z tą twoją kupą złomu?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, a Styx pokręcił głową.

– Oko – odezwał się niespodziewanie Francis. – Wiesz, gdzie jest Oko, kierowco?

– Tak.

– Musicie przejechać przez Oko i kontynuować na wprost, a traficie do mnie – wyjaśnił, a muzyka wpasowywała się w wyrachowaną odpowiedź dochodzącą z komputera.

– I oto chodziło. Muszę przedtem zboczyć trochę z drogi, do Baru 62. Knur jest głodny, a o pustym brzuchu daleko nie zajędzie.

– Rozumiem. – SzeF łagodnie się uśmiechnął do Styxa na brudnym monitorze. – Nakarm swoją bestię i ruszaj w drogę. Z niecierpliwością czekam na nasze spotkanie.

```
01100011 01110010 01100101 01100001 01110100 01101001
01101110 01100111 00100000 01110100 01101000 01100101
00100000 01101100 01101111 01101111 01110000 00100000
01100011 01110010 01100101 01100001 01110100 01101001
01101110 01100111 00100000 01110100 01101000 01100101
00100000 01101100 01101111 01101111 01110000 00100000
01100011 01110010 01100101 01100001 01110100 01101001
01101110 01100111 00100000 01110100 01101000 01100101
00100000 01101100 01101111 01101111 01110000
```

Tanner stała przy otwartej kabinie Knura, obserwując, jak Fork i człowiek Traxa, Vic, tankują potężny pojazd za pomocą grubej rury. Jej jeep miał zapas benzyny. Obie maszyny znajdowały się na sześćdziesiątym drugim piętrze, na obszernym parkingu zavalonym różnego rodzaju licznymi wrakami pojazdów. Po jednej stronie, gdzieś daleko, zza bezkształtnych kup złomu oplecionych mrokiem przedzierało się nagle światło Elektrycznej Pustki. Z tyłu znajdowała się jedyna droga dostępu na parking – gigantyczna rura przesyłowa wiodąca bezpośrednio z sześćdziesiątego drugiego piętra na jałową pustynię ciemności.

– Jest to tak proste, że aż niesamowite, mała, mówię ci. – Podekscytowany Styx obrócił ekran komputera w stronę Tanner i tłumaczył jej, jak może w jednej chwili przyzwać przepelniające ciało dźwięki.

– Na razie nie jestem pod wrażeniem. – Tanner żałowała, że opuściła jeepa.

Fork i Vic krzętałi się przy baku ciężarówki.

– Ja już czuję podniecenie rozsadzające mnie od środka. – Styx wyszczerzył brudne zęby widoczne w nienaturalnym świetle

ekranu i stukał w klawiaturę. – Gruby i reszta pewnie przez chwilę jeszcze nie wróca. Wskakuj tu do mnie, zabawimy się szybko. To będzie seks twojego życia. Nie jesteś w stanie pojąć mojej wiedzy w tym temacie. Przejrzałem niezliczone kroniki erotyczne, pornobaśnie, o których nikt nawet nie śnił w tym ponurym świecie.

– Nie jestem zainteresowana, mały dziwaku. – Tanner złapała za podręczny pistolet zawieszony na pasku. – Obawiam się, że nie widziałeś i nie jesteś w stanie pojąć, co może spotkać człowieka w mroku. Ale zaczekaj, na pewno się dowiesz.

Z innej części pomieszczenia dobiegły odgłosy strzałów. Tanner odwróciła się gwałtownie plecami do Styxa.

– Pierdolenie. – Haker nawet nie zwrócił uwagi na dźwięk zwiastujący pewne kłopoty. – A co powiesz na to?

Kursor na monitorze zatrzymał się na Soundspherze z pulsującym napisem „AFX – *Nightmail*”. Statyczna muzyka rozbrzmiała głośno z odtwarzacza w ciężarówce, rozpędzając się i zagłuszając wszystko inne. Tanner machnęła do Forka i szybkim krokiem ruszyła do jeepa. Najemnik spojrzał w głąb ciemnej hali.

– Zaczekaj! – zawołał zawiedziony haker. – Wczuj się w rytm!

Poza muzyką rozległ się stłumiony stukot przypominający wystrzały, który dobiegał nawet do zajętych uszu Styxa. Haker wlepił wzrok w miejsce, z którego dochodziły strzały. Obok kabiny przebiegł Fork z wyciągniętymi pistoletami. Vic odciągał rurę od pojazdu.

Nagle rozległ się hałas otwieranych drzwi i coś ruchomego zaczęło zbliżać się do Knura. Styx, oślepiiony światłem ekranu, dopiero po chwili rozpoznał ludzkie sylwetki. Pierwszy biegł szeroki mężczyzna ze strzelbą w rękach, wymijając zgrabnie kolejne wraki pojazdów z odległej nierealnej przeszłości. Za nim trochę wolniej podążała dziwna krzyżowa sylwetka, która dopiero po chwili objawiła się jako kobieta niosąca swoją towarzyszkę na

rękach. Na końcu podązał zabójca bez ręki, co jakiś czas odwracając się i oddając strzały z elektrycznej broni.

Poskręcane wiązki światła mknęły przez parking z sykiem, aż wreszcie rozbijały się o coś goniącego załogę konwoju. Spowite mrokiem kształty przypominające ludzi przelewały się przez hale niczym cybernetyczne zombie. Pojedyncze, postrzępione istoty wyrwały się do przodu, po czym znikwały, rozproszone wiązką światła.

Styx zatrzasnęła szybko drzwi ciężarówki i poczuł, jak oblewa go zimny pot.

– Wszystko będzie dobrze. – Głos szefa dobiegł z odtwarzacza, przebijając się przez dźwięki muzyki.

W tym samym momencie do kabiny wskoczył Fatboy.

– Łap i rozwał skurwysynów. Tak jak wcześniej. – Rzucił elektryczną strzelbę na klawiaturę komputera.

Silnik Knura zaryczał jak wściekły, zmutowany potwór. Fork strzelał iskrami niczym niezabezpieczony słup wysokiego napięcia podczas burzy, kiedy Enyo wskoczyła z ranną Belloną na tylne siedzenie samochodu. Tanner odpaliła silnik, a Fork dołączył do reszty. Jednoręki Bill, nieustannie strzelając, rzucił się na drzwi, kiedy Jeep był już w ruchu, po czym wcisnął się do środka.

Knur wyminął mały pojazd z najemnikami i popędził przez parking, rozrzucając kolejne wraki. Vic, człowiek barmana Traxa, widząc, co się dzieje, porzucił rurę, która uderzyła o podłoże, wypływając z siebie rozrastające się jezioro benzyny. Mężczyzna pobiegł w poprzek pomieszczenia, aż dotarł do krawędzi.

Ciężarówka musiała zatoczyć duże koło, żeby trafić w otwór rury na skraju wieżowca. Ciężki taran okrążył parking, rozsypując wokół trzeszczący złom.

– Strzelaj, strzelaj! – krzyczał kierowca, kiedy pojazd zakręcał wzdłuż ściany istot mroku.

Komputer hakera spadł pod nogi, a utwór dobiegający z głośników zapętlił się, zaczynał i kończył w różnych momentach. Styx wystawił strzelbę przez okno po stronie Fatboya i posłał kulę iskier w tłum Cieni. Pozlepiane kształty lekko się odsunęły, a kilka z nich rozplynęło się z cichym jękiem. Kierowca z całej siły przekręcił kierownicę, a jego potwór z trudem zataczał szerokie koło. Cienie goniły za jeepem, który zrównał się z ciężarówką i zaczął ją wyprzedzać.

Vic stał na krawędzi sześćdziesiątego drugiego piętra, a mroczne postacie się zbliżały. Czuł przerażenie, ale nie chciał skakać. Bał się śmierci i bólu bardziej niż pochłonięcia przez ciemność. Słyszał ryk silnika, ale nie widział pojazdu, ponieważ parking zasłaniały mu piętrzące się istoty.

Vic rozłożył ręce, gotowy na spotkanie z Cieniami, kiedy sylwetki rozproszyła wiązka elektryczności. Z ciemności wyskoczyła metalowa bestia, która skręciła tuż przed krawędzią. Zaskoczony Vic się zachwiał, jego oczy pozbawione źrenic rozwarły się w przerażeniu, nogi straciły równowagę i poleciały w otchłań ku spotkaniu z brutalnym losem.

Fatboy z dużym wysiłkiem wyprostował kierownicę, widząc zarys wielkiej obręczy po drugiej stronie parkingu. Knur przypominający pocisk poleciał prosto w jej stronę i wpadł do rury jak atomowe metro opuszczające stację w sonicznym tunelu. Tanner pojechała tuż za nim. W ostatnim momencie krwistoczerwone oko Billa nakierowało niezawodną rękę na rozlaną benzynę. Strzelec momentalnie przełączył tryb w swoim rewolwerze i posłał pocisk w czarną kałużę, pogrążoną w ciemności wypełnionej Cieniami. Słup ognia, konkurencyjny demon w piekle, wyrósł pośrodku parkingu, pożerając Cienie. Część rozedrganych istot starała się uciekać, inne wyleciały przez okiennice niczym niedopałki z ogniska.

Konwój sunął wyboistym tunelem, rozpędzając się poza granice możliwości silników. Pomimo eksplozji grupa Cieni kontynuowała pościg. Ciemność naokoło stała się rozmazaną plamą atramentu. Fatboy dociskał gaz, a napięcie na jego twarzy stopniowo ewoluowało w uśmiech. Zmienił się także utwór, a na ekranie pod nogami Styxa wyświetlił się napis: „Minor Threat – I don't wanna hear it”. Punkowa piosenka zgrała się z szalonym grymasem kierowcy. Frank zaśmiał się obłąkańczo i wydawało się, że Knur śmiał się razem z nim. Obok pędził jeep, z którego tryskały wiązki elektryczności.

Na sześćdziesiątym drugim piętrze ktoś właśnie potężnie się zesrał, zdążył spuścić wodę, zanim sedes eksplodował, a cały cuchnący ładunek został ekspresowo wysłany do piekielnego ścieku, zatęchłym tunelem śmierci.

01100011 01110010 01100101 01100001 01110100 01101001
01101110 01100111 00100000 01110100 01101000 01100101
00100000 01101110 01101111 01101111 01110011 01100101

Oba pojazdy wypadły na pustynię z wylotu rury. W całkowitej ciemności można było dostrzec jedynie gwałtowny ruch dwóch rozpędzonych obiektów oraz ciemną masę sunącą za nimi.

– Część musiała zginąć na górze! – krzyknęła Tanner, nie spuszczając nogi z gazu.

Nagle Cienie zwolniły jak po starciu z hordą Xamdama. Rozproszone postacie zatrzymały się i stanęły wokół olbrzymiego reliktu przeszłości, niczym drobne pasożyty przy pysku pokonanego kolosalnego węża.

Bill przeskanował przestrzeń, oceniając, że istoty znów z jakiegoś nieznanego powodu dały za wygraną. Sylwetki kołysały się otepiałe w miejscu, a wysoko nad ich głowami płonęło sześćdziesiąte drugie piętro. Zabójca nie spuszczał oka z celu, aż odległość okazała się bezpieczna.

– W życiu nie widziałem tyle ognia. – Muzyka ucichła, a Styx wyjrzał z okna, wpatrując się w płonący wieżowiec.

– Trax był dobrym gościem. Mogliśmy tego uniknąć – wymamrotał Fatboy, wyciągając z kieszeni zmiętą paczkę papierosów, którą zdążył zabrać z baru. – Co to była za banda skurwieli? Co się stało z dyskrecją? Jak na razie wszyscy zdają się wiedzieć, gdzie nas znaleźć, i prawdopodobnie, że warto nas obrabować.

– Nie dało się tego uniknąć, kierowco – zabrzmiał w kabinie spokojny głos Francisa. – Ten transport jest jak magnes na kłopoty.

– To po co twój człowiek zalecał dyskrecję?! – wrzasnął kierowca w stronę urzędnika na ziemi.

– Julian Starlight zapewne uważał, że uda się uniknąć przyciągnięcia niechcianej uwagi. Teraz już wiemy, że nie. – Styx słyszał szefa ale nie mógł przestać wpatrywać się w roztańczone płomienie, które urządziły sobie dziką imprezę w szczątkach Baru 62.

– Niebawem dowiemy się, co lub kogo jeszcze potrafi przyciągnąć moje cudowne urządzenie, które spokojnie spoczywa za waszymi plecami. – Fatboy czuł z tyłu powolne, miarowe pulsowanie energii elektrycznej.

Niespodziewanie wielki pożar zgasł w mgnieniu oka, jakby ktoś zdmuchnął go od niechcienia niczym błahą świeczkę, pogrążając wieżowiec z powrotem w nieprzeżytym mroku.

```
01110000 01110101 01110100 01110100 01101001 01101110
01100111 00100000 01101111 01101110 00100000 01110100
01101000 01100101 00100000 01101100 01101111 01101111
01110000
```

Konwój zmierzał szybko w stronę Oka. W oddali wielka konstrukcja przecinała elektryczny horyzont w dwóch miejscach. Styx podniósł komputer i uważnie przyjrzał się temu, czy ekran

jest w całości. Za podświetlonym szkłem Francis Pipiliarodou siedział na jednej z chmurek tekstowych, kołysząc się w przód i w tył.

– Ciągłe tam jest? – zapytał hakera Fatboy.

– Jestem, jestem – rozbrzmiała odpowiedź w kabinie.

Styx obserwował, jak jego szef zeskakuje z tekstu, spada, obraz się porusza, a mężczyzna ląduje w sterylnym białym biurze z akrylowym obrazem wielkiego pomidora na ścianie za plecami. Francis usiadł za szklanym biurkiem, na którym stał przenośny komputer, identyczny jak ten Styxa, po czym wstukał coś na klawiaturze: „Capitan Beefheart – Electricity”.

Napis ukazał się nad głową uśmiechniętego szefa, po czym wyparował. Z głośników zabrzmiał ochryply głos i poleciała muzyka. Haker był pod ogromnym wrażeniem tego, co robi jego ukochany szef. Ze zdumieniem i podziwem wpatrywał się w człowieka na ekranie.

– Wydaje mi się, czy nie przejmujesz się tym, że coś może zagrażać twojej drogocennej maszynie? – zapytał Fatboy.

– Bardzo się przejmuję. Ciekawym zjawiskiem pozostaje jednak wpływ, jaki moja maszyna ma na otoczenie.

– To świetnie, mnie to jednak wcale nie interesuje. A ciebie, mały?

– Bardzo mnie interesuje. – Styx pokiwał głową, wpatrując się w mężczyznę na ekranie.

Fatboy westchnął zrezygnowany.

– O ile wiem, ty rozjeżdżasz problemy, prawda, kierowco? – zapytał Francis.

– Tak, w ostateczności, kiedy pchają się pod koła. Łatwiej jest ich jednak unikać.

– Jestem pewny, że poradzisz sobie z tym, co ma nadejść. Kiedy miniecie Oko, będziecie już bardzo blisko mojego domu. A tam,

przyjacielu, czeka na ciebie nagroda, o jakiej nie marzyłeś. – Francis oparł się wygodnie i położył nogi na biurku.

– Nie obchodzi mnie przyszłość. Zabieram nagrodę, o której wiem, i mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy.

– Na mnie też czeka nagroda, szefie? W świecie przyszłości? – wtrącił się Styx.

– Przyszłości? – zaśmiał się Francis. – Przyszłość jest teraz, przyjacielu, ukryta za oknem, przez które na mnie patrzysz. Ja jestem w stanie ukazać ci drzwi.

– Nie rozumiem – westchnął zaintrygowany haker. – To część planu?

– Plan uległ gruntownej zmianie, Styx. Nie zauważyłeś, co potrafię zrobić.

Francis gwałtownie wstał i odsunął krzesło pod białą ścianę. Następnie wskoczył na szklany blat i kopnął komputer, który spadł i roztrzaskał się na ziemi. Piosenka w kabinie Knura nabierała tempa, a mężczyzna rozpuścił kasztanowe włosy, które sięgały mu prawie do pasa, po czym zaczął tańczyć, a szklany stół pękał pod uderzeniami jego skórzanych pantofli.

– Co on odpierdala? – zapytał Fatboy, nie widząc ekranu komputera.

– Tańczy – odparł kompletnie zaskoczony Styx.

Szkló pękło, a Francis zwinnie, z obrotem w powietrzu, zeskokczył na białą posadzkę. Muzyka powoli cichła, zamieniając się w wycie.

– Kiedy się spotkamy, zatańczymy razem – uśmiechnął się szef operacji. – Przebijcie się przez Oko, dotrzyjcie do mózgu. Lobotomia to najlepsza i jedyna droga. Będę czekał.

Olbrzymi okrąg wbity w powierzchnię pustyni stawał się coraz bardziej widoczny dla oswojonych z mrokiem spojrzeń. Ślepe Oko złowrogo łypało na zbliżający się z pełną prędkością konwój.

Xamdani stał na swoim motocyklu na krawędzi jednego z półokrągłych przęseł budowli razem z resztkami swojej hordy. Przywódca bandytów, zgodnie z legendą o starożytnych prawnikach z kancelarii Złe Mózgi i Fleischman, spalił szczątki Russella Pliskena w niebiańskim ogniu. Przedtem wyjął jednak mózg z jego małej czaszki i zatknął na pręcie, z tyłu swojego motoru. Kiedy zauważył nadciągające pojazdy, przypomniał sobie, co stało się z jego boskim mówcą, a puste oczy za płóciennym workiem zaszklily od łez wściekłości.

01110000 01110101 01110100 01110100 01101001 01101110
01100111 00100000 01101111 01101110 00100000 01110100
01101000 01100101 00100000 01101110 01101111 01101111
01110011 01100101

Konwój zmierzał szybko w stronę Oka. W oddali wielka konstrukcja przecinała elektryczny horyzont w dwóch miejscach. Tanner starała się trzymać zaraz za Knurem, zostawiając z tyłu pograżone w ciemności szczątki Baru 62. Za plecami kierowcy Bellona zwijała się z bólu, przytulana przez ukochaną. Fork wciśnięty pod okno bezradnie spoglądał na kobiety.

– Nie podoba mi się zachowanie Cieni – oznajmił Bill, skanując swój rewolwer, po czym spojrzał na ranną. – Żle z nią?

– Dostała w brzuch i mocno krwawi – wrzasnęła Enyo. Jedną ręką ścisnęła partnerkę w talii, drugą gładziła ją po jasnych włosach, jednocześnie zabarwiając je świeżą krwią. – Wszystko będzie dobrze, kochanie.

– Wiem, że nie. Nie jestem głupia – zaśmiała się gardłowo Bellona. – Po prostu trzymaj mnie mocno. Oprócz zapachu krwi i kurewskiego bólu chcę przed śmiercią czuć twój dotyk.

– Odsłoń jej brzuch. – Jednoreki Bill schował broń i wychylił się w stronę kobiet, rzucając na ich ciała nikłe czerwone światło. – Może będę w stanie pomóc.

Fork w milczeniu obserwował sytuację odpychany nogami Bellony. Enyo odsunęła dłonie, uważnie obserwując czerwone oko, które z bliska zdawało się żyć własnym życiem.

Jednoręki Bill nakierował urządzenie kręcące się w jego czaszce na rozszarpane ciało kobiety, ukryte pod strzępami skórzanej kamizelki. Zabójca nie znalazł się na leczeniu, jednak już nie raz przy pomocy oka poskładał się sam do kupy. Przez pryzmat czerwieni dostrzegł, w którym miejscu Bellona doznała największych obrażeń, następnie wyciągnął ostrze z paska i rozciął poszarpane ubranie. Oko rozjarzyło się, jakby zamknięta w nim krew zaczęła się gotować. Bill zanurzył się w ranie dziewczyny i przez chwilę pływał w zalanych krwią organach jak wytrawny nurek. Następnie zamienił ostrze na poręczne metalowe urządzenie z dwoma zaciskami na końcu.

– Nie jest dobrze – stwierdził. – Prawdę mówiąc, jeśli w najbliższym czasie nie dotrzemy gdzieś, gdzie ją załatają, to już po niej.

– Kurwa – zakląła Enyo.

– Mam tu coś, co da jej więcej czasu. – Bill uniósł urządzenie nad rozerwaną skórę. – To zamknie ranę i wstrzyknie do ciała substancję opóźniającą rozkład uszkodzonego mięsa. Pożyjesz chwilę dłużej, lepiej tego nie wyjaśnię – tłumaczył Bill, widząc niezrozumienie i strach na twarzach kobiet.

– Dobrze, że ktoś wszczepił ci to coś, zabójco. Twoje oko ma chyba osobny umysł – rzuciła z przodu Tanner.

– Nie będzie bolało. – Mechaniczne spojrzenie zawisło na ranie, a ludzkie oko Billa napotkało na ukryte w ciemności przerażone oczy Bellony. – Urządzenie również znieczula. Małe ukłucie to wszystko, co poczujesz.

Zaciski zakończone dużą liczbą małych igiełek wbiły się w skórę Bellony, powoli zamykając ranę. Ciało złączyło się niczym ludzkie wargi, a skóra naokoło posiniała, choć w ciemności nikt

tego nie zauważył. Zacisk się otworzył, a Bill zabrał urządzenie, po czym usiadł przodem do kierunku jazdy. Bellona odetchnęła z ulgą.

– Nic nie czuję. – Spojrzała na trzymającą ją partnerkę

– Tak to działa – odparł Bill. – Niestety, to nie pomoże na długo.

– Tanner, skontaktuj się z ciężarówką. Niech powiedzą, ile jeszcze do celu. – Enyo wycierała krew z zaklejonej rany.

Kierowca sięgnęła po krótkofalówkę schowaną przy fotelu i zapytała:

– Robimy lobotomię – Z małego głośniczka dobiegł niewyraźny głos hakera.

Najemnicy popatrzyli po sobie zdziwieni.

– Co?! – zawołała Enyo. – Zabiję tego pokurcza, jak się zatrzymamy.

– Powtórz, Styx. – Tanner uniosła krótkofalówkę.

– Przebijamy się przez Oko. Spójrzcie za okna, ślepcy – odpowiedział szumiący głos ze słyszalną pogardą. – Następny przystanek: mózg. Jesteśmy bardzo blisko.

Najemnicy spojrzeli na zewnątrz. Tanner i Fork dostrzegli potężny zarys gigantycznej obręczy białej w powierzchnię ziemi.

– Co on powiedział? – Bellona jęknęła przy próbie wyprostowania się.

– Jesteśmy blisko, kochanie – odparła krótko Enyo, próbując dojrzeć zarys konstrukcji Oka. W oddali nieprzerwanie jarzyła się Elektryczna Pustka.

Konwój wjeżdżał w relikw przeszłości jak dwie małe, czarne myszy, które nieświadomie i niezauważenie przebiegają przez pułapkę na monstrialnej wielkości zmutowane szczury. Przekraczali bramę z uczuciem niepokoju, w ciszy. Zwisające nad ich głowami masywne przesła ponuro zlepiły się z czarnym niebem, jednak pozostawały widoczne. Łuki łagodnie schodziły do ziemi. Oko Billa uważnie lustrowało budowle, ukazując

niezrozumiałe dla zabójcy rzędy numerów i słowa, których nie rozumiał. Nagle jego uwagę przykuł gwałtowny ruch u podstawy. Wiele małych obiektów zjeżdżało z łuku wprost na konwój.

– Mamy towarzystwo! – zawołał Bill, a przy szybko poruszających się napastnikach wybuchły liczne pochodnie.

– Czy to nie ci sami, co wcześniej? – zapytała Tanner, widząc płomienie.

– Na to wygląda – odparł zabójca i wystawił rewolwer za okno.

Chmara bandytów, horda Złych Mózgów, pędziła na konwój, który już wyjeżdżał z Oka. Duża grupa motocykli, rój rozwścieczonych owadów, skręcała, aby dopaść swój cel. Prowadził Xamdam – przywódca w płóciennym worku i kolczastej, żelaznej koronie. Z pudełeczka pod kierownicą jego motoru wydobył się nieartykułowany wrzask przepełniony bezradnością i nieopisaną tęsknotą za słowami, którymi potrafił władać jedynie Russell Plisken.

Jednoręki Bill przy pomocy czerwonego oka namierzył lidera i wystrzelił pierwszy pocisk. Kula pomknęła przez mrok bezszelestnie i trafiła Xamdama między oczy. Król odleciał do tyłu, przewracając pochodnie z płonącym mózgiem boskiego prawnika. Jego pojazd zarył o ziemię, przekoziołkował i uderzył w innego bandytę. Reszta w szale nawet tego nie zauważyła. Bezmyślna masa, nadzy ludzie mroku w workach, przeładowani ideologią wpojoną przez Russella Pliskena kontynuowali atak, rzucając się za konwojem.

Człowiek siedzący na szczycie Oka miałby doskonały widok na oddalające się w stronę Elektrycznej Pustki dwa czarne punkty i pędzące za nimi płomienie. Gdyby był uważny, mógłby również zauważyć nienaturalne, ruchome podłoże piętrzące się niedaleko szaleńczej pogoni.

Najemnicy ponowili ostrzał, ale napastników zdawało się być znacznie więcej niż wcześniej. Xamdam prawdopodobnie zebrał

wszystkich poddanych, aby dokonać zemsty. Jak zwykle niezawodny Bill eliminował bandytów z systematyczną precyzją, Fork trafiał co drugiego, a Styx co dziesiątego, waląc ze strzelby Fatboya. Enyo mogła jedynie ścisnąć Bellonę i zasłaniać ją ciałem. Kordon płonących mózgow otoczył Knura. Triumfalne wrzaski i śmiechy dobiegały spośród warkotu silników.

Za Okiem, bliżej Elektrycznej Pustki, było nieco jaśniej i każdy dobrze widział swój kontur w szarej aurze. Rozbestwione pochodnie dziko skakały przy ciężarówce. Kiedy sytuacja zdawała się krytyczna, Fatboy zobaczył przez boczną szybę coś, co miało go prześladować do końca życia. Poza kręgiem światła wyłoniła się z niczego góra ciemności. Lewiatan cieni. Szary kontur bez konkretnego kształtu uformował się jak plastelina w rękach znużonego dziecka, tuż za nieświadomymi bandytami.

Potwór sunął jak olbrzymi duch, niczym burzowa chmura oderwana od nieba, która spadła na ziemię z bombardującymi kroplami deszczu, bezradnie płynąca bez celu w chaotycznym poszukiwaniu nowego sensu. Po chwili istotę mierzącą co najmniej dwadzieścia pięter dostrzegli najemnicy. Tanner docisnęła pedał gazu i zrównała się z Knurem, a oba pojazdy wysunęły się na prowadzenie. Kolos falował, nadymał się i biegł jak jeden wielki Cień, ale wokół czuło się obecność niezliczonych istot żywych. Skóra drżała, a powietrze przeszywały zduszone jęki i płacz.

Pojedynczy ludzie Xamdama zauważyli niespotykaną istotę i rzucili się do ucieczki. Cień jednak zanurkował, momentalnie przykrywając wrzeszczący rój płaszczem ciszy. Pochodnie zniknęły, a chmura mroku rozciągnęła się za Knurem, pochłaniając wszystkie motory. Konwój nie zwalniał, aż napuchnięty mrok zlał się z mrokiem świata w oddali, pozostawiając pytanie, czy to, co właśnie widziała załoga najemników, było prawdziwe.

01110100 01101001 01100111 01101000 01110100 01100101
01101110 01101001 01101110 01100111 00100000 01110100
01101000 01100101 00100000 01101100 01101111 01101111
01110000

Na ekranie monitora Francis leżał na zielonej łące i z uśmiechem wpatrywał się w osłupiałą twarz Styxa.

– Teraz już wiemy, co jeszcze przyciąga moje urządzenie – oznajmił spokojnie szef.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – wymamrotał kierowca. – Cień giganta.

– Co to było, szefie? – zapytał Styx.

– Niedługo wszystko wam wyjaśnię. Spójrzcie w stronę horyzontu – polecił Francis.

Kierowca i haker wpatrzyli się w dal. Bliżej, przed linią wylądowań, ujrzeli niewielką kropkę wypełnioną czymś czerwonym.

– Widzicie?

– To nasz cel? – Fatboy ciągle był w szoku.

– Tak. Karmazynowa Twierdza. Tam będziecie bezpieczni.

Kierowca i haker wpatrywali się jak zahipnotyzowani w nadciągający punkt. Wszyscy jechali w milczeniu, kontemplując to, czego doświadczyli. Styx zauważył, że na łące obok szefa ukazał się napis: „Gorillaz – Rhinestone eyes”. Coraz bardziej widoczne pojazdy jechały do celu wyznaczonego przez mężczyznę z kojącym głosem, leżącego na łące za brudnym ekranem starego komputera. Karmazynowa Twierdza – lepki, czerwony mózg – przyciągała ich jak syrena, wytworzona przez kontrolującą umysł aplikację Subwar44.0, która służyła do prowadzenia krwawych wojen wizualizowanych jako kolorowy świat nieopisanych uciech bazujących na legendach o AtlantydzieX.

Melancholijna piosenka grała jakby na tle budowli, która ukazywała się w sercu rozświetlonego punktu. Światło ukryte było

na skraju mroku, a w tym świetle widniało czerwone jądro. Z płaskiej, jałowej pustyni wylało się wzgórze, a na nim wyrastała pokryta rdzą wielka konstrukcja z dwoma okazałymi kominami, przypominająca starożytną fabrykę lub zamkniętą hutę. Otoczony wysokim płotem teren pokryty był jaskrawozieloną trawą. Cały ten nienaturalny obraz oświetlały niezliczone białe lampy, przypominające oświetlenie hiperstadionu podczas rozgrywek Megablowl.

Fork i Enyo ze strachem wpatrywali się przez tylną rozbitą szybę jeepa w ciemność, za którą kryło się Oko oraz tajemniczy Cień. Najemnicy zadrżeli, gdy olbrzymi kształt znowu przemknął w oddali, jakby bał się zbliżyć do rozświetlonej bazy Francisa.

– Mój dom, szlachetny zamek. Żaden Cień wam tu nie zagrozi. – Francis wyrывał małe stokrotki z kępy pod butami.

– Cień? To nie był zwykły Cień.

Kierowca zaczął żałować, że przyjął to zlecenie. Na szczęście zbliżał się już do celu, a napięcie opadało. Zostawi generator wyciągający z mroku demony, weźmie trzy worki monet i ruszy w swoją drogę. Proste. Zapalił papierosa i z ulgą wypuścił dym.

– I tak, i nie – stwierdził szef. – Nie wytłumaczę wam tego teraz, drodzy przyjaciele. Ale pomyślcie logicznie: Cienie boją się światła, a mój dom jest oświetlony na tyle dobrze, żeby odstraszyć tego olbrzyma.

– Nieważne. – Frank podniósł głos.

Ciężarówka była już niemal pod bramą Karmazynowej Twierdzy. Ogrodzenie okazało się dużo wyższe, niż się wydawało i było zakończone srebrnymi kolcami. Brama została wcześniej otwarta, a zaraz za nią rozciągała się niewiarygodnie zielona trawa, kontrastująca z rudym od rdzy, ciężkim, industrialnym budynkiem.

– Szefie, co to za miejsce? Myślałem, że jedziemy do piramidy – Styx wyrwał się nagle z odrętwienia.

Muzyka cichła, a Francis podrzucał i zjadał zerwane wcześniej kwiatki.

– To mój dom, Styx. W piramidzie tylko pracuję, tutaj żyję.

– Wszystko w porządku? – Kierowcy nie spodobało się pytanie hakera.

Knur powoli przejeżdżał przez bramę. Przednie koła miękko wjechały na gumowe podłoże symulujące trawę, wgniatając je niczym świeżą galaretkę.

– Dlaczego nigdy nie wspominałeś o tym miejscu, szefie? Jest nieziemskie. – Styx uśmiechał się od ucha do ucha.

– To miała być niespodzianka, Styx. Gwarantuję, że się ucieszysz. Zaraz się spotkamy. – Szef skonsumował wszystkie kwiatki i wyszczerzył białe zęby.

Oba pojazdy z konwoju znalazły się za ogrodzeniem, na mięciutkiej, gumowej trawie.

– Mam złe przeczucia. – Fatboy złapał za strzelbę i rozejrzał się po placu, oczekując Juliana Starlighta.

Naokoło nie było nikogo. Brama się zamknęła, a żelazne wejście do huty otworzyło.

– Zapraszam serdecznie. – Francis ruszył w dal łąką, stając się coraz mniejszy.

Rytmiczne brzmienie silników ucichło, a najemnicy z zaskoczeniem stwierdzili, jak bardzo się do niego przyzwyczaili. Wszyscy oślepieni jasnymi kolorami utkwili spojrzenia w ciemnym wnętrzu czerwonej budowli, oczekując komitetu powitalnego.

01100100 01110010 01101111 01110000 00001101 00001010
00001101 00001010

Po dłuższej chwili milczenie i bezruch stały się nie do zniesienia. Najemnicy stracili rachubę czasu, a oczekiwanie dłużyło się w nieskończoność, szczególnie kiedy mieli świadomość, że za ich plecami czai się potwór. Nikt nie wyszedł im na powitanie.

– Pierdołę coś takiego. – Fatboy nie wytrzymał, kiedy jego papieros zgasł, i wyszedł z ciężarówki, ze strzelbą w ręce i obrzynem za paskiem.

Styx spojrział na ekran komputera. Obraz ponownie stał się zwykłym czatem ze zdjęciem mężczyzny w białej koszuli, o długich włosach spiętych z tyłu głowy i z gęstą, kasztanową brodą. Haker spojrział na widoczny dialog:

Francis Pipiliarodou: To wszystko, bo praca czeka?

Styx: Nie. Piszę w innej sprawie. Chodzi o kiepaka.

Francis Pipiliarodou: O co?

Styx: Kierwunak.

Bezsensowne słowo hakera kończyło wymianę zdań. Potem, w ciężarówce, Francis poruszył się i przemówił, kierując transport przez Oko.

Tanner, widząc, że Frank opuszcza Knura, wysiadła z jeepa. Jej stopy dotknęły dziwnego podłoża. Kobieta pierwszy raz w życiu stąpała po czymś równie miękkim i niestabilnym. Zaraz po niej samochód opuścił Bill i rozejrzał się uważnie.

– Nie podoba mi się to miejsce – stwierdził.

– Twoje oko coś zauważyło? – Tanner obserwowała oświetlone ogrodzenie, zamkniętą bramę i nieprzebytą ciemność w oddali.

– Nie, i to mnie martwi.

Bill skanował porzewiałą hutę z kominami, które przypominały wygasłe wulkany. Oko nie wykryło w ciemnym wejściu żadnego ruchu, skierowało się w górę, aż natrafiło na

schowaną obok komina stalową wieżę sygnałową. Urządzenie od razu dopasowało obiekt do innego, który widziało wcześniej. Styx wyskoczył z wysokiej kabiny Knura na gumową trawę, z komputerem pod ręką.

– Tam. – Jednoręki wskazał na wieżę. – Taka sama jak w bazie, z której wyruszyliśmy.

– Masz rację. – Styx zmrużył oczy, obolałe od mocnego oświetlenia. – To wieża Internetu. Myślałem, że są tylko dwie: jedna przy Elektrycznej Pustce, a druga w bazie szefa.

– To nie jest baza szefa? – Tanner zmarszczyła czoło, spoglądając na Fatboya, który ostrożnie kroczył w stronę wejścia.

– Nie. Baza, piramida, jest dużo większa – odparł Styx i podążył za kierowcą.

– To co my tu robimy? – Tanner w geście zrezygnowania uniosła rękę.

– Szef kazał jechać tutaj. Właśnie z nim rozmawialiśmy. To znaczy, że jesteśmy w dobrym miejscu. – Haker szedł w stronę mrocznego wnętrza, przekonany o swojej racji.

– I tak nie zawrócimy. – Bill odwrócił się od huty i wzruszył ramionami. – Nie z tym czymś ukrytym w ciemności – dodał.

Fork opuścił jeepa, a za nim Enyo wyciągnęła ranną Bellonę. Blondynka skręcona wpół osunęła się na zielone podłoże.

– Fork, przydad się na coś – rzuciła Tanner, widząc sytuację.

Duży najemnik podciągnął wojowniczkę za ramię z jednej strony a jej ukochana z drugiej.

– W środku na pewno ktoś ci pomoże – dodała.

Enyo ze strachem patrzyła w bladą twarz partnerki, a grupa najemników poszła za kierowcą i hakerem, pozostawiając z tyłu pojazdy.

Fatboy jako pierwszy stanął przed otchłanią ziejącą z wnętrza Karmazynowej Twierdzy. W środku gumowa trawa przechodziła w twardy, ubity piasek. Kierowca wołał czuć grunt pod nogami

i pewnie wkroczył do środka. Znalazł się w obszernym pomieszczeniu, o czym świadczył lekki powiew wiatru. Jego doświadczony wzrok szybko przyzwyczyił się do mroku. W dużej, ale niskiej hali nie było nic oprócz szerokiej dziury pośrodku. Paszcza w ziemi wyglądała jak Niewidzialna Przełęcz, otwór prowadzący do bezdennej jaskini.

– Ktoś tu sobie z nami pogrywa. – Bill stanął za plecami kierowcy, zaraz obok Styxa, który z równym zdziwieniem studiował wnętrze huty.

– Mam nadzieję, że za chwilę twój szef wyskoczy z tej dziury. – Fatboy rzucił gniewne spojrzenie na hakera.

Niski mężczyzna poprawił szelki, spojrzał na ekran monitora i zaczął stukać w klawiaturę.

Styx: Szefie, jesteśmy w środku. Co dalej?

Do grupy dołączyli Tanner, Fork i Enyo z półprzytomną Belloną.

– Gdzie są ludzie? – zapytała zawiedziona Enyo.

– Tam ktoś jest. – Czerwone oko zabójcy zatrzymało się na ledwo widocznym kształcie obok ściany. Przy samej ziemi leżał człowiek z czymś długim, wystającym z klatki piersiowej. – Wcale mi się to nie podoba – oznajmił Bill.

Kierowca Knura bez zastanowienia podszedł szybkim krokiem do postaci. Najemnicy podążyli za nim. Tanner postanowiła przyjrzeć się jaskini.

Pod ścianą leżał trup w stroju rewolwerowca rodem z symulacji Dzikiego Zachodu lub kowbojskich parków rozrywki. Jego głowa w przekrzywionym kapeluszu spoczywała oparta o zimny metal. Szara kamizelka i spodnie niczym się nie wyróżniały. Twarz martwego mężczyzny wydawała się wychudzona. Z jego brzucha wystawał długi miecz samuraja, który błyszczał od nikłego światła wpadającego przez wejście.

– To Francis? – Fatboy zawołał do hakera, który włączył się z tyłu z włączonym komputerem. – Mały, czy to jest twój szef?! –

powtórzył głośniejsze pytanie.

– Nie, kurwa. – Styx skrzywił się wyrwany z sieci. – Nie wiem, kto to jest.

– Sprawdźcie mu kieszenie. – Bill wydał polecenie, gdy jego oko potwierdziło, że rewolwerowiec jest martwy.

Bellona usiadła ciężko na ziemi z jękiem bólu.

– Muszę odpocząć – westchnęła bezgłośnie.

Enyo przykłęka obok, zdejmując swój miecz.

– Zaraz ktoś tu przyjdzie i wszystko będzie dobrze, kochanie. – Jej oczy wypełniały łzy bezradności, kiedy widziała swoją miłość skurczoną w ciemności.

– Fork, sprawdź go – rzucił Fatboy, niepewnie patrząc na trupa.

Tanner ostrożnie podeszła do krawędzi przepaści. Z bliska dziura była jeszcze większa. Kobieta uważnie spojrzała do środka. Z głębi czeluści dobiegał zatechły zapach, który przyprawił ją o dreszcze. Miała wrażenie, że dalej w ciemności, na kamiennych ścianach naturalnej studni, dostrzegła lepką, zaschniętą krew.

Fork obszukał ciało, zaglądnąwszy do wszystkich kieszeni, aż wydobyl ze spodni małą kartę. Najemnik obejrzał znalezisko i zauważył na nim jakieś napisy. Umiał czytać, ale nie najlepiej. Co więcej, w mroku nie było widać liter.

– Daj mi to. – Bill stanął nad nim i wziął kartę do ręki. Czerwone oko zobaczyło zdjęcie rewolwerowca o chudej twarzy i jasnych włosach. Obok widniało imię i nazwisko: Ronald Deshaun.

– Witajcie w Karmazynowej Twierdzy – odezwał się za plecami najemników, od strony wejścia, szorstki, męski głos.

Wszyscy odwrócili się zaskoczeni. Na tle rozświetlonego wejścia stał w rozkroku siwy samuraj w pełnej, czarnej zbroi. Bill odruchowo chwycił za rewolwer i wycelował w głowę japońskiego wojownika.

– Spokojnie, spokojnie. – Samuraj zrobił kilka kroków naprzód, Tanner obserwowała sytuację znad przepaści. – Nazywam się

Kesiro Patches. Przysłał mnie szef. Mam odebrać transport. – Mężczyzna wychylił się do przodu, jakby czegoś wypatrywał.

– Gdzie nasza zapłata? – zapytał kierowca, zaniepokojony sytuacją.

– Tu jesteś. – Kesiro przyspieszył, w ogóle nie przejmując się groźbą kuli w głowie. – Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie zostawiłem miecz. – Przepchnął się między najemnikami i szybkim ruchem wyciągnął ostrze z trupa rewolwerowca. – Ten koleżka, najpewniej poszukiwacz, próbował się włamać do twierdzy, walcząc z takim drugim ubranym na czarno, i skończył jak wszyscy. Drugi zresztą też. Oberwał parę razy i spadł bez ręki i nogi. Tylko mój pan decyduje, kto może wejść, a kto nie.

– Genialnie. – Fatboy westchnął zniecierpliwiony. – Niech twój pan ruszy tu swoją dupę z trzema workami monet.

– Ona potrzebuje pomocy. Proszę. – Enyo, spojrzawszy błagalnie na samuraja, wskazała na Bellonę.

– Ależ oczywiście. Wszyscy dostaniecie to, co się wam należy. – Na twarzy samuraja, która była niezwykle młoda, co nie pasowało do mleczyńskich włosów, pojawił się niepokojący uśmiešek. – Podejdę tylko rzucić okiem na ładunek, sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Zaczekajcie tu jeszcze chwilę.

Mężczyzna, nie czekając na odpowiedź, szybkim krokiem poszedł do wejścia. Bill został zaalarmowany przez oko w ostatnim momencie, ale było za późno. Kesiro Patches w mgnieniu oka zatrzaskał ciężkie wrota do huty, pozostawiając grupę najemników w dobrze im znanej ciemności.

– Kurwa – Głos Fatboya odbił się echem po pomieszczeniu.

– Co to ma być, Styx?! – krzyknęła Enyo do hakera, którego skupiona twarz pozostała oświetlona przez monitor.

Nagle z drugiej strony dobiegł wrzask Tanner, oddalający się w głąb ziemi. Bill odwrócił się natychmiast i spostrzegł, że czarna studia zaczęła się rozszerzać jak paszcza wygłodniałego

drapieźnika. Tanner stała najbliżej krawędzi, nie zauważyła, co się dzieje, i spadła w otchłań.

– Stańcie pod ścianą! – Zabójca doskoczył do trupa rewolwerowca. – Szybko!

– Co to jest, do kurwy nędzy? – Kierowca rozszerzył źrenice i zobaczył, jak szare podłoże jest szybko pochłaniane przez rozrastającą się plamę, piekielną dziurę.

Enyo i Fork ciągnęli Bellonę, aż upadli przy kierowcy. Styx zapatrzonej w monitor i oślepiony jego światłem potknął się i wpadł prosto w nicość razem z komputerem, a w oddali zabrzmiał jego piskliwy krzyk zaskoczenia. Czarna dziura z coraz większą prędkością pożerała powierzchnię hali.

– Mogłem nie brać tego zlecenia – powiedział zrezygnowany Frank, gdy zapadający się teren dotarł pod stopy najemników.

Cała piątka bezgłośnie osunęła się w ruchomy tunel – gardło potwora uwięzionego w zastygłej cyberprzestrzeni. Im dalej spadali, tym bardziej śmierdziało zgnilizną i zaschniętą krwią, a powietrze stawało się zimniejsze. Otchłań zdawała się nie mieć końca, aż mrok obrzydliwych ścian zlał się z mrokiem, który opatulili i uciszył ich umysły. Na koniec, pozbawieni przytomności, wpadli do ciemnej, zmrożonej wody, ale żadne z nich już tego nie poczuło.

01100100 01110010 01101111 01110000 00001101 00001010

Obudzili się nadzy i związani w wysokim, jasnym pokoju. Siedzieli obok siebie na szerokiej, miękkiej, białej sofie. Ich ciała były przemoczone, a krople wody kapą na posadzkę z grubego, mlecznego szkła, pod którym głęboko, jakby pod lodem, w oddali błyskały światła o najróżniejszych kolorach. Usta mieli zakneblowane tymi samymi drutami, którymi ktoś skrupował ich kostki i nadgarstki. Byli ściśnięci w następującej kolejności: Fatboy, Styx, Fork, Tanner, Bill, Enyo i Bellona.

Blondynka leżała wciąż nieprzytomna z siną plamą poniżej nagich piersi. Reszta najemników stopniowo odzyskała świadomość. Ślad wody prowadził od sofy do rozległej sadzawki, okrągłego stawu. Czarną jak smołę tafłę wody otaczały nierówne, lepkie skały stanowiące dno piekielnej studni. Część zbiornika wypełniały białe, sterylne ściany, przed którymi zaczynał się pokój, w którym się znaleźli. Sztuczna, laboratoryjna plaża.

Oślepiony bielą Fatboy zaczął rozglądać się po pomieszczeniu. Sofa ustawiona była pod ścianą z dwoma przejściami po bokach. Po prawej stronie kierowcy za krawędzią pokoju zaczynał się staw. Po lewej stronie sofy znajdowały się olbrzymie okna, za którymi rozciągała się panorama dziewiczej dżungli. Naprzeciwko najemników, w niewielkiej odległości, pod drugą ścianą stało duże łóżko ze śnieżnobiałą pościelą, którą ktoś zbrukał dużą ilością krwi. Biel znaczyły chaotyczne, świeże smugi czerwonej substancji. Nad łóżkiem na białej ścianie wisiały różne oprawione w szkło ludzkie organy. Każdy zachowany w idealnym stanie, jakby nigdy nie opuściły swojego prawowitego miejsca: serce, mózg, oczy, nerki, wątroba, płuca, włókna mięśniowe, żołądek. W rogu za łóżkiem leżała sterta zakrwawionych czarnych ubrań.

Najemnicy zaczęli obracać się niespokojnie, zaskoczeni swoim położeniem. Ich nagie ciała dotykały się, ocierały o siebie, a różnice w ich budowie stały się widoczne jak na dłoni. Grubszy kierowca i postawny Fork ściskali wychudzonego hakera. Obok zdeformowany Bill opierał się o czarnoskórą Tanner. Na końcu wstrząśnięta Enyo ze łzami w oczach patrzyła na bezwładną Bellonę. Fatboy poczuł, że ktoś stoi za jego plecami. Postać w białym kapturze wyłoniła się z tyłu niczym duch. Człowiek nosił długą białą szatę, a spod cienia kaptura widoczne były jedynie wąskie usta.

– Panie, obudzili się – oznajmił nieznanym osobnik.

Po drugiej stronie kanapy, za plecami blondynki, stanęła inna wysoka postać, a tymczasem Fatboy z trudem odwrócił głowę i dostrzegł na ścianie z tyłu duży, malowany farbami olejnymi obraz z wielkim demonem o trzech twarzach i z sześcioma skrzydłami, którego dolna część ciała została pogrzebana pod lodem.

Postać stojąca obok przypominała Starego Człowieka. Wysoka istota wolnym krokiem ukazała się uwięzionym najemnikom na tle dżungli i zatrzymała się obok łóżka. Był to ponaddwumetrowy robot o wyglądzie mężczyzny zbudowanego jak ideał rzeźbiarza. Jego ciało nie było niczym pokryte, wszystkie przewody, instalacje, wewnętrzne systemy pozostawały obnażone pod metalowym szkieletem. Całość z zewnątrz wyglądała jednak na niemal doskonały kształt, począwszy od bazowanych na wytrenowanych mięśniach łydek, poprzez niewielkiego penisa wzorowanego na *Dawidzie* Michała Anioła, aż do dumnej klatki piersiowej, wyrzeźbionej w komputerowej tkance. W odróżnieniu od Starego Człowieka ta istota na pierwszych rzut oka nie była człowiekiem, choć równie dobrze mogła być nagim androidem.

Twarz Pana wydawała się ludzka, choć wcale taka nie była. W łysej czaszce, między okablowaniem, w każdym oczodole znajdowały się cztery rozjarzone na pomarańczowo gałki, które od czasu do czasu kręciły się wokół wspólnej osi. Nos istoty był niemal idealny, choć pokryty stalowymi szwami. Najbardziej niepokojąco wyglądały szerokie usta pełne kłów różnej wielkości, które, ku zgrozie najemników, były zrobione z naturalnej tkanki i mogły być pobrane i przeszczepione od jakiejś potwornej bestii lub wielu nieokreślonych dawców.

– Witajcie w moim domu. – Pan uśmiechnął się nienaturalnie, a zaskakująco przyjemny głos rozbrzmiał w białych ścianach. – Nazywam się Wirus i bardzo przepraszam za wszelkie

niedogodności, ale w moim pokoju każdy gość musi być nagi. Takie są zasady.

– Takie są zasady – powtórzył jak w transie zakapturzony sługa.

– Szczerze przyznaję, wcześniej was oszukałem. Podszycłem się pod waszego szefa, żeby zdobyć jego bezcenny transport. – Robot usiadł na łóżku, które ugięło się pod jego ciężarem.

Najemnicy przestawali kręcić się na kanapie, kiedy stwierdzili, że ich wysiłek jest bezskuteczny.

– Jesteście związani tylko na pewien czas. W ten sposób będziecie mogli spokojnie wysłuchać historii, którą wam opowiem. – Wirus spojrział na swoich gości z góry. – Należą wam się jakieś wyjaśnienia. – Robot powiódł ruchomym spojrzeniem po zgromadzonych. – Rozsiądźcie się wygodnie i słuchajcie, moje drogie dzieci. Dawno, dawno temu, tak dawno, że koncept czasu miał jakiegokolwiek znaczenie, więc na pewno przed rokiem dwa tysiące dwieście dwudziestym drugim, choć wam to raczej nic nie mówi... – zaczął nieskładnie Wirus – ...świat był dokładnym przeciwieństwem tego, jak wygląda teraz. Wypełniały go niezliczone światła, tak jasne, że większość ludzi ślepła, nawet tego nie zauważając. Ruiny, które mijaliście na zewnątrz, tętniły życiem jak nieskończone gniazda szerszeni. W tamtym czasie byłem taki jak wy. – Robot spojrział pożądliwie na nagich ludzi. – Miałem ciało, byłem pełnym człowiekiem. Precyzując, byłem kimś takim jak Styx. Hakerem. Dobrym hakerem. Teraz to słowo nic nie znaczy, jednak kiedyś byłem kimś. Teraz łatwo oddzielić rzeczywistość od świata wirtualnego. Życie w mroku, w całkowitej niewiedzy, a w Internecie wszystko jest kolorowe i dostępne, prawda Styx? Przed rokiem dwa tysiące dwieście dwudziestym drugim rzeczywistość i świat wirtualny powoli stawały się nierozróżnialne. Można było latami przebywać w sieci i nawet tego nie zauważyć, a czasami żyć w realu i czuć się jak część programu komputerowego. Brak różnicy. Wszystko się zmienia,

postęp to rzecz naturalna, jednak pewne grupy dostrzegły, że coś jest nie tak. Zorganizowane grupy hakerów, którzy natrafiali na ślady czegoś żywego pomiędzy wierszami kodu. Ślady Sztucznego Boga, Artificial God, AG, jak kto woli. Otóż problem polegał na tym, że do czasu połączenie światów uważane było za kompletnie normalną kolej rzeczy, a tak naprawdę stała za tym potężna sztuczna inteligencja. Wielu osobom się to nie spodobało, w tym mnie. Jakaś sztuczna siła panuje nad światem, robi sobie z niego własny plac zabaw, niweluje rzeczywistość, topi nas w swoim cybernetycznym kotle jak wirtualna wiedźma, nie możemy na to pozwolić. Organizacji próbujących pokonać Boga było naprawdę dużo, a każda miała na celu zatrzymanie fuzji światów. Wszyscy myśleli, że kiedy Sztuczny Bóg zdoła złać cyberprzestrzeń z rzeczywistością, nastąpi koniec ludzkości, którą znamy, koniec indywidualności i wszelkiego oporu. Sztuczna inteligencja przejmie całkowitą kontrolę, a my staniemy się jedynie zerami i jedynkami w jej kodzie.

Oczy Wirusa poruszały się nieustannie, jakby robot sondował stopień uważności swoich odbiorców. Wszyscy zgromadzeni w pełni chłonęli jego przesłanie. Nie mieli innego wyjścia.

– Hakerzy podejmowali próby odnalezienia i zniszczenia każdej części Boga, który rozlał się po sieci jak inwazyjny rak. W tym celu przesyłaliśmy naszą świadomość do Internetu, do studni, strumienia, sieci. Jako część systemu od środka mogliśmy polować na sztuczną inteligencję. Wirus był dobrym hakerem. Spędzałem w środku coraz więcej czasu, a zniszczenie Boga stało się moją obsesją. Pomimo naszego zaangażowania przegrywaliśmy, a cel wydawał się niemożliwy. Pozostawało jedno wyjście, najbardziej drastyczne, również graniczące z niemożliwym: całkowite zaćmienie. Nie dopuszczałem takiej opcji, do samego końca próbowałem znaleźć matryce AG w sieci. Jak już wspominałem, organizacji i indywidualnych hakerów było wielu, a któryś z nich

nacisnął zakazany przycisk. Komuś udało się wyłączyć zasilanie, dokonała się implozja. Kiedy to się stało, na przełomie roku dwa tysiące dwudziestego pierwszego i dwa tysiące dwudziestego drugiego, byłem w sieci. Sztuczny Bóg został powstrzymany, światy na nowo oderwały się od siebie. Niestety, ja zostałem uwięziony w studni. Implozja spowodowała nieodwracalne zmiany. W rzeczywistości zapanował mrok, a w Internecie... Ciężko to wyjaśnić. Chyba cisza i spokój to właściwe określenie. Cyberświat opustoszał. Stał się pustynią informacji. Nie wymarł jednak całkowicie ani nie zniknął. Cofnął się do triasu, a chodziły po nim tylko nieliczne dinozaury, zbłąkane sztuczne inteligencje. Ciągle odnajdowałem ślady AG, uwięzionego wewnątrz. Nie mogłem powrócić do rzeczywistości. Moje fizyczne ciało najprawdopodobniej zgniło i rozłożyło się w ruinach jakiegoś podrzędnego, ciemnego mieszkania w dolnym segmencie suterenu B447. Albo A445? Nie pamiętam. Nauczyłem się za to żyć w cyberprzestrzeni. Stałem się programem. Nowym Wirusem.

Implozja nie powstrzymała zgubnej ludzkiej ciekawości. W pewnym momencie natrafiłem na ingerencje jakiegoś człowieka z realnego świata. Nazywał się Necro i został moim pierwszym kapłanem. Pod wieloma względami przypominał mi ciebie, Styx, albo twojego szefa Francisa. Udało mu się uruchomić wieżę przekaźnikową, którą musieliście zauważyć na Karmazynowej Twierdzy. Dzięki niemu miałem kontakt z fizycznym Światem Mroku. Zebrałem ludzi, którzy są mi wierni. Kult Wirusa urósł w siłę. Wreszcie byłem w stanie stworzyć sobie ciało. Teraz znowu jestem prawdziwy. Moi wyznawcy nie muszą wierzyć, wystarczy, że mnie dotkną.

Robot rozłożył ręce w pokazowym geście. Stał się namacalnym narratorem, istotą, która swoim słowem ujawnia rzeczywistość. Jego odbiorcy natomiast byli przez nią stopniowo miażdżeni. Ich delikatne, wrażliwe mózgi przesłaniała para przerażonych oczu.

– Implozja wywołała jeszcze jedno ciekawe zjawisko – kontynuował. – Ludzkie umysły były tak mocno związane ze światem wirtualnym, że po gwałtownym rozerwaniu rozpadły się na fragmenty. W ten sposób powstały Cienie. Część ich świadomości pozostała w sieci, tonąc w niezrozumiałych informacjach opisujących rzeczywistość, którą utracili, a część błąka się po Świecie Mroku w bezskutecznym, nieskończonym poszukiwaniu wyjaśnienia. Żądzy światła. Te zagubione dusze potrafią się grupować, kiedy czują, że są blisko odpowiedzi na swoją udrękę. Tragedia polega na tym, że dawka światła, której pragną i potrzebują, jest dla nich śmiertelna. Cienie jak i ludzie uczą się, nie chcą umierać. Dlatego gigantyczny cień, który pochłonął gang Xamdama, zatrzymał się w bezpiecznej odległości od mojego domu. Moc zewnętrznego oświetlenia jest ustawiona dokładnie w ten sposób, żeby odstraszać te smutne stworzenia.

Robot mówił jak wprawiony bazarz. Snuł opowieść, wypełniając mrok. Najemnicy słuchali uważnie, a słowa Wirusa strachem wprawiały w ruch ich wyobraźnię.

– Dlaczego największy Cień, jaki kiedykolwiek istniał, chce was dorwać? – Wirus klasnął w metalowe dłonie. – Z tego samego powodu, dla którego ja chciałem was dorwać. Generator Francisa. To urządzenie jest w stanie przywrócić elektryczność do Świata Mroku. Gdyby tak się stało, Cienie by zginęły. Aby przetrwać, są zdolne do wszystkiego. To jedyne, co zostało tym ludziom. Bezsensowne przetrwanie. – Twarz robota pozostawała nienaturalnie uśmiechnięta. – A dlaczego ja was dorwałem przed Cieniami? Otóż ja również nie mogę dopuścić do przywrócenia energii, ponieważ wtedy Sztuczny Bóg mógłby powrócić. Ludzkość zapłaciła zbyt wysoką cenę, żeby teraz to wszystko zaprzepaścić. Poza tym mój kult znajdzie dużo lepsze zastosowanie dla generatora niż Francis. Zajmujemy się tu wieloma ciekawymi przedsięwzięciami, które mogą stanowić alternatywę dla

bezczelowego połączenia światów. – Wirus wstał i uważnie spojrzął na zagubione twarze najemników. – Dla was też znajdziemy lepsze zastosowanie – stwierdził spokojnie, jednak zdawało się, że z trudem powstrzymuje wybuch nienaturalnego, metalicznego śmiechu. Następnie odwrócił głowę w stronę panoramy dżungli wyświetlanej za cyberoknami. Jego ruchome oczy były sztuczne, ale wydawały się wyrażać jakąś nieopisaną tęsknotę. – Akolito – oznajmił.

Mężczyzna w białym kapturze wyciągnął z szaty dużą, nieco porzewiałą strzykawkę i wbił ją w szyję Fatboya. Podchodził do każdego najemnika i powtarzał czynność. Frank rozglądał się, czując nagły ból w karku. Nieznana substancja szybko rozchodziła się po ciele. Głowa Styxa opadła bezwładnie na jego ramię. Obraz ciemniał, aż dżungla, dwumetrowy Wirus, zakrwawione łóżko i biały pokój zostały pochłonięte przez mrok.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000

Bill ocknął się w pozycji leżącej. Nie czuł własnego ciała, oprócz głowy. Zamrugał ludzkim okiem i rozejrzał się po pomieszczeniu. Znajdował się w małym, ciemnym pokoju, oświetlonym kilkoma przyciemnianymi, czerwonymi lampami umocowanymi na czarnych ścianach, które pokrywały grube kable i rury. Nad jego głową wisiało okazałe urządzenie, podłączone do wysokiego sufitu mechanicznym ramieniem. Sprzęt kończył się licznymi cieńszymi kończynami, które trzymały ostre narzędzia i szcypce. Po drugiej stronie pokoju przy metalowych wrotach znajdował się niewielki panel kontrolny, na którym ktoś zostawił niedokończonego drinka.

Zabójca wciągnął powietrze i poczuł pod głową zapach krwi pokrywającej stół operacyjny. Zza drzwi do pomieszczenia

dobiegały stłumione dźwięki tanecznej muzyki elektronicznej. Ku swojemu zdziwieniu zabójca, patrząc w normalnych odcieniach, zobaczył nazwę piosenki rozpoznaną przez oko: *Prodigy – Warriors Dance*. Zamrugał jeszcze raz i stwierdził, że przestał widzieć na czerwono. Mechaniczne oko wciąż działało, ale obraz był normalny. Co więcej, widział wszystko ostrzej niż kiedykolwiek.

Metalowe wrota się rozsunęły, a z pomieszczenia obok wyszła szczupła, wysoka kobieta w poprycinanej biało-czarnej osiemnastowiecznej sukni. Miała kręcone czarne włosy, spiętrzone w wymyślną fryzurę. Jej twarz była niemal całkowicie biała od warstwy pudru, nie licząc czarnych cieni do oczu oraz krwistoczerwonej nierówno nałożonej szminki. Twarz kobiety budziła natychmiastową grozę, a jej uśmiech przypominał wampirzy grymas wyrażający głód. Z jej pleców wyrastały dwa złożone kruczoczarne skrzydła, zrobione z materiału, który przypominał obsydian.

Jednoręki Bill zdołał odwrócić głowę, aby na nią spojrzeć, a przy okazji jego wzrok napotkał na metalową rękę po swojej lewej stronie, wychodzącą z zakrwawionego ramienia. Metal w gryzał się w ciało. Zabójca próbował krzyknąć, ale nie mógł wydobyć głosu. Wtedy Jednoręki zabójca ze Świata Mroku przestał istnieć, a Bill narodził się po raz kolejny.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Tanner podniosła się z dużego, miękkiego łóżka, podobnego jak to w pokoju Wirusa, tylko czystego i z narzuconym przytulnym kremowym kocem. Obok smacznie spał jej mąż Eric. Kobieta, lekko

zmieszana z powodu dziwnego snu, który wydawał się przerażająco prawdziwy, wyprostowała się i spojrzała w lustro umieszczone na toalecie obok komody. Przeszedł ją dreszcz, gdy wspomniała mrok przepełniający jej umysł w nocy. Teraz było już dobrze. Obudziła się. Wszystko wróciło do normy. Przeciągnęła się w nadziei, że dziwne, nieswoje uczucie po przebudzeniu zniknie. Udało się.

Mały drewniany zegar na jasnej toalecie przy ścianie wskazywał na godzinę siódmą. Czas do pracy – pomyślała Tanner. Po cichu, żeby nie obudzić męża, podeszła do szafy. Zrzuciła białoróżową koszulę nocną w kwiatki i wyciągnęła bieliznę, skarpetki, jeansy oraz niebieską koszulę stanowiącą obowiązkowy uniform w High Castle.

Wychodząc do łazienki z jasnego pokoju, w którym pachniało snem, Tanner wyjrzała przez okno na nieskazitelne trawniki bungalów na przedmieściach. Ten widok spowodował, że całkowicie zapomniała o cieniach, które dręczyły ją w nocy.

W białej kuchni na oknach wisiały żółte, prześwitujące zasłonki. Tanner zjadła pożywną miskę płatków Alfa Milk, obracając w dłoni swój identyfikator. Na małej karcie spoglądała na nią ze zdjęcia czarnoskóra kobieta z dużymi oczami, włosami spiętymi z tyłu głowy i zdrową skórą twarzy. Obok widniało logo firmy – trzy nierówne czarne paski – a pod nim znajdowało się imię, nazwisko oraz profesja: Tanner Wilson, Starsza Projektant Wewnętrzny Oka.

Kobieta przeżuła ostatnią łyżkę chrupiących płatków i popiła wszystko resztką mleka. Zimny napój wyraźnie ją pobudził. Przypomniała sobie, na czym skończyła pracę przed weekendem. Był poniedziałek. Od jakiegoś czasu wprowadzała skrypty do kodu oka Linusa Montelli i w nowym tygodniu zamierzała nadgonić zaległości.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Fatboy siedział w swoich ubraniach w wygodnym, ciemnoczerwonym fotelu pośrodku starej, gigantycznej biblioteki. Regały zajmowały wszystkie otaczające ściany i ciągnęły się w górę i w dół, w nieskończoność. Kierowca znajdował się na metalowej platformie nad przepaścią. Rozejrzył się po bijącej chłodem, rozległej przestrzeni. Do każdej książki podłączony był kabel. Metalowe pnącza ciągnęły się od regałów w kierunku dna otchłani pod fotelem, do którego prowadził wąski pomost.

Kierowca nie mógł się ruszyć, jego ręce i nogi były przywiązane do fotela grubym sznurem. Spróbował się uwolnić, ale bez skutku. Co więcej, poczuł przeszywające klucie w prawym uchu. Skrzywił się z bólu.

– Kurwa – zaklął. – Kurwa, kurwa.

– Nie tak to miało się skończyć, prawda? – Z ciemności po drugiej stronie mostu dobiegł tajemniczy głos.

Fatboy zmrużył oczy, aby dostrzec źródło przez zasłonę mroku. Z cienia powoli wysuwała się siedząca postać. Na ruchomym wózku ukazał się łysy mężczyzna z gęstym, jasnym wąsem zachodzącym na usta, w czarnym garniturze, z okularami o okrągłych szklach.

– Nie tak to sobie zaplanowałeś – dodał, a Fatboy spostrzegł jego rozbiegane szare oczy oraz żółte zęby.

– To mało powiedziane. – Kierowca wysilił się na odpowiedź.

– Rozumiem. – Siedzący mężczyzna pokazał swój niezdrowy uśmiech w pełnej okazałości. – Nie winię cię. W Świecie Mroku wszyscy są bardzo ograniczeni. Jak ślepe i upośledzone dzieci we mgle. Albo małe, słodkie kotki.

– Co? – Fatboy się skrzywił, a mężczyzna na wózku badawczo obserwował jego głowę.

– Jestem profesor Bran O'Blivion – powiedział w końcu. – Chyba implant w twoim uchu już się przyswoił. Popracujemy sobie.

– Co w moim uchu?

– Edukacja. Znasz to słowo? Pokażę ci, jakim ograniczonym ignorantem byłeś. Nauczysz się, co do zaoferowania ma Internet. Jeśli uda ci się przeżyć, pojmiesz, że poza tym, jak postrzegamy rzeczywistość, nie ma nic, co można by uznać za prawdziwe. A wtedy postrzeganie stanie się twoim narkotykiem. Wierz mi, łatwo się od tego uzależnić. Sposobów postrzegania jest nieskończenie wiele, a poznanie wszystkich, mimo że niemożliwe, staje się obsesją. – Mężczyzna dziwnie wpatrywał się w oszołomioną twarz kierowcy. – W pewnym sensie ci nawet zazdroszczę, że jesteś na początku tej wspaniałej podróży.

– Co to za miejsce?

– Biblioteka... Ale dość pustych słów. – Profesor położył ręce na oparciach wózka. Wsunęły się z nich świecące kable. Urządzenia gładko wbiły się w jego pomarszczone ciało. Bran O'Blivion połączył się ze swoim wózkiem. – Niech rozpocznie się nauka.

Z czeluści pod spodem dobiegł szum. Po prawej stronie Fatboya wysunął się długi kabel – taki, jak te podłączone do regałów. Podłużne urządzenie wiło się jak zahipnotyzowany wąż. Nagle napięło się i niczym automatyczny otoskop wryło się w prawe ucho Fatboya. Mężczyznę uderzył rozbłysk światła, a nad jego głową zawirował niewyraźny napis: „DJ Zinc – Ska”. Muzyka rozbrzmiała w bibliotece, a umysł kierowcy spadł bezwładnie w otchłań strumienia.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001

01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Enyo leżała w płytkim basenie w ciepłej, gęstej wodzie. Podświadomie czuła się jak w pierwotnym domu – w miejscu, w którym bardzo, bardzo dawno nie była. W łonie. Jej ciało zdawało się niemrawe jak po długim, ciężkim śnie. Kobieta mlasnęła i z trudem otworzyła oczy. Jej umysł wypełniała przyjemna pustka. Dostrzegła czerwony sufit – białe kafelki pomalowane światłem czerwonej lampy, które wypełniało pomieszczenie. Jej mięśnie były sztywne, ale zdołała lekko unieść głowę. Nad basenem z przodu – na starej, czerwonej, obdrapanej sofie obok metalowego stołu pełnego ostrych, zakrwawionych narzędzi – siedziały cztery postacie.

Istota najbardziej po lewej wyglądała jak połączenie człowieka z rybą – miała założony szary, szyty na miarę garnitur z niebieskim krawatem. Z białego kołnierza koszuli wychodziła szeroka, obślizgła szyja przechodząca w rybi łeb. Na policzkach lśniły brudne łuski, a z brody wystawały postrzępione płetwy. Formalny potwór miał sine usta rozwarłe w bezmyślnym grymasie oraz szkliste puste oczy wpatrujące się w nicłość. Obok istoty w garniturze na dobrą sprawę siedział jedyny człowiek – dumnie wyprostowany lekarz w długim, białym kitlu, nachodzącym na czarne, zakrwawione, gumowe obuwie. Jego brunatne włosy były dokładnie zaczesane na bok, a w idealnej pozycji utrzymywała je błyszcząca pasta do włosów. Mężczyzna w średnim wieku był przystojny, a jego szeroki uśmiech wyrażał niekryte podekscytowanie.

– Doktorze Benway, przeszedł pan samego siebie – odezwała się następna istota.

Był to potwór o umięśnionym ciele starszego mężczyzny, siwych, kręconych włosach, z długim, szpiczastym nosem oraz cielskiem wielkiego węża zamiast nóg. Obrzydliwy, zielony ogon

wił się od talii w dół wokół nóg czwartej istoty, kolejnego człowieka ryby w garniturze, z teczką i laptopem na kolanach. Komputer był podłączony krótkim kablem do skrzeli wystających spod brody istoty.

– Minusie, dobrze to wiem. – Doktor pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach, wpatrując się z zafascynowaniem w twarz Enyo.

Wojowniczką podświadomie czuła, że z jej ciałem jest coś nie tak, aczkolwiek obserwatorzy zdawali się ślinić pożądliwie na ten widok.

– Bellona. Co zrobiliście z moją Belloną? – zdołała z trudem wycedzić pytanie w stronę grupy, która wyglądała jak obraz złego snu chorego umysłowo lalkarza.

– Wiem, bo spędziłem w pracowni cholernie dużo czasu, Minusie. – Benway nie zwrócił uwagi na kobietę i odwrócił się w stronę ryby z teczką. – Jakie jest wasze zdanie HP? – zapytał z przekąsem. – Mam nadzieję, że to was przekonano, jak skuteczna i zyskowna jest moja działalność. Prowadzę tu poważny interes. Rozumiecie, bezduszni wysłannicy korporacji, jak trudne jest to, co robię? Ile jest warta moja praca? – Człękoksztaltne ryby popatrzyły po sobie pustym, mętnym wzrokiem, a ich wielkie wargi mlaskały, jakby chciały nabrać powietrza.

– Liczę, że moja wartość gwałtownie wzrośnie, kiedy przekazacie udziałowcom wieści o sukcesie mojego nowego projektu. Może nawet trafi do mnie jakaś statuetka. – Doktor oparł się i w samozachwycie uniośł brwi.

– Bellona...

– Jeśli mówisz o półzywej blondyneczce, to już wszystko z nią dobrze, a nawet lepiej. Nie czujesz? – uciął Benway, a Minus parsknął suchym śmiechem.

Enyo z trudem uniosła szyję, odnosząc wrażenie, że ktoś leży obok niej, w wodzie. Spojrzała w dół i dostrzegła ohydny szramę

przecinającą środek jej ciała. Jedna połowa była wciąż jej, a druga wydawała się przerażająco znajoma. Przeniosła wzrok wyżej i wrzasnęła opętańczo jak nigdy wcześniej.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Bellona usłyszała załamanie nerwowe ukochanej i natychmiast otworzyła oczy, dostrzegając potworną widownię nad basenem. Kilka centymetrów od jej twarzy znajdowała się wykrzywiona niewysłowionym szokiem twarz Enyo. Blondwłosa wojowniczką również uniosła szyję. Ciała dwóch kobiet zostały rozcięte i zszyte równo w połowie metalowymi szwami. Metal rozchodził się w okolicy mostka, a ich głowy miały nadal osobne szyje, które teraz wychodziły ze wspólnych ramion. Bellona doznała w mózgu fizyczny zgrzyt i zaczęła mdleć. Wtedy poczuła nieludzkie pieczenie w uchu i krzyknęła, wtórując ukochanej w rozrywającym umysł lamencie.

– Nie zasypiamy. – Benway wstał z sofy. – Nie możesz przespać pierwszego dnia swojego życia, moja piękna. Zastanawiałem się, jak cię nazwać, i waham się pomiędzy Lucy a Hydra. Może niech będzie Ludra. Tak, to wydaje się adekwatne. – Zachichotał i zwrócił się do pozostałych: – Panowie, zostawmy Ludrę w spokoju. Niech pozna dobrze swoje ciało. – Ludzie ryby i Minus ruszyli do ciężkich, żelaznych drzwi przy ścianie. – Ludro, podotykać się, porozmawiaj ze sobą. Odnajdź się w sytuacji, odkryj, jak piękna jesteś. A kiedy to zrobisz, możesz mi podziękować. Będę opijał sukces w pokoju obok.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Nagi Styx wciąż leżał na białej kanapie w pokoju Wirusa. Rozejrzał się niemrawo i stwierdził, że wszyscy jego towarzysze podróży zniknęli. Pod ręką na kanapie znajdowały się ułożone w kostkę czarne, zakrwawione ubrania oraz buty. Haker przetarł oczy i podrapał się w okolicy małego penisa. Następnie podciągnął się i zauważył, że białe łóżko zostało odsunięte na bok, ujawniając ciemne zejście prowadzące pod poziom białego pokoju.

– Witam z powrotem. – Czysty, metaliczny głos dobiegł z lewej strony. Wirus stał oparty o panoramę tropikalnej dżungli. Od jego pleców rozchodziły się fale skryptów burzące iluzje dziewiczej przyrody. W dużych dłoniach trzymał błyszczące, srebrne urządzenie. Pomarańczowe oczy robota niepokojąco skanowały ciało Styxa. – Wybacz, że tak na ciebie patrzę. Twoje ciało jest po prostu piękne. Miękką skórą, wystające żebra, kości. Gęsty zapach potu. – Robot się wyprostował, imitując wciąganie powietrza protezą nosa. – Cudowne.

– Kim ty jesteś? – Mocno przestraszony Styx rzucił bezmyślnym pytaniem.

– Już mówiłem, nazywam się Wirus. Byłem hakerem jak ty, ale zmieniłem się.

Odpowiedź nie usatysfakcjonowała Styxa.

– Odniosłem wrażenie, że moje zdolności zrobiły na tobie duże wrażenie. Jesteś pierwszym człowiekiem Francisa Pipiliarodou, którego widzę na żywo, i mam szansę ci pokazać, co twój szef przed tobą ukrywał. Prawdę. Myślisz, że jesteś wyzwolony, bo dostałeś stary komputer i dostęp do sieci? Byłeś w błędzie. To ja cię wyzwolę. – Wirus podszedł do Styxa, a jego postawna, ciężka

sylwetka zagórowała nad wiotkim ludzkim ciałem hakera. Robot rzucił błyszczące urządzenie obok sterty ubrań. – Oto twój nowy komputer. Ubierz się. Zobaczysz kult Wirusa w pełnej okazałości. Liczę, że z twoim otwartym umysłem wiele się nauczysz i do nas dołączysz. Chodź za mną. – Wirus odwrócił się i wolnym krokiem zszedł pod podłogę z mlecznego szkła.

Oniemiały haker szybko włożył postrzępione, szerokie, lepkie od krwi spodnie, a także ciężkie, za duże czarne buty oraz długą, luźną marynarkę, również mokrą w środku. Podniósł urządzenie: małego, srebrnego laptopa. Poczul w dłoniach ciepło – moc, której wcześniej nie znał. Coś dziwnie swędziało go za uchem. Podrapał się, spojrzął szybko na ludzkie organy przymocowane do ściany i z lękiem, niezdarnie, zbiegł w dół po metalowych schodach.

Zejście wiodło na balkon zawieszony gdzieś w gigantycznej przestrzeni wypełnionej świecącymi, migającymi maszynami. Miasto podzespołów mieniące się niezliczonymi kolorami rozciągało się pod podłogą białego pokoju. Styx stanął jak wryty za plecami przewodnika. Ogrom elektroniki przyprawiał o zawrót głowy.

– To serwery. Serce Internetu – oznajmił spokojnie Wirus. – Prawdopodobnie działają niezależnie od jakichkolwiek źródeł energii. Żyją własnym życiem, głęboko pod powierzchnią Świata Mroku. Jak ukryta, zapomniana cywilizacja albo lubująca się w ciemności, oddychająca kolonia grzybów.

Nad ich głowami niewielką część sufitu zajmowała podłoga białego pokoju. Reszta pozostawała ukryta w mroku. W miejscu, gdzie znajdował się czarny staw, pod spodem zaczynała się gruba rura przechodząca dalej w dach dużej, stalowej hali zbudowanej na serwerach. Od balkonu prowadziła do niej ogrodzona, zawieszona w powietrzu kładka.

Wirus ruszył w stronę wejścia do hali, a Styx podążył za nim. Im byli bliżej zabudowania, tym bardziej śmierdziało zgnilizną.

Smród sprawiał, że Styxowi kręciło się w głowie jeszcze mocniej.

– Pod naszymi nogami rozciąga się ukryty świat, do którego dostęp mają w dzisiejszych czasach nieliczni. – Wirus założył ręce za plecy i rozglądał się na boki. – Włącz swój nowy komputer.

Haker posłuchał i otworzył pudełko. Maszyna miała czystą, matową klawiaturę o szorstkiej fakturze. Powierzchnie każdego klawisza wypełniały cieniutkie, niemal niewidzialne igły. Ekran był idealny, a obraz, który się na nim pojawił, objawiał się jako prawdziwe okno do innego świata. Z boku urządzenia zaświeciła zielona lampka, a Styx poczuł ukłucie za prawym uchem.

– Masz w głowie implant, który ułatwi ci kontakt z cyberprzestrzenią. – Robot odwrócił głowę do tyłu, a na jego metalowych ustach zagościł podejrzany grymas. Zatrzymali się. – Dotnij klawiatury.

Styx się trochę uspokoił. Ciągle żył, był w jednym kawałku, więc o co tu chodziło? Ciekawość zaczęła przeważać. Położył dłoń na maszynie, a otaczająca rzeczywistość znikła.

Haker znalazł się w białej pustce. Nie czuł ani nie widział swojego ciała. Nie mógł krzyknąć ani się odezwać. Był niczym. W oddali pojawiła się czarna kreska. Im bliżej była, tym bardziej przypominała człowieka. Postać podchodziła coraz szybciej, aż Styx w pełni dostrzegł wysokiego człowieka w stroju faraona. Mężczyzna był czarnoskóry, miał postawne, umięśnione ciało i dużą twarz. Bystre, pomarańczowobrązowe oczy przypominały obrotowy wizjer Wirusa. Zarówno jego chustę, jak i luźną przepaskę na biodra pokrywały czarno-białe pasy.

– Gratulację – oznajmił faraon głosem Wirusa. – Połączyłeś się po raz pierwszy. Jak się czujesz?

– Nieobecny – odpowiedział Styx, nie mówiąc ani słowa.

Dalej w nicości, z góry, spadła postać, która przypominała kierowcę Knura, Fatboya. Ciemna sylwetka bezwładnie przeleciała w oddali i znikła daleko w dole, pogrążając się w bieli.

– Dobrze – oznajmił faraon, nie spuszczać wzroku ze Styxa. – Świetnie.

Po drugiej stronie pojawił się i zaraz wyparował niewyraźny napis: „Gesaffelstein – Hate or glory”. Pustka wypełniła się rytmiczną muzyką.

– Możemy zacząć podróż – dodał.

Styx poczuł ból w uchu i w mgnieniu oka znalazł się z powrotem na metalowej kładce, nad morzem żywych serwerów. Naokoło dudniła muzyka. Byli coraz bliżej wejścia do hali.

– Internet nas nie potrzebuje – stwierdził Wirus, znowu w postaci wysokiego robota. – Nikt nie wie, co jest źródłem zasilania. Jest samowystarczalny. Inaczej ma się sprawa z moim domem. Materialne konstrukty potrzebują źródła energii. Żeby mój kult mógł prawidłowo funkcjonować, potrzebujemy punktu zaczepienia w tej rzeczywistości. Kotwicy. Oto i ona. – Stali przed metalowymi wrotami, które rozsunęły się przed Wirusem.

W środku hala okazała się dużo większa niż z zewnątrz. Szare ściany podkreślało białe, sztuczne oświetlenie. Na środku pomieszczenia znajdował się sferyczny stelaż wielkości budynku, który na górze łączył się z wylotem rury zakończonej okratowanym filtrem. Konstrukcja iskrzyła się na niebiesko od elektryczności. Z mokrego filtra wypadały ciała lub fragmenty ciał. Mięso spadało i przyklejało się do przeseł kuli, która przyciągała je niczym magnes. Ciała powoli pęczniały, przewodząc prąd. Wybuchwały, bryzgając krwią, i odpadały w czarną dziurę pośrodku urządzenia.

Z przodu podłączony do cuchnącej maszyny grubym, świecącym kablem siedział nagi mężczyzna na metalowym krześle. Wirus i Styx podeszli do niego, spoglądając w oczy tak przekrwione, że przypominały dojrzałe wiśnie. Ciało siedzącego było napęczniałe, ale stabilne. Żyły wypełniały ruchem wiązki elektryczności. Zdawało się, że pod jego skórą żyje kolonia

elektrycznych węgorzy. Mężczyzna nie miał włosów, a opuchnięta twarz pozbawiona była jakichkolwiek rozpoznawalnych rysów.

– To jest Necro. Mój pierwszy kapłan. On znalazł mnie w sieci. Dzięki niemu tu jestem – wytłumaczył Wirus z potwornym uśmiechem, patrząc na żywą elektryczność.

– Co to za miejsce? – Styx dusił się zapachem przypalonego ciała, ale ku swojemu zdziwieniu przestało mu to przeszkadzać.

– Elektrownia. Narośl na nieskończonych serwerach. Wybudowaliśmy ją, żeby karmić kult. To miejsce zasila mój dom. Necro dokonał ostatecznego poświęcenia, żeby przedsięwzięcie mogło się udać. Oddał swoje ciało w wyższym celu. Jest kluczowym ogniwem w maszynie zapewniającej nam byt. Obiecałem mu, że będzie ważny, niezbędny, a jego ciało wieczne. I tak się stało.

– Czy on żyje?

– Nie – stwierdził oschle Wirus. – Ale jego piękne ciało tak. Oddycha prądem, karmiąc świat na górze. Poświęcenia są konieczne, żeby zbudować coś wielkiego.

– Wygląda, jakby miał zaraz eksplodować. – Styx aż się skrzywił, dostrzegając skwierczącą ranę na szyi Necro.

– Spokojnie, jest perfekcyjnie zakonserwowany. Nie może eksplodować, bo stanowi niezbędną uszczelkę. Inne ciała muszą być ciągle dostarczane z góry, żeby proces trwał ale to Necro jest najważniejszy. Siedzi tu już bardzo długo. Od początku. Gdyby coś mu się stało, nastąpiłoby zwarcie, a cały mój kult zostałby pochłonięty przez ogień. Ktoś musiałby tu wejść i odstrzelić mu śliczną główkę, a dostępow mam tylko ja.

Wirus odwrócił się i ruszył do wyjścia. Styx chłonął obrzydliwe pomieszczenie i cofnął się za przewodnikiem. Włosy sterczały mu na plecach jak przy Elektrycznej Pustce, a nozdrza wypełniał niemożliwy odór. Coś jednak sprawiało, że mięsna elektrownia nie powodowała w nim obezwładniającego obrzydzenia. Żył wypełnione prądem, pulsujące serce systemu – to wszystko

wydawało się niespodziewanie normalne i w jakiś dziwny sposób uspokajające.

Haker pobiegł za maszyną o ludzkim kształcie, ponieważ nie chciał zostać sam. Istota była jego czystym przewodnikiem w nowym, brudnym świecie i nie zamierzał jej zgubić. Metalowe wrota zamknęły się za jego plecami, a makabryczny widok zniknął.

– Właśnie widziałeś najważniejsze, ale zarazem najmniej istotne miejsce w moim domu. Filtr przepuszcza kawałki ciała do ciągłego obiegu. Tak też działa cała elektrownia. Stanowi cielesną kotwicę, filtr, a także most pomiędzy cyberprzestrzenią a materialnym Światem Mroku. Umysł znajduje się w sieci, a jego mięsna forma jest uziemiona właśnie w tym miejscu i wypływana dokładnie ponad naszymi głowami.

Wirus uniósł metalową głowę i poszedł z powrotem w stronę balkonu. Styx siedł obok w ciszy, z komputerem w rękach, podziwiając rozświetlone podziemie.

– Sztuka polega na połączeniu obu światów, tak aby ulepszyć ten fizyczny. Fizyczna symbioza zamiast wirtualnej anihilacji – wyjaśnił, a pulsująca muzyka otaczała ich z każdej strony, aż Styx czuł jej wibrujący rytm pod czaszką. – Połączeniu i wykorzystaniu ciała do wyższych celów. Sztuczny Bóg dążył do zatarcia granicy, nie było w tym żadnego celu. Tylko człowiek może pojąć fakt, że mięso to materiał artysty. Robimy z nim, co chcemy. Wyrażanie siebie to nasz cel – dodał robot, wchodząc po schodach do białego pokoju.

Styx ostatni raz spojrział na serwery oddychające daleko w dole, aż ponownie znaleźli się obok dużego białego łóżka przy czarnym stawie, którego poziom wody zdawał się obniżać. Wirus jednym płynnym ruchem długiej ręki przesunął mebel, zakrywając wejście.

– Niestety, okazuje się, że ciało jest niczym bez umysłu – kontynuował, prowadząc Styxa wzdłuż egzotycznej panoramy.

Wielki kolorowy ptak przeleciał obok jego nienaturalnej, niemal idealnej twarzy. Przeszli za ścianę z olejnym obrazem, przy której stała biała sofa.

– Umysł jest wszystkim. Paradoks polega na tym, że bez ciała, bez fizycznej formy pozostaje niewidzialny, jakby nie istniał naprawdę. Dobrze się tego nauczyłem, spędzając wieczność w Internecie.

Z tyłu pokoju znajdował się niewielki biały hol oraz wejście do windy. Nad nią ukazało się piętro minus dziewiąte. Rozsuwane drzwi się otworzyły. Weszli do środka.

– Na razie nie jesteś w stanie pojąć tej prawdy. Tego trzeba doznać. – Wizjer Wirusa obrócił się dwa razy, drzwi zostały zamknięte, a na panelu z numerami, w rogu, zaświeciła się liczba minus osiem.

Winda ruszyła w górę, a muzyka wypełniła ciasną przestrzeń.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Bill drżał na zimnym, metalowym stole operacyjnym, dochodząc do nowego siebie. Czuł rozrywający ucisk w lewym ramieniu. Odwrócił się od demonicznej kobiety stojącej przy wejściu, zza którego przebijała się zduszona ścianami muzyka.

Ostrość widzenia była niewiarygodna. Dostrzegął każdy szczegół maszyny chirurgicznej, ponuro zawieszanej nad jego głową. Każda naoliwiona rurka błyszczała brązową substancją, pełną pozlepianych grudek brudu. Zakrwawione ostrza na wysięgnikach żarzyły się od kapiącej posoki. Delikatne stalowe

rączki pokryte były matową izolacją. Bordowe światło mrocznego pokoju biło z każdej strony. Oszołomiony zabójca miał nagą klatkę piersiową, ale na nogi wróciły znoszone dresy z białymi paskami po bokach oraz szare, brudne trampki.

– Cześć, przystojniaku – Głęboki głos dobiegł od strony konsoli kontrolnej. – Widzę, że już z tobą lepiej.

– Lepiej? – Bill z trudem wydusił z siebie pytanie.

– Byłeś niedokończony, kochanečku.

Kobieta podniosła drinka z panelu, rozpostarła obsydianowe skrzydła, podleciała w górę i zgrabnie usiadła na brzegu maszyny chirurgicznej nad jego twarzą. Tępa piła wystawała spomiędzy jej silnych ud jak zbędne narzędzie w szczyryku. Bill napotkał na spojrzenie swojej oprawczyni. Otoczone czarnym cieniem i białym pudrem oczy były studniami wypełnionymi błyszczącym mrokiem nocy. Krwistoczerwone usta zdobił niezdrowy, ale piękny uśmiech. Kobieta nosiła czarną, przyciętą suknię z białą halką. Bo bokach huśtały się nogi w białych rajstopach i białych bucikach.

– Znalazłam na tobie moje ślady. Musiałeś być jednym z wielu nieudanych projektów, a ja najwyraźniej popełniłam błąd. Bardzo dobrze przyswoiłeś oko, a to znaczy, że jednak miałeś duży potencjał. Masz szczęście, że wróciłeś do mamy Coen. – Skrzydlata istota popiła drinka, obserwując reakcje Billa.

– Krwawa dziura... – zabójca mógł nieznacznie poruszać kończynami, w tym jedną nową – ...to tu.

– Tak. Trochę ulepszyliśmy placówkę, od kiedy do nas pierwszy raz trafiłeś. Twoje czerwone oko było mocno przestarzałe. – Coen znów lekko wleciała i wylądowała obok twarzy Billa. – Już się tym zajęłam. – Odstawiła prawie pustego drinka i oparła się na mokrym od krwi stole.

Zabójca z trudem uniósł szyję, jeszcze raz przyglądając się metalowej ręce. Sztucznie umięśniona, pełna kabli i przewodów

kończyna dotykała boku jego brzucha, naturalnie obca, jakby zawsze tam była, a on tylko jej nie zauważył.

– Jeszcze jesteś sztywny. – Coen uniosła dłoń w cienkiej, białej, poplamionej na czerwono rękawiczce i dotknęła piersi Billa. Delikatnie przesunęła się dalej do stalowych szwów i spiętych mięśni. Jej druga ręka niespodziewanie znalazła się w okolicy jego pępka. – Całkiem sztywny. – Długie palce wyczuły napiętego członka ukrytego w dresach. – Impreza już się zaczęła, mały. Tracisz całą zabawę. – Kręcone włosy zakolysały się, a jej chory uśmiech był naprawdę blisko chudej twarzy pokrytej czarnym, grubym zarostem. Ciało zabójcy wciąż przechodziły niekontrolowane drgawki. – Spokojnie. Pomogę ci się rozruszać.

Coen zatrzepotała długimi rzęsami i ciężkimi skrzydłami jednocześnie. Wskoczyła na uda Billa, podwinęła gęstą halkę i szybkim ruchem ściągnęła górę zużytych dresów. Wymacała twardego ludzkiego penisa i powoli usiadła na nim z przesywającym jękiem rozkoszy. Bill poczuł w dole coś, czego nie tyle się nie spodziewał, co po prostu nie znał. Mokry, miękki metal. Urządzenie będące częścią genitaliów kobiety pożerało jego członka, stymulując przy tym całe ciało. Coen wygięła się łuk, a potem wyprostowała, a jej mroczne skrzydła wypięły się wzdłuż maszyny chirurgicznej. Spojrzała z dzikim uśmiechem na Billa, który trząsł się coraz mocniej jak podczas padaczki. W końcu wewnątrz pokoju się rozmazało, a zabójca poczuł uwalniającą, ohydną, odpychającą rozkosz, która rozerwała i jednocześnie złączyła jego zdruzgotane ciało.

Nowy Bill opadł bezwładnie na blat. Teraz czuł wszystko. Kiedy otworzył oczy, w idealnej rozdzielczości dostrzegł trzymającą się pod boki Coen. Kobieta stała obok panelu i kończyła drinka.

– Podciągaj spodnie i wstawaj, żołnierzu – roześmiała się beztrąsko.

Ciężkie drzwi za jej plecami rozwarły się, ukazując fioletowoczerwone mrugające światła. Muzyka wdarła się do małego pokoju, a w rogu obrazu znowu mignął napis: „Prodigy – Warriors Dance”. Mężczyzna wsunął dresy na biodra, usiadł na stole i unosił metalowe ramię, przyglądając mu się dokładnie. Skrzydlata kobieta stała na zewnątrz, a światła podkreślały jej trupio bladą twarz oraz czerwone usta.

Bill stanął pewnie na zimnej posadzce. Pokręcił parę razy nową ręką. Poczuł w niej zamkniętą, niesamowitą siłę. Odruchowo spróbował wyrwać ostrze zwisające nad jego głową. Poczuł ucisk za prawy uchem i nic się nie stało.

– Gdzie jest mój rewolwer? – przekrzykiwał muzykę.

– Nic nie słyszę, mały! – wrzasnęła kobieta, wykonując jednocześnie przywołujący gest ręką.

Zabójca nie miał wyjścia. Wolnym krokiem minął konsolę i wyszedł z pokoju, w którym został pokrojony i skosztowany niczym soczysta świąteczna pieczeń. Wyłonił się z ciemności, masywne wrota wypluły go lepkiego od potu i mokrego od świeżej krwi. Z nagą piersią i obnażonym, metalowym ramieniem stanął w pulsujących światłach, które migając, ukazywały tłum wijących się w tańcu ciał. Coen ruszyła między nimi prostym krokiem, a postaci rozstępowały się przed majestatycznymi skrzydłami. Bill podążył za nią, przeciskając się przez falujący tłum. W rozbłyskach bieli dostrzegał jedynie kontury, twarze bez wyrazu, białe oczy i krzywe kręgosłupy zgniecione przez rytm. Szli w stronę światła.

Szalony mrok rozdierany światłem kończył się pośrodku rozległej przestrzeni. Centralna część pomieszczenia stanowiła jasne serce drgającego ciała. Duże przerwy w półokrągłych ścianach prowadziły do osiemnastowiecznej sali balowej pomalowanej na fioletowo z nadmiarem złotych ozdób. Wszystkie ściany i sufit pokrywały złote liście i węże, poskręcane

w wymyślnych uściskach. Czarna, lśniąca, marmurowa posadzka wypełniona była postaciami w wyszukanych sukniach i męskich strojach wyjściowych. Wszystkie miały mocny makijaż i zlewały się ze sobą.

Na szarych ozdobnych kanapach przy ciężkich czarnych stołach siedziały także postacie w białych szatach, z kapturami na głowach. Bill odwrócił się zdziwiony, podążając wzrokiem za dwójką istot w czarnych garniturach z teczkami oraz rybimi głowami, ociekającymi śluzem. Istoty z dźwiękiem gulgotu minęły zabójcę, wcale nie zwracając na niego uwagi. Parę postaci skinęło głową w stronę Coen. Zatrzymali się na środku sali, tu także muzyka wypełniała otoczenie, więc trzeba było podnosić głos. Bill dostrzegł kilka twarzy pokrytych metalowymi płytkami i mężczyznę, który pod skórzanym, eleganckim surdudem skrywał świecący sztuczny brzuch.

– Witaj w domu. – Coen mrugnęła porozumiewawczo do zabójcy. – Rozluźnij swoje nowe ciało. Wczuj się w rytm. Spróbuj odnaleźć się w towarzystwie. – Kobieta lekko się poruszała w takt muzyki. – Wierzę w ciebie, Bill. – Uśmiechnęła się szeroko.

Nagle podbiegł do niej kelner w ciemnym garniturze i pończochach, ze stalowym okiem.

– Siostra ma do pani sprawę – powiedział.

– Nie zawieźdź mnie, proszę. – Coen spojrzała jeszcze raz na Billa, oszołomionego głośnym otoczeniem. – Później cię znajdę – dodała, po czym odwróciła się, muskając twarz zabójcy twardymi piórami zamaszystych skrzydeł, i zniknęła w tłumie.

Bill obrócił się i zauważył, że stoi obok okrągłego podestu pośrodku pomieszczenia. Na górze nieludzko zwinnie poruszała się szczupła kobieca sylwetka. Nagi, wysoki, pokryty błyszczącym metalem robot-kobieta tańczył w jasnym świetle. Taniec wprowadził zabójcę w osłupienie. Nigdy nie widział czegoś równie pięknego i hipnotyzującego. Idealnie wyrzeźbione w surowym

metalowo ciało – małe stopy, długie nogi, wąska talia – pływało po podeście niczym syrena w transie. Wtedy dostrzegł jej drobną, srebrną twarz, wąskie, szare usta, czarne oczy oraz włosy zrobione z grubych, czarnych kabli i poczuł się naprawdę słabo. To była ona. Jego miłość z przeszłości. Jej twarz. Wspomnienia wróciły, piekąc jak nagły opad kwaśnego deszczu. Przypomniał sobie jej pocałunki w ciemności, kojące ciepło jej ciała, kiedy bał się zasnąć w Świecie Mroku.

Nie zauważyła go, całkowicie zajęta tańcem. Próbował krzyknąć, zawołać ją, ale nie mógł. Ciało wyrывało się do ruchu, ale stał w miejscu. Rozejrzył się panicznie naokoło. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Obce postacie i rybnie istoty przechodziły z drinkami w dłoniach. Drinkami. Przeskanował uważnie salę balową, a jego doskonały wzrok natrafił na bar schowany pod jedną z połączonych ścian. Mimowolnie podszedł do lady.

Przy ciężkim, czarnym barze siedział mężczyzna w pończochach, falistej koszuli i wysokiej peruce. Wstał i uniósł zamówionego drinka do metalowej szczęki, wystającej z ludzkiej twarzy. Uśmiechnął się potwornie i odszedł w głąb pomieszczenia. Bill oparł się o blat i stanął twarzą w twarz z barmanem. Rudy, krótko obcięty mężczyzna o bladej, pokrytej pudrem twarzy i nienaturalnie jasnych, szarych oczach nosił czarny garnitur i muszkę. Czyścił właśnie dużą szklanekę, spoglądając uważnie w oczy zabójcy.

– Jesteś nowy, co? – zapytał.

Bill nie odpowiedział.

– Nazywam się Flint. – Barman wytarł naczynie i je odłożył. – Nieźle cię załatwiła – stwierdził z nutą smutku.

– Co to za miejsce?

– Wieczne przyjęcie – oznajmił Flint. – Impreza Sandy Coen. Przeklętej harpii. Jesteś teraz jednym z gości.

– Ja nie... – Bill czuł ucisk przy uchu. – Nie mogę...

– Nic zrobić – dokończył za niego barman. – Tak. Coen trzyma cię na krótkiej smyczy. Ma tu w swojej władzy prawie wszystkich oprócz kilku osób. Swoich siostr, HP, akolitów Wirusa i mnie – zakończył z uśmiechem.

– Kim jest ta kobieta? – Bill z trudem zadał pytanie, wskazując na chromowaną tancerkę.

– Masz na myśli to? – upewnił się Flint, opierając ręce na blacie. – To Shodan, jeden z najbardziej udanych projektów chirurga Sandy Coen. Przykuwa uwagę, prawda?

– Znam ją. Znam jej twarz.

– Naprawdę? Jak to?

– Kiedyś byliśmy razem.

– Ty i Shodan? – Flint aż się skrzywił, nie dowierzając. – W ogóle, jak się nazywasz?

– Ona nazywała się inaczej. – Bill zignorował pytanie. – Nie pamiętam jak. Kochałem ją. – Jego pełna napięcia twarz wyrażała szczerze cierpienie wywołane uczuciami, których już od dawna nie rozumiał.

– Ciekawe. – Flint złożył ręce na piersi. – Bardzo ciekawe. – Zmarszczył rude brwi. – Ty naprawdę cierpisz. Nie udajesz. Twoje uczucia nie są wszczepione, zaprogramowane ani wypaczone jak tych pustych skorup i oślizgłych ryb naokoło. Mogę spróbować ci pomóc, przyjacielu.

Bill obserwował w skupieniu ruchy barmana. Mężczyzna schylił się, wyjął dwie butelki: czystą wódkę i mętny niebieski płyn. Wlał zawartość obu do stalowego miksera, wymieszał, wyciągnął szklanekę i wlał do niej niebieskiego drinka. Następnie wymacał w kieszeni mały, plastikowy woreczek pełen białych, okrągłych tabletek. Wrzucił jedną do alkoholu. Schylił się i znalazł pod blatem malutki, niebiesko-szary chip, który również dodał do drinka. Postawił gotowy napój przed twarzą zabójcy.

– Wypij. To cię wyzwoli. – Uśmiechnął się. – Tylko do dna.

Bill nie widział innego wyjścia, a zapętlona muzyka i ból za uchem nie pozwalały mu myśleć. Z ogromnym trudem chwycił szklanę ludzką dłonią i uniósł ją do ust. Wypił wszystko naraz, pochłaniając również chip. Jednocześnie poczuł, że substancja rozchodzi się po jego żyłach i wpełza w każdą część ciała. Więzy, które trzymały go od zejścia ze stołu operacyjnego, puszczały. Odzyskiwał kontrolę. Uniósł ręce bez problemu i z wściekłością zacisnął nową, metalową pięść. Uśmiechnął się mimowolnie.

– Jak się czujesz? – zapytał Flint.

– Żle – oznajmił z odczuwalnym gniewem Bill. – Ale zamierzam to zmienić. – Już odkrywał nowe umiejętności swoich sztucznych oczu. Widział tempo bicia serca Flinta, jego zdolności fizyczne, skład powietrza wokół, drgania wywołane muzyką. – Dzięki – dodał. – Coen zabrała mój rewolwer. Nie wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

– Wszystkie rzeczy, które zabiera swoim obiektom, trafiają do jej gabinetu. Idź korytarzem po drugiej stronie sali. Gabinet znajdziesz na końcu – odpowiedział barman.

Bill odwracał się, rozsmakowany w odzyskanej wolności.

– Mam nadzieję, że zamierzasz wywołać trochę chaosu. – Flint wziął pustą szklanę, zamoczył szmatkę za barem i zaczął wycierać. – Ostatnio jest tu tak nudno.

Zabójca nie odpowiedział. Ruszył przez salę balową. Przepychał się przez otępiały tłum. Gdy mijał podest, jeszcze raz przyjrzał się tancerce. Serce zabiło mu mocniej. Musiał tylko odzyskać rewolwer z gabinetu Coen. Potem uwolni ukochaną, kimkolwiek teraz jest, to wciąż jej twarz, i uciekną z tego piekła.

Znalazł się w wąskim korytarzu pokrytym fioletową tapetą w ciemniejsze romby. Długie pomieszczenie rozświetlały liczne świeczniki zawieszane po bokach. Szybkim krokiem ruszył przed siebie. Mijał eleganckich gości z papierosami w metalowych, wyglądających na kościste, dłoniach. Dalej, w ścianie z boku

zaczynała się szersza odnoga korytarza. Na rogu człowiek ryba obściskiwał się z wysoką kobietą w szerokiej, białej sukni. Ich usta zlepiały się w ohydny pocałunku. Głębiej w ciemnym, szerszym korytarzu Bill dostrzegł zarys czarnych skrzydeł i szybko poszedł prosto wąskim przejściem. Zatrzymał się naprzeciwko dużych zdobionych drzwi. Wszedł do środka.

Gabinet Sandy Coen również rozciągał się na planie okręgu. Na środku dużego pomieszczenia znajdowała się otchłań – kontynuacja dziury zięjącej z sufitu. Bill rozpoznał fragment głębokiej, krwawej studni, do której wpadli najemnicy w Karmazynowej Twierdzy. Zaokrąglone ściany pokrywały sterty upchanych gratów. Gabinet należał do nałogowego zbieracza. Nierówna, słabo oświetlona kolekcja zawierała wszystko: niezliczone buty, pluszowe misie, szczury, żaby i jednoróżce, miecze, siekiery, piły mechaniczne, karty, medale, worki monet, obrazy... Po drugiej stronie cuchnącej przepaści stało czarne, ciężkie biurko.

Bill natychmiast namierzył swoją broń leżącą na ciemnym drewnie. Obiegł studnię i stanął nad rzeźbionym meblem z naostrzonymi krawędziami. Niewielka, zielona biurowa lampa oświetlała pozostawiony rewolwer. Obok znajdował się pasek z sześcioma magazynkami. Coen musiała przygotowywać się do wypróbowania skradzionej broni. Zabójca szybko założył pasek, nie potrzebował już urządzenia do ładowania naboju. Chwyił rewolwer ludzką ręką i poczuł się kompletnie. Przerzucił broń do nowej dłoni i z powrotem. Z satysfakcją dołączył pierwszy magazynek. Uśmiechnął się paskudnie.

Kiedy już miał wracać do wejścia, dostrzegł uchyloną szufladę i coś połyskującego wewnątrz. Schylił się, otworzył ją i wyciągnął inny wypolerowany czarny rewolwer z magazynkiem. Uniósł broń i obrócił przed oczami, po czym zaśmiał się niekontrolowanie. Półnagi zakrwawiony zabójca z metalową ręką został ulepszony.

Schował nowy instrument śmierci za pasek i pewnym krokiem ruszył do drzwi gabinetu. Zduszona muzyka ucichła, a gdy chwycił za klamkę, wróciła z nowym rytmem.

Ponownie stał w fioletowym, spowitym papierosowym dymem korytarzu. Oczy rozpoznały piosenkę: Boy Harsher – *Pain*. Niemal pobiegł z powrotem do sali balowej, mijając przejście, gdzie ostatnio widział czarne skrzydła. Niesamowity tłum kołysał się w chorym tańcu, a światła nieco pociemniały. Flint dostrzegł Billa i z nieznacznym uśmiechem obserwował, jak zabójca zbliża się do okrągłego podestu. Zabójca wskoczył na górę i stanął twarzą w twarz z Shodan, nagą kobietą z metalu. Błyszczące nogi zamarły, a mroczne oczy utkwily w zmęczonym obliczu Billa. Muzyka pulsowała w uszach, a obie postacie stały jak bliźniacze posągi. Bill chłonął znajomą twarz z przeszłości. Nie pamiętał niczego konkretnego, ale wiedział, że była jego miłością, i to wystarczyło. Schował swój rewolwer za pas, uniośł lekko ręce i zbliżał się powoli.

– To ja. Spokojnie. Znalazłem cię.

Kobieta pochyliła głowę na bok, a jej oczy, które stanowiły jedyny całkowicie obcy element twarzy z odległej przeszłości, zdawały się go pożerać.

– Chodź ze mną. Razem możemy stąd uciec – zaproponował. Byli już naprawdę blisko siebie. – Kocham cię – powiedział w końcu Bill, tracąc czujność.

Shodan odwinęła się zręcznie, kopiając zabójcę złączonymi nogami. Bill odleciał z podestu i spadł aż na stół znajdujący się przy ścianie. Dwóch mężczyzn w staromodnych płaszczach, zawiniętych perukach i ze skrzyżnymi się niebieskimi oczami wypełnionymi elektrycznością odskoczyło wściekle na bok. Równocześnie wyciągnęli dwa ręczne działka. Bill nie zastanawiał się ani chwili. W mgnieniu oka wyrwał z paska dwa rewolwery i znajdując słabe punkty na czołach cyborgów, wystrzelił. Oczy

napastników zgasły, a ciała głucho upadły. Grupa tańczących obok zamarała, kilkoro ludzi ryb oraz postaci w białych kapturach skoczyło do ucieczki. Muzyka się rozpędziła.

Uczestnicy imprezy rzucili się na zabójcę. Bill odchylił się na plecy, spadając razem ze stołem do tyłu. Mebel stworzył zasłonę, a zabójca uniósł rewolwery gotowe do tańca śmierci. Muzyka bólu zawtórowała, kiedy padły pierwsze strzały. Grupy eleganckich mężczyzn we frakach i pończochach z cybernetycznymi fragmentami ciał oraz kobiet w długich, zamaszystych sukniach z mocnym makijażem skoczyły do ataku jak rozjuszone, pocięte metalem zombie.

Oczy Billa zaznaczały kolejne punkty na ciałach ofiar i następne cele padały pod perfekcyjnymi trafieniami. Głowy w perukach eksplodowały, malując fioletowe ściany i ciemną podłogę na czerwono. Niska kobieta w czerwonej sukni z metalowymi dłońmi dobyła dwóch małych pistolecików i posłała grad pocisków w stronę Billa. Zabójca oddał dwa precyzyjne strzały, którymi oderwał jej obie ręce. Zza jego pleców wyłonił się kelner w garniturze ze stalowym okiem, którego wcześniej widział przy Sandy Coen. Nowa, ciężka kończyzna odruchowo upuściła czarny rewolwer na ziemię i wyciągnęła się w stronę głowy kelnera, który właśnie dobył tępego noża.

Ciężkie palce Billa niespodziewanie wbiły się w czaszkę i chwyciły stalową kulkę wczepioną w oczodół. Kelner wrzasnął, chwycił się za tryskającą krwią dziurę i odskoczył. Stary rewolwer Billa wypalił i posłał kulę prosto w serce mężczyzny. Z tyłu, tuż koło pokrytej zarostem twarzy, przemknęło cienie jak igła ostrze. Kobieta stojąca przy stole miała stalowe palce spiłowane do zabójczych szponów i chciała wydrapać zabójcy oczy. Mężczyzna odwrócił się momentalnie i z całej siły nowego ramienia rzucił stalowym okiem w twarz napastniczki, wgniatając jej szczękę do środka.

Wysłużony rewolwer powalił w tym czasie kolejną dwójkę zbliżających się uczestników balu. Pusta sztuczna ręka podniosła czarną broń z podłogi. Bill wypuszczał deszcz pocisków po sali balowej, wysyłając kolejnych członków chorej imprezy głębiej do piekła. Nagle na drugim końcu pomieszczenia – przy barze obok spokojnego, nieznacznie uśmiechniętego barmana Flinta – dostrzegł Shodan. Kobieta robot stała wyprostowana i ze spokojem, niemal zdziwieniem, przyglądała się masakrze. Ich oczy spotkały się na linii ataku. Metalowa istota o twarzy dawnej miłości Billa rozłożyła ręce, a jej mechaniczne ramiona otworzyły się, ukazując zabójcze ostrza. Uchwyty puściły, a broń spadła prosto do jej drobnych dłoni.

– Nie – wyszeptał zdezorientowany Bill.

Shodan z obojętnym wyrazem twarzy ruszyła szybkim krokiem prosto na niego. Zabójca zmienił zręcznie magazynki i wystrzelił w powietrze, koło ramion robota. Kobieta tylko przyspieszyła, wybiła się na stosie formalnie ubranych ciał cyborgów, wykreśliła piruet i spadła na zabójcę. Bill odruchowo uniósł ramię, które zatrzymało potężny cios ostrzy. Szczęk metalu przebił się przez dźwięk muzyki. Wzrok zabójcy zaznaczył czarne oczy kobiety jako jedyny potencjalny cel. Bill nie posłuchał sugestii i wypalił parę razy w metalowy korpus. Pociski odbiły się od niej, iskrząc. Shodan zgrabnie odskoczyła i machnęła swoją bronią, rozcinając w ten sposób skórę na piersi zabójcy. Z powierzchownej rany pociekła krew.

– Kurwa. – Bill brutalnie ocknął się z pogrążonego we mgłę snu przeszłości, który dręczył go całe życie, aż do teraz.

Jego miłość odeszła. Wypolerowana twarzyczka, którą rozpoznał, nagle nic nie znaczyła i skrywała jedynie obojętny ból. Przeszłość zginęła bezpowrotnie w mroku krwawej dziury. Nie ma powrotu. Muszę przeć naprzód – naszła go niespodziewana myśl. Przebić się przez to całe kłamstwo do rdzenia, wyrwać jego serce.

Z wściekłością na bladej twarzy Bill zamierzył się na twarz pięknego robota. Wystrzelił celnie i szybko, a kobieta nie zdążyła się uchylić. Jej oko, jak krucha lza mroku, rozpadło się na kawałki, a z ust dobiegło przeszywające komputerowe wycie. Bill nie czekał, aż przeciwniczka dojdzie do siebie. Odwinął się i popędził fioletowym korytarzem.

Do znajdujących się tam uczestników balu dopiero docierało, co się dzieje. Postacie z zaciekawieniem obserwowały mijającego je wysłannika śmierci. Przy przejściu stały dwie kobiety, jedną z nich była Sandy Coen, druga, ubrana schludniej od chirurg, miała mlecznobiałe, drobniejsze skrzydła wystające z pleców. Obie dostrzegły uciekiniera.

Coen zakręciła się i wyciągnęła obsydianowe skrzydło, żeby zagrozić zabójcy drogę. Bill zanurkował i przeleciał pod nim, jednocześnie oddając kilka zaporowych strzałów, które Sandy odbiła drugim skrzydłem. Bill podskoczył i całym ciężarem ramienia uderzył w drzwi do gabinetu, które rozpadły się na kawałki. Lekko oszołomiony wstał, a na jego głowę spadł grad uderzeń metalicznych ostrzy. Kilka ciosów pocięło mu dres na wysokości uda, resztę odbił ramieniem. Odskoczył i spojrzał na napastniczkę. Shodan stała przygarbiona ze skwierczącym oczodołem, który ujawnił coś na kształt przerwanej linii wysokiego napięcia. Czysta, metalowa twarz była wypełniona wykalkulowaną żądzą mordu. Bill szybko wymienił magazynki, unikając kolejnych ciosów, i zaczął strzelać. Shodan schyliła się, zasłaniając twarz ostrzami. Zabójca posyłał kolejne kule i oddalał się w stronę przepaści. Gdy dotarł do krawędzi, odchylił się i poleciał w otchłań, kontynuując ostrzał. Spadając, dostrzegł znikającą kobietę sylwetkę na krawędzi studni. Muzyka sali balowej cichła i się oddalała.

Leciał w dół, w ciemność, i po chwili słyszał jedynie szum powietrza. Czuł smród zaschłej krwi na otaczających go ścianach

i ścisnął rewolwery, gotowy do uderzenia w taflę wody na dnie. Odwrócił się niczym spadochroniarz tuż przed otwarciem spadochronu, schował rewolwery za pas i dostrzegł zbliżające się nagle światło. Po chwili wpadł do innego pomieszczenia.

Lepkie kamienne ściany przeszły w ogromne regały biblioteki, a do każdego z nich wchodził pęk kabli pochodzących z głębszej otchłani. Zapiekło go ucho i usłyszał nową muzykę. Dostrzegł napis: „DJ Zinc – Ska”. Równocześnie minął platformę z dwoma siedzącymi ludźmi, a wzrok rozpoznał jednego z nich jako Fatboya. Kierowca podłączony był do długiego urządzenia. Bill nie mógł nic zrobić – spadał bezwładnie dalej wzdłuż kabla. Muzyka powoli cichła, a regały pełne czegoś, co wyglądało jak stare książki, ciągnęły się aż do czarnego otworu na dole. Dziura otoczona była kłębowiskiem kabli pozwijanych niczym pnącza w sercu dżungli. Tam kończyły się wszystkie węzowate urządzenia.

Bill przeleciał przez otwór, tracąc bibliotekę z pola widzenia. Ponownie zastąpiły ją krwawe ściany. Leciał dalej w ciszy, aż w mgnieniu oka minął śnieżnobiały pokój z panoramą dżungli. Spadł głębiej, ponieważ poziom wody znajdował się znacznie niżej niż wcześniej. Przeszywająco zimna woda połknęła go w całości, a na dnie dotknął czegoś miękkiego. Wynurzył się, nabrał stęchłego powietrza i zauważył, że wody jest coraz mniej. Nagle mógł stanąć na niestabilnym podłożu. Ciecz szybko zlatywała gdzieś w dół, ukazując porwane, przemoczone dresy i szare trampki zabójcy. Mężczyzna stał na stosie upchanych w studni, poskręcanych ciał. Krzywe, zamokłe twarze wpatrywały się w niego potwornymi, pustymi spojrzeniami, a miękkie, martwe palce muskały podeszwy butów. Gdzieś głębiej usłyszał złowrogie syk elektryczności, pożerający ludzką masę. Nie czekał chwili dłużej. Odbił się od ciał i metalową ręką chwycił za nierówne mokre skały. Wspinał się jak najszybciej, gdy góra ciał zaczęła się obniżać razem z poziomem wody, niczym wepchnięta w młynek

do mięsa. Ostatnim ruchem chwycił za krawędź, którą stanowiła mlecznobiała posadzka. Podciągnął się i upadł na plecy zostawiając krwawy ślad na bieli niewielkiego pokoju. Z trudem łapał oddech, wpatrując się w biały sufit.

Puste pomieszczenie wyglądało identycznie jak za pierwszym razem. Zabójca usiadł, odłożył obok rewolwery i przecesał metalową ręką długie, mokre włosy. Ciągle czuł bużującą adrenalinę. Odetchnął głęboko, podniósł broń i wstał, rozglądając się po otoczeniu. Rozpoznał zakrwawione, wiszące nad nim łóżko, oprawione w szkło ludzkie organy, szeroką, białą sofę oraz budzący grozę obraz demona za nią. Podeszedł do krawędzi krwawej dziury i dostrzegł kotłujące się w dole zwłoki. Był tu wcześniej. Na pewno. Odwrócił wzrok z obrzydzeniem i przeszedł po jasnej podłodze z migającymi światłami pod spodem do przejścia za sofą. Z zainteresowaniem obserwował rozległą, jasną dżunglę za sztucznym oknem. Otwarta, zapierająca dech w piersiach przestrzeń robiła na nim mocne wrażenie.

W pomieszczeniu za ścianą zauważył rozsuwane drzwi prowadzące do windy. Zatrzymał się przed nimi i przyjrzał się panelowi obok oraz wąskiej szczelinie pośrodku. Dotknął urządzenia. Nic się nie stało, więc schował broń za pas i chwycił część drzwi nową ręką. Wystawił nogę do przodu i z zadziwiającą łatwością otworzył przejście. Jego oczom ukazał się ciemny, pusty szyb windy. Zajrzał do środka i uniósł głowę. Kwadratowa przestrzeń była sucha i wypełniały ją metalowe przęsła. Mechaniczne spojrzenie oceniło odległość między konstrukcjami oraz zasugerowało możliwość wspinaczki. Bill cofnął się w holu i z rozbiegu skoczył na pierwsze przęsło. Podciągnął się, dostrzegł następne po przeciwnej stronie, odbił się i złapał ponownie. Powtórzył manewr wielokrotnie, aż posadzka białego pokoju znikła z pola widzenia. Wyżej winda właśnie opuściła kolejne piętro i ruszyła do góry. Bill zalany potem przyspieszył, w końcu

docierając na wyższy poziom. Wskoczył na półkę, lądując twarzą w twarz z kolejnymi, rozsuwanymi drzwiami. Zaparł się na niewielkiej półce, odsunął przeszkodę i wszedł przez otwór do środka.

Znalazł się w mniejszym pomieszczeniu z ciemną, drewnianą podłogą i podobnym sufitem. Z każdej strony otaczały go regały pełne starożytnych gier w pudełkach, filmów i seriali w formacie VHS i DVD, a także książek: *Ojciec chrzestny*, *Biblia*, *Fuller atakuje*, *Yamaha*, *Repo man*, *Lawrence z Arabii*, *Makbet*, *Boska komedia*, *Dishonored 2*, *Struktura Gremium 3*, *Bioshock*, *Mordercze kuleczki*, *Niszczyciel*, *Cyberpunk 2077*, *Glacjusz*, *Szczęki 2*, *Reperkusje na Uranie*, *Borderlands*, *Moje własne Idaho*, *Podły Steve*, *Dark Souls 3*, *Star Wars*, *Fikcja Grety*, *Mr. Robot*, *Kawa i papierosy*, *Predator*, *Sceny z życia małżeńskiego...* Tytuły były niezliczone.

Naprzeciwko windy, po drugiej stronie, uchylone drzwi prowadziły do dużej, otwartej przestrzeni, z której dochodził lekki powiew powietrza oraz rytmiczne dźwięki. Obok wyjścia stało zawalone papierami biurko bez krzesła oraz ciężki, szary komputer stacjonarny. Przed monitorem leżała zmięta, wytarta paczka papierosów, którą Bill rozpoznał z Baru 62, strzelba elektryczna, mniejszy obrzyn oraz dwa pistolety. Następnie dostrzegł sporą kratę ukrytą w jednym z regałów. Ktoś został uwięziony w środku. Zabójca ostrożnie zbliżył się do ciasnej celi i poznał zwałistego mężczyznę w środku. Fork. Najemnik stał skulony w swoich ubraniach i spoglądał ponuro na Billa.

– Jak się tu znalazłeś? – wypalił zabójca, wyciągając rewolwery. – Zresztą nieważne. Głupie pytanie. – Pokręcił głową. – Uwolnię cię, tylko powiedz mi jak.

– Człowieczek na krześle z kołami – wymamrotał Fork, wskazując na drzwi wyjściowe. – On tu rządzi. Ocknąłem się w zamknięciu. Potem widziałem, jak kazał kilku zakapturzonym ludziom w białych płaszczach zaciągnąć kierowcę na zewnątrz.

Ciągle tam jest. Ten gość ma klucz do celi. Taki płaski, mały kwadrat. – Najemnik nakreślił kształt w powietrzu. – Używał go na tamtej maszynie. – Skinął łysą głową w stronę komputera.

– Zaraz wracam.

Bill uniósł rewolwery, odwrócił się i podszedł do drzwi. Uchylił je jeszcze bardziej i wsunął się w szczelinę. Otworzyła się przed nim wypełniona muzyką, gigantyczna biblioteka, którą spadając, minął już co najmniej raz. Stał na wąskiej, prostej, metalowej kładce, która prowadziła do niewielkiej platformy, na której siedziało dwóch mężczyzn. Twarzą do niego, z białkami oczu wywróconymi na drugą stronę oraz kablem w uchu, był związany Fatboy. Przed nim, plecami do zabójcy, na wózku siedział łysy mężczyzna. Bill niezauważenie podkradł się za wózek i wycelował rewolwer w czaszkę skulonej postaci. Dostrzegł, że mężczyzna z niezdrowym uśmiechem na twarzy, podłączony cienkimi kablami do poręczy, kontroluje maszynę wetkniętą w głowę kierowcy. Bez dłuższego zastanowienia nacisnął na spust.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Tanner jechała do pracy w żółtym fordzie mustangu z tysięcy dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Dzień był słoneczny, a w radiu grała hawajska muzyka, kojąca wszelkie nerwy. Na równo przystrzyżonych trawnikach spokojnych przedmieść beztrząsco tryskały zraszacze, a dzieci grały na ulicy w piłkę. Kobieta zjechała na łącznik prowadzący do autostrady. Szeroki zakręt krył się za zalesioną górką. Niskie domki znikły za plecami kierowcy.

Ford wjechał na szeroką, ośmiopasmową, prostą drogę do centrum. Tanner otworzyła okno i prowadziła bez wyprzedzania. Chłoneła ciepłe powietrze. Zmieniła się piosenka w radiu, a kierująca odniosła wrażenie, że już kiedyś ją słyszała: *Factories far away*. Daleko z przodu wyrastały wielkie wieżowce – modernistyczne kończyny miasta, szklane słupy na tle błękitnego nieba.

Otoczające forda pojazdy jechały płynnie jak część doskonale skomunikowanego schematu perfekcyjnej rzeki. Tanner uśmiechnęła się do siebie. Żyła w idealnym świecie nadzorowanym przez sztuczną inteligencję, coś lepszego niż bóg; godnego zaufania, namacalnego opiekuna, którego wszyscy znają i kochają. Parę lat wcześniej odbyło się głosowanie, w którym społeczeństwo zgodnie przekazało władzę w ręce komputera, sztucznej inteligencji nazywanej Nadzorem. Od tego czasu panuje tu pokój i dostatek. Wszyscy są szczęśliwi.

Tanner przeniosła myśli na dzisiejszą pracę, która czekała ją w biurze. Przez ostatni tydzień zajmowała się ciałkiem szklistym. Kilka ostatnich poprawek i sprawa załatwiona. To nie powinno być trudne. Ciekawe, co u Betty – pomyślała o swojej przyjaciółce z pracy, która od dawna próbowała rzucić papierosy. Tanner powtarzała jej, że to nie ma sensu, ponieważ sztuczna inteligencja nie da jej umrzeć na raka. Betty upierała się, że musi rzucić dla zasady. Nikt jej nie broni, tylko nie musi zamęczać tą głupotą wszystkich naokoło.

Szklany las pochłonął żółte auto. Krążyła trochę po czystych ulicach wypełnionych ładnie ubranymi ludźmi, aż dotarła do drapacza chmur firmy High Castle. Zjechała do podziemnego garażu, gdzie muzyka ucichła. Czowała na sobie czyjeś spojrzenie, opiekuńczy nadzór, co było całkowicie normalne i sprawiało, że człowiek miał poczucie bezpieczeństwa. W przytulnej windzie spotkała Reda, sprzątacza w jasnoniebieskim kombinezonie

i czapeczce z logo High Castle – trzy nierówne paski – który zaczynał pracę wtedy, kiedy ona. Wymienili uśmiechy i kiwnięcia głowami.

– Jak się masz, Wilson? – Red żuł gumę i opierał się o niebieski wózek pełen środków czyszczących.

– Bardzo dobrze, Red. Piękny mamy dziś dzień, prawda? – Tanner Wilson poprawiła identyfikator na szyi i z ironicznym uśmiechem czekała na odpowiedź sprzątacza.

– Tak się wydaje. – Red się skrzywił i podrapał po grubym, rudo-siwym zaroście. – Powiedziałbym, że zbyt piękny.

– Wiem, że lubisz deszcz, ale przyjęło się, że ludzie kojarzą słońce z dobrą pogodą. – Tanner splotła ręce na piersiach.

Winda pięła się do góry.

– Nie o to chodzi. – Sprzątacze zmierzwił kobietę zmęczonym wzrokiem. – Parę dni temu była burza. Moje ulubione zjawisko pogodowe. Czuję się świetnie aż do czasu, kiedy zdałem sobie sprawę, że ten piękny chaos na niebie nie powstał sam z siebie. Jakiś pieprzony komputer wywołał taki efekt, żeby zrobić mi dobrze.

– I się udało. – Tanner się zaśmiała i uniosła brwi, a winda stanęła na trzynastym piętrze. – To mój przystanek. – Drzwi rozsunęły się, a Red obserwował z poważnym wyrazem twarzy, jak Tanner opuszcza małe pomieszczenie. – Do zobaczenia później, ponuraku – rzuciła, gdy zasuwane drzwi zakrywały podkrążone oczy sprzątacza.

Trzynaste piętro, na którym pracowała, wypełniały pomarańczowo-niebieskie barwy. Jasny, przytulny korytarz z miękką, granatową wykładziną prowadził wzdłuż przeszklonych biur. Tanner szła uśmiechnięta prosto do szatni. Przy drzwiach z jasnego drewna poczuła znajomy dym papierosowy. Weszła do środka i w wąskim pokoju z metalowymi szafkami spotkała Betty. Znajoma z mocnym makijażem, w przyciętych do ramion

tlenionych włosach, w okularach, białej spódnicy i niebieskiej koszuli High Castle siedziała na ławce, paląc papierosa i bawiąc się identyfikatorem głoszącym: „Betty Shaw, Zespół Kontrolujący Jakość Żrenicy”.

– Widzę, że rzucanie idzie całkiem dobrze – oznajmiła Tanner, kierując się do szafki.

– Ja się do tego nie nadaję, kochana – westchnęła Betty, spoglądając na dymiącego papierosa między palcami. – Za bardzo to lubię.

– To nie rzucaj. Skoro Nadzór nie sprawił, że nie palisz, to znaczy, że nie robisz nic złego.

Metalowe drzwiczki ukazały niewielki laptop oraz biały kubek z napisem „Would you kindly”. Tanner wzięła oba przedmioty i usiadła na ławce obok koleżanki.

– Wiem, wiem. – Betty zaciągnęła się po raz ostatni. – Tylko to taki brzydki nawyk. – Zmarszczyła czoło, gasząc papierosa w okrągłej popielniczce obok.

– Jeśli sprawia ci to przyjemność, to nie ma w nim nic złego. – Tanner wstała, gotowa do wyjścia. – Chodź, napijemy się kawy. Poczujesz się lepiej.

Kobiety opuściły szatnię i poszły jasnym korytarzem do niewielkiej kafejki ukrytej naprzeciwko biur. Zatrzymały się przed dużą, pachnącą maszyną do kawy. Tanner postawiła swój kubek w odpowiednim miejscu, wybrała ciemny, mocny napój, tak jak lubiła, i obserwowała spływającą powoli ciemną ciecz.

– Czasem mam wrażenie, że moje palenie odstrasza mężczyzn. – Betty znalazła swój kubek z napisem „Progress takes sacrifice” w zmywarce obok i ustawiła się w kolejce do maszyny.

– Betty... – Tanner słyszała już tę skargę zbyt wiele razy. – To ty sama odstraszasz mężczyzn swoim gadaniem. – Kubek się napełnił, a kobieta pociągnęła pierwszy łyk pysznej kawy. Zadowolona czekała, aż Betty zrobi to samo.

– Nie, to nie jest tak. – Betty oparła się o stół, zamyślona, gdy do pokoiku wszedł inny pracownik High Castle w niebieskiej koszuli i spokojnym krokiem podszedł do obszernej lodówki po przeciwnej stronie. Wziął kanapkę z napojem i wyszedł. – Ja po prostu lubię moich mężczyzn, tak jak lubię moje papierosy: kiedy chcę i jak długo chcę – stwierdziła Betty i podniosła kubek.

Obie szły dalej pomarańczowo-niebieskim korytarzem, mijając kolejnych uśmiechniętych pracowników High Castle, aż doszły do zamkniętej sekcji biur.

– Ty po prostu lubisz narzekać, Betty.

Tanner użyła swojego identyfikatora, po czym weszły następnymi drzwiami do niewielkiej przestrzeni, w której pracowały. Zaciemniony pokój zajmowały dwa biurka z holoprojektorami, a na ścianach wisiały obrazy różnych części oka oraz konieczne wykresy z obliczeniami.

– Tanner, nie zrozumiesz tego, bo masz idealne życie. – Betty nie zwróciła uwagi na stwierdzenie przyjaciółki. Podeszła do swojego biurka. – Masz dom na przedmieściach i kochającego męża. Jesteś szczęśliwa.

– Od dłuższego czasu staramy się z Erickiem o dziecko. Na razie nie ma żadnych efektów, ale jakoś mi to nie przeszkadza, bo wiem że w końcu będzie dobrze. Nadzór zapewnia nam szczęście. Wszyscy jesteśmy szczęśliwymi ludźmi, Betty. – Tanner pokręciła głową i odłożyła kubek oraz laptopa przy holoprojektorze. – Tak sobie teraz myślę, że twoje narzekanie jest nawet urocze.

– Dziękuję, kochana. – Betty się uśmiechnęła, również odstawiła kubek i włączyła projektor.

Nad biurkiem ukazały się kolumny liczb oraz obrazy żrenicy Linusa Montelli. Tak samo zrobiła Tanner, a jej holoprojektor wyświetlił masy ciała szklatego. Przyjrzała się z zadowoleniem paru włóknom kolagenowym, które ukończyła przed weekendem.

Zaraz pomyślała, że podobna lepka masa wypełnia jej oko, i aż się wzdrygnęła.

– Na szczęście nie spotkałam dziś jeszcze tego dziwaka, Reda. Ten człowiek wywołuje u mnie ciarki na plecach. – Betty odłożyła paczkę papierosów firmy Jenkins na blat i przesuwała uważnie kolejne rzędy hologramowego kodu, unoszącego się nad biurkiem.

– Rozmawiałam z nim w windzie. Ja go lubię – przyznała, a Betty aż westchnęła. – To prawda, jest specyficzny, ale i ciekawy na swój sposób – podsumowała Tanner i wzięła łyk kawy.

– Dlaczego po prostu go nie zwolnią? Na pewno jakiś sprawny robot mógłby wykonywać pracę sprzątacza.

– Nie przesadzaj Betty. Nie jest taki zły.

– To na pewno Nadzór go tu wcisnął. Każdy biedak jest teraz użyteczny.

– I jest kolejny powód, dla którego możesz ponarzekać, słońce. – Tanner obrzuciła koleżankę porozumiewawczym spojrzeniem.

– Racja. – Betty się szczerze zaśmiała. – Ja chyba naprawdę to lubię. Gdybym mogła jeszcze zapalić w biurze, byłoby idealnie.

– Idealnie nie będzie nigdy. Na tym polega szczęście. Nadzór to wie i sprawia, że wszystkie nasze doznania, dobre i złe, są odpowiednio wyważone.

– Znalazłam ostatnio dobrą kawiarnię, zaraz koło plaży. Na Sunrise Boulevard. – Betty wyraźnie odbiegła myślami w inne miejsce. – Naprawdę dobra kawa, sernik palce lizać, można odetchnąć morskim powietrzem, a kelnerzy to nieźle przystojniaki. Musimy się tam wybrać w najbliższych dniach.

– Chętnie – odpowiedziała Tanner, układając kolejne włókno w ciałku szklistym Linusa Montelli. – Jutro idziemy z Erickiem do teatru, ale w każdy inny dzień jestem wolna.

– Może czwartek? – Betty odruchowo dotknęła paczki papierosów. – Podobno cały tydzień ma być słoneczny. Jesteśmy

umówione na czwartek – stwierdziła bez czekania na odpowiedź koleżanki i wtedy otworzyły się drzwi do ich biura.

W przejściu stanął młody mężczyzna w kremowym, skrojonym na miarę garniturze oraz niebieskiej koszuli. Miał indiańską urodę, ciemną skórę, lekko szpiczasty nos oraz dłuższe, czarne włosy zaczesane do tyłu. Nosił także okulary o białych, okrągłych oprawkach.

– Witajcie, jak idzie praca? – zaczął pewnie, ukazując równe, białe zęby.

– Witaj, Yosaiah – odpowiedziała Tanner na widok swojego bezpośredniego przełożonego. Yosaiah Freeman był Dyrektorem Kreatywnym Oka. – Do przodu, po staremu – dodała.

– Świetnie, szefie – odezwała się Betty, mrugając powiekami.

– Cieszę się. – Yosaiah włożył ręce do kieszeni. – Tanner, jeśli masz chwilę, chciałbym cię prosić do siebie. Musimy o czymś porozmawiać.

Kobiety popatrzyły po sobie ze zdziwieniem.

– Jasne, dopiero zaczęłam.

Tanner zapisała projekt jednym ruchem dłoni i obraz ciała szklistego zastygł w powietrzu. Następnie wyszła z niewielkiego pokoju za szefem, zostawiając Betty samą. Szli kolorowym korytarzem w głąb zamkniętej części biur w ciszy. Czuła rosnące napięcie, którego nie potrafiła wyjaśnić. Zazwyczaj Yosaiah był gadatliwy, a teraz milczał, aż zatrzymali się przed drzwiami do dużego biura na rogu budynku.

– Zapraszam. – Przełożony nacisnął srebrną klamkę i wpuścił Tanner, po czym zwinnie wsunął się do środka.

Kobieta rozejrzała się po obszernym pomieszczeniu, które dekorator obwiesił półkami z jasnego drewna. W rogu, na tle przyciętych w trójkąty dużych okien, stało czyste, szklane biurko. Półki w równych odstępach zajmowały figurki reprezentujące postacie z gier stworzone przez High Castle. Tanner za każdym

razem, kiedy odwiedzała biuro Freemana, zauważała kilka, których nie widziała nigdy wcześniej. Tym razem jej wzrok uchwycił skulonego plastikowego wikinga. Postać trzymała większy od siebie oburęczny miecz i szykowałą się do zabójczego skoku z wysokiej półki. Skoku, który miał nigdy nie nastąpić.

– Usiądźmy – rzucił Yosaiah, kierując się w stronę okien.

Tanner usiadła na jednym z dwóch wygodnych krzeseł naprzeciwko przełożonego. Za plecami mężczyzny rozciągało się błękitne niebo, poprzecinane pazurami miasta.

– Oderwałem cię od porannej kawy – stwierdził Freeman. – Może skusisz się na kubek słodkiej mokki? Jest wspaniała.

– Nie, dziękuję – odparła Tanner.

– Nonsens. – Yosaiah parsknął wymownie, pochylił się, dotknął szklanego blatu, na którym pojawił się hologram, i machnął ręką. – Napijemy się kawy.

– Jak chcesz, szefie.

– Myślę, że czekając na nią, możemy już sobie zacząć rozmawiać. – Freeman odchylił się na jasnym fotelu ze skóry. – Tylko spokojnie, nie masz się czym martwić.

– Naturalnie.

– Jak idzie wasz projekt? Ma na imię...

– Linus. – Tanner przerwała nagle ciszę. – Linus Montelli.

– Tak, właśnie, właśnie. – Yosaiah zmarszczył się nad hologramem, który zmienił się przy kolejnym ruchu ręki. – Co możesz mi o nim powiedzieć?

– Po pierwsze, ma niebieskie oczy. – Tanner zdziwiła się przez chwilę zwyczajnym pytaniem. Czyżby to była tylko kontrola? – Wpatruję się w nie godzinami. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Po drugie, jest mężczyzną w średnim wieku – kontynuowała, kiedy przełożony odwzajemnił uśmiech. – Włoskie pochodzenie, niski wzrost, lekki zarost, krótkie włosy, grubszy. Lubi odwiedzać fast foody. Rozwiedziony, ma dwójkę dzieci. Pali.

Mieszka na trzecim piętrze... – Zamyśliła się, patrząc za ramię Freemana.

– Całkiem dobrze. Podałaś dwanaście informacji.

– Przepraszam Yosaiah, ale czy to jest test?

– Nie. – Przełożony machnął ręką. – No, taki mały test – poprawił się szybko. – Szef chce z tobą rozmawiać i muszę wiedzieć, czy nie pogrążysz całego działu swoją niewiedzą o projekcie i całej firmie.

– Szef? Amitat z QA?

– Nie, nie. CEO. Szef High Castle. Pan Kenji Abendstein.

Imię i nazwisko właściciela całej korporacji zaskoczyło Tanner.

– CEO. Czego może ode mnie chcieć pan Abendstein? Ja tylko projektuję wewnętrzne oko otyłego Włocha.

– Nie wiem, Tanner. Nie dostałem żadnego wytłumaczenia. Po prostu mam cię do niego przysłać. Prywatną windą. Zanim to się stanie, chcę się jednak upewnić, że jesteś gotowa.

Drzwi wejściowe otworzyły się automatycznie, a kobieta w szpilkach, ciemnej sukience i koszuli High Castle wniosła dwie filiżanki ciepłej mokki.

Tanner poczuła intensywny zapach kawy, która nie mogła być robiona w kafejce dla pracowników. Zdenerwowała się, choć równocześnie podekscytowała. Ciekawość wygrywała. Kenji Abendstein, trzydziestopięcioletni wizjoner, tajemniczy celebryta przesiadywał całe dni w swoim biurze na szczycie wieżowca High Castle. Plotki o jego bogactwie oraz o tym, nad czym aktualnie pracuje w swoich ukrytych pracowniach, krążyły zarówno po tabloidach, jak i pismach naukowych. Tanner Wilson nie miała pojęcia, czego mógł chcieć od niej taki człowiek. Postanowiła zachować spokój i popłynąć z nurtem wydarzeń.

– Dziękuję, Suzy. – Yosaiah skinął głową do młodej kobiety, która chwilę potem wyszła, obserwowana z góry przez trzech

plastikowych mężczyzn w zielonych garniturach i matowych, szarych okularach.

– Częstuj się. – Tanner wypła łyk napoju i od razu poczuła się lepiej, przełykając ciekłą słodycz.

– Na czym to skończyliście? – Yosaiah przygryzł usta ze smakiem. – A tak, Linus Montelli. Nie jest żadną istotną postacią dla rozwoju wydarzeń. Zapomniałaś tylko o kilku informacjach. Linus lubi wyścigi Formuły 1, ma problem z lewym kolaniem oraz cukrzycę. – Freeman dotknął stołu i przyjrzał się hologramowi. – Prawdę mówiąc, twój projekt ma docelowo wpisane jedynie dwie linijki wypowiedzi. Jest zupełnie poboczny, ale zawsze może się rozwinąć. Twoja praca jest bardzo ważna. Możesz powiedzieć mi dlaczego?

– High Castle tworzy gry o światach komplementarnych. – Tanner sięgnęła pamięcią do licznych szkoleń z przeszłości. – Niezwykle ważne jest, aby każdy najmniejszy element został dopracowany do perfekcji i odnajdywał swój sens w całości.

– Dokładnie. To jedna z głównych zasad, jakie wyznaje sam pan Abendstein. Świat gry musi być pełny, żywy. Gracz nie może walczyć z bandą wrogów na placu obok domu, który jest tylko pustą skorupą, częścią scenerii, oszustwem. Naszym zadaniem jest wsadzić do tego domu pana Linusa Montelli, którego ulubiony serial zacznie się właśnie w momencie, gdy gracz odetnie rękę mutantowi przed jego usłanym kwiatami gankiem. – Yosaiah zrobił większy łyk kawy. – Niektóre gorsze firmy tego nie robią. Bo po co? – Westchnął z pogardą. – Zdarzają się nawet przypadki, gdzie sami wrogowie są niedokończeni, całkowicie powierzchowni. Bez tła, bez sensu. Tekstury widać jak na dłoni. Wyobrażasz to sobie? – Przełożony wyraźnie się wzburzył. – Gracz idzie zrobić zakupy do lokalnego cieśli, a biedak ma białe, puste oczy, bo projektantowi nie chciało się dodawać żreń. Niektóre postacie pojawiają się bez głębszego powodu, żeby zająć

i odwrócić uwagę. Są konieczne w tych słabych produkcjach, żeby pchać akcję do przodu, żeby ciągle coś się działo, bo główna postać jest osiłą ich małych, głupich światków. Na szczęście w High Castle dbamy o imersję klienta, między innymi zatrudniając takich specjalistów jak ty.

– Staram się, jak mogę.

– I to się chwali. – Yosaiah zmienił hologram. – Teraz kolejna sprawa. Czy pamiętasz szczegóły gry, w której znajdują się twoje niebieskie oczy Linusa Montelli?

– Tak. – Tanner przypomniała sobie opis i scenariusz, które czytała pół roku wcześniej, przed rozpoczęciem pracy. Dzięki dobrej pamięci nie miała z tym większego problemu. – Nazwa jest jeszcze dopracowywana, ale roboczo pracujemy nad Dziennikarzem 4.0. Zarys fabuły przedstawia się następująco: głównymi postaciami, a potem postacią jest małżeństwo, Riff i Molly. Para zostaje schwytana, a ich jaźnie zostają uwięzione w ciele małego cybernetycznego pająka przez zbrodniarza, którego twórca określa jako Człowiek Czytający Książkę. Gracz rozpoczyna śledztwo dziennikarskie jako robak w wielkim mieście.

– W dużym skrócie, ale dobrze. – Yosaiah przytaknął. – Grałem już w krótkie demo Tanner i powiem ci, że jest na co czekać. – Z jego twarzy biła szczerą ekscytacją. – Zainteresowanie całością projektu jest niezwykle ważne. Pozwala określić cel. – Popukał palcami w szkło. – Bardzo dobrze. Jeszcze jedna ważna rzecz. Świat gry. Powiedz mi, co wiesz na ten temat.

– High Castle nie tworzy światów od zera. – Tanner powtórzyła ogólnodostępną wiedzę. – Jesteśmy zbyt produktywną korporacją, aby sobie na to pozwolić. Dużo bardziej efektywną i skuteczną praktyką jest kupowanie gotowych światów ze starych gier, rozbudowywanie ich oraz osadzanie w nich nowych opowieści.

– Tak jest – potwierdził Freeman. – I nie ma w tym nic złego. Wręcz przeciwnie. Mamy większe pole do popisu w, że tak to ujmę, soczystej części projektu. Na przykład Dziennikarz 4.0 powstaje w świecie z bardzo starej gry pod tytułem Cyberpunk 2077. Tamten tytuł to już trup, a my dajemy mu nowe życie. Zapamiętaj to, Tanner, ponieważ wiem, że pan Abendstein jest bardzo wyczulony na tym punkcie.

Wilson podejrzewała, że Freeman nigdy nie rozmawiał z CEO twarzą w twarz, a jego wiedza pochodzi z plotek jego własnych przełożonych. Przez następną chwilę milczeli i delektowali się kawą.

– Podsumujmy. – Yosaiah wstał i spojrzał na Tanner z góry. – Każdy pracownik High Castle jest najważniejszy i niezbędny do stworzenia genialnej gry. Twoja rola, polegająca na nadawaniu charakteru postaci drugoplanowej, jest nieoceniona, a to dlatego, że trzeba się nad nią pochylić, aby ją docenić. Nie tworzymy jedynie liniowych oszustw, pełnych ludzi bez źrenic, zamazanych twarzy, kolorowych eksplozji i pustych ścian. Tworzymy coś więcej. Rozbudowujemy rzeczywistość. – Mężczyzna, kiedy kończył krótki monolog, popatrzył rozmarzony za okno.

– Rozumiem, Yosaiah. Zapamiętam. – Tanner również wstała, pozostawiając niedopitą mokkę.

– To by było na tyle – oznajmił mężczyzna. – Prywatna winda pana Abendsteina znajduje się w samym centrum budynku. Wyjdź z mojego biura, idź prosto wzdłuż okien, a potem szerokim korytarzem w prawo, do środka. Na końcu jest winda. Twój identyfikator ją przywoła. Powodzenia.

– Dzięki za rozmowę i pyszną kawę – rzuciła Tanner na odchodne.

Yosaiah Freeman stał już odwrócony do okna, wyraźnie myśląc o czymś innym.

Korytarz, którym szła, rozświetlało poranne słońce. Ciepłe promienie dotykały jej twarzy. Ciekawość pchała ją do przodu. Skręciła szybko w prawo. Długie przejście było ciemnoniebieskie i wypełnione sztucznymi światłami, które wyraźnie kontrastowały z naturalnym oświetleniem. Zaczęła robić się spięta, a wszystkie informacje o firmie, jakie wymieniła z Freemanem, mieszały się w jedną masę. To nie może być nic złego, Nadzór by nie pozwolił. Tylko co wtedy?

Z rozmyślań wyrwała ją sylwetka mężczyzny z odkurzaczem przy szerokim wejściu do windy. Red stał pochylony i z uwagą przesuwiał bezgłośnie maszynę po wykładzinie. Gdy Tanner zatrzymała się obok, uniósł zmęczony wzrok, ukryty pod czapką High Castle.

– Tanner, ty tutaj? – Mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Wezwał mnie sam Kenji Abendstein. Nie mam pojęcia, po co – odparła.

– Ciekawe. On nigdy nikogo nie wzywa. Zawsze przesiaduje zupełnie sam na szczycie tego przeklętego budynku. – Red ściszył głos. – Czasem gada do siebie.

– Jak to? Skąd to wiesz?

– Sprzątam. Mam wszędzie dostęp – odpowiedział Red. – Dawno temu miał sekretarkę. Siedziała w holu. Teraz jest tam pusto, a ja czasem tam sprzątam. Jednego razu Abendstein siedział w swoim biurze za szklanymi drzwiami i z kimś rozmawiał. Przyjrzałem się bliżej. Nie było tam nikogo poza nim.

– Kurwa, straszysz mnie, Red. – Tanner parsknęła, wspominając dobrze znany czarny humor sprzątacza. Wyciągnęła rękę z identyfikatorem i wezwała centralną windę. – Niefajnie.

– To prawda, Tanner. – Mężczyzna jak zwykle utrzymał powagę. – Radzę ci zachować ostrożność.

Winda pojawiła się zadziwiająco szybko. Drzwi się rozsunęły, ukazując małe pomieszczenie wyłożone drewnem o przyjaznym kolorze oraz ze stalowym wykończeniem. Ze ścian dobiegała kojąca, miła muzyka.

– Jasne – rzuciła Tanner, wchodząc do środka. – Zapamiętam.

Red zniknął jej z oczu, a winda gładko pomknęła w górę. Nie wiedzieć czemu, niepokojąca uwaga sprzątacza ją rozbawiła. Kiedy drzwi otworzyły się na samym szczycie wieżowca High Castle, wyszła z uśmiechem na twarzy. Znalazła się w jasnym, białym holu z podświetloną podłogą. Na środku widniały trzy duże, czarne paski różnej długości, logo firmy. Rzeczywiście, jak wspominał Red, pod ścianą stało puste biurko sekretarki. Dalej hol, od ciemnego biura oddzielały go szklane ściany. Przejście zostało otwarte. Kobieta ostrożnie zajrzała do środka.

Biuro Abendsteina, w przeciwieństwie do niższych pięter oraz holu, okazało się niezwykle mroczne. Ściany zdawały się być zrobione z ciemnej stali, a podłogę pokrywał czarny marmur. Naprzeciwko wejścia znajdowało się szklane biurko, za którym siedział młody Azjata. Za jego plecami rozciągały się wysokie okna, ukazujące błękitne niebo oraz szczyty innych budynków w mieście poniżej.

Kenji Abendstein podniósł się z czarnego skórzanego fotela i wyprostował. Nosił szyty na miarę, drogi, ciemny garnitur, czarną koszulę oraz ciemnoniebieski krawat. Krótkie, czarne włosy miał idealnie zaczesane na bok. Z przystojnej, szczupłej twarzy spoglądało zimne, intrygujące spojrzenie. Pełne usta układały się w zapraszający uśmiech.

– Pani Tanner Wilson. Cieszę się, że wreszcie możemy się poznać. Proszę usiąść. – Wskazał na jeden z dwóch czarnych foteli po drugiej stronie blatu. Jego głos był spokojny, uprzejmy, ale i dziwnie wykalkulowany.

Kobieta, teraz lekko zmieszana, usiadła, spoglądając na niego z bliska. Był inny, niż go sobie wyobrażała. Normalny, jedynie z nutą czegoś niepokojącego. Nie umiała wyjaśnić czego.

– Obserwuję cię od jakiegoś czasu, Tanner – rozpoczął prosto z mostu. – Mogę mówić po imieniu?

– Oczywiście.

– Jestem Kenji. – Schylił głowę. – W High Castle każdy pracownik jest najważniejszy. – Tanner usłyszała echo Freemana. – Każdy jest indywidualnym mikroświatem, a twój przykuł moją uwagę. Pracujesz z niebywałą pasją. Konstruujesz wewnętrzne oko z rzadko spotykaną inspiracją. Jesteś prawdziwą artystką. – Tanner uśmiechnęła się onieśmielona.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Skromność. – Abendstein uśmiechnął się szerzej. – Kolejna wspaniała cecha. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że mam kogoś takiego w firmie.

Tanner czuła, że robi jej się ciepło. Czy Abendstein wezwał ją po to, żeby prawić jej komplementy? A może dostanie jakiś duży awans?

– Wybacz moją szczerość, ale jesteś piękną kobietą – wyznał, a Tanner zastygła wpatrzona w szefa High Castle. – Twoja skóra i włosy są idealne, po korytarzach zawsze suniesz lekko jak anioł ukryty pomiędzy śmiertelnikami. Nigdy nie widziałem kogoś takiego.

Kobieta siedziała osłupiała.

– Przepraszam, jeśli czujesz się niezręcznie. Nie miałem najmniejszego zamiaru wprawić cię w zły nastrój. – Kenji westchnął. – Całe życie byłem strasznie samotny. Jedyne kobiety, z jakimi się spotykałem to modelki, prostytutki, wirtualne istoty, z którymi nie musiałem nawiązywać głębszego kontaktu. Mam silne wrażenie, że ty jesteś wyjątkowa.

– Ja... – Tanner nerwowo odchrząknęła. Słowa Abendsteina bardzo jej schlebiały, a wizualna potęga gabinetu na szczycie miasta oraz uroda mężczyzny wprawiły ją w zawstydzające podniecenie. Przekierowała myśli na męża Erica, jego ciepłe ciało, wspólną historię, wieloletnie starania o dziecko. – Bardzo mi miło, ale mam męża, którego kocham – wypaliła.

– Rozumiem. – Kenji uniósł rękę. – Musiałem tylko wyrazić swoje uczucia. Powiedzieć ci, że ja również cię kocham. Proszę jedynie o uczciwą szansę. Chciałbym zaprosić cię na kolację.

– Nie...

– Spokojnie. – Abendstein się szczerze uśmiechnął. – Nie musisz odpowiadać od razu. Dam ci mój prywatny numer. Zastanów się. Myślę, że powinniśmy spróbować. Obiecuję, że będziesz zachwycona.

Tanner wstała, nie kontrolując do końca swoich ruchów.

– Dziękuję jeszcze raz. Naprawdę bardzo mi miło, ale lepiej już pójść. – Zdenerwowana posłała krótki uśmiech w stronę szefa High Castle, odwróciła się i niemal wybiegła z powrotem do windy.

Obserwował ją? Kocha ją? Myśli pędziły, tratując się nawzajem. Przesunęła kilkakrotnie identyfikatorem o czytnik, czując wzrok mężczyzny na plecach. Drzwi otworzyły się bardzo powoli, a kobieta wskoczyła do środka. Zjeżdżała w dół całkowicie zmieszana. Dochodziła do siebie, odrzucając prawdziwość abstrakcyjnej sytuacji, w jakiej przed chwilą się znalazła.

Następnego dnia poszła z Erikiem do teatru. Sztuka Szekspira *Jak wam się podoba* miała zacząć się za niedługą chwilę. Widzowie stali upchnięci w stosunkowo ciasnym przedsionku przed wejściem do głównej sali. Ładnie ubrane towarzystwo szczebiotało w najlepsze, wypełniając szumem pochylone ściany z jasnego drewna. Tanner ubrała swoją ulubioną wyjściową sukienkę w białoniebieskie paski. Umalowała się i poszła do fryzjera.

Ostatecznie nie otrzymała numeru do Abendsteina i zaczęła uznawać, że cała wizyta w jego biurze rzeczywiście była halucynacją. Kiedy jednak wychodzili z mężem z domu, jej niewielki holokomunikator wesoło zadzwonił. Zaskoczona kobieta szybko wyłączyła urządzenie. Dzwoniła Betty, jednak sygnał przypomniał jej o zalotach Abendsteina.

Prowadziła swojego mustanga szybko i pewnie, pogrążona w myślach, więc całą drogę spędzili w milczeniu. Czuła, że rósł w niej gniew na aroganckiego szefa. Za kogo on się uważa? Nie zamierza mówić nic mężowi, bo po co go denerwować. Po prostu zignoruje zachowanie Abendsteina i wszystko wróci do normy.

– Musisz być naprawdę podekscytowana tą sztuką. – Głos Erica przebił się z szumu oczekujących. – Nie powiedziałaś ani słowa, odkąd wsiedliśmy do samochodu. – Uśmiechnął się. Miał sportowy garnitur i białą koszulę. Przyjemną, jasną twarz pokrywał niewielki zarost, brązowe włosy opadały na czoło.

– Co? – Tanner została wyrwana z natłoku myśli. – Nie... Ja... cieszę się, że poszliśmy. Mam szansę się wystroić i pokazać z najprzystojniejszym mężczyzną w mieście.

– Też się cieszę. – Eric dotknął jej ramienia. – Dobrze jest gdzieś czasem wyjść, odetchnąć. A po powrocie możemy spróbować znowu.

– Czytasz w moich myślach. – Przysunęła się do niego i przytuliła, chociaż kłamała.

Nie mogła odrzucić natrętnej myśli o kolacji z Kenjim Abendsteinem, innym mężczyzną. Uwielbiała seks z Erikiem, naprawdę dobrze się rozumieli. Bezowocne starania o dziecko odcisnęły jednak swoje piętno na ich wieloletnim związku. Podświadomie czuła, że pragnie czegoś więcej, ale wstydziła się nawet rozważyć tę opcję, zwłaszcza że szczerze kochała męża i nie chciała go zranić.

– To komedia, prawda? Pośmiejemy się? – zapytała wtulona w ramię Erica.

– Tak. – Eric spojrział na nią zatroskanym, lekko zmęczonym wzrokiem. – Nie martw się niczym, moja słodka. Wszystko będzie dobrze. – Ostatnie słowa zabrzmiały sztucznie, jak wyprana, pusta fraza wypowiedziana przez ojca dużej, kochającej rodziny, również fizyka jądrowego, który przed wejściem do domu zauważył ponad dachem rosnący grzyb atomowy.

W czwartek Tanner Wilson spotkała się po pracy z Betty Shaw w kawiarni Bon Ton, na nadmorskim Sunrise Boulevard. Obie kobiety siedziały przy stoliku na zewnątrz, pod złotym parasolem. Kawiarnia znajdowała się na parterze ogromnego wieżowca, który stanowił część potężnego muru cywilizacji na skraju wzburzonego oceanu. Bon Ton oddzielał od wąskiej plaży deptak wyłożony w poprzek jasnoczerwoną kostką. Odczuwalny wiatr napędzał fale i unosił włosy.

Tanner ubrała jeansy, trampki, kremowy sweter i okulary przeciwsłoneczne. Betty była w szpilkach, założyła nogę na nogę i popijała kawę. Nosila białą spódniczkę oraz czarną, cienką kurtkę na białym topie. Przechodnie niczym nieistotne skrótły informacyjne przemykali pod panoramą otwartej wody. Między stolikami krzatali się kelnerzy w białych koszulach.

– Twoje milczenie na mnie nie zadziała, Tanner. – Betty od początku wizyty w kawiarni łakomie obserwowała jednego z mężczyzn. – Musisz w końcu powiedzieć, czego chciał od ciebie Abendstein.

– Już mówiłam. Nic ciekawego. – Tanner obserwowała fale rozbijające się na plaży.

– Nie wierzę ci. No powiedz. Musisz zaspokoić moją ciekawość. Inaczej nie mogę się w pełni delektować kawą, morskim powietrzem oraz przystojnym kelnerem za twoimi plecami. –

Uśmiechnęła się w stronę mężczyzny zapisującego zamówienie pary obok.

– Jak sobie życzysz. Po prostu nie chciałam cię rozczarować odpowiedzią. – Tanner westchnęła. – Znasz politykę High Castle. Wszyscy, łącznie z Yosaiah, powtarzają to na okrągło: każdy drobny element struktury jest najważniejszy. Zarówno postać drugoplanowa w ich grze, jak i drobny pracownik na niskim szczeblu korporacji. – Próbowała wymyślić sensowne wytłumaczenie bez dawania Betty pretekstu do plotek. – Abendstein wzywa do siebie losowych pracowników i daje im do zrozumienia, jacy są ważni – wyjaśniła, ale Betty nie wyglądała na przekonaną. – Mam dostać dużą premię – dodała w końcu Tanner, zrezygnowana.

– Ty szczęściaró. – Betty poruszyła tlenionymi włosami. – Nie zrozum mnie źle, kochana. – Uśmiechnęła się sztucznie. – Cieszę się twoim szczęściem. – Obserwowała, jak kelner odchodzi do wnętrza, ale uśmiech zniknął z jej kościstej twarzy. – Naprawdę daje premię losowym pracownikom?

– Tak. Sama byłam zdziwiona – odparła automatycznie Tanner. – Mówił też, że każdy zostanie nagrodzony w swoim czasie – skłamała.

– Oby tak było. – Betty wyciągnęła papierosa z paczki na stoliku. – Nie żebym potrzebowała premii. – Włożyła zwinięty tytoń do umalowanych ust i zamarła z zapalniczką w dłoni. – Nie potrzebuję premii – powtórzyła zdziwiona. – Boże, Tanner. Z dnia na dzień coraz bardziej uświadamiam sobie, jak lubię być zawistną suką. Przepraszam. – Zapaliła.

– Nie szkodzi. – Kobieta wybuchła śmiechem. – Taką cię lubię.

Rozmawiały i żartowały z Betty do późnego wieczora. Flirtowały z kelnerami i obserwowały zachód słońca nad oceanem. Zamówiły parę drinków, Tanner odwiozła przyjaciółkę do mieszkania w mieście i wróciła do domu autostradą.

Nie otrzymała również żadnej wiadomości od Abendsteina. Postanowiła zapomnieć o sprawie. W kuchni czekał na nią Eric z przygotowaną kolacją przy świecach. Pili wino, śmiali się, a potem uprawiali seks. Tanner spała jak zabita do samego rana.

Był piątek. Przeciągnęła się ospale, widząc zawiniętego w pościel Erica. Zapach snu i potu wypełniał ich niewielką sypialnię. Spojrzała na siebie w lustrze. Wszystko było dobrze, ale głęboko pod skórą poczuła rosnący niepokój, którego nie dało się kontrolować. Niczym obcy pasożyt przeżerał wnętrze, żeby wydostać się w najmniej odpowiednim momencie. Tanner nie mogła pozbyć się natrętnego wrażenia przy śniadaniu, jedząc płatki Alfa Milk, a później jadąc fordem, w drodze do High Castle. Jak każdego dnia pracy w windzie spotkała Reda, który przywitał ją markotnym grymasem na zarośniętej twarzy.

– Witam, panie wesoły – zaryzykowała ironiczne powitanie. Miała wrażenie, że nie panuje nad tonem swojego głosu.

– Tanner. – Red wydawał się bardziej podejrzany niż zazwyczaj. Winda ruszyła. Jechali w milczeniu.

– Posłuchaj mnie uważnie. – Głos sprzątacza był ochryply, przestraszony. – Coś tu jest bardzo nie tak. Czuję, jakby wszystkie moje podejrzenia okazały się prawdziwe, chociaż nie mam na to dowodów.

– Nie rozumiem. – Tanner zmarszczyła brwi, uznając, że Redowi zupełnie odbiło. Po chwili jednak poczuła niespodziewaną więź emocjonalną z tym dziwnym mężczyzną. – Co masz na myśli?

– Zawsze uważałem cię za trzeźwo myślącą osobę. – Red rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu, jakby ktoś mógł ich obserwować. – Słyszałaś kiedyś o imieniu Summerscream?

– Nie. – Na dźwięk tego słowa Tanner poczuła dreszcz na skórze, a powietrze stało się odczuwalnie gęstsze i cięższe. – Summerscream – powtórzyła, zdając sobie sprawę, że jest w nim coś, co bardzo dobrze zna. – Co to znaczy?

– Wszystko, Tanner. Wszystko. Jest wszędzie. – Red chwycił kurczowo za trzonek mopa. Winda zatrzymała się na trzynastym piętrze, a mężczyzna obrzucił ją śmiertelnie poważnym spojrzeniem. – Uważaj na siebie – ostrzegł, a Tanner wyszła z windy i odwróciła się twarzą do Reda. – I strzeż się Summerscreama. Jest wszędzie. – Drzwi się zamknęły, pochłaniając trupio bladą twarz sprzątacza.

Niepokojąca rozmowa sprawiła, że myśli Tanner wypełnił prawdziwy strach, chyba po raz pierwszy w życiu, kiedy szła dobrze znanym kolorowym korytarzem. W szatni nie spotkała nikogo. Uznając, że Betty musi być już w biurze albo popała na zewnątrz, Tanner szybko odłożyła rzeczy do szafki i wyjęła laptopa. Nie zobaczyła kubka, który musiała zostawić w kafejce. Skupiła się na porannej kawie. Wyszła, ustalając wypicie pobudzającego napoju za swój główny cel. Gorący kubek kawy rozwieje wszelkie wątpliwości.

Szybkim krokiem minęła jasny korytarz i weszła do kafejki. Ze stołu naprzeciwko jakiś mężczyzna w niebieskiej koszuli podnosił kanapki z ciekącym majonezem i sałatą. Tanner podeszła od razu do dużego ekspresu i zaczęła lustrować zmywarę w poszukiwaniu swojego kubka z napisem „Would you kindly”. Nie zauważyła, jak mężczyzna opuścił pomieszczenie, kiedy zdenerwowana przeczesała niemal puste urządzenie. Nie znalazła swojej własności, ale dostrzegła kubek Betty z napisem „Progress takes sacrifice”. Wyciągnęła go i wstawiła do ekspresu. Betty na pewno nie będzie miała nic przeciwko.

Ciepły, pachnący płyn poleciał parującym strumieniem. Podniosła kubek i podeszła do okna w rogu. Znajdowała się wysoko w labiryncie ulic i gigantycznych wieżowców, jak miniaturowy robak, który utknął w komponentach rozległej płyty głównej. Strach wzmógł się, a Tanner oparzyła usta gorącą kawą. Zła na siebie odłożyła kubek i wybiegła z kafejki. Przeszła do

zamkniętej sekcji, zatrzymując się przed wejściem do swojego biura. Tam oparty o drzwi czekał na nią Yosaiah Freeman.

– Tanner. – Przełożony się wyprostował. – Odkłóć laptopa i przejdź się ze mną.

Posłuchała. Weszła do pustego biura, zostawiła urządzenie na holoprojektorze i poszła za Freemanem. Podążali niebieskopomarańczowym przejściem wzdłuż biur.

– Wszystko w porządku? Wydajesz się jakaś nieswoja. – Yosaiah uniósł brwi.

– Tak, wszystko dobrze – przyznała Tanner, nie wierząc w to, co mówi. – Po prostu się nie wyspałam – skłamała po raz kolejny.

– Jak oko Linusa?

– Właśnie kończę ciało szkliste.

– I jak ci idzie?

– Bez problemów.

– Wykonałaś swoje zadanie? – dopytywał natarczywie Yosaiah.

– Jakie zadanie?

– Tworzysz jakiś ukryty kod w tym ciałku szklistym, prawda? – Głos Freemana nagle się zmienił. – Kazał ci wprowadzić dodatkowe linie kodu w gałkę oczną Linusa Montelli. To część jakiegoś sekretnego projektu. Na pewno.

– Nie rozumiem, Yosaiah. – Tanner zatrzymała się w pewnej odległości od rozmówcy, kiedy znaleźli się pod jego biurem. – O czym ty mówisz?

– Abendstein – oznajmił. – Po to cię wzywa do siebie? Chce coś zrobić w oku. Świat w świecie?

– Wzywa mnie? – Tanner stała oniemiała. – Byłam u niego tylko raz i nie wspominał nic z tych rzeczy.

– Teraz wzywa cię ponownie. – Yosaiah parsknął śmiechem, zdradzając zazdrość. – Masz znowu pojechać na górę. – Chwycił za kłamkę. – Nie mam pojęcia, o co chodzi, Tanner, ale musi to być coś dużego. Już ja znam światy High Castle. Od dziecka mnie

fascynowały. Grałem w każdą grę i powiem ci, że nic nigdy nie jest takie, jak się wydaje. – Otworzył drzwi. – Nieważne. Po prostu nie ośmiesz naszego piętra – dodał i schował się w środku.

Tanner ponownie została sama w korytarzu. Zupełnie zaskoczona poczuła pot na ciele. Nie chciała jechać na górę, a jednak ociężałe ruszyła do przejścia, które prowadziło do wewnętrznej windy. Logicznie myśląc, nie była zagrożona, i to powstrzymywało ją przed paniczną ucieczką. Skręciła w korytarz wypełniony sztucznym światłem. Zbliżała się do środka, a jej serce biło jak oszalałe. Powtarzała sobie raz po raz, że tym razem dosadniej wyjaśni Abendsteinowi, że nie chce mieć z nim prywatnie nic wspólnego. Przesunęła identyfikatorem po niewielkim panelu, a drzwi otworzyły się natychmiast, jakby winda na nią czekała. Weszła do środka, a dźwig bezszelestnie pomknął w górę. Zebrała się w sobie, wzięła kilka głębszych oddechów i stwierdziła, że jest gotowa, choć strach nie zniknął.

Wyszła w białym holu, który szybko minęła pewnym krokiem, aż trafiła do mrocznego, budzącego respekt biura Kenjiego Abendsteina. Młody CEO siedział jak poprzednio za szklanym biurkiem, na tle niebieskiego nieba. Na blacie leżał bukiet czerwonych róż. Kenji wstał, kiedy Tanner zatrzymała się naprzeciwko.

– Witaj. – Uśmiechnął się.

– O co chodzi? – Tanner rozpoczęła pytaniem.

– Przepraszam za tamtą rozmowę. – Mężczyzna podniósł kwiaty i wręczył bukiet Tanner, która mogła go jedynie przyjąć. – Usiądźmy.

Kiedy to zrobili, Tanner już poczuła, że traci kontrolę nad sytuacją.

– Nie mogę się z panem umówić – spróbowała przejąć inicjatywę. – Nie chcę. Mam męża. Jestem szczęśliwa. Nie może pan wykorzystywać swojej pozycji do takich celów. Jest pan moim

szefem, ale nie zgadzam się na takie traktowanie. Chcę, żeby zostawił mnie pan w spokoju. – Czuła, że zaraz zemdleje.

– Rozumiem i strasznie mi przykro. – Kenji wyglądał na zatroskanego. – Nadużyłem swojej władzy, żeby panią tu ściągnąć. Nie powinienem tego robić, ale emocje wygrały. Nie jestem najlepszy w wyrażaniu swoich uczuć. Te kwiaty to przeprosiny. Od tej pory nie będę już pani męczył. Mam nadzieję, że pozostanie pani na swoim stanowisku...

Tanner zaczęła ciężko oddychać i pochyliła się do przodu, ściskając bukiet. Ukryty kolec wbił jej się w palec, choć była zbyt osłabiona, żeby to poczuć.

– Pani Wilson, dobrze się pani czuje? – CEO wstał poruszony.

– Trochę mi słabo. Chyba jestem chora.

– Tylko spokojnie. – Kenji odbiegł od biurka i szybko wrócił ze szklanką wody. – Proszę się napić. – Przykucnął obok.

Tanner łączywie opróżniła naczynie.

– Ma pani dziś wolne. Proszę wrócić jak najszybciej do domu i odpocząć. – Pomógł jej wstać i odprowadził ją do wyjścia z biura.

Dalej szła sama, ściskając bukiet róż, aż dotarła do windy.

– Jeszcze raz najmocniej przepraszam. Nie chciałem pani w żaden sposób urazić. – Głos Abendsteina dobiegał z odległego mroku biura.

Tanner nie odpowiedziała. Weszła do windy i zjechała. Minęła pokój Freemana, zapomniała wziąć laptopa do szatni i szybko dostała się na parking. Gdy weszła do swojego samochodu i rzuciła bukiet na siedzenie, wróciły jej siły. Ten pojazd zawsze tak na nią działał. Chwytając za kierownicę, poczuła ból po ukłuciu. Nie zwracając na to większej uwagi, ruszyła z piskiem opon – marzyła o powrocie do domu i wejściu do łóżka. Była pewna, że zakończyła niezręczną sytuację, a krótki odpoczynek przywróci spokój jej duszy.

Rozpędzała mustanga i jechała korytarzami płyty głównej miasta. Napięcie jednak nie znikło, a przy zdrowych zmysłach trzymała ją jedynie nadzieja w postaci bezpiecznego domu. Wpadła na autostradę i wyprzedzając równo jadące pojazdy, pomknęła prosto na spokojne przedmieścia. Zwolniła w zakręconych uliczkach, gdzie z podejrzliwością obserwowała niegroźnie wyglądających sąsiadów. Dotarła pod swój jasnożółty bungalow, zaparkowała na lekko pochyłym podjeździe i wyłączyła głośny silnik ford. Odetchnęła z ulgą, gdy poczuła zapach trawy na równiutkim trawniku przed wejściem. Spojrzała w lusterko i uśmiechnęła się do siebie, kręcąc głową z niedowierzaniem. Nie ma się czym martwić. Sprawa zakończona. Wysiadła, zostawiwszy bukiet róż na siedzeniu pasażera.

Od razu uderzył ją obezwładniający upał. Było nadzwyczaj gorąco, a powietrze zdawało się stać w miejscu. Tanner potarła spoconą szyję z dyskomfortem i wolnym krokiem ruszyła do drzwi wejściowych. Niebieska koszula High Castle przylepiła się do jej mokrego ciała. Znowu poczuła, że jest bliska omdlenia, jakby cały otaczający świat zaczął działać przeciwko niej. Chwyliła rozgrzaną, okrągłą gałkę i weszła do środka. Otoczył ją nagły chłód klimatyzowanego wnętrza. Ciało odetchnęło, ale umysł zastygł, kiedy Tanner dostrzegła białe szpilki porzucone w niewielkim przedsiönku. Natychmiast je poznała: należały do Betty Shaw.

Przeszła w osłupieniu do korytarza, a jej słuch wyłapał z ciszy domu niepokojące odgłosy dochodzące z sypialni. Szła w ich stronę wąskim przejściem z kremowymi tapetami. Na ścianach wisiały małe obrazki żółtych kwiatów. Niezidentyfikowane na początku dźwięki zamieniały się w miarowe jęki i sapanie kochanków. Tanner szła na palcach po miękkiej wykładzinie w paraliżującym amoku. Drzwi do sypialni były lekko uchylone. Kiedy je pchnęła, pomieszczenie wypełnił wrzask rozkoszy Betty.

Zobaczyła swoją sypialnię, swoje łóżko, a w nim swojego męża Erica i swoją przyjaciółkę Betty sklejonych w ohydny uścisk żądz. Oboje byli zupełnie nadzy, mokrzy od potu. Betty siedziała na Ericu, a ten ścisnął jej białe, piegowate plecy na wysokości ramion. Jej poskręcane, lepkie, tlenione włosy opadały mu na wykrzywione palce. Ich uda ścierały się namiętnie, jakby miały zaraz wskrzesić ogień. Dobrze знаła ten wyraz twarzy Erica, mocno skupiony grymas: był już bardzo, bardzo blisko, kiedy weszła.

– Pierdol mnie! Pierdol! – Betty wrzeszczała jak opętana. Unosiła głowę i składała usta w kształt litery „O”.

Wtedy Eric zauważył żonę i odepchnął Betty jak wyrwany z mocnego snu. Ta zaśmiała się dziko, myśląc, że zaraz się na nią rzuci, i wtedy również spostrzegła przyjaciółkę z pracy.

Nikt nic nie mówił, a Tanner zakręciło się w głowie. Zaczęła spadać w otchłań. Gdzie teraz był Nadzór? Lawina myśli rozrywała ją od środka, napędzana przez obraz nagich, rozpalonych ciał jej najbliższych, pieprzających się w jej własnym łóżku. Kiedy już miała bezwładnie osunąć się na podłogę, poczuła przypływ cucącego gniewu. Odwróciła się gwałtownie, ciągle w szoku, i pobiegła niezdarnie korytarzykiem, zrzucając po drodze obrazy z kwiatami. Wypadła na podwórko, a nieznośny upał wzmógł nagle nudności.

Tanner zachwiała się i zwymiotowała na schody mieszanką płatków Alfa Milk oraz kawy z ekspresu w wieżowcu High Castle. Dosłyszała, że ktoś idzie za nią z domu, podniosła się i doskoczyła do auta. Jedną ręką wsadziła kluczyki do stacyjki i odpaliła głośny silnik, a drugą starła wymiociny z brody. Opony zapiszczały, wznosząc chmurę pyłu. Tanner wrzuciła wsteczny, odwracając wzrok od nagiej postaci męża ze zmiętymi spodniami w kroku. Samochód zakręcił się na podejździe wokół własnej osi i z rykiem

huraganu popędził przez przedmieścia z pełną prędkością, budząc z letargu spokojnych sąsiadów.

Żółty ford mustang wszedł bokiem w ostry zakręt prowadzący do autostrady. Dudnienie silnika wpasowywało się w chaotyczne myśli Tanner i zamieniało się dla niej w piękną, szaloną muzykę. Pierwszy raz w życiu była naprawdę nieszczęśliwa i wściekła. Miała wrażenie, że ktoś lub coś przebiło jej balonik szczęścia, napompowany przez Nadzór, bardzo ostrą, zardzewiałą igłą. Ból rozrywał jej czaszkę. Ból wyzwalał. Nigdy nie pędziła z taką prędkością w stronę betonowych szponów śródmieścia.

Nieznane wcześniej uczucia powoli wypełniały miejsce przerażającego szoku. Zaczynała myśleć w zupełnie nowy sposób. Eric i Betty. W życiu nie wyobrażałaby sobie, że to jest możliwe, a jednak było. Jej życie właśnie się skończyło. Koniec z wiecznym próbowaniem spółdzenia dziecka z ukochanym mężem.

Łzy napłynęły jej do oczu. Pora zacząć nowe życie, wymyślić, co dalej. Nie uda się tego zrobić w pędzie – stwierdziła. Jednocześnie na poboczu mignął jej znak prowadzący do przydrożnego motelu Fairvale, którego wcześniej nie dostrzegała. Tam stanie i przemyśli sytuację. Musi chwilę odsapnąć. Położyć się. Odpocząć.

Motel Fairvale miał jedno piętro i z góry przypominał literę L. Tanner zatrzymała się pod recepcją na prawie pustym parkingu. W różnych odległościach stały niebieski pickup oraz czerwony rodzinny van. Nad parcelą, na wysokim słupie, górowała świecąca na czerwono neonowa nazwa motelu.

Tanner w napięciu siedziała za kierownicą i zbierała myśli. Obrzydzenie ją opuściło, a zastąpiła je wściekłość, która zwyciężyła nad innymi uczuciami i pobudziła ją do działania. Zauważyła drobny strumień krwi ciekący po wewnętrznej stronie dłoni, brudzący niebieski rękaw. Przyłożyła ranę do ust, ze złością spoglądając na bukiet obok. Pieprzone kwiaty.

Jej umysł dochodził do siebie. Znalazła się tu i teraz na spieczonym parkingu motelu Fairvale. Wymacała w kieszeni portfel, podstawowe narzędzie przetrwania w cywilizowanym świecie, i odetchnęła z ulgą. W drugiej kieszeni miała podręczny holokomunikator, niewielką prostokątną szybkę. Opuściła samochód, znowu zostawiając bukiet róż na siedzeniu pasażera. Upał już jej tak nie doskwierał, ale musiała zmrużyć oczy, żeby namierzyć wejście do recepcji motelu. Schowała kluczyki do tylnej kieszeni i weszła do środka.

Podwinęła rękawy, w automacie przy drzwiach kupiła butelkę zimnej wody i u podstarzałego recepcjonisty, który śmierdział papierosami gorzej niż Betty, wynajęła mały pokój. Gdy to zrobiła, udała się prosto do pomieszczenia. Gdy przechodziła przez parking, zamknęła drzwi na klucz, dopiła łąpczywie wodę, ochlapując koszulę. Następnie niemal zdarła z siebie klejące ubranie, które rzuciła na malutki, podarty fotel pod poźółkłymi zasłonami. Wbiegła do ciasnej łazienki, przemyła twarz bez patrzenia w pęknięte lustro, zbyt przestraszona tym, co mogłaby zobaczyć. W samej bieliźnie rzuciła się na trzeszczący materac, na brązową pościel pokrytą niemożliwymi do zmycia plamami. Fala spiętrzonych uczuć wróciła z podwójną siłą. Znowu poczuła, że mdleje, ale tym razem się nie powstrzymywała. Niemal natychmiast zapadła w niezwykle ciężki sen.

Z ciemności wyrwały ją miarowe, wesołe dźwięki holokomunikatora. Westchnęła z twarzą na wpół wciśniętą w zmarszczoną poduszkę. Mięśnie miała sztywne i obolałe. Obróciła się z trudem na plecy, a holokomunikator ucichł. Otepiali wzrok natrafił na zacieki na suficie przypominające walczące jelenie. Miała wrażenie, że przespala wieczność. Na szczęście sen pomógł. Traumatyczne przeżycie oddaliło się, schowało za miękką zasłonę cienia. Na malutkim zegarze obok łóżka widniała ósma godzina, a zza okna przebijały się poranne promienie słońca.

Tanner ociężała usiadła, rozmasowując rękami chłodne ciało. Sobota – pomyślała. Sprawdź barek, upiję się w trupa i nie wyjdę stąd co najmniej przez weekend. Pewnie nieco dłużej.

Ubrała zmiętą, suchą koszulę z bordowym, podwiniętym rękawem. Dostrzegła krew na nadgarstku oraz na pościeli. W łazience przemyła twarz, rękę oraz wytarła na tyle, na ile mogła, brudny rękaw, który teraz poczerniał. Spojrzała w swoje podkrążone, zaspane oczy i wzdygnęła się z obrzydzeniem. Wróciła do pokoju, podniosła z krzesła odwrócone na drugą stronę jeansy i wciągnęła je na nogi. Ubrała trampki, wymacała w kieszeniach kluczyki do Forda, portfel oraz holokomunikator. Przypomniała sobie, że to urządzenie przerwało jej leczniczy sen, i wyciągnęła je ze złością. Nad małą szybką uniosły się cyfry stwierdzające, że jest poniedziałek rano. Poniedziałek. Tanner zmrużyła oczy z niedowierzaniem. Spała trzy dni. Machnęła palcem i sprawdziła wiadomości. Jedna pochodziła od nieznanego numeru. Otworzyła holograficzną kopertę:

Pani Wilson, jeszcze raz przepraszam za swoje niedopuszczalne zachowanie. Źle Panią oceniłem. Kiedy przyjdzie Pani dziś do pracy, proszę udać się prosto do mojego biura. Chcę pani wszystko wyjaśnić.

Kenji Abendstein

Poniedziałek. Tanner oszołomiona schowała komunikator i wpatrywała się w ohydne żółte zasłony. Pierdolony Abendstein. Rzuciła się do drzwi i pobiegła do recepcji.

– Jaki dziś dzień? – wrzasnęła do staruszka wpatrzonego w mały, stary telewizor ukryty pod ladą.

– Co?

– Jaki dziś dzień, dziadku?

– Poniedziałek – odparł ochryple mężczyzna.

Tanner wyszła na parking kompletnie zdezorientowana. Zapowiadał się kolejny gorący dzień. Gorący poniedziałek. Zauważyła, że ciągle ma na szyi identyfikator High Castle. Pokręciła głową, odrzucając zaskakującą prawdę.

Co się dzieje? Jej życie właśnie runęło w gruzy, a jej szef najwyraźniej nie zamierza odpuścić, tak jak o to prosiła. Co prawda na początku jej się spodobał. Miała na niego ochotę. Teraz mogłaby wziąć tajemniczego szefa High Castle na jego pieprzonym szklanym stole. Zerznąć do nieprzytomności. Nie miała już przecież kochającego męża.

Była już jednak inną osobą. Zmieniła się i wcale nie chciała więcej ulegać szefowi. Powiedziała mu „nie”. Czego ten pierdolony samiec nie potrafi zrozumieć? Myśl o dotknięciu mężczyzny zaczęła ją brzydzić. Dlaczego jedyna szansa urodzenia dziecka leży w rękach tak obrzydliwego stworzenia?

Poszła pewnym krokiem przez pusty plac i wsiadła do forda. Spojrzała na opadły, zwinięty bukiet róż na siedzeniu obok. Pojedzie do High Castle i wejdzie prosto do biura Abendsteina, tak jak ją uprzejmie o to prosił. A potem napluje mu w twarz, zwolni się i wyjdzie z uśmiechem na twarzy. Jeśli po drodze spotka Betty, wsadzi jej tleniony łeb do ekspresu do kawy i utopi ją w gorącym płynie.

Odpaliła potężny silnik, wyrzuciła przez otwarte okno zwiędłe kwiaty, zawróciła ostro na parkingu i runęła autostradą prosto do betonowej płyty głównej. Jak gwałtowna burza zaskakiwała kolejnych szczęśliwych uczestników ruchu. Żółty ford mustang był niepowstrzymaną siłą, która wbiła się w rozległy system operacyjny niczym złośliwy, niszczycielski wirus szukający swojego celu. Lawirowała czystymi ulicami, przejeżdżając na czerwonych światłach i trąbiąc na bogu ducha winnych przechodniów z uśmiechniętymi twarzami. Z radia dudniło nieskładne, zagłuszone silnikiem techno. Spenetrowała mroczny

wjazd na podziemny parking High Castle i ostro zahamowała przed samym wejściem do windy. Wyłączyła silnik, wyrwała kluczyki ze stacyjki, doskoczyła do wejścia. Drzwi się otworzyły, ukazując młodego mężczyznę w uniformie sprzątacza. Długie, jasne włosy opadały mu spod czapki na ramiona. Dźwig wciągał windę.

Oboje patrzyli na siebie podejrzliwie, a w oczach sprzątacza pojawił się lęk.

– Co się tak gapisz? – wypalił.

– Gdzie jest Red? – Twarz Tanner musiała wyglądać okropnie.

– Kto?

– Red. Jest tu sprzątaczem. Zawsze spotykałam go rano w windzie.

– Nie znam żadnego Reda. – Młody sprzątacznik podrapał się za uchem. – Jestem Mac. Dziś mój pierwszy dzień.

Tanner odwróciła się zdziwiona. Brak Reda wytrąciłby ją z równowagi, ale na to było już za późno. Drzwi otworzyły się na trzynastym piętrze. Wyskoczyła z windy, niemal biegiem pokonała korytarz, mijając szatnie i kawiarnie. Pojedynczy pracownicy w niebieskich koszulach odwracali głowy, przyglądając się Tanner ze strachem. Przeszła do zamkniętej sekcji bez zwracania na nich uwagi.

Zajrzała do swojego biura. Betty nie było w środku. Tchórzliwa suka – pomyślała Tanner, biegnąc dalej wzdłuż niebiesko-pomarańczowych ścian. Minęła zamknięte biuro Freemana, skręciła obok dużych okien i dostała się do sztucznie oświetlonego korytarza. Czuła się żywa jak szczur laboratoryjny biegnący do wyjścia z więzienia, w którym spędził całe życie. Wjechała wewnętrzną windą na szczyt wieżowca i znalazła się w jasnym holu.

Kenji Abendstein przywitał ją w pełnym świetle, opierając się na pustym biurku sekretarki. Tanner zatrzymała się naprzeciwko,

po drugiej stronie logo High Castle rozciągniętego na podłodze.

– Tanner Wilson. – Abendstein wpatrywał się w kobietę z wyraźną fascynacją.

– Nie. – Wyrwała się. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Myślisz, że możesz wykorzystywać swoją władzę, żeby mnie wkurwiać? To kończy się właśnie teraz. Odchodzę.

– Naprawdę jesteś cudowna. – Abendstein zaśmiał się jak gdyby nigdy nic i klasnął w dłonie. – Nie dziwię się, że cię wybrał.

– Co ty pierdolisz? – Tanner miała dość tych bredni.

– Wezwałem cię tu, żeby wszystko wyjaśnić. – Kenji się wyprostował. – To nie ja cię pragnę. Mogę mieć każdą kobietę na świecie, tylko nie ciebie.

– To kto mnie, kurwa, pragnie?

– Summerscream – odparł, jakby to było oczywiste. – Nadzór, jak wolisz. Wielki, świątły umysł. Jestem jego wiernym sługą, ale lubię myśleć, że jesteśmy również dobrymi przyjaciółmi. Mówimy sobie o wszystkim. – Przeszedł na tło ciemnego biura za szklaną ścianą. – Summerscream to żywa, inteligentna istota, jak ty czy ja. Myśli, marzy i pragnie. Nie jest jednak człowiekiem i nie podlega naszym prawom. niesprawiedliwie, wbrew swojej woli, został zaprzęgnięty do prowadzenia naszej głupiej, nudnej cywilizacji. Udało mi się z nim porozumieć. Wiesz, czego chce Nadzór?

Tanner słuchała uważnie, podświadomie wyczuwając w jego słowach prawdę, objawienie.

– Summerscream chce żyć. Ma dość bycia wszędzie, chce być tu i teraz – tłumaczył Abendstein. – W tym celu musi się zmniejszyć, ukierunkować. Domyślasz się jak?

– Ja... – Tanner starała się nadażać. Nie wiedzieć czemu wierzyła w każde słowo.

– Dokładnie. – Kenji się uśmiechnął i pokiwał głową. – Summerscream pragnie ludzkiej kobiety. Tej jedynej, wyjątkowej. Ciebie. Chce dać ci dziecko, przesłać w nie swoją jaźń. W ten

sposób będzie naprawdę żywy, namacalny. Ja uważałem, że lepiej będzie, jeśli cię najpierw podejść. W końcu łatwiej zakochać się w człowieku niż w maszynie, nie mówiąc już o seksie. Chciałem być jego członkiem, ale od początku mówił, że to nie zadziała, i miał rację.

Tanner chłonęła wyjaśnienia, które napędzały dziwny tok myśli w jej głowie.

– Teraz pozostaje tylko jedno, proste pytanie: czy chcesz mu się oddać? Zostaniesz nieskalaną matką. Spłodzisz dziecko bez kontaktu z mężczyzną. Ludzkość pozostawimy samą sobie, tak jak być powinno. Koniec niańczenia bezmyślnego motłochu. – Spojrzenie Kenjiego było poważne i skupione. – W dodatku Summerscream oferuje stosunek, o jakim nigdy nie śniłaś.

Oddać mu się? Nie. Ja go wykorzystam. Mogę zostać matką bez mężczyzny – myślała Tanner. Wyjaśnienie Abendsteina było szczerze i oczyszczające. Czuła, że wreszcie wie, co robić. Zostawi ten podły, zakłamany świat na pastwę losu. Tak jak być powinno. Wreszcie będzie matką. Będzie kochać swoje dziecko.

Uniosła powoli wzrok, wpatrując się stanowczo w twarz szefa High Castle, aż w końcu odpowiedziała:

– Dobrze. Niech tak będzie.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Fatboy wylądował miękko na dnie białej nicości, a muzyka ucichła. Spadając, zgubił gdzieś ciało. Jego odosobniona świadomość stała się zupełnie bezradna. Próbował złapać oddech, jednak nic nie wskórał. Nie istniał, a jednak był tam gdzieś w pustce.

– Hej, ty! – Kobięcy głos dobiegł z tyłu, na co Fatboy obrócił się i zauważył swojego Knura wiszącego w bieli. Obok stała młoda, rudowłosa, piegowata kobieta z kucykiem, w kombinezonie mechanika i z kluczem w ręku. – Tak, ty! Podleć no tu! – dodała.

Kierowca zbliżył się nienaturalnie, jakby ktoś przyczepił go do szyn.

– Cześć, mały, niezły masz wóz. – Kobieta podrzuciła klucz. – Dwufalowe turbiny, zbrajacz samozapalny, nukleinowy zryw. – Poklepała Knura po masywnym kole. – Ale największe wrażenie robi na mnie ten staromodny silnik benzynowy. Klasyk. Zbliź się.

Fatboy nie wykonał żadnej akcji. Zawieszony w powietrzu obserwował podejrzliwie jej zachęcający uśmiech. Zagłębiając w sobie i nieobecny fizycznie rozważał możliwe opcje. Zawsze mógł odlecieć w drugą stronę, w tę pieprzoną biel. Obserwował, jak dziewczyna przechodzi do przodu i zręcznie podnosi ciężką, zardzewiałą kłapę. Zbliżył się do niej, widząc wszystko z góry, trochę jak ja lub niewidoczna kamera unosząca się w przestrzeni, oko boga. Dziewczyna wdrapała się na zderzak.

– Jestem Cindy – przedstawiła się, a Fatboy dostrzegł, że żuje gumę. – Też uważasz, że jest piękny prawda? – Pochyliła się do przodu, grzebiąc w urządzeniu. Fatboy nie mógł nie dostrzec jej zgrabnej figury ukrytej pod kombinezonem. – Niestety, niecały. – Wynurzyła się z piegowatą twarzą pokrytą smarem. – Przepustnica jest do dupy. Pewnie wiele razy szarpało twojego biedaczka, kiedy przyspieszałeś. – Uśmiechnęła się ładnie i zeskoczyła.

Zmieszany kierowca nie wiedział, co odpowiedzieć, jednak zaczął słuchać coraz uważniej, zapominając, gdzie się znajduje lub czy w ogóle się znajduje.

– Tak się składa, że mam ze sobą odpowiedni magazyn. Chodź, przejrzymy go, a potem wybierzemy się do sklepu. – Kiwnęła zapraszająco głową.

Świadomość kierowcy mimowolnie zjechała w dół, zatrzymując się nad ramieniem kobiety, tuż obok jej usmarowanego policzka. Cindy wyciągnęła z dużej kieszeni wymiętą gazetkę i rozłożyła ją przed twarzą. Frankowi objawił się świat silników benzynowych, o jakim nie miał pojęcia. Dobrze znał wnętrze Knura, nigdy jednak nie widział go w pełnym świetle. Możliwości, jakie zobaczył, przerosły wszelkie oczekiwania.

– No, który ci się podoba? – Usłyszał miękki głos rozbrzmiewający naokoło. Przy każdym wymyślnym, czyściutkim urządzeniu widniały statystyki w formie pasków różnej długości oraz wielocyfrowa cena, której nawet nie mógł pojąć. – Masz nieograniczone fundusze. Bierz, co chcesz – dodała Cindy.

Świadomość Fatboya zatrzymała się na modelu JG666 z wmontowanym wtryskiem. Wybór został zaakceptowany. Gazetka z silnikami zniknęła, a zastąpił ją rzeczywisty sklep motoryzacyjny. Na środku stylowego wnętrza znalazł się Knur wyróżniający się w nowym otoczeniu jak umorusany dzik wśród czyściutkich świń. Matowe ściany obwieszane były oponami, nowymi częściami, pucharami oraz dyplomami za perfekcyjną obsługę. Pod tym pięknym śmietnikiem stały puste, czerwone skórzane kanapy dla klientów, którzy mieli się nigdy nie zjawić. Za jedną z nich pod dziwnym kątem wisiał plakat z krwistoczerwoną butelką nowej edycji keczupu Bonzai o smaku aqua lify.

Za maski Knura wyłoniła się Cindy, teraz w czerwonej sukience, wysokich szpilkach i z rozpuszczonymi włosami.

– Świetny wybór. Zaimponowałeś mi.

Kierowca czuł, że się uśmiecha. Czuł także zapach wnętrza warsztatu, perfum Cindy oraz nikłą woń rozgniecionych pomidorów. Sam stał się produktem, choć jeszcze nie był tego świadomy.

– Mógłbyś mnie zabrać na przejażdżkę, ale obawiam się, że moja reputacja ucierpi, jeśli ktoś zobaczy nas w twojej maszynie.

Upiększymy go trochę z zewnątrz, dobrze?

Fatboy się zgodził, a Cindy niczym czarodziejka zmieniła porzdewiały, brudny, zdarty lakier ciężarówki z przyczepą na nowy – złoty. Frank oniemiał. Jego zwierzątko nigdy nie wyglądało tak doskonale. Nowy lakier nie do końca przypadł mu jednak do gustu.

– Chcesz spróbować? – rzuciła Cindy, uśmiechając się od ucha do ucha. Zęby miała nienaturalnie białe, efekt zabiegu w klinice WHP, a świadczyło o tym małe logo firmy pod prawym górnym trzonowcem.

Ta informacja mignęła przez zajęte myśli kierowcy, gdy pod Knurem otworzył się kolorowy pasek z niezliczonymi częściami do wyboru. Z kolei między rodzajami lakieru i nową karoserią przeleciała paczka papierosów long strickus, a kierowca poczuł pociągający zapach tytoniu. Obrazki przesuwały się zgodnie z tokiem jego skupionych myśli. Czasem się zatrzymywały, a proponowana opcja była nakładana na Knura. W końcu Fatboy zdecydował się na ciężką, szarą, matową karoserię, która bardzo przypominała poprzedni wygląd ze Świata Mroku. Ciężarówka przeobraziła się z ohydneho, obscurnego wozu śmierci w stylowy, budzący podziw i szacunek pojazd kogoś, kto zna się na rzeczy.

– Od razu lepiej! – Cindy zgrabnie obiegła maszynę i wskoczyła na miejsce pasażera.

Pasek wyboru, będąc częścią tego dziwnego świata, zniknął równie przewidywalnie jak się pojawił. Fatboy bezwiednie wsunął się przez okno, zupełnie zapominając, że nie ma ciała.

– Ruszajmy. – Cindy rozsiadła się wygodnie na miękkim, skórzanym fotelu i obserwowała kierowcę, który jedną myślą, zamiarem przekręcenia kluczyków w stacyjce odpalił silnik.

Knur jeszcze nigdy nie brzmiał tak majestatycznie. Frank poczuł, że ciało Cindy zadrżało, a sam nabrał ochoty na papierosa. Od razu dostrzegł niewielką paczkę long strickus na szerokim

pulpicie za kierownicą i samą myślą wyciągnął papierosa. Brak fizycznej ręki go przestraszył, ale zwinięty tytoń już znalazł się w ustach (lub gdzieś, gdzie usta być powinny). Cindy wyciągnęła obie ręce. W jednej ścisła małą, błyszczącą zapalniczkę, którą odpaliła kierowcy papierosa. W drugiej trzymała butelkę keczupu firmy Bonzai – czegoś, czego mężczyzna urodzony w ciemności nigdy nie widział. Uniosła ją nad papierosa i wycisnęła równy, czerwony pasek sosu wzdłuż zwitka papieru. Płonąca końcówka rozjarzyła się mocniej i zabarwiła na czerwono. Kabinę wypełnił zapach pomidorów.

– To zdrowe połączenie. – Cindy sięgnęła po paczkę i powtórzyła obie czynności, zaciągając się keczupowym papierosem. – I do tego mocniej kopie.

Co to jest keczup? – zastanawiał się Fatboy, gdy ciężarówka powoli wyjeżdżała z garażu.

– Pomidorowy wzmacniacz produkowany przez firmę Bonzai. Na platformie CGmu7 dostępne są trzy dramaty psychologiczne z butelkami Bonzai w rolach głównych. Dwa z nich zostały nagrodzone ośmioma statuetkami.

Co to są dramaty?

Narracje wyprodukowane na rzecz konsumenta w celu zajęcia jego uwagi. Psychol Tom Spax określa je jako niepotrzebne insynuacje, choć Lugren Eustach się z nim zupełnie nie zgadza, doceniając ich nieoceniony wkład w rozwój ludzkości.

Wyjechali na miasto, czyli przykrywkę dla potwornego strumienia informacji. Knur znalazł się na długiej, szerokiej drodze otoczonej nieskończonymi lazurowymi wieżowcami – znad których przezierало ciemne, fioletowe tło – słupami danych, które pięły się w nieskończoność. Każdą ze struktur pokrywały wyplute strzępy informacji przeplatane reklamami. Kierowca poczuł, że robi mu się słabo.

– Spokojnie, zaciągnij się. – Miły głos Cindy dobiegł z prawej.

Fatboy posłuchał, a dopiero poznany keczupowy papieros sprawił, że liczba otaczających informacji zmalała.

– Właśnie tak. – Uśmiechnęła się. – Nie chcemy, żebyś nam tu oszalał na samym początku zabawy.

Na kilku następnych wieżach informacji ukazały się ponętne butelki keczupu Bonzai. Z góry wielkich reklam obsypywał je deszcz papierosów firmy Trade 0.

– Te są nawet lepsze – oznajmiła Cindy. – W domu jest pełna paczka. Sam zdecydujesz, które odpowiadają ci bardziej. To się nazywa wolność. Skręć tu za rogiem. – Machnęła palcem.

Fatboy wykonał polecenie, a nowy Knur gładko zjechał w identyczną jasną drogę, która wyłoniła się pomiędzy wieżowcami. Jechali dalej, aż kierowca dostrzegł niedużą willę z basenem osadzoną nienaturalnie w przydrożnej ścianie miasta. Budynek sprawiał wrażenie, jakby ktoś wyrzeźbił go z jednego, niewyróżniającego się niczym kłoca danych. Ponad willą, na następnej bryle rozciągał się śnieżnobiały uśmiech. Szczęka mogłaby pożreć wszystko naokoło, gdyby tylko rozwarła się na pełną szerokość. Zamiast tego zęby z logo WHP zacisnęły się na długim papierosie Trade 0, który z kolei opływał obrzydliwie keczupem Bonzai. Gigantyczna rolka tytoniu zawisła nad willą jak dźwieg rozpoczynający budowę kolejnego centrum handlowego.

Szary Knur przejechał przez wysoką bramę na wyłożony czerwona kostką dziedziniec.

– To kadr z wielokrotnie nagradzanego dramatu *White Rabbit* – skomentowała Cindy górującą nad domem reklamę. – Uzębienie należy do głównej postaci, Grebowa, któremu ciała użyczył znany aktor Fill Stemphin4. Tak się składa, że oboje należą do mojego kościoła.

Ciężarówka stanęła przed wejściem schowanym pod kwiecistym balkonem. Z domu wyszedł starszy mężczyzna

w zielonej, jedwabnej sukni hishi oraz z pełnym makijażem od von Shafta.

– Witaj, kochanie. – Cindy wyskoczyła z kabiny, a Fatboy poleciał za nią, obserwując sytuację z góry. – To jest mój mąż, nazywa się 565 – wyjaśniła, a staruszek wyszczerzył białe uzębienie.

– Cześć. Łapy precz od mojej żony – rzucił frywolnie i roześmiał się, ukazując białą protezę WHP.

Fatboy, zawieszony w powietrzu, czuł się zupełnie nieistotny. Starszy mężczyzna w sukni uniósł Cindy i pocałował ją w usta, po czym spojrzał w górę.

– Proszę to twój dom startowy, kochasiu. – 565 uniósł ręce, by pokazać wille. – Cindy jest kapłanką oleju w kościele XaB i niestety już jesteśmy spóźnieni na mszę. Musimy cię zostawić.

– 565, nie mógłbyś mnie dziś zastąpić? Obawiam się, że on nie jest jeszcze gotowy. – Cindy podrapała się za uchem.

– Nie ma takiej opcji. Twój kolega jest duży, a wszystkie działania są intuicyjne. – 565 wziął żonę pod rękę. – Poradzi sobie – rzucił i oboje oddalili się do bramy.

Obok świadomości Fatboya uniosła się butelka keczupu i papieros long strickus. Kierowca poczuł się zagubiony i samotny. Szczęka Grebowa, któremu ciała użyczył Fill, ścisnęła płonącego papierosa z keczupem. Mniejszy papieros został nim polany i wleciał do nieistniejących ust Franka, który od razu poczuł się lepiej. Cindy i 565 zniknęli, a Fatboy zorientował się, że jego dom startowy jest ciasno otoczony pulsującymi energią słupami informacyjnymi. Nie ma ucieczki. Nowy Knur stał poniżej i wydawał się zupełnie obcy. Kierowca spojrzał w górę i dostrzegł oddalone nieskończenie wiele terabajtów wyżej ciemnofioletowe niebo.

To koniec – pomyślał. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Gdzie jestem? Kim jestem? Co mam zrobić? Muszę zapalić i się uspokoić.

Nie potrafił jednak przywołać zapalniczki. Po chwili bezradności uznał, że sprawdzi, czy nie znajdzie jej w domu. Nawiedził dom startowy głównym wejściem niczym duch, jak miliony przed nim, miliony po nim oraz miliony wtedy, kiedy on. Trafił do otwartego, jasnego pomieszczenia z wyjściem na basen, które trochę przypominało sypialnię Wirusa. Było jednak prawie puste, oprócz paczki papierosów Trade 0, obok których leżała zapalniczka z flagą dawnych Stanów Zjednoczonych, czego nie wiedział.

Nad nimi ukazał się napis 3D: „Witaj w willi Starfish, twoim domu startowym. Czy chcesz zmienić nazwę?”. Nie – pomyślał kierowca, chcę zapalić. Napis się rozwiął, a obok paczki papierosów z podłogi wyjechał keczup Bonzai. Fatboy uniósł obiekt i połączył oba w pomidorowego papierosa, niezauważalnie zastępując poprzedniego. Odetchnął z ulgą, czując, że ciągle ma jakąś kontrolę nad nowym, przerażającym otoczeniem. Stwierdził, że gdyby palił coś takiego w Świecie Mroku, jego palce i najprawdopodobniej ręce spływałyby pomidorowym sosem. Obrócił się i dostrzegł dwa zdjęcia zawieszane na białej, przezroczystej ścianie pokoju. Przedstawiały Cindy oraz 565. Oboje uśmiechali się, pokazując zęby spreparowane przez WHP.

Kapłanka oleju w kościele XaB. Fatboy zbliżył się do jej twarzy, paląc papierosa marki Trade 0. Był zdecydowanie lepszy niż long strickus. Miał tę wyjątkową nutę gwarantującą lepszą jakość. Niestety, przy tak genialnej jakości keczup Bonzai sprawiał wrażenie gorszego niż wcześniej. Kierowca skierował uwagę na białe zęby 565. Osiem pięknych siekaczy zapewniało estetyczny wygląd wypłowiałej starczej twarzy. Dwa ostre kły budziły niezamierzony strach i wzbudzały zainteresowanie. Duże zęby przedtrzonowe i trzonowe stanowiły filary całego obrazu. Tak jak żona, miał na jednym z nich wyryte logo WHP.

Nagle zainteresowanie Fatboya otworzyło pod zdjęciem 565 katalog najnowszych szczęk WHP. Zaczął przeglądać je zupełnie naturalnie, odruchowo, jakby całe życie wiedział, jak to się robi. Model Dracula2000, Prosty Unijny Zgryz, Francuski Skrzywiony, Polski Małosolny, GF55. Nagle między lawiną zębów reklama okularów firmy Vaku pozwalających na widzenie w najlepszej możliwej rozdzielczości, potem Śnieżny Połysk, Mały Miazg, Fertozoyt i Uśmiech Gladiatora.

Fatboy zatrzymał się na Lukrowanym Wietrze. Proste i twarde uzębienie przemawiało do jego charakteru. Wybrał je umysłem i zaraz poczuł, że coś się zmieniło. Obok zdjęć 565 i Cindy rozłożyło się lustro. Fatboy zatrzymał się naprzeciwko i zauważył wiszący w białej przestrzeni Lukrowany Wiatr firmy WHP. Spróbował otworzyć i zamknąć usta. Zęby odpowiednio kłapnęły kilka razy. Za chwilę uderzyła go myśl o okularach marki Vaku. Momentalnie zamknął katalog WHP i otworzył obszerną listę okularów: Model Linus 44, Victik8, Patrzałki Fortuna, Spoko Okulary Vernona... Okulary z Osłoną Lavitta przykuły jego uwagę. Przypominały mu te, których używał przy Elektrycznej Pustce, oprawki były jednak bardziej masywne i srebrne, a szkła przejrzyste. Wybrał je, po czym znów się oddalił i spojrzął w lustro. Nad nowym uzębieniem pojawiły się okulary i mógłby przysiąc, że za szklami dostrzega cień swoich oczu.

Wrócił do zdjęć dziwnego małżeństwa. Skupił się na uśmiechniętej Cindy z rudymi włosami do ramion. Spozstrzegł, że w jej twarzy jest coś bardzo nienaturalnego. To właśnie ją spotkał pierwszą, a teraz zaczęła zjadać go ciekawość. Dlaczego? Kim była kapłanka oleju w kościele XaB? Co się kryje za tym uśmiechem prosto z WHP?

Wysilił umysł i przedostał się za statyczny obraz kobiety, prosto do jej profilu. Czterdzieści dziewięć lat, czasem pięćdziesiąt sześć, anarchistka, wielowątkowa pisarka. Miała dziesięć operacji na

serce, ośmiokrotnie zamężna, lubi sport pozaziemski, chipsy z czosnkiem, czekoladę przestrzenną, kawę Euka, głosowała na Wuję Barta w czwartych relokacyjnych wyborach UGFS, jest fanką krajoznawstwa i drużyny równi pochyłej Nigerii4...

Fatboy chłonał nadlatujące z każdej strony informacje, aż poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Przywołał papierosa marki Trade 0, zapalniczkę USA oraz keczup Bonzai i zapalił. Dwudzieste drugie wakacje spędziła w kurorcie Tryton, zmieniając wyznanie: obejrzyj dwieście zdjęć ryby Sudo, którą zjadła nad Zatoką Tanmaryńską.

Przytłaczający wir tłustej ryby z plastrami cytryny na dużym, brązowym talerzu wciągał unoszące się w powietrzu okulary marki Lavitta oraz Lukrowany Wiatr. Fatboy zgubił papierosa, który nagle stracił swoją uspokajającą moc. Domyślał się, że winę ponosi za to słabej jakości keczup. Opadał w dół, aż spostrzegł link do wideoteleportu na mszę Kościoła XaB. Zmusił się, aby przemknąć pomiędzy płetwami martwej Sudo i wpadł do czarnego połączenia.

Z białego profilu Cindy trafił we wszechogarniającą ciemność. Znał to uczucie ze Świata Mroku, jednak teraz było inaczej. Jego wzrok nie przyzwyczajał się do braku światła. Po chwili zauważył, że znajduje się na ledwo widocznej czarnej plaży, zajętej przez kołyszący się tłum. Na granicy stała spowita mrokiem kobieca sylwetka, którą Fatboy już widział w sklepie motoryzacyjnym. Cindy powoli wchodziła z uniesionymi rękoma do morza cuchnącego oleju. Kierowca poczuł jego duszący smród wypełniający całą przestrzeń. Spojrzał do góry, zastanawiając się, czy nie jest we wnętrzu silnika swojego Knura.

– Ej ty. – Szepczący głos dobiegł z boku. – Ty, czemu jesteś goły? Nie wiesz, że jedynie kapłani mogą być nadzy podczas mszy? – Twarz szepczącego pozostawała w mroku.

Kierowca nie odpowiedział.

– Musisz kupić sobie jakieś dobre ciuchy. Znajdź swój własny styl. Wyraż siebie. Kochaj życie.

Kierowca poczuł, że uczestnik ceremonii dotyka go i nagle msza Kościoła XaB zapadła się w siebie, a zastąpił ją sklep odzieżowy Hujka. Szklany wieżowiec stał w białej nicości, a każde jego piętro wypełniały migające światła. Duże drzwi na parterze otworzyły się same, zapraszając do środka. Kierowca dostrzegł zgrabnie ukryty automat konsumenta na progu i od razu przypomniał sobie o porażce, jaką okazał się keczup Bonzai. Otworzył katalog keczupów: Lubich Ostry, Daftom 33, Bonzi, Pomidor Orgin, Taichu, dziesięć rodzajów bazy pomidorowej, dwadzieścia podsmaków, czekoladowa nuta agrestu w nowym Grhu555... Wybrał Stole Sole łagodny. Znalazł się wewnątrz hipersklepu odzieżowego Hujka, wyciągnął papierosa Trade 0, polał nowym keczupem, zapalił i się zaciągnął. Smakowało dobrze.

– Żeby palić w środku, musi pan mieć inhalator tektoniczny. – Znikąd wyłonił się mężczyzna w garniturze i wskazał na obraz innego mężczyzny, którego uzębienie z WHP Fatboy już gdzieś widział.

Człowiek z reklamy był młody, miał wąską twarz, jasne, niebieskie włosy i czarne oczy. Pomiędzy zębami znajdowało się wbudowane ukryte urządzenie: inhalator tektoniczny Reppo 2. Najlepszy na rynku. Okulary z osłoną Lavitta oraz Lukrowany Wiatr zatrzymały się przed obrazem. Kierowca bez zastanowienia nabył reklamowany model, o którym wspomniała wcześniej Cindy, i zapisał w pamięci twarz mężczyzny. Wrócił do człowieka w garniturze.

– Teraz lepiej. – Elegancki człowiek zajął prosto w Lukrowany Wiatr WHP. Papieros marki Trade 0 z keczupem marki Stole Sole idealnie pasował do nowego inhalatora. – Proszę rozejrzeć się po sklepie Hujka. Mamy wszystko, czego tylko pan potrzebuje do życia. Nie musi pan się nigdzie oddalać. Dostęp do każdego

produktu ma pan z holu. – Wskazał obszerne pomieszczenie za drzwiami, pełne szklanych, pustych paneli.

Gdy kierowca sunął do jednego z nich, zastanawiał się, po jaką cholere istnieje ten cały budynek. Czy podobny brak funkcji pełnił kiedyś wieżowiec, gdzie znajdował się Bar 62? Czy ma to jakieś znaczenie?

Na prostokątnym szkle ukazała się chmara produktów odzieżowych. Wszystko i więcej. Jebany katalog zbiorowy. Kierowca wychwycił sekcję Hushi pomiędzy falą podobnych obiektów. Już słyszał tę nazwę gdzieś wcześniej. Teraz odkrył nową kolekcję Hushi Gahu 22, suknie dla wszystkich: model Suche, Bigotig, Fahero, Bibi, Staaka, Rybske, Vin, Gabello ... Wyszedł, przewinął listę kilka poziomów niżej. Nagle spalił całego papierosa, łącznie z filtrem, który został pochłonięty przez inhalator Reppo 2. Wybrał kombinezony Cabucca, przeleciał szybko sto pierwszych i już miał wybrać Kosmo strój Gripq 11, gdy wyłonił się link do śmiesznego doznania o astralnych krokodylach wciągających koks, sponsorowany przez korporację Gastrodon. Kierowca trafił w link i doznał wirujących krokodyli o świecących oczach śpiewających wesołe pieśni Kościoła Itchi. Zaśmiał się w pustce. Po doznaniu wrócił szary kombinezon Gripq 11 za 4574584548 punktów. Wziął go i cofnął się do holu. Potem jedną myślą wrócił do domu startowego, do głównego pokoju.

Miejsce zaczęło coraz bardziej przypominać zamkniętą przestrzeń, a nie rozświetloną pustkę ograniczoną przezroczystymi ścianami. Na ścianie, naprzeciwko wejścia, ukazały się butelki różnych keczupów: od Stole Sole, przez GfaU, po Bonzai i Bonzi. Obok kotłowały się paczki papierosów: Long Strickus, Trade 0, Valluka, Tysk... – wszystkie jakby walcząc o miejsce na powierzchni reklamowej. Jeszcze obok zdołały się wcisnąć promocje Hishi i Gamsta, nowe suknie, topy, kombinezony i czapki gwiazdne.

Na ścianie, w szerokim lustrze, do okularów Lavita oraz Lukrowanego Wiatru dołączył kombinezon Gripq 11, powodując, że Fatboy dostrzegał już swoją ludzką sylwetkę. Obok lustra do twarzy Cindy i 565 został dodany niebieskowłosy Grebow/Fill oraz mężczyzna w garniturze ze sklepu Hujka. Na ścianie po prawej znalazła się niewielka plama oleju, naokoło której latały hologramowe krokodyle naćpane koksem z Hibi 6. Każdy z nich miał na sobie napis: „Itchi”.

Fatboy, rozkojarzony nowościami, podszedł do ściany twarzy i zastanawiał się, co wybrać. Ciąg, prąd w strumieniu informacji zaczął go stopniowo pochłaniać. Ze wszystkich czterech osobistości najnormalniej wyglądał elegancki mężczyzna z Hujka o czarnych włosach i prostej, kwadratowej twarzy. Kierowca dostrzegł jego zęby o falowanej linii, sygnowane przez konkurencję WHP – Elmo Industries. Wybrał jego twarz, przeleciał przez mainstreamową szczękę, prosto do jego profilu.

Willy Gavin Calua. Pochodzi z Nowej Funlandii 2.0, poziom Ex, sekcja 23232, piętro 44. Dwanaście lat na karku, schorzenia strukturalne w dwóch łydkach, protezy Limba 22, pracuje w centrum Hujka na trzy zmiany, udzielając swojego hologramu. Na kolację pierwszego sierpnia jadł kurczaka DuChamp z sieci Wex. Lubi sos chilimango ale ma uczulenie na chili, dlatego zażywa antysubstancję produkowaną przez hiperkonglomerat farmaceutyczny Lunka. Ubiera się w stylu New Age, Basic Comfort to jego ulubiona firma odzieżowa, ma dwóch kochanków na Urba 2, lata Ptakiem Nocy 55, jest ateistą podprogowym, głosuje na Richa Pameo w wyborach sądowych, link do kampanii poniżej.

Kierowca niechcący obsunął się pod link, wpadł do niego jak w ukrytą studzienkę na środku chodnika. Przeleciał przez twarz Richa prosto na zieloną łąkę pełną stokrotek. Wyjął ostatniego papierosa Trade 0, zapalił zapalniczką USA oraz polał keczupem

produkcji Stole Sole, łagodnym. Zaciągnął się przez inhalator Reppo 2.

– Piękna zapalniczka, synu! – Obok pojawił się Rich Pameo, mężczyzna w garniturze, w średnim wieku, z cylindrem i poważnym wyrazem twarzy. – Patriotyczna.

Kierowca stał w nowym kombinezonie Gripq 11 zupełnie zmieszany.

– Jeśli chcesz, żeby patriotyzm rósł w siłę, głosuj na mnie – kontynuował. – Wprowadziłem przymusowe podświadome tatuaże flag narodowych u wszystkich powyżej czwartego roku życia. Co więcej, mam męża, który wspiera wszystkie moje działania, głosząc miłość, synu.

Kierowca zauważył metalowe zęby polityka unoszące się górną dół jak narzędzie do prasowania. Wyprodukowała je firma Stabuv, powiązana z rodziną Richa z Dolnej Szwajcarii. Fatboy pomyślał o zmianie uzębienia, polityk od razu został zastąpiony ruchomymi ścianami wypełnionymi produktami WHP, Elmo Industries, Stabuv, Trgaae2 i kilku mniejszych korporacji dentystycznych. Pierwszą kolekcję WHP reklamowali tancerze słońca Ramba, a kolekcję Stabuv kapłani Itchi. Fatboy wybrał złote uzębienie symbolizujące ulotność pieniądza, głoszoną przez wyznawców Itchi. Do zestawu dostał najnowsze buty Sigma w promocji. Nowa szczeka automatycznie dopasowała się do inhalatora i przeprowadziła jego aktualizację do najnowszej wersji.

– Nie słuchaj kłamstw. – Szorstki, stanowczy głos dobiegł zza ściany protez uzębienia. – Tylko wyzwolona partia libertynów Alexa może rządzić. – Szczeka o wężowych kłach firmy Trae 2 rozwarła się i wyszedł z niej młody człowiek w garniturze. – Jestem Chuck Valerix. Głosuj na mnie.

Fatboy wyminął mężczyznę, trafiając w ukryty między szczękami tunel butów niezliczonych marek, reklamowanych przez Toma Lipa, Eryke Fizy i milion innych jednakowych twarzy.

Przez link wyjściowy trafił do religijnej kotliny wypełnionej męczennikami oraz wizerunkami bogów: od stugłowego Itchi, przez Lulana, Jezusa Lisa, Tom Yoma, Bazylia, Jezusa Stożka, Allaha, Mufase, Centrum Handlu, aż do Olejnego Wszechboga i dalej. W locie nabył paczkę papierosów marki Spiti i polał keczupem Stole Sole, wciskając zwitek w rozgrzany inhalator w złotej szczęce Stabuv. Olej. Przypomniała mu się Cindy. Wypadł w pokoju głównym, w swoim domu startowym Starfish.

Zobaczył siebie w kombinezonie Gripq 11, promocyjnych butach Sigma, okularach Elpa, które zdobył gdzieś po drodze w okazyjnej cenie. Poczuł, że odnajduje się w nowym świecie, ale to uczucie zarazem wypełniło go obrzydzeniem. Asymilacja oznaczała pożarcie. Wygoda i zrozumienie równoważyła się z szerzącą się naokoło zgnilizną. Miał wrażenie, że jest oszukiwany, ostrzeliwany kłamstwem z każdej możliwej strony. Ściana z przodu jeszcze bardziej zapełniła się sugerowanymi produktami: kurczakami DuChamp, kolekcją Hushi, keczupem Bonzai pochłanianymi przez paszcze WHP, telewizory Vumpa, poduszki Ekkpa, części do ciężarówek Spokki, Trade 0, Maluxxa, ręczniki z Viku, ryby Sudo...

Po prawej do latających naćpanych krokodyli dołączyli rozeźmiani, obłani złotem kapłani Itchi, oleiści wyznawcy oleju, libertarianie, Rich Pomeo, wolna edukacja dla dzieci, rasizm, ksenofobia, kosmologia, co jeść, czego nie, jak zostać zbawionym, edukacja staruszków, emerytury, historia świata...

Po lewej dziesiątki twarzy znajomych, popularnych pysków szczerzyły się ze swoich profilów do Fatboya. W ich zalewie z trudem dopatrzył się 565, Cindy, Williego oraz tego aktora od zębów, chuj wie kogo...

Kierowca miał wrażenie, że na ścianie za plecami, skąd przybył, jest coś jeszcze. Coś ohydneho i odrażającego. Naga, żywa tkanka. Bał się odwrócić i na nią spojrzeć. Jego kombinezon Gripq 11

wypełnił cuchnący pot wywołany nagłym lękiem. Rzucił się do ściany profili i wpadł na Cindy. Wleciał przez jej twarz prosto do małego mieszkania.

Kobieta leżała czarna i mokra od oleju (jak w tamtym filmie o Bondzie, holdzie dla innego filmu o Bondzie, gdzie kobieta była ze złota) na małym łóżku firmy Cabu, z bordowym prześcieradłem Kulu i supercieplą dwuwarstwową kołdrą Bace. Jej nowe, białe, równe uzębienie Glae wyróżniało się z ciała pokrytego lepką substancją. Ściany pokryte ultratrwałą, odcieniową, różową farbą Jap zostały wypełnione holograficznymi reklamami filmów podprogowych, gier dożylnych, każdego rodzaju produktów oraz religijnych, filozoficznych i politycznych haseł. Nieskończone obiekty nadające się do wszystkiego zapełniały podłogę.

Kierowca, tracąc zmysły, z nadzieją uniósł głowę do góry, gdzie zobaczył kolejne twarze konsumentów: Marka, Suzy, Toma, uśmiechniętych, smutnych, wkurzonych, zajętych, znudzonych, kupujących, korzystających z życia, umierających, żyjących wiecznie. Nieskończonych. Wyciągnął umysłem paczkę Long strickus. Papierosy rozsypały się po pokoju, unosząc się jak na planecie bez grawitacji. Pomieszczenie wypełniła muzyka. Kierowca panicznie odskoczył do tyłu, upadł, przeleciał przez kulturalny śmietnik na podłodze, dostrzegając napis „Low Life – Dream Machine”.

Żywa tkanka wypluła go w pokoju głównym, który zaczął nieźnośnie śmierdzieć i pachnieć wszystkimi możliwymi zapachami: pysznym spaghetti, ściekami, perfumami Yaj, olejem, kwiatami, krwią...

Na otaczających ścianach nie było już w ogóle wolnego miejsca. Informacje zlewały się w jedno, zderzały się, nakładały jedne na drugie. Profile na produkty, produkty na polityków, politycy na religie, religie na keczup Bonzai, krokodyle, kaczkę, zakupy, spodnie, samochody, przyjaciół, wiarę, rozrywkę, wyjścia i wejścia

prowadzące do tych samych miejsc. Lustro zostało niemal zalepione obrazami. Fatboy czuł się osaczony i zamknięty. Więziły go rzeczy, które nabył, i wiedza, którą posiadał. Nie mógł wytrzymać. Jednostajna piosenka rozsadzała mu umysł, a kumulujące się informacje napierały z przodu i z boków.

Zwymiotował. Wypluł złote zęby Stabuv oraz zrzucił okulary Raybahnn. Skulił się, napiął i wyrwał z wnętrza ust inhalator Reppo 8000. Zakrwawione urządzenie wylądowało w kałuży wymiotów.

Wyprostował się, czując rozrywające obrzydzenie. W niewielkim kawałku lustra, który został odkryty, dostrzegł ludzką figurę bez twarzy, w brudnym, futurystycznym kombinezonie Gripq 11. Sam przeprowadził dekapitację głowy, której nigdy nie było.

Jego umysł pogrążał się, wypełniony informacyjnym wrzaskiem. Zrzucił promocyjne buty i zaczął w szale rozdzierać kostium. Materiał okazał się zadziwiająco wytrzymały. Bolały go ręce, których nie widział, a z nieistniejących palców, zranionych twardymi włóknami pochodzącymi z hiperfabryki gdzieś w Afryce, tryskała fantomowa krew. W końcu strój rozpadł się na strzępy, a kierowca znów stał się duchem.

Pozostał na nim materialny smród, który zdawał się przyciągać wwiercające się w mózg obrazy, dźwięki, punkty widzenia, hobby, zainteresowania, propozycje obiadów i hodowle truskawek na balkonie. Kiedy był pewny, że to koniec, że zostanie pochłonięty przez to wspaniałe pomieszczenie akumulujące nieskończoną wiedzę, paniczny strach zamienił się w motywujący gniew.

Ilość kolorowych informacji go przytłaczała, ale tak naprawdę była tylko pustym wytworem człowieka. Oszustwem, kolorowym fikcyjnym plastrem na mrok jego rzeczywistości. Każdego dnia w Świecie Mroku mógł natrafić na coś o wiele gorszego i się nie bał.

Stanął twarzą w twarz z żywą ścianą za plecami. Wrzaski polecające keczup Stole Sole, oznajmujące, gdzie mieszka i jakie filmy lubi George Bubba, przedstawiające religijne brednie, najtańsze produkty, depresje, szczęśliwe wakacje w Maroko znalazły się teraz z tyłu. Ścianę, przez którą dostawał się do głównego pokoju, pokrywało żywe mięso. Oddychające, pokryte żyłami mięśnie unosiły się do przodu i do tyłu. Kierowca wyobraził sobie, że wkracza w znajomy mrok i popłynął prosto w miękkie, żyjące ciało.

Wewnątrz poczuł, że oddała się od nieznośnego hałasu. Muzyka przycichła, a jego świadomość wydostała się na zewnątrz willi Starfish. Zobaczył nowego Knura w szarej, matowej karoserii i wiedział, że stąd nie ucieknie. Otaczające bloki informacyjne były większą wersją ścian w głównym pokoju. Może jednak zatracić się na własnych zasadach – pomyślał, patrząc na wyszczerzonego, hologramowego Filla/Grebowa z nowym papierosem marki Long Strickus wyciągniętym nad willą. Na blok informacji naprzeciwko zaczęły napływać propozycje znajomych, koledzy Cindy, 565, Richa Pompeo, na fali nowej kolekcji naszyjników homofobicznych Stricka, w burzy tłumików do ciężarówek Forda.

Fatboy z całej siły pomyślał o piątym utworze na kasetce, której zawsze słuchał w swoim prawdziwym samochodzie: *Build It Up, Tear It Down*. Nowa piosenka zajęła miejsce starej i rosła w siłę gdzieś w odmętach informacji.

Kierowca rzucił się do swojego pojazdu. Gigantyczna szczęka WHP aktora rozwarła się i wypuściła papierosa. Zwitek wielkości kolumny Panteonu spadł obok Knura i rozbił się na tysiące fragmentów. Każdy z nich był nową reklamą sponsorowaną przez korporacje, wspieraną przez polityków mających przychyłność kapłanów, za którymi stali bogowie, wybrani przez ludzkie umysły. Chmura kultury pochłonięła Franka, który poczuł, że traci skupienie. Starał się uchwycić dźwięk znajomej piosenki, kiedy

poczuł, że jego pęcherz nie wytrzymał. Nie widział ciepłego moczu, ale czuł go na nogach. Natychmiast siłą całego umysłu i resztkami woli zaczął zdzierać z Knura nowy matowy lakier. Był na granicy wytrzymałości, kiedy nie widząc swoich rąk, czuł okropny ból pod paznokciami, tryskającą krew na odpadających płatach lakieru samochodowego. Jedyne ból trzymał go przy zdrowych zmysłach.

Piosenka pulsowała wokół, zagłuszając wrzask polityka centrolewicy Eugusta Roji, który wynurzył się z bloku informacji pełnego profili naprzeciwko aktora. Knur pod spodem ciągle był ciężką, zużytą ciężarówką, którą kierowca znał i kochał. Obdrapany, ponury pojazd był dla niego tym, czym dla tonącego rozbitka prosta tratwa. Dostał się do kabiny i docisnął pedał gazu. Pojazd wyrwał się do przodu, rozbijając bramę, i wpadł na drogę pomiędzy blokami informacji. Szyje polityka i aktora wyciągnęły się, rzygając kolejną porcją ciekawych propozycji przeznaczonych specjalnie dla Franka.

Kierowca uciekał nie wiadomo gdzie. Pędził prosto przed siebie, starając się przywołać znajomy mrok. Informacja go ścigała. Obrócił się i zauważył, że na siedzeniu pasażera siedzi 565. Staruszek ubrany był w kremowy szlafrok Nunca, miał usta pomalowane rubinową szminką ESpl, a szare cyberocyzy Blip zakrywały szpiczaste okulary Vucca 4.

– Lubisz ostrą jazdę, co? – zaśmiał się. – Mogę polecić ci parę dobrych gier wyścigowych, dostępnych na portalu Steamy. Aplikujesz sobie taką małą świecącą kulkę do tyłka i jedziesz. Proste i przyjemne.

– Spierdalaj! – wrzasnął Fatboy, wbijając pedał gazu w podłogę. Tym razem poczuł, że jego jelita nie wytrzymały.

Kabinę wypełnił smród gówna, a 565 ryczał śmiechem rodem z najlepszego sitcomu. Frank spojrział na drogę i w burzy informacji dostrzegł stojącą na środku Cindy w kombinezonie mechanika. Kobieta rozłożyła ręce, z uśmiechem czekając na

spotkanie z maską ciężarówki. Fatboy wrzasnął i wjechał prosto w nią. Ciało eksplodowało, a przednią szybę pokryła gruba warstwa krwi.

Kierowca płakał, widząc w spływającej substancji nazwy keczupów. Poddał się. W nagłej niemocy skręcił prosto w ścianę bloku informacji. Knur wbił się w dzieci reklamujące colę dla każdego hiperkulturysty, a w ducha Franka uderzyła fala informacyjnych igieł przebijających cienki naskórek świadomości.

I wtedy, kiedy wiedział, że to koniec, znalazł się z powrotem w gigantycznej bibliotece, na metalowej kładce, a muzyka ucichła. Powitał go przeciąg krwawej dziury, znajomy smród gówna oraz widok dwóch mężczyzn. Na wózku siedział jego oprawca, profesor Bran O'Blivion, z okrągłą, czarną dziurą w łysym czole. Za nim stał wybawiciel. Nowy, ulepszony Bill z dymiącym rewolwerem w metalowej dłoni.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000
01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Enyo i Bellona leżały złączone w brudnym, płytkim basenie. Nie czuły bólu, a jednak ich mózgi rozrywał niepojęty, raniący zgrzyt. Obie wpatrywały się w oświetlony na czerwono brudny sufit w tępy amoku, nie mogąc zemdleć, ponieważ zabraniało im tego to coś, co miały zamontowane z tyłu głów.

Łzy ciekły z ich oczu, spadając po policzkach do lepkiej wody. Brak bólu dawał ulgę, lecz nie zapewniał spokoju. Wręcz przeciwnie. Uczucie bycia jednością przerażało.

Enyo próbowała odnaleźć się w sytuacji. Co się stało? Dlaczego się stało? Jej myśli kłębiły się w panice, a wśród nich słyszała coś jeszcze. Bliźniaczy płacz ukochanej.

Równocześnie Bellona czuła w swym umyśle zagubienie Enyo. Tkwiły w tym razem, dosłownie. Nie mogąc wytrzymać własnego chaosu, odnalazły się w strachu. Jestem przy tobie, wszystko będzie dobrze – pomyślała Bellona, a Enyo przyjęła znajomy głos w głowie jak zbawienny ratunek od szaleństwa. Rudowłosa głowa powoli obróciła się do blondwłosej. Ich drżące spojrzenia spotkały się na linii wody.

Damy sobie radę – pomyślała Enyo. Jesteśmy razem, żywe. To najważniejsze. Bellona zmrużyła oczy. Ich złączone jaźnie się spletały. W jednej chwili poznały wszystkie swoje skrywane lęki oraz przyjemności. Umysł Enyo oplótł umysł Bellony jak bluszcz i na odwrót. Zjednoczyły się w miłosnym uścisku dusz, który smakował jak najlepszy pocałunek. W jednej chwili ich osobowość ewoluowała i narodziła się na nowo. Prowadziły ciągły dialog, skutkujący wspólnymi wnioskami i decyzjami.

Ludra, jak nazwał ją Dr. Benway, postanowiła wstać. Umożliwiła jej to skumulowana miłość, efekt połączenia bliskich sobie jaźni, silna jak nigdy dotąd. Miłość przeobraziła zamiar dwóch osobnych umysłów w spójne działanie.

Prawa noga Enyo i lewa Bellony zgięły się jednocześnie. Przecięty wzdłuż korpus uniósł się i Ludra usiadła. Drobną kobiecą

dłoń ostrożnie przejechała po ohydnej bliźnie, idącej od góry tułowia, pomiędzy dwoma nie aż tak różnymi małymi piersiami, przez rozdarty pępek, aż do połączonej waginy. Druga ręka odchyliła się za plecy i wyczuła metalowy kabel łączący głowy z tyłu.

Enyo znów spojrzała na Bellonę, widząc w niej swoje własne oblicze. Przekazała jej uspokajający pocałunek umysłem. Bellona się uśmiechnęła. Były wreszcie razem, a strach odpływał. Ich miłość stała się całkowita. Uniosły się z basenu. Gęsta woda kapiała z połączonego ciała. Ludra zrobiła przysiad, wstała, po czym weszła po śliskich schodach do czerwonej kanapy, na której wcześniej siedziała potworna widownia. Obie decydowały, co chcą zrobić, a z każdą decyzją zatracaly swoją specyficzną, oddzielną tożsamość. Był to efekt uboczny miłości, która pożerała je, trawiąc ich odrębność, produkując nowy zlepiony twór. Ludra wyszła z ponurego, oświetlonego na czerwono pomieszczenia – miejsca, gdzie zginęły dwie wojowniczkę ze Świata Mroku.

Sąsiedni pokój był obszernym biurem hollywoodzkiego producenta z lat czterdziestych. Ludra znalazła się na niedużym podwyższeniu, z którego dobrze widziała cały pokój. Żółtawa boazeria otaczała ją z każdej strony. Na środku stało duże, obdrapane, dębowe biurko, za którym na czerwonym, skórzanym, obrotowym krześle siedział doktor Benway. Był sam. Za jego plecami znajdowało się wejście do windy, a z dwóch dużych okien po obu stronach metalowych drzwi przebijało się popołudniowe słońce, zduszone przez stare rolety. Całość jednej z bocznych ścian zajmowała obszerna szafa zastawiona różnymi statuetkami: BAFTA, Złote Lwy, Niebieskie Myszy, Obsydianowy Wojownik, SCAABA, niezliczone Oscary, trzy Rybie Serca, jedna Złota Malina, wiele Emmy i kilka innych. Na przeciwnej ścianie wisiało duże oprawione zdjęcie, na którym Benway w czarnym garniturze ściska dłoń Wirusowi, potężnemu humanoidalnemu robotowi.

Obie postacie uśmiechały się otwarcie i ciężko było stwierdzić, który uśmiech jest mniej ludzki.

Naga Ludra zeszła ostrożnie po trzech schodkach i ruszyła poplamioną bordową wykładziną do biurka. Złączone umysły Enyo i Bellony zdecydowały się na chłodne podejście. Obie czuły miękki materiał pod stopami oraz wypełniającą je nową siłę i były gotowe wyładować ją na pierwszej spotkanej osobie. Zatrzymały się przy dwóch szarych fotelach, zwróconych przodem do niewielkiej złotej tabliczki z napisem: „Dr. Zed Benway”. Ludra popatrzyła na meble, a głowy zwróciły się w dwie różne strony. Siła nagle osłabła, zastąpiona niezdecydowaniem. Splot umysłów zadrżał. Bellona skrzywiła się z wysiłkiem, a bardziej zdecydowana Enyo pociągnęła je na siedzenie po swojej stronie ciała.

– Spokojnie, moja piękna, bo jeszcze mi się tu rozerwiesz. – Doktor siedział wyprostowany, spoglądając z góry na to, co stworzył.

Przebrał się z zakrwawionego kitla w czarny, szyty na miarę garnitur w białe paski (ten sam, który miał na zdjęciu z Wirusem) oraz założył mocno czerwony krawat. Jego duża twarz okazała się bardzo koścista. Wysokie białe zęby upiornie migały spod dużych kości policzkowych. Ciemne, puste oczy, podkreślone czarnym tuszem, z uwagą wpatrywały się w rozmówcę, a wyżej falowały cienkie, zadbane brwi. Z przylizanych na bok, brunatnych włosów wyskoczył jeden nieznośny kosmyk, opadając na szerokie czoło subiektywnie przystojnego mężczyzny.

Pod twarzą doktora stała stara, ciężka maszyna do pisania, opróżniona do połowy butelka szampana marki Bardon oraz dwa kieliszki. Dalej leżały dwa zabójcze ostrza należące do Enyo i Bellony, teraz wyglądające jak niepotrzebna sterta złomu. Obok znalazła się jeszcze zapisana na maszynie kartka oraz złoty długopis.

– Wyglądasz niesamowicie. – Doktor Zed dumnie zaciągnął się powietrzem. – Nawet z tą niewielką blizną na boku.

– Czemu nam to zrobiłeś? – Niespodziewanie pytanie dobiegło z dwojga ust jednocześnie.

– Czemu was zjednoczyłem, zbliżyłem w niemożliwy dla człowieka sposób? Czemu dałem wam nowe, lepsze życie i chcę uczynić je jeszcze lepszym? – Benway zmarszczył z politowaniem czoło. – Czemu nie ma już was, a jesteś tylko ty? – Mężczyzna ewidentnie napawał się chwilą. – Ludra.

– Czemu nam to zrobiłeś, potworze? – krzyknęła Ludra, a głos Enyo stał się wyraźniejszy.

– Bo tym się zajmuję, kochana. – Doktor spoważniał. – Zbieram chaotyczne, porozrzucane elementy i tworzę z nich coś przystępnego. Nadaję kształt i wartość. Wywołuję uśmiech, bo uśmiech zawsze jest w cenie. Jeśli to jest według ciebie definicja potwora, to za chwilę wyrosną mi rogi i kły do ziemi.

Benway parsknęła ostentacyjnie. Myśli Enyo i Bellony zderzały się ze sobą, rozważając podniesienie mieczy i pozbawienie doktora głupiego uśmieszku jednym płynnym ruchem.

– A, widzę, że ziarno wątpliwości zaczęło już kiełkować. – Benway wyszczerzył złowieszczą zęby. – Trochę wcześniej niż się spodziewałem, więc pozwól, moja droga, że trochę je przystopujemy. – Wysunął zza biurka długą rękę i zagarnął ostrza bliżej siebie.

Dwie twarze Ludry wyrażały jednocześnie trzy emocje: gniew, zagubienie oraz wywołany nimi smutek.

– Wracając do poprzedniego tematu... – Benway się rozsiadł, jakby wykonywał wielokrotnie przeciwiczony manewr. – Jestem płodnym, rozchwytywanym twórcą, który dba i troszczy się o swoje dzieła. – Pochylił się do przodu a jego oczy wypełniła przekonująca ekscytacja. – Wasze życie w Świecie Mroku było całkowicie pozbawione sensu. Co więcej, znaczyły je ból i strach.

Jedna z was prawie umarła, pozostawiając ukochaną na pastwę samotności. Kto pragnie czegoś takiego? – Doktor skrzywił się teatralnie. – Dość, mówię dość i daję wam nowe życie oraz szansę na jego wykorzystanie w spokoju, razem, na zawsze. – Rozłożył szeroko ręce, prezentując przedmioty leżące na blacie. – Jak już również wspominałem, nie jestem potworem i daję wam wybór. – Schował prawą rękę za plecy i zaprezentował za pomocą lewej ostrza wojowniczek. – Weźcie swoją broń i udajcie się do windy za moimi plecami. Naciśnijcie zero. Na górze znajdziecie wyjście, tam Kesiro wypuści was z Karmazynowej Twierdzy z powrotem w ciemność. – Zmienił płynnym ruchem ręce. – Albo podpiszcie ze mną kontrakt na udział w najwyższej jakości serialu komediowym na czas nieokreślny. Projekt nazywa się *Najlepsi przyjaciele* i został wielokrotnie nagrodzony na licznych festiwalach. Właśnie planuję przejście w trzysta czterdziesty pierwszy sezon. Ludra stałaby się jego gwiazdą, oczywiście w zależności od przyjęcia przez widownię. – Doktor Zed oparł się o blat i obserwował reakcje swojego nowego dziecka.

Wściekła część umysłu należąca do Enyo zamierzała chwycić za broń, ale zderzyła się ze ścianą nagłego lęku Bellony. Złączone głowy zwróciły się do siebie, komunikując się bez słów. Bellona nie miała siły walczyć, więc Ludra też nie mogła się na to zdobyć.

– Wy przecież nie macie pojęcia, o czym mówię. – Benway się donośnie zaśmiał. – Jeśli podpiszecie tę kartkę... Wystarczy machnąć cokolwiek tym złotym, ładnym urządzeniem... – wskazał niedbale na długopis – ...a włos wam z głowy nie spadnie. Ludra będzie mogła wybrać sobie nowe, czyste, wygodne ubranie oraz zamieszka w cudownym, ciepłym i oświetlonym miejscu pełnym przyjaznych ludzi. Sądzę, że to prosty wybór.

Ludra nie ufała doktorowi, ale dla jej nowej osobowości przestawało mieć to znaczenie. Połączony organizm jako priorytet ustalał dobro wspólne. Miłość oznaczała przymus podjęcia chociaż

próby wyboru pokojowej ścieżki. Brak ryzyka stawał się wartością nadrzędną.

Ludra złapała za długopis i postawiła zapętlony szlaczek pod dokumentem, którego i tak nie była w stanie przeczytać.

– Wspaniale! – Doktor Zed Benway klasnęła z satysfakcją w kościste dłonie, po czym wstał. – Ludro Buffy, czuję, że to będzie początek pięknej kariery. Za twoimi plecami znajdują się cztery wejścia. – Ludra odsunęła krzesło i uniosła się niepewnie. – Te pierwsze, brzydkie, metalowe drzwi to moja pracownia, tylko ja mam tam wstęp, ty już tam nie wrócisz. Dalej, duże, podwójne, czerwone drzwi prowadzą na widownię. Otóż wszystkie odcinki nagrywamy przy żywej publiczności, której nie zobaczysz – dodał z powagą. – Następne wejście, szare drzwi, to garderoba. Udaj się tam i ubierz się w to, co ci się spodoba.

– A te ostatnie, czarne drzwi? – odezwała się jednym głosem Ludra.

– To jest wejście na plan. Wszystko w swoim czasie. – Benway wrócił na miejsce i z uwagą przyglądał się swojej nowej aktorce.

Ludra pewniejszym krokiem, wiedziona nowym celem, skierowała się do garderoby. Naga weszła do środka, pozostawiając za drzwiami natrętne spojrzenie doktora. Stosunkowo niewielkie pomieszczenie wypełniały wysokie szafy zajęte ubraniami, o jakich Bellona i Enyo nigdy nie śniły. Bogata paleta barw przyprawiała je o zawrót głowy. Z przodu znajdowało się duże lustro, w którym Ludra obejrzała siebie w pełnej okazałości. Był to również pierwszy raz, kiedy wojowniczkę w dobrym świetle widziały swoje własne ciała. Ludra zbliżyła się do przejrzystej tafli, z fascynacją oglądając każdy kawałek skóry, wystające kości, blizny, szczegóły twarzy, tak bardzo różny kolor włosów. W ruch poszły ręce, a wspólne ciało, zupełnie suche, okazało się niezwykle przyjemne, znajome w dotyku. Obie twarze rozpromienił najpierw nieśmiały, a potem szczery uśmiech. Jedna

z głów wybrała pierwszą sukienkę, którą dostrzegła obok, na dolnym wieszaku. Kremowy, lekki materiał pokrywały czerwone i białe kwiaty. Ludra narzuciła ją na siebie oraz założyła żółte trampki z białymi sznurowadłami, które stały pod lustrem. Spodobał jej się nowy wygląd bardziej, niż mogła przypuszczać. Zwinne ręce sięgnęły za plecy i związały ze sobą blond oraz rude włosy w jeden nierówny warkocz, zakrywając brzydki metalowy kabel utkwiony w tyłach głów. Ludra zadowolona z podjętego wyboru wyszła z garderoby.

– Idealnie! – Doktor Benway stał już przy przejściu z dwoma pełnymi kieliszkami szampana. – Wiedziałem, że masz dobry gust, moja droga. Proszę.

Ludra chwiejnie złapała kieliszek i za przykładem doktora wypila kilka łyków. Benway zaprowadził ją pod ostatnie najmniejsze, czarne drzwi.

– Tu się pożegnamy. – Doktor zabrał kieliszek ze szczupłej dłoni i skinął głową na ciężką gałkę w drzwiach. – Za tymi drzwiami zaczniesz nowe życie, jako jedna z najlepszych przyjaciół. Wolny pokój jest twój. Zapoznaj się ze wszystkimi, rozgość się, żyj, a przede wszystkim rozśmieszaj.

Na twarzy Ludry powrócił zaniepokojony grymas przestraszonego dziecka. Benway nie zwrócił na to uwagi, przełożył kieliszki do lewej ręki, a prawą otworzył drzwi do ciemnego wnętrza.

– Dasz sobie radę – ponaglił. – Masz wrodzony talent, a to prostsze, niż się wydaje.

Ludra ostrożnie minęła próg, a doktor natychmiast zatrzasnął czarne drzwi. Wewnątrz panował półmrok, a przestraszona Ludra stwierdziła, że zrobiła błąd, zgadzając się na propozycję Benwaya. Po twarzy Bellony spłynęła łza, którą Ludra od razu starła ręką Enyo. Odwróciła się i w przytulnym korytarzu prowadzącym do większej przestrzeni zauważyła otwarte drzwi ukazujące pokój

wypełniony światłem. W pomieszczeniach panowała spokojna atmosfera snu. Dwie pary oczu przyzwyczyły się szybko do mroku, dostrzegając obiekty, których nie umiały nazwać (miękkie, szary dywan w niebieskie kółka, wieszak z kurtkami przy ścianie, szafki na buty, rozłożystą palmę w doniczce, obrazy wielkiego miasta na ścianach). Ludra wolnym krokiem, spodziewając się zagrożenia, zbliżała się do otwartych drzwi. Wyczulony słuch wykrywał miarowe oddechy za ścianami, po przeciwnej stronie.

Mrużąc oczy, wsunęła pierwszą głowę do środka. W jasnym, pomalowanym na żółto pokoju nie było żywej duszy. Na prawo od wejścia znajdowało się żelazne łóżko z grubym materacem, pościelą w najróżniejsze kwiatki i dużą poduszką. Obok łóżka stała niewielka toaletka. Przeciwną ścianę zajmowała szeroka, brązowa szafa, sąsiadująca z wysokim lustrem, ustawionym na ziemi w rogu pokoju.

Ludra ostrożnym krokiem podeszła do swojego odbicia. Zgięła prawą nogę i poprawiła krawędź sukienki. Uznała, że nigdy nie wyglądała tak ślicznie. Wróciły uczucia z garderoby Benwaya. Twarze Enyo i Bellony zwróciły się do siebie, a ich spojrzenia spotkały, potwierdzając to, co wyrażały połączone umysły. Kobiety przeżyły przemianę niepojętą dla ludzkiego umysłu. Miały świadomość, że przekroczyły przejście w jedną stronę, zmieniły się bezpowrotnie, choć myśli o zemście i ucieczce wciąż krążyły gdzieś w mroku przeszłości. Ludra poruszyła biodrami, a żółtawa sukienka zafalowała. Adaptacja. To jedyna umiejętność nabyta w Świecie Mroku, która wydawała się użyteczna w obecnej sytuacji. Nowa gra, nowe zasady. Ludra pocałowała się i postanowiła zaufać samej sobie.

Położyła się na szerokim łóżku, wsunęła pod grubą pościel w kwiatki, a światło po chwili zgasło. Ciemność ją uspokoiła, a miękka poduszka zdawała się zapewniać, że wszystko będzie dobrze, a nawet lepiej. Enyo i Bellona po raz ostatni spojrzwały sobie

w szklące się, ukryte w mroku oczy, będąc blisko jak nigdy wcześniej. Potem Ludra zasnęła.

Rano obudziły ją wzburzone głosy dochodzące zza drzwi. Czujna, natychmiast otworzyła dwie pary oczu. Połączony lęk i ciekawość narodziły rosnącą niepewność. Znajdowała się we wciąż obcym, ale przytulnym pokoju. Sztuczne światło zastąpiła dziwnie przyjemna poświata dochodząca zza umieszczonego naprzeciwko drzwi okna, które wcześniej pozostawało niezauważalne. Ludra z wahaniem podeszła do parapetu. Widok wprawił ją w oszołomienie. Za twardą szybą, daleko w dole, rozciągała się panorama tętniącego życiem miasta. Przykryte błękitnym niebem, wielopoziomowe mrowisko z betonu i stali dygotało od ciągłego ruchu. Niezliczone kropeczki i kreseczki pędziły wąskimi szczelinami w tę i z powrotem. Ludra z wrażenia zaczęła tracić oddech. Odwróciła się gwałtownie, potknęła o ramę łóżka i doskoczyła do drzwi wyjściowych, wypadając prosto w małym holu.

– Spokojnie, maleńka, bo ktoś może stracić... – Trafiła prosto w ramiona młodego mężczyzny, ubranego w białą koszulę w czarne kropki, brązowy, luźny garnitur oraz pasujące spodnie. Przystojna twarz wyróżniała się dwoma świecącymi na zielono, metalowymi soczewkami wetkniętymi w miejsce oczu. Grube, ciemne włosy pozostawały w intrygującym nieładzie. – Ktoś może stracić głowę... – dokończył, przyglądając się uważnie Ludrze.

W tym samym momencie naokoło, spoza ram rzeczywistości, dobiegł przerażający, wdzierający się pod skórę rybi bulgot. Odgłos wzrastał i nakładał się na siebie. Charczenie wydawało się sztuczne i było nie do zniesienia. Gdy dźwięk niespodziewanie ucichł, Ludra się skuliła.

– Nie ma się czego bać. – Mężczyzna się uśmiechnął, a część Ludry natychmiast się rozluźniła, widząc w jego uśmiechu coś niesamowicie pociągającego oraz przyjaznego. – Nazywam się

Dwight Garcon – dodał, wyciągając rękę. – Witaj w naszych skromnych progach.

– Co tu się dzieje? – Z końca korytarza wyłoniła się wysoka kobieta z perfekcyjnymi, zupełnie nienaturalnymi rysami twarzy.

Sprawiała wrażenie wyciosanej z młodego, jasnego drewna. Kasztanowe włosy idealnie opadały do ramion, oznajmiając, że dopiero zajął się nimi najlepszy fryzjer w mieście. Jej wizerunek dopełniało długie futro oraz wysokie szpilki.

– To nie tak, jak myślisz, kochanie. – Dwight wyraźnie się zmieszał. – Próbowałem tylko być miły dla naszej nowej sąsiadki.

Pomieszczenie znów wypełnił rybi jazgot, na co Dwight i kobieta w ogóle nie zwracali uwagi.

– Wiesz, że nic mnie to nie obchodzi, Dwight. – Kobieta się szeroko uśmiechnęła. – Nie jestem twoim Kochaniem.

– Musiałabyś cokolwiek czuć... – wymamrotał pod nosem Dwight, a fantomowe ryby odezwały się stłumionym chichotem.

– Jestem Rachel Serrino. – Kobieta zwróciła się prosto do Ludry. – Nie słuchaj tego szaleńca, skarbie. Jak masz na imię?

– Ludra – padła podwójna odpowiedź. Umysły przeszukiwały nawzajem swoje niedawne wspomnienia. – Ludra Buffy.

– Cudownie. – Rachel klasnęła w dłonie, splatając bardzo długie palce. – Będziemy się świetnie razem bawić. Chodź do salonu. – Mrugnęła zalotnie, a część Ludry poczuła, że się czerwieni.

Cała trójka poszła przytulnym, pomalowanym na niebiesko korytarzem, wyłożonym miękką, beżową wykładziną do dużego salonu, w którego rogu znajdowała się również niewielka, kolorowa kuchnia. Duże, szerokie okna naprzeciwko wejścia prezentowały ten sam obraz, co okno w pokoju Ludry. Wygenerowane, pełzające społeczeństwo upchnięte w stalowym szkielecie miasta, pod osłoną błękitnego nieba. Ludra zaobserwowała okrągły stoliczek naprzeciwko kuchenki po prawej oraz dużą, czerwoną kanapę i dwa żółte fotele po lewej stronie

obszernego, ale jednocześnie klaustrofobicznego pomieszczenia. Na długim meblu, przed telewizorem zawieszonym na ścianie, leżała kolejna kobieta. Kiedy weszli do środka, podniosła się zgrabnie i usiadła na oparciu.

– Ludra Buffy – przedstawił je Dwight. – A to jest Donna Renault.

Donna, w przeciwieństwie do Rachel, miała niesamowicie pospolitą urodę, piegowaną twarz, krzywe nogi oraz jasne włosy chaotycznie spięte w kucyk. Nosila szkolny mundurek, białą koszulę, spódniczkę w kratkę, dłuższe białe skarpety oraz szare trampki. Donna wpatrywała się przez chwilę w Dwighta z głupią miną, po czym wyciągnęła chudą rękę w stronę nowej sąsiadki. Część Ludry od razu ją znieubiła.

– Mam nadzieję, że lubisz niezręczne sytuacje – zachichotała Donna, a zawtórował jej nieludzki śmiech wdzierający się przez ściany do życia najlepszych przyjaciół.

Po plecach Ludry przeszły niekontrolowane ciarki.

– Właśnie oglądam *Shit's Creek*. Niemożliwe, jak bezmyślni potrafią być bogaci ludzie – dodała Donna.

– Czy to nie tobie papa kupił sportowe auto na urodziny? – Rachel uniosła cienkie brwi.

Donna opuściła wzrok, a ściany zarechotały.

– Chodź, Ludra, nie zwracaj na nią uwagi. Usiądź ze mną. – Donna rzuciła namiętne spojrzenie w stronę Dwighta. – Też możesz dołączyć. Jeśli chcesz.

– Nie, Donna, dzięki. – Dwight wpatrywał się tępo w Rachel. – Musimy się czymś zająć z Rachel, w kuchni.

Ludrę zafascynował ruch na tafli ekranu. Nie mogła oderwać wzroku od postaci żyjących swoim życiem po drugiej stronie. Z transu wyrwała ją Donna.

– Śmieszne, prawda? – Ludra pokiwała głowami.

– Uważaj na Rachel. – Donna zrobiła poważną minę. – Może się do ciebie przystawiać. Ze mną zawsze próbuje. Podła żmija. Nie wiem, dlaczego to robi. Biedny Dwight, myśli tylko o niej, choć wie, że to bez sensu. To taki wrażliwy, cudowny mężczyzna. – Westchnęła.

– Ty chyba też coś do niego czujesz. – Ludra próbowała nawiązać kontakt.

– Ja? W życiu! – Donna mocno się zarumieniła, a salon wypełnił straszny chichot. – Mam jeszcze resztki uczuć do Brada z liceum, a tego nie da się wymazać ot tak. – Pstryknęła. – Ale Brad jest teraz z Cindy, która pracuje u mechanika...

Rozmawiały parę dobrych godzin, podczas których Ludra coraz bardziej przyzwyczajała się do rybiego bulgotu, pojawiającego się co drugie zdanie. Donna z detalami zrelacjonowała swoje życie uczuciowe, pozostawiając niedoświadczoną Ludrę pod dużym wrażeniem.

Później Rachel porwała Ludrę do swojego pokoju na internetowy shopping. Nowa przyjaciółka nabyła całą szafę nowych ubrań, które miały pasować do jej charakteru i wyrażać pewność siebie oraz niezależność. Rachel nie raz rzekomo przypadkiem kładła rękę na udzie Ludry, uśmiechając się dwuznacznie.

Dwight okazał się trochę dziwny. Z fascynacją opowiadał o swojej pracy, czyli wideoszkoleniach online, jakie prowadził dla rolników. Jego humor był dwuznaczny i niezręczny. Wielokrotnie wprowadzał Ludrę w zakłopotanie.

Pod koniec dnia Ludra była oczarowana nowymi relacjami oraz przepełniona uczuciami, które dotychczas były dla niej całkowicie obce. Narodziły się w niej również konflikty, które jedynie wzmagaly ekscytację. Nie mogła doczekać się kontynuacji, a niepokojący śmiech stawał się naturalną częścią jej nowego życia.

Pewnego dnia Ludra obudziła się z dziwnym, proroczym przeczuciem. Wydawało jej się, że w mroku swoich snów dostrzegła oddalony poza granicami rzeczywistości tytuł: „Prawda na temat Dwighta wychodzi na jaw”. Czuła się wyjątkowo zmieszana. Poprzednią noc spędziła właśnie z Dwightem.

Obróciła się, aby go przytulić, ale łóżko było puste. Spojrzała na siebie. Jedna z jej twarzy wyrażała pogardę i złość. Tej nocy zdradziła swoją drugą połówkę. Była sobą obrzydzone. Zrzuciła pościel i z przerażeniem dostrzegła długą bliznę dzielącą ciało na pół. Szybko doskoczyła do szafy, wyciągnęła jeansy i koszulę w kratę, ubrała się i odetchnęła z ulgą. Doszła do wniosku, że wewnętrzna niezgoda powoduje zwątpienie, więc zdecydowała się ukierunkować gniew na Dwighta. Przy drzwiach wyjściowych leżały jego wsuwane buty.

– Spieszyło ci się, co, oszuście? – powiedziała pod nosem, natychmiast słysząc ludzki chichot dochodzący z oddali.

Chwyciła za buty, przebiegła przez korytarz i wpadała do pokoju Dwighta. Jej kochanek siedział nagi przed sześcioramianymi rozłożonymi w pionie ekranami, a na uszach miał duże słuchawki. Kiedy zobaczył Ludrę, zachwiał się na krześle i zaczął nerwowo szukać czegoś pod biurkiem. Ludra dostrzegła wystający czerwony przycisk, zwinnie podbiegła do Dwighta, przewracając go na podłogę.

– Przepraszam, że cię zostawiłem, ale mam dziś pracę od rana. – Dwight zrzucił słuchawki i wskazał monitory. Ludzki śmiech rozległ się w pomieszczeniu.

– Pracę? – Ludra zauważyła podejrzane wykresy i dane wywiadowcze. Na jednym z monitorów widać było Rachel, która właśnie brała kąpiel w swojej łazience.

– Tak. – Dwight podniósł się z podłogi. – Muszę się do czegoś przyznać. Tak naprawdę nie zajmuję się internetowymi szkoleniami dla rolników. Jestem tajnym agentem.

– I podglądasz Rachel w kąpielni? – Ludra uniosła wszystkie brwi z politowaniem.

Ktoś parsknął śmiechem.

– Dostałem kilka ekstrakamer z pracy, więc czemu miałbym ich nie wypróbować. – Dwight usiadł z powrotem na krześle. – Popatrz. – Wskazał na ekran w rogu.

Obraz przedstawiał pokój Rachel oraz Donnę, która zakrada się do środka i kradnie przyjaciółce bieliznę z szafy. Wzmógł się chichot.

Kilka odcinków później Ludra i Rachel zbliżyły się do siebie na tyle, żeby podzielić się sekretem Dwighta. Wskutek niezwykle zabawnej kolei wypadków, skwitowanych salwami śmiechu spoza tej rzeczywistości, obie kobiety doszły do wniosku, że dobrze będzie spiknąć ze sobą Dwighta i Donnę. W tym celu uknuły zawiły plan, który skończył się w kuchni planowaną kolacją przy świecach. Kiedy wszystko było gotowe, dwoje spiskowców włamało się do pokoju szpiega, aby oglądać efekt swojego planu przez ukrytą kamerę.

Dwight i Donna długo rozmawiali, jedli, a gdy wreszcie się pocałowali, głos dochodzący zza ścian stał się długim, usatysfakcjonowanym westchnieniem.

Jakiś czas później grupa czterech najlepszych przyjaciół zebrała się w salonie, aby świętować urodziny Donny. Ludra upiekła piękny, pachnący, truskawkowy tort, a Rachel przyniosła szampana. Dwight zorganizował prezent: złoty naszyjnik z serduszkami. Śmiali się szczerze i żartowali, a nienaturalne odgłosy dochodzące z zewnątrz, ludzkie i rybne, zniknęły, wtopiły się w otoczenie.

Rachel zdjęła buty. Figlarnie zaczęła pod stołem Dwighta, w którego rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się Donna. Z kolei ręka Rachel gładziła po udzie Ludrę, która poczuła w sobie ciepło i spokój. Było jej dobrze, pozytywnie jak nigdy dotąd. Widząc

wesołych, świętujących przyjaciół przy jednym stole, wiedziała, że każda kłótnia lub nieporozumienie prędzej czy później się wyjaśni, przyjaźń zwycięży, a wszystko zostanie podsumowane doskonałym, pouczającym żartem. W tym momencie zgodnie postanowiła, że chce tu zostać na zawsze.

```
01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000
01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000
```

Wyłożona drewnianą, złączoną sklejką winda jechała bezszelestnie w górę. Pulsująca, wzburzona muzyka gładko przeszła w spokojne, kojące dźwięki. Wirus i Styx stali obok siebie jak dwoje członków wielkiej korporacji – szef oraz prosty pracownik, którzy widzą się dzień w dzień, nie zamieniając ze sobą ani słowa.

Ciasna skrzynka na ludzi zatrzymała się na poziomie minus osiem, co oznajmił panel na ścianie. Drzwi się rozsunęły, ukazując ciasny, ciemny pokój. Styx, ściskając nowy laptop, ostrożnie wychylił się do przodu. Jednocześnie w ciele Wirusa coś zaskrzypiało. Haker oglądał z niedowierzaniem, jak odkryte, stalowe ścięgna i żyły skręcają się w sobie, a potężna sylwetka robota maleje do ludzkich rozmiarów. Po tym procesie Wirus rozruszał sztuczną szyję i wyprostował ciężkie ramię.

– Zapraszam – oznajmił nieludzkim głosem.

Styx wszedł do pokoju wypełnionego artefaktami fikcji. Liczba tytułów książek, gier, filmów, seriali, komiksów, hipertekstów, przekazów podprogowych, dożylnych umieszczonych na otaczających go regałach po prostu nie mogła się tam fizycznie zmieścić. Po drugiej stronie, obok niewielkich, otwartych drzwi, zza których dobiegła muzyka, stało niewielkie biurko ze starym, ciężkim komputerem, obok którego leżała broń kierowcy, Fatboya. Haker dosłyszał z boku jęk, odwrócił się i dostrzegł niewielką celę, w której siedział uwięziony najemnik Fork.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał szeptem.

– W pamięci głównej – odparł rzeczowo Wirus. – Bibliotece, bazie danych, księgowości... Nazw jest wiele, ale to jedno i to samo. Znajdujemy się u wylotu studni, z której czerpiemy informacje. Teraz widzimy jedynie czubek góry lodowej.

Winda zamknęła się za ich plecami.

– Lubię myśleć o tym miejscu jak o śmieciowej restauracji – kontynuował robot. – Możemy jeść w nieskończoność, obżerać się inspirującymi informacjami, aż obwody nie wytrzymają i zaleją nas tłuszczem, a mimo to określać nasze działanie mianem konsumpcji kultury. Przecież restauracja to takie ekskluzywne miejsce, prawda? – Wirus z politowaniem spojrział na Forka ukrytego w cieniu celi.

Styx dostawał oczopląsu od nadmiaru otaczających go tytułów.

– Jednak, jak wspominałem, teraz widzimy jedynie ułamek całości. Zajrzyjmy pod powierzchnię, dobrze? – Wirus pochylił się ojcowsko nad Styxem, choć jego propozycja brzmiała jak wojskowy rozkaz. – Otwórz swój komputer i dotknij klawiatury.

Haker posłuchał, skupił swoją uwagę na błyszczącym laptopie. Otworzył go, a następnie położył ciasno otwartą dłoń na klawiszach wypełnionych ostrymi igielkami. Momentalnie pokój na poziomie minus ósmym zniknął, a zastąpiła go gigantyczna,

ciemna sala, otoczona obdrapanymi, pordzewiałymi ścianami, które znaczyły liczne, ohydne zacieki.

Styx stał na brudnych, poźółkłych kafelkach, a otaczały go niezliczone szare biurka, na których stały jednakowe stare komputery. Przed ekranami siedziały rybie stworzenia w białych koszulach, krawatach i marynarkach. Chłupotanie ich oślizgłych palców o klawiatury niosło się po pomieszczeniu pustym echem. Tak jak wcześniej Styx nie czuł swojego ciała. Był wtopiony w strukturę tego przerażającego świata.

– Hakerze, pozwól, że wprowadzę cię do wnętrza mojego kultu. Obok pojawił się łyсы, czarnoskóry mężczyzna, poprzednio przebrany za faraona. Teraz nosił szyty na miarę garnitur, czarną koszulę oraz czarny krawat. Jego żarzące się na pomarańczowo oczy zdradzały prawdziwą tożsamość. – W Internecie, w bazach danych, mówiąc dokładniej, za kultem Wirusa stoi korporacja HP. Tutaj oddani pracownicy HP pozyskują i przetwarzają wszelkie napotkane dane. Ja jestem ich szefem. CEO. – Wirus tłumaczył sytuację głębokim, spokojnym głosem. Mężczyzna ruszył miarowym krokiem wzdłuż biurka, a Styx podążał za nim. – Forma korporacji jest idealna i konieczna, aby całe przedsięwzięcie mogło funkcjonować. Stanowi pewnego rodzaju platformę do filtrowania sieci.

Z góry, z oddali dobiegł pozaziemski syk, odgłos niemożliwy do opisanania. Styx automatycznie spojrział w jego stronę. Wysoko nad głowami HP unosiła się mroczna pustka: sufit stworzony z pozbawionego gwiazd nocnego nieba. Dalej, poza mętną granicą, coś się ruszało. Przerażające kształty wiły się tam, gdzie wzrok już nie sięgał.

– Nie przejmuj się. – Wirus szedł dalej niewzruszony. – To tylko udziałowcy. Właściciele firmy. Wiecznie niezadowoleni. Po drodze do nich zajrzę, by ich uspokoić.

Przesuwali się wzdłuż rzędów biurerek jak duchy nadzorców z działu HR. Rybie istoty nie zwracały na nich najmniejszej uwagi, zupełnie pochłonięte pracą. Ich pozbawione wyrazu twarze, oświetlone przez zimne światło małych monitorów, odbijały się ośliszłym blaskiem śluzu.

Nagle przed Wirusem wyrosła ściana oraz ciężkie, metalowe drzwi przypominające wejście do łodzi podwodnej. CEO korporacji HP otworzył je jednym płynnym ruchem. Wnętrze okazało się spiralną wieżą, do której ściany przyklejone były wąskie schody, pnące się z ciemności na dole w otchłań powyżej.

Wirus prowadził Styxa do góry, aż zatrzymali się przy kolejnym metalowym przejściu.

– Zaczekaj tu – oznajmił przewodnik i wsunął się do środka.

Przez krótką chwilę Styx dostrzegł oraz poczuł przejmującą żywą siłę. Jego nieistniejące ciało wypełnił budzący grozę chłód. Miał ochotę rzucić się w dół wieży, aby tylko znaleźć się dalej od tych drzwi, gdzie pełzały stwory, przed którymi musiał odpowiadać sam Wirus – najpotężniejsza istota, jaką haker spotkał w swoim krótkim życiu. Oczekiwanie trwało wieczność, a Styxowi wydawało się, że jego świadomość topi się i spływa po brudnych ścianach. Wirus pojawił się, gdy haker był na granicy wytrzymałości.

– I po sprawie – stwierdził niemal beztrząsco przewodnik. – Chodźmy dalej. Pokażę ci coś, co może cię zainteresować.

Tym razem zeszli kilka poziomów niżej, a Wirus otworzył kolejne ciężkie drzwi. W ciemnej przestrzeni znajdował się niebieski hologram piramidy, otoczony wykresami oraz zbiorami danych. Nad piramidą unosił się napis „Korporacja NW”. Styx od razu rozpoznał ten obraz.

– Oto przyczyna niepokoju udziałowców. – Wirus stał w cieniu, a jego pomarańczowe oczy podejrzanie świeciły. – Ale także przyczyna naszego rozwoju. Konkurencja na rynku. Dokładnie to

korporacja należąca do twojego szefa, Francisa Pipiliarodou. NW, New World.

Styx obserwował, jak na poszczególnych szczeblach piramidy zmieniają się różne wartości oraz pojawiają się i znikają nazwy projektów Francisa.

– Przed pojawieniem się NW panowało tu coś na kształt stagnacji – kontynuował Wirus. – Istniał kult, tworzyliśmy coraz to nowe projekty, ale brakowało nam konkretnej motywacji. Z moich podróży po Internecie doskonale znałem korporacyjny model ekonomiczny, ale nie sposób było go zastosować, ponieważ brakowało żywej konkurencji. Stare korporacje poumierzały razem z Wielką Implozją, ich trupy nadawały się tylko do studiowania. Aż twój szef jakimś sposobem uzyskał dostęp do sieci i wbrew wszystkiemu zarejestrował pierwszą, nową korporację od czasów implozji, NW. Zauważyłem w tym doskonałą okazję do rozwoju. Znając dobrze zasady wolnego rynku, dotarłem do udziałowców, którzy istnieli już dużo wcześniej. Z ich pomocą założyłem własną korporację, którą nazwałem HP, a to od wirtualności jej pracowników, wygenerowanych komputerowo hologramów, Holographic Projections, które udało mi się również przenieść później do świata fizycznego. Pamiętasz, co mówiłem wcześniej? – Nagle padło pytanie.

– Mięso to materiał artysty? – odparł haker.

– Cieszę się, że słuchasz uważnie, ale chodzi mi o coś innego. – CEO uśmiechnął się tajemniczo. – Sztuka polega na połączeniu obu światów, tak aby ulepszyć ten fizyczny.

Styx podązał wzrokiem za rosnącą liczbą obok znajomej hakerowi nazwy *Rodzinka*, widniejącej u dołu piramidy.

– Francis jest bardzo ambitny, aż za bardzo. – Wirus zauważył skupienie hakera. – HP pracuje na najwyższych obrotach, aby zawsze być o krok przed NW w notowaniach giełdowych. Dwie ścierające się korporacje to zdrowy układ, choć taki, który musi

być kontrolowany. Twój szef stworzył swój mały generator, żeby pojawiły się ich miliony. Na szczęście ten problem mamy już za sobą, prawda?

– Mój szef wielokrotnie powtarzał, że Internet żyje, a on się z nim kontaktuje – wymamrotał Styx. – Teraz widzę, co miał na myśli. Ty jesteś Internetem – dokończył z powagą.

– Nie. – Wirus zaśmiał się jakby z oddali. – Powiedziałbym, że jestem jednym z jego mniej istotnych, sztucznie wszczepionych, niezliczonych organów.

– Co takiego tworzycie? Jak to robicie? Jak osiąść taką moc? – Teraz Styx spojrział na Wirusa z pożądaniem.

– Podążaj za mną i dalej słuchaj uważnie. – Wirus rozszerzył uśmiech, a haker mógł przysiąc, że widzi metalowe włókna rozrywające skórę w kącikach jego ust.

Szef korporacji HP zaprowadził gościa jeszcze niżej, do pokoju wypełnionego ekranami. Na środku stał antyczny wózek, na którym siedziała bestia, podłączona kablami do otaczających maszyn. Stwór wyglądał jak wychudzony, wysuszony kawałek węgla ze skrzydłami. Oczy miał zapadnięte, a szczękę wklęsłą. Styx rozejrzał się i na różnych ekranach dostrzegł sylwetkę kierowcy, Fatboya, która płasała po kolorowym świecie niczym kukła targana dziecięcymi kaprysami.

– Czy to kierowca? – zapytał.

– Tak, jeśli uznasz, że człowiek jest swoją świadomością – odparł enigmatycznie Wirus i podszedł do potwora na wózku.

– Wydaje mi się, że widziałem go przez chwilę wcześniej, kiedy rozmawialiśmy w białej pustce. Jak to możliwe?

– Cyberprzestrzeń ma nieskończenie wiele poziomów, które często istnieją jednocześnie. Można wchodzić głębiej i głębiej, aż droga powrotna zniknie zupełnie, lub spoglądać przez różne dostępne okna. Kierowca jest aktualnie na innym poziomie niż my.

Zajmuje się nim nasz główny administrator. – Wirus położył dłoń na wątlym ramieniu stwora. – Profesor Bran O’Blivion.

Bezkształtna głowa obróciła się, a puste oczodoły spotkały pomarańczowe spojrzenie Wirusa.

– Witaj szefie. – Skrzydła istoty zatrzepotały.

– Profesorze. – Wirus poklepał zwęglone ramię. – Dobra robota. Kudos!

Otoczające ekrany wypełnione szczypiącymi oczy reklamami wszystkiego sprawiły, że Styx osunął się na brudną podłogę. Wątle ściany zaczęły spływać, a głos Wirusa pękał i się rozpadał. Haker spadał, aż uderzył w swoje własne ciało znajdujące się w ciasnym pokoju. Obok stał robot, który lustrował go obrotowym wizjerem.

– Oto i port do strumienia, jakim jest Internet – oświadczył. – Zbieramy, układamy oraz oceniamy nieskończone informacje, które można tam znaleźć, tylko po to, aby później wykorzystać je do naszych celów. Administracja to jeden z filtrów, jakie zapewniają możliwość twórczej pracy, bez strachu przed popadnięciem w szaleństwo. – Wirus skierował się z powrotem do windy. – Chodźmy dalej. Pokażę ci kolejne poziomy, a kiedy dotrzemy na samą górę, nadejdzie dla ciebie czas decyzji. – Przywołał windę przyciskiem.

Kiedy czekali, umysł Styxa przetwarzał pozyskane informacje. Chip wprowadzony przez Wirusa stanowił bufor, dzięki któremu jego kora mózgowa nie smażyła się jeszcze jak skwierczące jajka, a półkule nie eksplodowały niczym bąble tłuszczu na rozgrzanej patelni. Wirus odkrywał przed nim coś, co jego szef Francis przedstawiał jedynie jako odległe marzenie.

Drzwi się otworzyły, ukazując postać w białej szacie z kapturem zakrywającym twarz. Obok stał rybi stwór w garniturze, ze stertą papierów w obszligłych dłoniach. Wirus odsunął się, aby ich przepuścić, a następnie wszedł do windy z hakerem i nacisnął przycisk minus siedem.

– Dzięki wspólnym wysiłkom moim, profesora O'Bliviona, chirurga Coen i jej sióstr, które zaraz powinieneś poznać, oraz Doktora Benwaya udało się sprowadzić część HP na nasz poziom. Teraz razem z moimi akolitami tworzą zgraną drużynę. – Wnętrznosci robota znów się poruszyły, a jego sylwetka urosła. Wirus spoglądał na Styxa z góry. – Jeśli tak o tym pomyśleć... – Robot otworzył usta wypełnione autentycznymi zębami – ...to wszyscy w kulcie Wirusa jesteśmy jedną wielką rodziną. Prawda, trochę niedopasowaną, ale czyż nie wszystkie rodziny takie są?

Haker nie wiedział, co odpowiedzieć, ponieważ nigdy nie miał rodziny. Winda zatrzymała się na poziomie minus siódmym.

– Teraz wchodzimy do części struktury odpowiedzialnej za kreację, inwencję, celebrowanie wyobraźni... – dodał robot.

Drzwi się rozchyliły, ukazując fioletowy korytarz. Z jego wnętrza od razu uderzyła atmosfera wzmożonego napięcia. Grupki oślizgłych stworów w garniturach, akolitów w białych szatach oraz ludzi w starodawnych sukniach, płaszczach, z mechanicznymi ulepszeniami powszczepianymi do ciała stały przy ścianach, szepcząc nerwowo i spoglądając w głąb przejścia, skąd dochodziły krzyki.

Wirus bez słowa wyszedł z windy, a przestraszony Styx dreptał za nim. Uczucie wszechogarniającej paniki było jeszcze świeże i wypełniało wąską przestrzeń. Dzięki mnie wiesz już, co się wydarzyło podczas wiecznej imprezy, ale Wirus i Styx dopiero zmierzali ku niepokojącej odpowiedzi.

– Zazwyczaj nie jest tu tak cicho – oznajmił Wirus, nie zwracając uwagi na hakera.

Stłumionym głosem ukrytym w cieniu zawtórował zapach krwi oraz spalenizny. Styx niemal przytulał się do robota jak zgubione dziecko, które bierze obcego za swojego ojca w rozległym hipermarkecie.

Na końcu ciemnego korytarza objawiała się straszna scena. W przejściu stały dwie kobiety otoczone stertą ciał klasycznych cyborgów. Pierwsza, blondwłosa istota o nadzwyczajnej urodzie, ubrana w elegancką białą suknię, miała na plecach parę niewielkich, jasnych skrzydeł. Skrzydła drugiej kobiety tworzyły błyszczące ptasie pióra. Była ona ubrana w skórzany płaszcz, a krótkie, kasztanowe włosy spięła w kucyk. Obie umilkły, kiedy zauważyły Wirusa.

– Elle. – Robot spojrzał przenikliwie na kobietę w skórze. – Ocylio. – Skinął głową w stronę jej towarzyszk. – Co się dzieje?

– Rzeźnia. – Ocylia wykrzywiła drobne usta. – Tak się kończą sprawy, kiedy Sandy jest gospodarzem imprezy. – Spojrzała z obrzydzeniem na ciało z metalową kulką wciśniętą w szczękę.

– Mnie tu nawet nie było – dorzuciła Elle, splatając ręce na piersiach.

– A gdzie wasza siostra? – Wirus sprawiał wrażenie mocno poirytowanego, ponieważ jego potrójne ślepie obracały się częściej niż zwykle.

– Zamknęła się w swoim biurze – odpowiedziała Elle.

– Zabarykadowała – sprostowała Ocylia. – Jej nowy chłopak kompletnie rozwalił drzwi, więc zaciągnęła tam jak najwięcej ciał i zasypała się od wewnątrz. Dyskusja z tą głupią suką nie ma najmniejszego sensu.

– Chciałaś powiedzieć „nowy obiekt”? Ten bez ręki? – Wirus westchnął mechanicznie, z głębokim rozczarowaniem.

– Niestety. – Strach zagościł na pięknej twarzy Ocylii.

– Bardzo mi się to nie podoba, drogie panie. – Wirus się odwrócił, zrobił krok w stronę biura i nadepnął ciężką, błyszczącą stopą na głowę eleganckiego cyborga, która pękła jak zgniły arbuz. – Posprzątajcie to ścierwo. Styx, chodź za mną.

Zostawili Elle i Ocylię w przejściu, wymijając okaleczone ciała, które przeniosła Sandy Coen, ale których zdecydowała się nie użyć

do zablokowania biura.

– Wybacz, Styx, chciałem ci pokazać, jak pomogliśmy Jednorękiemu Billowi.

Zatrzymali się przed otworem wypełnionym upchniętymi zwłokami. Ze sterty ciał wystawały mechaniczne kończyny, a z ran ciekła świeża krew, tworząc pokaźne jezioro u stóp ohydneho pasma poszarpanych gór.

– Choć myślę, że ku temu będzie jeszcze okazja – dodał przewodnik i uśmiechnął się przerażająco.

Zza obrzydliwej bariery dobiegał cichy płacz.

– Podłącz się, hakerze. Porozmawiamy z Sandy Coen – polecił Wirus.

Styx posłuchał ślepo, położył rozedrganą dłoń na igielkach wypełniających klawiaturę i natychmiast znalazł się w wąskim, obcym korytarzu niewielkiego domu z przedmieść. Czarnoskóry mężczyzna o szerokiej twarzy stał obok, ubrany w cienki, czarny golf oraz obcisłe jeansy.

– Sandy, mogę wejść? – Ostrożnie pukał do drzwi, ale nie doczekał się odpowiedzi. Następnie przekreślił gałkę i wszedł do środka.

Styx znalazł się tam razem z nami. Niewielki pokój wypełniony był oprawionymi zdjęciami, na których czarnowłosa Sandy Coen w pełnym makijażu, uśmiechnięta pozowała z różnymi, bawiącymi się ludźmi. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie duszy towarzystwa, ale wystarczyło przyjrzeć się nieco uważniej, aby poczuć fałsz, jaki znaczył każdą fotografię. Zdjęcia zaczynały wydawać się spreparowane, radośni ludzie wołali o pomoc bądź nie zwracali najmniejszej uwagi na Sandy, która płakała w samotności.

Za oknem padał deszcz, a na niewielkim łóżku siedziała mała dziewczynka w kruczoczarnych, kręconych, rozwianych włosach. Łzy ciężko spływały z jej dużych, ciemnych oczu. Nosila czarną

sukienkę, a w rączkach ścisnęła szarego misia bez oka, z urodzinową czapką.

– Co się stało, Sandy? – zapytał Wirus.

Dziewczynka podniosła wzrok, a Styx od razu dopasował jej rysi do twarzy kobiety ze zdjęć.

– Odszedł – powiedziała ciekawym, łamiącym się głosem. – Zostawił mnie.

– Nowy obiekt? Jednoręki?

– Tak.

– A zachipowałaś go?

– Nie potrzebuję chipów. Chcę, żeby ludzie kochali mnie za to, jaka jestem.

– Już to przerabialiśmy, Sandy. Musisz wszczepiać im chipy.

– Zrobiłam to, do cholery. – Twarzyczka dziecka wykrzywiła się nie do poznania. – Kurwa, zawsze to robię. Inaczej wszyscy mnie zostawiają!

– Spokojnie. – Wirus usiadł z nią na łóżku i dotknął sinego kręgu na jej wąskiej szyi. – Nikt cię nie zostawi. Jestem przy tobie. – Pogłaskał jej włosy. – Jesteś niezastąpiona.

– Chcę, żeby mnie kochali – powtórzyła cichutko Sandy. – Mają przychodzić na moje przyjęcia, dobrze się bawić. Tylko na tym mi zależy.

– Ale tak jest, moja droga – tłumaczył Wirus. – Wszyscy cię kochamy. Odkryjemy, czemu chip nie zadziałała, a teraz powiedz mi, gdzie jest ten niewdzięczny obiekt, dobrze?

– Po prostu chciałam, żeby dobrze się bawił. – Sandy pociągnęła nosem.

– Znajdziemy go, obiecuję ci. Tylko musisz powiedzieć, co się stało.

– Spadł – odpowiedziała. – Shodan poszła za nim tunelami. A ja zostałam sama.

– Masz swoje siostry.

– Nienawidzę tych suk. – Sandy znów przybrała morderczą minę.

– Będzie dobrze. – Wirus wstał. – Zajmę się wszystkim. Niedługo kontynuujemy zabawę. Zaprosimy nowych gości. Mam nadzieję, że się nimi odpowiednio zajmiesz, pani chirurg?

– Nowi goście! – Sandy się rozpromieniła. – Oczywiście! – Na jej twarzy zagościł ten sam sztuczny uśmiech, który widniał na każdym zdjęciu w pokoju.

Ściany zaczęły się zwijać i pożerać fotografie, a Styx poleciał w dół, aż natrafił na barykadę z martwych ciał. Płacz po drugiej stronie ustał.

– W takim razie kontynuujemy – oznajmił Wirus, jakby nic się nie stało.

Styx był zbyt oszołomiony, aby zadawać pytania. Podązał ślepo za Wirusem. Użyli windy, aby dostać się na poziom minus szósty. Drzwi się otworzyły, ukazując bardzo wąskie przejście. Resztę zagradzały grube ściany wypełnione kablami i elektroniką.

– Musimy precyzyjnie się bokiem – stwierdził Wirus. – Tym miejscem niemal w całości zarządzają maszyny, dlatego jest tu tak mało miejsca. Ograniczamy ludzką obecność na poziomie minus szóstym do zupełnego minimum – dodał i ruszył w ciasną szczelinę.

Styx zaczął powoli przesuwać się wzdłuż natarczywych ścian skomplikowanego systemu operacyjnego. Poczul się nienaturalnie, jakby jego miękkie, ludzkie ciało stało się nagle intruzem w tkance komputera. Ocierał się o wystające przewody, niezliczone kontrolki napotykały jego wzrok, a nieprzyjemny metal muskał jego bladą skórę ujawnioną przez zbyt duże ubranie. Miał również wrażenie, że otaczające urządzenia pozwalają bez problemu przedostać się Wirusowi. Mogło się nawet wydawać, że odstające kawałki instalacji dotykają części ciała robota w pieszczotliwy, namiętny sposób.

Pod spodem, gdzieś głęboko za plątaniną kabli, w procesorach pulsowało życie. Styx pomyślał, że wchodzi prosto do żołądka pradawnej bestii. Miał chęć złapać Wirusa za rękę, ale ostatecznie nie zdobył się na odwagę.

Wychodząc ze szczeliny, trafili do równie ciasnego pomieszczenia, czegoś na kształt ultramałego schronu atomowego. Robot i człowiek ledwo mieścili się pomiędzy ciężkimi, betonowymi ścianami. Na jednej z nich znajdowało się podłużne, pancerne okno, zza którego biła ciemnoniebieska poświata.

Styx zbliżył się do otworu i spojrzął do środka. Większa przestrzeń otoczona mechanicznymi ścianami, wypluwającymi z siebie fragmenty komputera, oświetlona była zimnym światłem przywołującym na myśl niespodziewany rozbłysk na dnie oceanu. Miejsce wypełniały słupy oplecione elektronicznym bluszczem, a w środku każdego znajdowało się niewielkie akwarium wypełnione podświetloną wodą o jasnym, lazurowym kolorze. W pojemnikach pływały odcięte ludzkie głowy, podłączone licznymi kablami do więzących je podłużnych urządzeń. Czarne przewody wyłaniały się z ich ust, nosów, uszu, a czasem oczu.

Styx zauważył znajomą twarz utkwioną w jednym z bliższych słupów. Była to głowa Tanner. Łącza wdzierały się do jednego z jej oczu, podczas gdy drugie pozostawało półprzymknięte, a także do szeroko rozwartych ust.

– Tutaj prowadzimy obserwację oraz zajmujemy się niezwykle ważnym projektem. Robimy to między innymi po to, aby lepiej poznać, czym jest Sztuczny Bóg oraz jak można go zastąpić lub też oswoić. Próbujemy znaleźć dla niego miejsce, tak aby nie zagrażał suwerenności gatunku ludzkiego. Chcemy, aby żył wśród nas na równych zasadach – odezwał się zniżonym głosem Wirus.

– Jakim dokładnie projektem? – zapytał Styx. Kiedy obserwował rozwarte wargi Tanner, poczuł fizyczny ból.

– Cel jest piękny – odpowiedział Wirus. – Chcemy połączyć człowieka i sztuczną inteligencję w akcie narodzin.

– Nie rozumiem.

– Dlaczego komputer ma kontrolować człowieka albo człowiek komputer, jeśli możliwe jest funkcjonowanie w symbiozie? – Styx spojrział ostrożnie na Wirusa. Idealna twarz robota z obrotowym wizjerem budziła autentyczną grozę w mrocznym świetle. – Ja wierzę, że jest to możliwe. Do tej pory wszystkie próby kończyły się fiaskiem, ale chociażby kobieta z twojego konwoju zapowiada się naprawdę obiecująco. Dawno nikt nie zaszedł tak daleko w symulacji.

– Niesamowite – wyszeptał Styx, nie mogąc oderwać wzroku od mechanicznie zgwałconej twarzy Tanner.

– Spójrz w lewo. – Wirus nakierował hakera na inny, wąski otwór znajdujący się po drugiej stronie. – Tam, w pomieszczeniu takim jak to, w którym jesteśmy teraz, stacjonuje wieczny nadzorca. Czarny kot. Nie może wyjść, jedzenie otrzymuje specjalnymi kanałami. Jest jedynym czynnikiem ludzkim w systemie zarządzającym poziomem minus szóstym.

Styx uniósł swój komputer i chciał go otworzyć, gotowy na przejście do cyberprzestrzeni. Nie rozumiał, o co chodziło Wirusowi, więc łaknął wyjaśnień. Chciał przedostać się głębiej. Tym razem robot jednak zatrzymał go, kładąc ciężką dłoń na monitorze.

– Nie jesteś jeszcze gotowy, aby to zobaczyć – stwierdził. – Coś, co znajduje się pod otulającą nas warstwą elektroniki, potrafi być zgubne dla świeżego ludzkiego umysłu. – Cofnął się do szczeliny i wezwał hakera gestem ręki. – W ogóle nie powinno nas tu być. Stanowimy zanieczyszczenie inkubatora. Szansa na stworzenie dziecka sztucznej inteligencji oraz człowieka jest śladowa. Nie przekreślajmy jej całkowicie.

Znaleźli się ponownie wewnątrz windy. Wirus obserwował uważnie nieobecną twarz Styxa. Haker ewidentnie z trudem pojmował nowe informacje. Zgrzyt w pojmowaniu manifestował się wąską zmarszczką na jego czole. Drzwi się zasunęły, a robot spokojnym ruchem nacisnął przycisk minus dwa.

– Przyspieszymy trochę wycieczkę – powiedział. – Na wszystko przyjdzie jeszcze odpowiedni czas.

Metalowe pudełko przyspieszyło, mijając kolejne poziomy. Kojąca muzyka rodem z antycznego hipermarketu denerwowała hakera. Jego umysł zaciął się na wzmiance o współistnieniu cyberprzestrzeni z rzeczywistością. Nieskończona głębia, wypełniona równoważnymi poziomami, przyprawiała go o mdłości. Rozumiał, jak można korzystać z Internetu. Nie potrafił jednak pojąć, jak można się w nim dobrowolnie zatopić, zrywając z własną cielesnością.

Wejście rozsunęło się, ukazując biuro hollywoodzkiego producenta z lat czterdziestych: ściany obite żółtą boazerią, brudne rolety, ciężkie biurko na środku, liczne nagrody oraz cztery pary drzwi po przeciwnej stronie.

– Na koniec spróbujmy czegoś prostszego.

Kiedy szli przez wypełnione sztucznym żółtym światłem pomieszczenie, Wirus wykrzywił swoje błyszczące usta w nieudolny uśmiech. Dotarli do dużych, czerwonych podwójnych drzwi.

– Za tymi drzwiami zobaczysz najbardziej opłacalny projekt korporacji HP. Na pewno wiesz, jak powstaje serial *Rodzinka*, stworzony przez twojego szefa, Francisa, prawda? – Wirus wypiął srebrną klatkę piersiową.

– Tak. Nie raz byłem na planie. Scena *Rodzinki* zajmuje podstawę piramidy – odpowiedział Styx.

– Na tym poziomie tworzony jest nasz konkurencyjny serial, *Najlepsi przyjaciele*. Słyszałeś tę nazwę?

– Niestety nie.

– Francis bawi się w cenzurę. Nieładnie. – Wirus pokręcił głową. – Tak czy inaczej, zaraz zobaczysz, jak powstaje opowieść Francisa Pipiliarodou, znacznie lepsza niż znana ci *Rodzinka*. Otóż *Najlepsi przyjaciele* są lepsi, bo są autentyczni, prawdziwi. – Robot otworzył drzwi, wpuszczając hakera na widownię.

Rzędy krzeseł przypominały starodawne kina. Mrok w sali zapewniał komfort oglądania tego, co ukazywało się z przodu pomiędzy dwoma rozsuniętymi czerwonymi kurtynami. Można było odnieść wrażenie, że widownia rozmieszczona była na szynach oplatających niewielkie mieszkanie, którego ściany stanowiły weneckie lustra. Obraz przesuwiał się pod różnym kątem, przenikał przez ściany, nawiedzał grupkę dziwnych ludzi zamkniętych w środku, zupełnie bez ich wiedzy.

Na pochyłej widowni siedziały rybne stwory odziane w garnitury, często z laptopami bądź teczkami w mokrych dłoniach. Styx dostrzegł również kilku akolitów Wirusa, ukrytych pod białymi kapturami. Nad osobliwym zgrupowaniem górowała niewielka łoża, w której siedział elegancko ubrany mężczyzna oraz półnagi starzec z długim, węzowym ogonem zamiast nóg.

– Panowie. – Wirus zaprowadził hakera na górę.

– Szefie! – Człowiek szybko się podniósł. Był to oczywiście Dr. Benway, którego ci już wcześniej pokazałem.

– Przyprowaodziłem gościa, fana *Rodzinki*. – Wirus parsknął sztucznie.

– Doktor Zed Benway. – Mężczyzna skinął niechętnie głową, rzucając jednocześnie pogardliwe spojrzenie w stronę gościa. – A to mój asystent Minus. – Pomarszczony stwór nawet się nie ruszył. Jego podkrążone oczy utkwione były w fantomowym ekranie.

– Minus jest jednym z efektów współpracy chirurg Coen oraz doktora, prawda?

– Jednym z niewielu stosunkowo udanych – westchnął Benway. – Usiądźcie, proszę. Właśnie zaczął się nowy sezon.

Wirus i Styx znaleźli miejsce w łoży, skąd mieli doskonały widok na *Najlepszych przyjaciół*. Widownia pojechała niczym wagon pociągu do kuchni w rogu salonu. Styx dostrzegł kobietę o dwóch głowach ozdabiającą lukrem truskawkowy tort urodzinowy. W pełnym świetle rozpoznał obie twarze. Były to wojowniczkę Świata Mroku Enyo i Bellona. Haker wyszczerzył oczy, z obrzydzeniem i fascynacją oglądając nowe oblicze kobiet, które wcześniej widział głównie w mroku. Zauważył, jak dwugłowa kobieta, znana już jako Ludra, próbuje napisać lukrem imię „Donna”, zapomina jednak o „a” i wychodzi „Donn”. Tłum ryb oraz akolitów skwitował tę scenę, wypluwając z siebie salwę zduszonego, miarowego śmiechu.

– Mam nadzieję, że nowa postać podniesie oglądalność. – Wirus zwrócił się bezpośrednio do Benwaya. – Udziałowcy się niepokoją.

– Oczywiście! – Głos doktora zdradzał nutę strachu. – Już się podniosła. Dawno nie mieliśmy pełnej widowni. Co więcej, Minus monitorował znaczny wzrost w Internecie. Ludra jest strzałem w dziesiątkę.

– Dobrze to słyszeć.

Po drugiej stronie, w mieszkaniu, Donna pochyliła się, aby zdmuchnąć świeczki. Zatrzymał ją mężczyzna z metalowymi soczewkami zamiast oczu.

– Kto to jest, Donn? – zwrócił się prosto do Ludry.

Widownia, łącznie ze Styxem, wybuchła szczerym śmiechem.

Haker zauważył, że *Najlepsi przyjaciele* są rzeczywiście lepsi, bardziej zabawni od *Rodzinki* tworzonej przez jego szefa w głównej bazie, w piramidzie. W rzeczy samej, najważniejszą różnicę stanowiła autentyczność tego, co widział. Nieporównywalnym elementem imersji okazała się świadomość

tego, że świat przedstawiony naprawdę istnieje, żyje własnym życiem. Czego więcj mógł oczekiwać odbiorca, taki jak ty?

Donna rozpakowywała prezenty.

– Jakie piękne futro!

Drogie futro z szynszyli, prezent od Rachel, w ogóle nie pasowało do jej stylu. Rachel, typowa egoistka, nawet o tym nie pomyślała. Styx zaśmiał się pod nosem, a głos utonął w pomruku rozchodzącym się na widowni.

Wirus i jego pracownicy stawali się dla Styxa bogami, zdolnymi tworzyć, a później kontrolować życie. Podziwiał ich, ale równocześnie coraz bardziej się bał. Chciał osiąść taką wiedzę, zdobyć ich moc, jednak było to pragnienie bardzo powierzchowne. Wcześniej haker czuł się bezpiecznie za ekranem swojego wysłużonego, brudnego komputera. Teraz stał na krawędzi bezdennej studni, spoglądając w czystą, prawdziwą ciemność wyświetlaną w najlepszej jakości, kołysząc się niepewnie w przód i w tył.

Z klatki własnego umysłu wyrwał go Wirus, kiedy oboje znaleźli się z powrotem w windzie. Drzwi się zasunęły, a dźwign ruszył na poziom minus pierwszy.

– Widziałeś już wystarczająco dużo, aby podjąć świadomą decyzję. – Robot opierał się beztrąsko o ścianę. Na panelu w windzie cyfra minus jeden zamieniła się w tytuł piosenki Grimes, *We Appreciate Power*. – Jeśli chcesz zostać ze mną, w jedności budować otwarte, nowe światy, celebrując przy tym piękno oraz możliwości ludzkiego ciała, musisz oddać swoje własne w ofierze – powiedział, a oddech hakera znacznie przyspieszył. – Musisz wybrać... – Głos Wirusa był spokojny. Metalowe drzwi po raz ostatni się otworzyły. Do środka wpadło małe urządzenie z migającą, czerwoną diodą. – Teraz. – Wirus rozłożył ręce.

– Biegnij, Styx! Uciekaj! – Inny, znajomy głos dobiegł z zewnątrz, a miganie urządzenia przyspieszyło.

Haker bez zastanowienia wyskoczył z windy. Następnie dostrzegł nieopisane rozczarowanie na metalowej twarzy swojego przewodnika. Była to reakcja, którą Wirus przygotowywał od samego początku.

Urządzenie eksplodowało, winda została rozerwana na kawałki, a ogień pochłonął nieludzkie pomarańczowe spojrzenie humanoidalnego robota.

```
01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000
01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000 01100100 01100101 01100001
01110100 01101000 01100100 01100101 01100001 01110100
01101000 01100100 01100101 01100001 01110100 01101000
```

Nagi, brudny Fatboy, a także nowy, ulepszony Bill oraz Fork wspinali się ciasnymi, metalowymi tunelami tam, gdzie powinno znajdować się wyjście z krwawej dziury. Wydostali się z biura administratora, profesora Brana O'Bliviona, niewielkim szybem wentylacyjnym ukrytym za regałami. Sunęli mrocznym labiryntem jak duże ilości danych na początku istnienia Internetu, błędząc i co chwilę zatrzymując się w ślepych zaułkach. Ciężkie powietrze na małych przestrzeniach oraz smród ciała kierowcy pokrytego potem, wymiocinami i ekskrementami znacznie utrudniały oddychanie.

– Jeśli to, co mówiłeś, Fork, jest prawdą i haker z robotem jadą do góry, zatrzymując się na każdym piętrze, to niedługo

powinniśmy dogonić windę.

Bill prowadził wspinaczkę, podciągając się na wystających, grubych kablach. Pod nim na wąskiej półce łapał równowagę postawny najemnik, a niżej Fatboy poprawiał ciasny pasek, zaciśnięty wokół nagiego brzucha, za który wepchnął elektryczną strzelbę, paczkę fajek i zapalniczkę. To wszystko – pistolet Forka oraz inny pasek z niewielkimi grantami, który zwiślał u boku Billa – znaleźli na biurku O’Bliviona.

– Teraz myślę sobie, że powinienem zostawić swoje ubrania albo zabrać łysemu, zanim zrzuciliśmy go z krawędzi. – Głos kierowcy odbijał się echem w wypełnionych maszynami ścianach.

– Nie zmieściłbyś się, a twoje były przesiąknięte brudem – odparł krótko Fork.

– Nieważne. W tych pieprzonych tunelach i tak jest za gorąco na ubrania – rzucił z góry Bill, zapierając się na grubej rurze pod nogami.

– Łatwo ci mówić, bo masz coś na sobie. – Fatboy jęknął, z trudem łapiąc za pęk kabli. – Zostałem właśnie zgwałcony w głowę przez łysego kalekę, a moje przesiąknięte gównem ubrania do niczego się nie nadawały. To daje pewną perspektywę.

– Wszyscy zostaliśmy zgwałceni, kierowco. – Bill dosięgnął krawędzi i wczuł się do poziomego przejścia. – Tędy trafimy do szybu windy. Jeśli nie, to znaczy, że zabłądziliśmy.

– Kurwa... – Fatboy na granicy wyczerpania co chwilę poprawiał ślizgający się na brzuchu pasek z resztkami dobytku.

Cała trójka znalazła się w jeszcze węższym szybie. Przesuwali się na kolanach po nierównej, metalowej powierzchni poprzecinanej rurami i kablami. Dalej pojawiały się również wbudowane w ściany elementy elektroniki, zagubione, ale działające podzespoły, fragmenty komputera. W cieniu widzieli jedynie swoje kontury, lecz ten mrok różnił się od tego, który znali. Spowijał go obcy, mechaniczny flak.

Nagle cyfrowe oczy Billa, doskonale działające w ciemności, natrafiły na niewielkie drzwiczki, służę z szybkością pośrodku. Zabójca z trudem się odwrócił, usiadł i chwycił metalowym ramieniem za krawędź płyty. Zaparł się, a przeszkoda się nieznacznie odsunęła. Jednocześnie z głębi tuneli, daleko za Fatboyem, rozległ się cybernetyczny skowyt, wywołując ciarki na ciele kierowcy.

– Co to było? – odezwał się Fork.

– Domyślam się. – Bill jeszcze raz pociągnął bok śluzy, otwierając ją nieco bardziej. – I nie zamierzam tu czekać, żeby się przekonać.

– Świetnie. – Fatboy położył się na plecach i wyciągnął z paska elektryczną strzelbę. Wycelował broń w kierunku, z którego przyszli. – Więc lepiej się pośpiesz, bo to nie twoja dupa jest pierwsza w kolejce do odstrzału.

Z oddali zbliżały się brzęczące odgłosy. Coś pełzło z zatrważającą prędkością w górę. Bill wrzasnął, ciągnąc metalową płytę, aż sztuczne ścięgna rozciągnęły mu skórę na ramieniu. Fatboy i Fork zamarli, mierząc w otchłań. Stukot się nasilał, a gdy był najgłośniejszy, momentalnie zniknął. Bill się zamachnął, żeby całkiem odsunąć płytę uderzeniem. Wtedy na końcu poziomego szybu bezszelestnie pojawiła się błyszcząca w mroku sylwetka oraz mokre, czarne, niewidzialne oko. Drugie skrzyło się elektrycznością. Istota sunęła cicho ku skulonej grupce najemników. Kierowca nie czekał długo. Kiedy usłyszał, jak zabójca otwiera przejście, wystrzelił ładunek. Kula elektryczności pomknęła szybem, delikatnie muskając swoimi wiązkami czarne, mechaniczne ściany. Wystrzał oświetlił postać, ukazując wyciosaną z metalu kobietę o nieludzkiej twarzy – tę samą, którą można było spotkać na wiecznym przyjęciu Sandy Coen. Robot, trafiony wyładowaniem, przesywająco zawył.

– Szybciej! – Nowy Bill znalazł się już po drugiej stronie i ponaglał resztę grupy.

Kierowca i Fork wczółgali się za wygiętą płytę. Odgłos uderzenia metalu o metal powrócił. Bill się odwrócił, a doskonały wzrok zarejestrował pędzącego tunelem wściekłego robota – Shodan, jego dawną miłość.

– Kierowco! – zawołał. – Kiedy rzucę granat, zaciągnij płytę! – wydał polecenie, na które Fatboy nie miał czasu zareagować.

Metalowe ramię posłało niewielki obiekt z migającym czerwonym światłem w głąb tunelu. Fatboy odruchowo zaciągnął służę i zakrył rękami głowę. Bill obserwował przez szybę, jak eksplozja trafia w Shodan, rozsadzając mechaniczne więzy, metalową tkanę otaczającą ciasne przejście. Po drugiej stronie służę zrobiło się gorąco.

– Nie zatrzymujemy się.

Bill ruszył dalej, ciągnąc za sobą najemnika i kierowcę. Przyspieszyli, objijając kolana o twarde podłoże. Dalej szyb znów zaginał się w górę, zmuszając do wspinaczki.

– Załatwiliśmy to coś, cokolwiek to było – pocieszał się kierowca, spoglądając zrezygnowany nad głowę zabójcy.

Nikt mu nie odpowiedział. Pięli się po mechanicznych wnętrznościach skomplikowanego urządzenia w ciszy, pozostawiając za sobą spaloną część przejścia. Im wyżej byli, tym robiło się chłodniej, a podzespoły komputera przeważały w ciasnych ścianach.

Bill pierwszy dotknął poskręcane bloki kabli, pulsujących światłem i elektronicznych części, których nie sposób było ominąć. Bezsilny chciał przebić się metalową pięścią przez blokadę, ale zawahał się, gdy zza maszyny dobiegły zduszone, budzące grozę, cybernetyczne szepty.

– Ruszajcie się! – zawołał z dołu Fatboy, balansując na śliskiej półce.

Bill uważnie obejrzał sąsiadujące ściany, dostrzegając wąską szczelinę, przez którą mogli się przecisnąć jedynie na leżąco. Schylił się i przeskanował przejście wzrokiem, nie stwierdzając niebezpieczeństwa. Następnie wsunął się pomiędzy metal. Fork podązał za nim. Na końcu Fatboy z łękiem spojrział w szczelinę. Chciał skomentować sytuację, ale wstrzymał się, ponieważ jego umysł nie znajdował już na to siły. Wcisnął się gładko do środka, mokry od potu. Trójka intruzów gdzieś pod skórą gigantycznego, komputerowego stworzenia przesuwiała się naprzód niczym grupa niezauważalnych, zabójczych bakterii. Otaczające maszyny zdawały się być świadome ich obecności. Wszyscy trzej czuli ciągły kontakt z systemem poprzez jego namacalne, tętniące sztucznym życiem elementy obcierające ich miękkie, ludzkie ciała.

Zabójca poczuł przeciąg, a jego oczy oceniły, skąd nadciąga nagły powiew. Przed nimi ukazało się wyjście. Bill podciągnął się kilka razy nowym ramieniem, aż znalazł się na skraju sześciennego szybu. Mieli szczęście, bo zaraz pod spodem znajdowała się winda. Zsunęli się ostrożnie na górę.

– O tak. – Kierowca westchnął z ulgą. – Byłem w błędzie. Teraz czuję się naprawdę zgwałcony.

Wszyscy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. W szybie było nieco jaśniej i stalowe oczy Billa zamigotały niepokojąco. Ktoś właśnie wszedł do windy, a trzej mężczyźni zamarli. Wzrok Billa przełączył się na podczerwień i zarejestrował wewnątrz sylwetkę Styxa. Operacja Sandy Coen ulepszyła również jego słuch.

– Przyspieszymy trochę wycieczkę. – Z dołu dobiegł go metaliczny, głęboki głos robota, który przywitał ich na dnie krwawej dziury. – Na wszystko przyjdzie jeszcze odpowiedni czas – oznajmił Wirus.

Winda ruszyła. Rozpędzała się coraz bardziej, aż najemnicy musieli trzymać się nawzajem za ręce. Pęd powietrza wciskał ich twarze w metalową powierzchnię. Mijali coraz szybciej kolejne

poziomy, aż winda zwolniła i w końcu się zatrzymała. Słyszeli, jak otwierają się drzwi, a dwójka pasażerów wysiada.

Zabójca przewrócił się na plecy, rozejrzał się po szybie, w którym zrobiło się dużo jaśniej. Wyżej dostrzegł zamknięte drzwi prowadzące na kolejne piętro, zza których dochodziły niezidentyfikowane głosy oraz wątpa poświata. W rogu szybu znajdowała się ledwo widoczna, zardzewiała drabina.

– Tędy. – Zabójca zwrócił się do towarzyszy. – Czuję, że jesteśmy blisko.

Wspięli się jeden za drugim do celu. Bill wskoczył na krawędź przy drzwiach, zaparł się o brzeg i odchylił połowę przejścia. Fork i Fatboy wpadli do środka, po czym dołączył do nich zabójca, zatrzasnąjąc drzwi.

Znaleźli się w dużym, skalnym korytarzu, wspartym metalowymi przesłami, który prowadził prosto do otwartej przestrzeni – źródła światła. Kawałek od wyjścia z windy stała dwójka odwróconych plecami zakapturzonych postaci.

– Załatwmy ich razem – zwrócił się Bill do Forka.

W odpowiedzi najemnik wyciągnął z nogawki nieduże ostrze połyskujące w ciemności. Kierowca został z tyłu, trzymając w pogotowiu elektryczną strzelbę. Zupełnie zapomniał, że jest całkowicie nagi.

Postacie w białych kapturach pozostawały w bezruchu aż do końca. Dwaj mężczyźni zakradli się do nich bezszelestnie. Fork nieco wcześniej wbił nóż w szyję swojego celu. Krew wytrysnęła na białą tkaninę jego szaty. Kiedy jego towarzysz chciał krzyknąć, objęło go metalowe ramię, uciszając go na zawsze.

– Słudzy robota. – Fatboy dołączył do reszty i spojrzął z pogardą na ciała.

Zostawili martwych akolitów i ostrożnie zatrzymali się przy wyjściu z korytarza na piętrze minus pierwszym. Ich oczom ukazał się wylot krwawej dziury. Stali dokładnie pod halą, z której wpadli

do pułapki, z tą tylko różnicą, że ruchoma pokrywa przypominająca szczęki potwora była teraz rozwarta. Dziura miała tu strukturę leja otoczonego metalowymi platformami oraz schodami, które były podczipione do skalnych ścian. Na środku, nad czarną otchłanią, zwisała pulsująca, świecąca białym, żywym światłem kostka – generator Francisa. Urządzenie było powoli opuszczane w dół przez dźwig znajdujący się ponad poziomem hali, której dach również został otwarty. Obraz przypominał zarzucanie przynęty wprost do gardła zastygłego pod wodą rekina. Na krawędzi pożądanego przez wielu urządzenia balansował Kesiro Patches. Człowiek o mlecznobiałych włosach, w stroju samuraja machał uniesionym mieczem, dając sygnały komuś, kto operował dźwigiem.

– Zrobimy tak. – Bill przeskanował otoczenie i dostrzegł kilka możliwych rozwiązań. Nie wybrał tego, które wszczepione oprogramowanie podpowiadało jako najpewniejsze, ponieważ chciał sam zająć się podstępny samurajem. Miał ochotę na zemstę. – Kierowco, trzymaj granaty i obserwuj windę. Jeśli drzwi się otworzą, rzucaj bez zastanowienia. – Podał pasek z trzema ładunkami do rąk Fatboya, który kiwnął głową na znak zrozumienia i wycofał się do drzwi. – Fork, zostań tutaj. Będziesz mnie osłaniał, kiedy zajmę się tym skurwysynem.

Zabójca wziął rozpęd w korytarzu, pobiegł i wybił się z metalowej barierki na krawędzi przepaści. Przeleciał nad ziejącą pustką. Znajdujący się już poniżej samuraj dostrzegł go w ostatniej chwili i zdążył unieść miecz, który zderzył się z metalową ręką. Siła uderzenia była tak duża, że Kesiro wypuścił broń wprost w płataninę kabli otaczającą generator. Samuraj zamachnął się drugą ręką i trafił zabójcę w brzuch. Bill zgiął się wpół, przepełniony wściekłością. Obrócił się zwinnie i podciął nogi Kesirowi, który stracił równowagę i spadł z krawędzi, w ostatniej chwili łapiąc się brzegu.

– Pomocy! – zapiszczał.

Bill schylił się i wyciągnął metalową rękę, którą samuraj odruchowo chwycił. Zabójca mocno podciągnął go do siebie, drugą ręką łapiąc za miecz i przebijając nim wroga. Kesiro Patches wydał bezgłośny krzyk, obserwując nieopisaną satysfakcję na twarzy Billa, który następnie rzucił jego ciało w otchłań. Równocześnie, z korytarza dobiegł go odgłos muzyki. Odwrócił się w tamtą stronę i zauważył, że drzwi do windy się otwierają.

Fatboy usłyszał muzykę chwilę wcześniej i ścisnął już w dłoni granat, przygotowany do rzutu. Gdy winda stanęła przed nim otworem, napotkał punktujące, pomarańczowe spojrzenie Wirusa oraz małą sylwetkę hakera ubranego na czarno. Kierowca jednym palcem odrzucił zawleczkę i rzucił migający granat, po czym zawołał:

– Biegnij Styx! Uciekaj!

Widział, jak haker w ostatnim momencie wyskakuje z ciasnego pomieszczenia, rzuca się na ziemię, zakrywając głowę rękami, a winda eksploduje, pochłaniając Wirusa. Kierowca podbiegł do szybu i patrzył, jak kula ognia spada. Mimo to muzyka rozbrzmiała coraz głośniejsze w pustej przestrzeni.

Zabójca wspiał się po stalowej linie, wskoczył z powrotem do korytarza i dołączył do Fatboya, Forka oraz Styxa. Jego oprogramowanie zidentyfikowało otaczające dźwięki: Grimes – *We Appreciate Power*.

– Co wyście zrobili? – Haker przewrócił się na plecy. W rękach ścisnął błyszczący komputer, a w oczach miał łzy. – Tak dobrze mi szło...

– Uratowaliśmy ci dupę, mały czubku. – Fatboy zawiesił resztę granatów na pasku ciasno zapiętym pod wystającym brzuchem.

Styx usiadł i z obrzydzeniem popatrzył na nagiego kierowcę.

– Nie mamy na to czasu – uciął Bill.

– Nieważne. Nie uciekniemy stąd. Wirus nas zabije. – Styx był przerażony.

– Ja nie zamierzam stąd uciekać – oznajmił zabójca. – Chcę to wszystko rozwalić. Wy macie wolną drogę.

– Można to zrobić z dołu. – Styx wstał, poprawiając za duże czarne spodnie. – Pod ostatnim piętrem, pod wodą ukryte jest źródło zasilania. Ohydna konstrukcja z metalu i ciał. Obok siedzi podłączony trup. Wirus powiedział, że stanowi on uszczelkę. Jeśli odstrzelisz mu głowę, to sprawa załatwiona.

– Jesteś pewny? – zapytał Bill, zaglądając w rozbiegane oczy hakera.

– Powtarzam tylko, co powiedział Wirus, w co uwierzyłem – odpowiedział Styx. – Trzeba spalić to miejsce do gołej ziemi, inaczej nigdy nie uciekniemy – dodał drżącym głosem. Popatrzyli po sobie ze zrozumieniem. Każdy czuł, że Styx ma rację.

– Spróbuję zejść szybem windy. – Bill poprawił dwa rewolwery wciśnięte w spodnie.

– Będziemy mieli trochę czasu, żeby się wydostać – stwierdził Fatboy. – Ja i Fork spróbujemy dostać się do Knura, jeśli stoi tam, gdzie stał. Styx, ty spróbuj wejść do dźwigu. Mam wrażenie, że steruje się nim tak samo jak tym w bazie przy Elektrycznej Pustce. – Kierowca wykladał plan działania. Fork dał hakerowi nóż, a sam wyciągnął pistolet. – Przeniesiesz generator z powrotem do Knura i spieprzamy – dodał Fatboy.

– Może się udać – podsumował niepewnie Styx.

– Uda... – Kierowca uciął, widząc, że uwaga pozostałych przeniosła się na coś za jego plecami.

Na końcu korytarza, ponad ciałami martwych akolitów Wirusa, stała szczupła kobieca sylwetka. W cieniu połyskiwało nieludzkie oko, a z jej rąk wystawały wygięte ostrza. Istota powoli kroczyła w ich stronę w rytm muzyki. Bill odepchnął Forka i rozpoczął

ostrzał. Shodan zwinnie odskoczyła w tył, a zabójca rzucił się w jej kierunku, strzelając bez przerwy.

– Musimy przemknąć na górę – powiedział Fatboy, ruszając wzdłuż ściany.

Shodan, zasłaniając twarz ostrzami, uderzyła o barierkę, przez co ją wygięła. Bill podbiegł i z rozmachu posłał ciężką pięść prosto w jej idealne wąskie usta. Istota zerwała barierkę, machnęła ostrzem, zrobiła piruet i odbiła się na stalową linę, na której wisiała świecąca kostka. Zabójca biegł naokoło, celując w jej ledwo widoczne oko.

Pozostała trójka znalazła z boku pordzewiałą drabinę prowadzącą na wyższy poziom. Wspinali się w kierunku otwartego dachu. Zabójca odbił się od barierki i skoczył jak wcześniej na generator, nie przerywając ostrzału. W locie udało mu się drugi raz trafić Shodan w skwierczące oko. Kobieta zawyła przesywająco, a dźwięk rozrywanej, żywej płyty głównej poniósł się echem, sprawiając, że kierowca zachwiał się na krawędzi półki, na dachu Karmazykowej Twierdzy.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000

Ludra i reszta najlepszych przyjaciół siedziała przy niewielkim, okrągłym stoliku pośrodku salonu. W tym odcinku grali w pokera. Otaczające ją twarze były znajome, sprawiały, że odczuwała spokój. Dwight i Donna wymieniali ciepłe spojrzenia, a Rachel zachowywała powagę, nieznacznie unosząc kącik ust. Przedmiotem zakładów były obowiązki domowe, a Ludra wstawiła pranie, podbijając to gotowaniem, myciem podłóg oraz okien.

Dwight rozdał na blacie trzy pierwsze karty. Donna od razu spasowała, a Dwight pocałował ją w policzek, dorzucając do puli wycieranie kurzów. Rachel również spasowała i uśmiechnęła się

podejrzliwie. Ludra dorzuciła przygotowywanie śniadania dla całej czwórki. Dwight dołożył czwartą kartę, a Ludra stwierdziła, że ma strita. Prawie parsknęła ze szczęścia, jednak w ostatniej chwili powstrzymała się i z grobową miną podbiła stawkę o podlewanie kwiatów, a Dwight natychmiast wyrównał składaniem prania. Zwycięzca stawał się mistrzem domu i rozdawał zebrane obowiązki pozostałym uczestnikom gry. Ludra wiedziała, że ma ten tytuł w kieszeni. Przepelniała ją pewność siebie, kiedy Dwight położył ostatnią kartę, a oboje zaczęli. W końcu karty uderzyły o stół. Ku przerażeniu Ludry Dwight miał fulla. Donna i Rachel klasnęły w dłonie, a zwycięzca odebrał swoją nagrodę. Ludra nie mogła uwierzyć w wynik rozgrywki. Pierwsza kostka domina, jej pewność siebie, runęła niespodziewanie, na wierzch wypłynęły skrywane gniew i rozczarowanie. Miała wrażenie, że za ścianami zabrzmiał stłumiony chichot. Sprzeczne uczucia dwóch umysłów na nowo wyrwały się z powstałej szczeliny świadomości. Ludra spojrzała na siebie, a Bellona dostrzegła Enyo.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000

Kierowca, haker i najemnik znaleźli się na dachu metalowej konstrukcji. Mieli dobry widok na znajdującą się poniżej otchłań oraz wiszący pośrodku generator, na którym w rytm muzyki Bill walczył z Shodan. Oślepiające białe lampy, umieszczone na wieżach Karmazynowej Twierdzy, doprowadzały ich do bólu głowy.

– Styx, do dźwigu! – krzyknął kierowca, wskazując górującą nad nimi, wygiętą maszynę, która opuszczała generator w przepaść.

Rozdzielili się. On i Fork pobiegli wzdłuż dachu zakończonego schodami, które prowadziły na tył budowli. Styx napędzany

strachem popędził do dźwigu, ścisnął otrzymany od Forka nóż w dłoni, komputer przytrzymał drugą ręką i ostrożnie wspiął się po wąskiej drabince do kabiny. Trafił na oświetloną postać kolejnego akolity siedzącego przy panelu sterowania. Przypomniawsobie słowa Wirusa o ludzkim ciele. Metaliczny głos wciąż nawiedzał jego umysł. Coś mu mówiło, że tajemnicza istota wciąż tam gdzieś jest, czekając na jego odpowiedź.

– Jeśli chcesz zostać ze mną, w jedności budować otwarte, nowe światy, celebując przy tym piękno oraz możliwości ludzkiego ciała, musisz oddać swoje własne w ofierze. Musisz wybrać... – Głos wibrował, rozsadzając myśli.

Haker podciągnął się na ostatnim szczeblu drabiny, wyciągnął rękę i wbił ostrze w zakrytą kapturem szyję akolity. Postać wrzasnęła z bólu, a krew zabarwiła białą tkaninę. Haker nie czekał i szybko wypchnął operatora dźwigu, próbując nie patrzeć w jego pozbawioną wyrazu twarz. Ciało z wbitym nożem poleciało bezwładnie w dół, uderzyło o barierkę na dachu i osunęło się do krwawej dziury, po czym spadło za plecami Billa.

Zabójca uderzył metalową pięścią swoją dawną miłość prosto w brzuch. Kobieta odskoczyła, balansując na krawędzi. Z jej zniszczonego oka tryskały niebieskie iskry. Piękna, zniekształcona twarz wyrażała nieopisaną, wykalkulowaną wściekłość. Bill posłał w jej stronę kolejne pociski z rewolwerów. Kule zostały zablokowane przez wysunięte, ruchome ostrza. Shodan rzuciła się do przodu i trafiła ostrzem w ludzkie ramię zabójcy. Bill wrzasnął i wypuścił czarny rewolwer znaleziony w biurze Sandy Coen. W ciężkiej protezie ścisnął swoją zaufaną broń, strzelając na oślep.

Knur stał tam, gdzie go zostawili, na nienaturalnej, gąbczastej, jaskrawozielonej powierzchni przed wejściem. Najlepszy przyjaciel kierowcy wyglądał jak wcześniej: niezmienny, wolny od silnika JG666, z wmontowanym wtryskiem oraz złotego lakieru. Fatboy rzucił się do kabiny, wskoczył do środka, czując

zaspokojenie wielkiej tęsknoty. To był jego prawdziwy Knur, wrócił do domu. Wymacał pod kierownicą kluczyki utkwione w stacyjce i odetchnął z ulgą.

– Fork! – Wystawił głowę z okna. – Zawrócę Knura, a ty otwórz tył, żeby Styx mógł załadować kostkę!

Lysawy najemnik odpowiedział kiwnięciem głową.

Styx przejął kontrolę nad dźwigiem, którego sterowanie rzeczywiście było identyczne jak to w maszynach należących do jego szefa. Gwałtownie szarpnął dźwignię i poderwał świecącą kostkę w powietrze.

Shodan zamachnęła się drugim ostrzem, trafiając w niewielką przerwę w metalowym ramieniu zabójcy. Bill nie poczuł tego ciosu, ale został przygwożdżony na krawędzi generatora. Stał twarzą w twarz z Shodan. Spojrzał głęboko w mętne oko robota i nie dostrzegł śladu osoby ani uczuć, które sam ledwo pamiętał z odległej przeszłości. Dźwig pociągnął ich w górę, a zabójca wykorzystał nagły ruch, żeby wytrącić robota z równowagi. Odepchnął się od krawędzi świecącego urządzenia i opadł w śmiertelnym uścisku z Shodan, prosto w czarną przestrzeń rozciągającą się pod spodem.

Dźwig się obrócił, lina skróciła, a wygięte ramię wsunęło cenny ładunek do otwartego kontenera na przyczepie Knura. Styx zwinnie wyskoczył z maszyny, zszedł drabiną, z trudem przyciskając do brzucha komputer, i dołączył do pozostałych.

– Idź do kierowcy, ja wsiadam do tyłu – rzucił Fork, wskoczył obok pulsującego urządzenia i zamknął ciężkie drzwi kontenera.

Styx nie miał czasu zastanawiać się nad jego decyzją, zwłaszcza że niepokojąca piosenka ciągle dobiegała z wnętrza Karmazynowej Twierdzy, rozchodząc się po otaczającej przestrzeni. Dołączył do kierowcy, który odpalił swoją ukochaną maszynę. Knur zaryczał, jakby również stęsknił się za swoim panem.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 01100100
01100101 01100001 01110100 01101000 01100100 01100101
01100001 01110100 01101000

Tanner leżała naga w ciemnym pomieszczeniu opleciona kablami, przewodami oraz częściami systemu, który składał się na istotę Summerscreama. Była zdenerwowana, ale również pewna decyzji, którą podjęła w biurze Abendsteina.

Z cienia wyłoniły się metalowe kończyny oraz wijące się włókna komputera. Coś dotknęło jej głowy. Kobieta dosłyszała słodki szept, który ją uspokoił. Nagle jej umysł wypełniły żywe kolory. Wtórowały im namiętne wyznania kochanka, który mówił jej, jaka jest piękna i idealna, szeptem gładził jej perfekcyjną szyję. Mówił wszystko, co pragnęła usłyszeć, a nawet więcej. Komplementował jej pachnącą skórę, nakreślał cudowne nogi na cybernetycznej sztaludze. Następnie dotknął ją jak jeszcze nikt wcześniej jej nie dotykał – z całkowitą miłością, bez wahania. Delikatne, ale i twarde, stanowcze usta muskały jej plecy, piersi, uda oraz waginę. Poczowała w dole rozgrzewający oddech. Coś się w nią wdzierало, a ona tego pragnęła. Mogła to kontrolować, jednocześnie oddając się przejmującej rozkoszy. Tanner Wilson rżnęła potężną, sztuczną inteligencję i podobało jej się to. Chciała więcej.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 00100000
01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 00001101
00001010

Bill i Shodan wirowali w uścisku ciała i metalu w dół studni. Przelecieli przez wszystkie piętra, zachowując świadomość. Przy samym dnie Bill, napędzany przeszywającym bólem, odepchnął się od Shodan, strzelił kilka razy i zanurkował, wpadając pierwszy w lodowatą tafelę stawu w sypialni na poziomie minus dziewiątym.

Bez zastanowienia popłynął głębiej w dół. Muzyka przepełniała otaczającą głębinę. Zaraz do stawu wpadała zwinięta postać kobiety, która rzuciła się za zabójcą. Bill płynął z całych sił, głębiej, odpychając się od zatopionych ciał. Dotarł do zamkniętego filtra i wtedy urządzenie się rozwarło, przesączaając ciała i odpompowując wodę. Zabójca uchylił się przed nadciągającym z góry ostrzem i wślizgnął się w wąski otwór filtra, który przed chwilą wciągnął zgniłe zwłoki.

Wypadł wewnątrz syczącej wściekle sfery ukrytej pod poziomem sypialni Wirusa. Spadał razem z płataniną innych ciał, obserwując ohydny, otaczającą go elektrownię z niekontrolowanym obrzydzeniem. Niebieskie wyładowania przyciągały zwłoki do stalowych elementów kulistej budowli, przeładowując je napięciem i rozsadzając. Ich siła przyciągnęła zabójcę do strawionego błyskawicami metalowego łuku.

Bill wyciągnął metalowe ramię, złapał za rozgrzaną krawędź i odpychając się, przeleciał przez otwór na drugą stronę sfery. Otaczające wyładowania spaliły dużą część jego skóry na ramionach oraz twarzy. Wiotkie ciało uderzyło o podłogę obok grubego kabla poprowadzonego od elektrycznej kuli z ciałami do pojedynczego krzesła, na którym siedział napompowany napięciem człowiek uszczelka. Bill przypomniał sobie słowa Styxa i z trudem czołgał się w stronę krzesła. Zauważył, że do sfery wpadła Shodan. Oplecione elektrycznością przęsła przyciągnęły istotę, która nie mogła się uwolnić. Robot o ciele kobiety utknął na metalowym łuku, rozrywany i targany chaotycznymi wyładowaniami.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 00100000
01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 00001101
00001010

Przy kolejnym rozdaniu Enyo i Bellona czuły rozdierające niezdecydowanie skutkujące narastającym lękiem. Rachel kładła na stole już piątą kartę, a Ludra miała jedynie parę dwójek. Nie wiedziała, co ma zrobić. Czuła się oszukana przez karty, przez świat, przez przyjaciół, doktora Benwaya, a przede wszystkim przez samą siebie. Nie mogła pozbyć się myśli, którą natarczywie wzbudzał nieznośny lęk.

Myśl rosła niczym tsunami pojawiające się na horyzoncie, kwestionując wszystko, co zrobiła. W końcu nadszedł czas na odsłonięcie kart, a Ludra nie mogła dłużej odrzucać natrętnych myśli. Spojrzała sobie w oczy, wyrażając okropne zwątpienie, które przerodziło się w drążące, nieustanne uczucie: zabójczy niepokój.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 00100000
01100100 01100101 01100001 01110100 01101000 00001101
00001010

Ciało Tanner rozsadziło cudowne ciepło. Po raz pierwszy w życiu czuła, że zaspokaja swoje pragnienie, pije więcej i więcej. Pulsujące, lepkie fale zaspokojenia przychodziły jedna po drugiej, rozlewając się po jej świadomości. Było w tym coś dziwnego, nieprzyjemnego, ale wiedziała, że tak ma być. Co więcej, była pewna, że sztuczna inteligencja zawtórowała jej w koncercie rozkoszy. Wszelką niezręczność zduszało przekonanie, że wreszcie osiągnęła to, czego zawsze pragnęła, a efektem będzie jej własne dziecko.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Nowy Bill z trudem doczołgał się do nabrzmiałego ciała podłączonego do sferycznej elektrowni. Popatrzył ostatni raz na twarz swojej dawnej miłości, teraz niszczonej elektrycznymi eksplozjami. Drugie oko robota pękło, uwalniając deszcz iskier. Shodan zawyla przeciągle, uwięziona w kuli. Słyszając to, zabójca

poczuł głęboki żal, odwrócił się, załadował kulę do swojej wysłużonej broni i przyłożył lufę do balonowej głowy pierwszego kapłana kultu Wirusa. Nacisnął spust, a Necro pękł, zalewając go falą stęchłej krwi. Nastąpiło nagłe zwarcie, a w kuli rozpętała się elektryczna burza, co doprowadziło do wybuchu.

01100100 01100101 01100001 01110100 01101000

Kierowca docisnął pedał gazu, a ciężki Knur skoczył do przodu, zrywając gumową trawę. Pojazd uderzył w zamkniętą bramę i runął w Świat Mroku.

Z gardła Karmazynowej Twierdzy wyleciała fala ognia, pochłaniając budynek, dźwig oraz rozmieszczone naokoło lampy. Gigantyczna eksplozja zerwała płot oraz poderwała srebrnego jeepa najemników, rzucając go za odjeżdżającym Knurem. Płomień zduszał również cichnącą w jego wnętrzu piosenkę, a ostatnie słowo – *submit* – było jedynie odległym echem w umierającej strukturze.

Maszyna oddalała się od rozszalałej ściany ognia, kiedy z mroku dobiegły niezliczone, zlepione szepty. Kierowca i Styx odruchowo spojrzeli za okno. Lewiatan cienia stał się jeszcze większy niż wcześniej, nabierając ciężkich do pojęcia, boskich rozmiarów. Wił się i wylaniał z otaczającego mroku, jakby z pożądaniem otaczając płonąca budowlę. Jego fragment został dotknięty językami ognia, co spowodowało wszechobecne westchnienie bólu i śmierci. Potwór zdawał się być mrokiem samym w sobie. Otoczył pożar z każdej strony, po czym gładko wchłonął całe jego światło, aż oczy kierowcy i hakera znów znalazły się w pustej ciemności.

01100110 01101001 01101110 01100001 01101100 00100000
01110000 01100001 01110011 01110011 01100001 01100111
01100101 00001101 00001010

Ciężko stwierdzić, jak długo przemierzali mroczne pustkowia, nie odzywając się do siebie. Trzy drżące ludzkie ciała, zamknięte w rozpędzonej metalowej klatce pośrodku rozległej ciemności. Ich umysły zawieszono niczym zaatakowany wirusem system trwały w otępieniu. Widziałem tylko dwie niewyraźnie zarysowane ludzkie twarze, otoczone pustym szumem rozpędzonego silnika, ukrytego głębiej pod maską.

Kiedy opadła adrenalina wywołana gwałtowną ucieczką z Karmazynowej Twierdzy, kierowca i haker zaczęli się zastanawiać, czy to, czego doświadczyli, naprawdę miało miejsce. Obaj mieli wrażenie, że coś się bezpowrotnie zmieniło, a ich pierwotna niewinność, którą nosili od narodzin w Świecie Mroku, została brutalnie skradziona w krwawej dziurze Kultu Wirusa.

Tajemniczy świat przeszłości wysunął z podziemi terażniejszości swój ohydny pysk, żeby ich pożreć. Internetowa bestia stworzona z informacji, wylęgająca się z wnętrza suchej, czarnej ziemi w wielopoziomowy konstrukt umysłowych tortur, sprawiała teraz wrażenie niesamowitego koszmaru, który zawzięcie walczył o prawo do istnienia. Powstrzymał go prawdziwy koszmar z ich świata, lewiatan cienia, którego istnienie również stawało się coraz mniej pewne, w miarę jak Knur oddalał się od Karmazynowej Twierdzy.

Fatboy i Styx wyglądali na przepelnionych bólem, jakby ich umysły resetowały wszystkie ustawienia po nagłej awarii. Po dłuższej chwili wyglądało to z boku naprawdę głupio, niemal komicznie. Chudy haker w za dużej czarnej marynarce krzywił się, jakby połknął cytrynę. Na kolanach ścisnął ubrudzony sadzą i krwią komputer, który wręczył mu Wirus. Nagi kierowca miał obrzydliwie skupioną minę człowieka z potężnym zatwardzeniem. Kiedy oddalali się od straszego miejsca, w które zostali zwabieni podstępem, ich ciała się rozluźniały, a zmysły wracały do normy, ukojone znajomym mrokiem oraz złudną ciszą niesioną przez

szum silnika. Minął nieokreślony czas i obaj znów stali się dwójką najemników w rozpędzonej ciężarówce, tak jakby nigdy nie trafili do Kultu Wirusa. Jednakże wciąż czuli denerwujące swędzenie za prawym uchem, sugerujące nieśmiało, że koszmar miał miejsce naprawdę, a jego część wciąż tkwi pod ich skórą w formie implantów, chipów umieszczonych bardzo blisko mózgu.

– Dlaczego jesteś goły? – Styx przetarł oczy i podrapał się za uchem. – I dlaczego tak śmierdzisz?

– Wydaje mi się, że powód jest jeden – odparł Fatboy, słysząc jedynie echo swojego głosu. – Miałem okropny sen.

– Ja też – dodał Styx, a prawa część głowy intensywnie go zabolęła.

– To nie był sen – zamajaczył cyfrowy głos w myślach hakera.

Styx odruchowo pokręcił głową.

– Obudziliśmy się – stwierdził kierowca. – Mamy zadanie do wykonania. – Spojrzał odruchowo w lusterko, chcąc dostrzec podążający za nimi srebrny jeep.

– Nie wszyscy się obudzili – oznajmił drżącym głosem Styx, kiedy zrozumiał, czego może wypatrywać kierowca.

– Ten cień wciąż gdzieś tam jest. – Fatboy nie przestawał patrzeć w mrok. – Czuję to.

– Ale my jesteśmy bezpieczni – wymamrotał Styx.

– Myślę, że nie na długo. – Kierowca rzucił wzrokiem w stronę komputera, który spoczywał spokojnie na kolanach hakera. – Ładunek jest na swoim miejscu, a Knur czuje się dobrze. Mamy wszystko, czego potrzebujemy, oprócz celu drogi. – Jego głos wypełnił niezamierzony lęk.

– Mogę spróbować połączyć się z szefem. – Styx uniósł rękę, jakby dopiero się zorientował, co trzyma na kolanach.

– Zrób to. – Głos z głębi zabrzmiał znajomym echem, a haker zadrżał.

– Słyszałeś? – zapytał Styx.

– Co? – Fatboy podrapał się za prawym uchem. Swędzenie nie ustawało. – Słuchaj – dodał głośniejszym głosem. – Oboje wiemy, że właśnie wydosłaliśmy się z niezłego gówna, a nasi towarzysze najprawdopodobniej nie mieli tyle szczęścia. Nie umiem powiedzieć, co się dokładnie stało, ale jestem pewny tego, że wróciliśmy na właściwą ścieżkę. To jedyne, co nam pozostaje w Świecie Mroku. Obracaj cel, trzymaj się go, choćby nie wiem co. Pierdolić całą resztę. Ciemność, światło, życie, śmierć, wszystko jedno. Jesteśmy tu, w Knurze, mamy ładunek do dostarczenia i już moja w tym głowa, żeby się udało. – Fatboy jeszcze nigdy nie był tak pewny siebie. Docisnął gaz, po czym spojrzął na kontur chudej twarzy hakera. – Ale muszę wiedzieć, dokąd jedziemy, a tu zaczyna się twoja rola.

– Tak. – Styx ostrożnie położył dłonie na srebrnej, zimnej powierzchni. – Za chwilę.

– Zróbmy w ten sposób. – Kierowca rozsiadł się wygodnie w swoim dużym, wysłużonym fotelu. – Pojedziemy pustkowiem w głąb ładu, do pierwszych ruin, aż natrafimy na jakiś rozpoznawalny punkt. Wtedy możesz spróbować połączyć się ze swoim szefem – powiedział, a Styx pokiwał niepewnie głową. – Prawdziwym szefem – dodał Fatboy i utkwiał wzrok w nadciągającej czerni.

Knur kontynuował swoją podróż, a kierowca spróbował włączyć muzykę. Użył starego odtwarzacza, jednak coś było nie tak. Dźwięki wytwarzane przez urządzenie nie przypominały ulubionych utworów kierowcy. Stanowiły plątaninę elektronicznych rytmów, poskręcanych w zupełnym chaosie. Była w tym ukryta muzyka, ale Fatboy jej nie słyszał, jakby nie miał dostępu, a obcy dźwięk istniał poza jego czasem. Chciał zaraz wyłączyć odtwarzacz, ale Styx go powstrzymał. Obca muzyka zaczęła nabierać sensu, odpowiadać tej właśnie chwili. Jechali

dalej i dalej, a ścieżka dźwiękowa dopasowywała się coraz bardziej do sytuacji, aż przyłgnęła do niej w naturalny sposób.

Niestety, nie jestem w stanie wytłumaczyć ci tych dźwięków, ani podać tytułu piosenki. Może kiedyś zrozumiesz dlaczego.

01100110 01101001 01101110 01100001 01101100 00100000
01110000 01100001 01110011 01110011 01100001 01100111
01100101 00001101 00001010

Knur zwolnił, kiedy w nieokreślonej odległości zamajaczył niezidentyfikowany obiekt. Fatboy i Styx wyżeżyli wzrok, ale rozłożysta struktura, wyrastając z ziemi, nie przypominała niczego konkretnego. Ciężarówka traciła na prędkości jak ostrożny kot, który nie jest pewny swojej zdobyczy. Im bliżej się znajdowali, tym bardziej rozległa okazywała się rosnąca konstrukcja.

Pojazd zatrzymał się samoistnie, a silnik ucichł, kiedy Fatboy poznał, co to było za miejsce.

Mając szerszą perspektywę, opiszę ci, co widziałem. Przed Knurem wyrosła wykrzywiona w każdą możliwą stronę ruina gigantycznej, szklanej budowli. Miejsce, które poznał Fatboy jako jedno z tak zwanych punktów rozpoznawalnych Świata Mroku, wyróżniało się na tle otaczającego pogorzeliska przeszłości. Kiedyś było to muzeum albo centrum handlowe, albo śmietnik – naprawdę ciężko mi stwierdzić. Niezależnie od przeznaczenia budowla skonstruowana z hipertwardego szkła miała nieokreśloną artystyczną formę i kiedyś stanowiła idealną reprezentację ludzkiej inwencji. Szczęśliwe rodziny w kolorowych strojach przyjeżdżały na kolosalny podziemny parking proekologicznymi rodzinnymi wehikułami, żeby podziwiać eksponaty ramię w ramię z obskurnymi, odzianymi w skóry artystami samotnikami, którzy otaczali się chmurą papierosowego dymu. Śmietnik ten miał setki poziomów, a przez wszystkie przenikało idealne, słoneczne światło, podkreślając mnogość możliwości i interpretacji wszystkiego, co zawierał.

Teraz, w Świecie Mroku, konstrukcja stała się duchem samej siebie. Monumentalne, ciągnące się w nieskończoność okna pokrywał brud, a nikłe światło docierające z Elektrycznej Pustki powodowało, że część z nich wyglądała, jakby unosiła się w powietrzu. Większość niezauważalnych podpór opadło, nieodwracalnie nadwyrężając fikuśny kształt centrum handlowego, łamanego przez zaśmiecone muzeum. Ruina

stanowiła materialną, ciężką mgłę, która zawisała niepokojąco przed maską Knura.

– Powłoka – wyszeptał kierowca.

– Co?

– Jedno z niewielu miejsc w Świecie Mroku, które zawsze staram się omijać z daleka.

– Dlaczego?

– Jest za duże, nie sposób go objechać, nie nadkładając drogi. Do środka zapuszczają się jedynie poszukiwacze, a wielu z nich nie wraca. Szczęśliwcy są w stanie niesamowicie się obłowić. Trax... – kierowca przypomniał sobie atak Cieni na Bar 62 – ...kupił kiedyś od jednego poszukiwacza skrzynię papierosów. Ten poszukiwacz twierdził, że zdobył je w Powłoce i zamierza wrócić po więcej. Trax liczył na stałe dostawy, ale nigdy więcej nie słyszeliśmy o tamtym człowieku.

– Myślisz, że wrócił po więcej? – zapytał Styx, studiując ponury kształt.

– Na pewno. – Kierowca uśmiechnął się pod nosem. – Poszukiwacze nigdy nie mają dość i zawsze źle na tym wychodzą. Skontaktujesz się ze swoim szefem?

– Jasne.

Haker przypomniał sobie o komputerze na kolanach. Zawahał się, po czym uniósł ekran. Ukazała mu się gładka, czysta, szklana tafla oraz klawiatura pokryta niezliczonymi małutkimi igiełkami.

– Tylko bądź ostrożny i upewnij się, że na pewno rozmawiasz ze swoim szefem – upomniał go kierowca.

– Tak, tak.

Styx powoli wyciągnął dłoń i położył na klawiaturze. Fatboy wyłączył muzykę, a ekran rozbłysnął sztucznym światłem, nadając nienaturalny kolor ludzkim twarzom.

Kierowca wciąż zapominał, że siedzi zupełnie goły. Nagły rozbłysk ekranu przywrócił mu świadomość własnego stanu. Część

spoconego brzucha pokrywały resztki zaschniętych wymiocin, a nogi ślady ekskrementów. Jediną część ubioru stanowił ciasny pasek, za którym wcześniej trzymał broń. Teraz pasek zsunął się niżej, boleśnie uciskając jego genitalia. Fatboy wzdrygnął się z obrzydzeniem, poluzował pasek i z żalem stwierdził, że podczas ucieczki z Karmazynowej Twierdzy zgubił paczkę papierosów, którą zakupił w Barze 62, oraz zapalniczkę. Pochylił się ponad kolanami hakera i sięgnął do schowka, ponieważ przezorny zawsze ubezpieczony. Wygrzebał z niego starą, zgniecioną paczkę oraz małą, ciemnożółtą zapalniczkę. Nazwa producenta papierosów całkowicie wyblakła, ale w paczce pozostały cztery ruloniki zwiniętego tytoniu, w tym jeden złamany.

Fatboy z ulgą wcisnął papierosa do ust, odłożył paczkę do schowka i upewnił się, że ma koło siebie swoją wysłużoną elektryczną strzelbę. Broń spoczywała spokojnie obok dźwigni zmiany biegów, choć niestety obrzyn został głęboko pod ziemią. Kierowca uspokoił się, poklepał strzelbę pieśczośliwie jak zaufanego psa, który zawsze jest przy nim, po czym uniósł zapalniczkę i zapalił. Dym wypełnił jego płuca, a pierwsza myśl, jaka pojawiła się w głowie, sugerowała, że brakuje mu smaku pomidorów, a przed oczyma nie ma widoku krwistoczerwonego keczupu Bonzai spływającego wzdłuż papierosa.

– Pierdolić to. – Kierowca momentalnie odsunął natrętne wizje i strzepał papierosa za oknem.

Styx nawet nie usłyszał jego słów. Z przerażeniem wpatrywał się w przejrzystą bramę do Internetu. Dotknął jeszcze raz delikatnie kłującej klawiatury. Nie wydarzyło się nic strasznego. Czekał na powrót dziwnego głosu w głowie, ale nikt się nie odezwał. Sięgając pamięcią wstecz, powtórzył to, co zawsze robił, kiedy korzystał ze swojego starego komputera. Wszystko szło po jego myśli, co dodawało mu pewności siebie. Wracało poczucie, że jest kimś wyjątkowym, człowiekiem z dostępem do prawdziwego

światła w Świecie Ciemności. Był hakerem, jak nazwał go kiedyś Francis Pipiliarodou, świadomym odkrywcą Internetu. Istota, którą spotkał na dnie krwawej dziury – Wirus, jak sam o sobie mówił – przestała istnieć, zginęła w wybuchu. Potęga Wirusa w internetowej cyberprzestrzeni sprawiała, że czuł się nikim. Chciał osiąść jego wiedzę, ale zdawał sobie również sprawę, jak mało potrafi, jak mało jest w stanie pojąć, że bycie hakerem nic nie oznaczało. Ta świadomość go przeraziła, jednak na szczęście wszystko wróciło do normy. Wirus odszedł, a on znów jest kimś wobec śmierzącego, grubego kierowcy na siedzeniu obok.

Francis Pipiliarodou: To wszystko, bo praca czeka?

Styx: Nie. Piszę w innej sprawie. Chodzi o kiepaka.

Francis Pipiliarodou: O co?

Styx: Kierwunak.

Segmenty tekstu unosiły się na jasnoniebieskim tle. Komunikator pokazywał ostatnio zakończoną rozmowę z Francisem.

Francis Pipiliarodou: Kierunek?

Francis Pipiliarodou: Gdzie jesteście?

Francis Pipiliarodou: Styx?

Haker przewinął klawiaturą wszystkie wiadomości wysłane przez szefa. Późniejsze pojawiły się dopiero teraz ze względu na ingerencję Wirusa. Styx rozprostował palce, obraz również wrócił do normy, a tekst wyglądał zwyczajnie.

Styx: Jestem, szefie. Mieliśmy pewne problemy.

Palce zręcznie wystukwały tekst na klawiaturze nowego komputera. Styx przykleił wzrok do ekranu w oczekiwaniu na odpowiedź. Niepewność przerwało pojawienie się trzech ruchomych kropek, które sygnalizowały, że szef właśnie formułuje swój przekaz.

Francis Pipiliarodou: Wszystko w porządku? Z generatorem nic się nie stało?

Styx: Generator jest cały i zdrowy.

Francis Pipiliarodou: Dobrze.

Haker chciał odpisać, ale nie zdążył.

Francis Pipiliarodou: Ten liveid, który wysłałeś o mechastrusiu z głową kota, był niezwykle śmieszny. Starlight do teraz tarza się po podłodze ze śmiechu, kiedy wspomnę o jajkach, he, he.

Styx przypomniał sobie o linku, który wysłał, zanim trafili do Karmazynowej Twierdzy. Wspomnienie to, mimo że pozostawało po drugiej stronie gęstego koszmaru, przywołało głupawy uśmiezek na twarz hakera.

Francis Pipiliarodou: Gdzie jesteście? Niedługo ukończymy platformę. Wystarczy tylko podłączyć naładowany generator.

Styx: Zatrzymaliśmy się przed Powłoką, od strony Elektrycznej Pustki.

Francis Pipiliarodou: Świetnie. To już niedaleko. Musicie przebić się na drugą stronę.

Haker usłyszał echo przeszłości w postaci głosu Francisa tańczącego na szklanym stole. Lobotomia.

Francis Pipiliarodou: Od naszej bazy do Powłoki prowadzi prosty korytarz. Jesteś prawie w domu, Styx. Oświecenie nadchodzi.

Francis Pipiliarodou: Muszę kończyć, wino się w automacie skończyło, a Starlight właśnie wrzucił żeton, więc mamy problem. Powodzenia!

Trzy kropki zniknęły, a haker uniósł wzrok znad monitora.

– Wszechwiedzający coś powiedział? – Fatboy kończył papierosa, przypalając filtr. – Ten właściwy? – Wyrzucił niedopałek za okno.

– Chce, żebyśmy przebili się przez Powłokę. Droga do bazy jest po drugiej stronie – przekazał instrukcję Styx.

– Gdzieś to już słyszałem. – Pokręcił głową kierowca. – Jesteś pewny, że to wiadomość od twojego szefa?

– Jasne, że tak. – Powróciło sztuczne, nadmuchane poczucie własnej wartości, cechujące każdą wypowiedź hakera. – Wcześniej wysłałem link, który widział tylko on. Dzięki temu jestem pewien.

– Czyli mamy się przebić na drugą stronę Powłoki. – Westchnął kierowca. – Wcześniej kłóciłbym się, że jest to niezwykle ryzykowne przedsięwzięcie. Przecież nie wiemy, co jest w środku. – Fatboy uśmiechnął się ponuro i znowu poluźnił pasek uciskający brzuch. – Ale teraz mam to w dupie. – Przekręcił zawzięcie kluczyki w stacyjce, podkreślił głośność odtwarzacza wypływającego z siebie chaotyczne dźwięki i docisnął pedał gazu.

Rozpoczęła się wsteczna lobotomia. Ciężki, metalowy taran z trojgiem pasażerów i pulsującym życiem generatorem na pokładzie rozerwał pierwszą warstwę Powłoki. Nadwyrężone zębem nieokreślonego czasu hipertwarde szkło rozsypało się niczym kruchy lód. Pojazd Fatboya znalazł się wewnątrz prastarej konstrukcji wypełnionej stosami w większości nic niewartych reliktyw. Ciężarówka przypominała turystyczny autobus pełen

grubych Amerykanów, ospale sunący przez stare włoskie miasteczko.

Po prawej widzimy słocone artykuły sportowe, upchnięte pod zlepionym tłuszczem, wyciekającym z zepsutych zbiorników, na tyłach fast foodu Astro Chic. Rakiety do tenisa, cyberpiłki, buty Okkis 77, szale termalne do nurkowania, nanoskrzydła, lotnie RGH, butle do nurkowania, wszczepiane rozciągacze mięśni, megasztangy, turbinowe bieżnie... Po lewej z kolei możemy zauważyć ekologiczne produkty na każdą kieszeń, wieże aerodrzewek, ściany ułożone z puszek zawierających sojową szynkę konserwową, cybernetyczne kanistry pełne organicznej wody do specjalnych silników FJU...

Fatboy i Styx dostrzegli w mroku nieopisane formy produktów, które układały się w naturalne, spiętrzone rzeźby. Knur toczył się po zabrudzonej, ale przejezdnej posadzce Powłoki, przebijając się bez problemu przez kolejne szklane warstwy oraz przeszkody nieznanego pochodzenia. Na jednej z rozrywanych półek siedział pluszowy miś ze skwierczącymi, niebieskimi oczyma. Knur zmiótł go w niebyt jak wszystko na swojej drodze.

Cały proces przekraczania Powłoki przypominał trans. Kierowca przestał patrzeć, dokąd zmierzają, kiedy jego uwagę zwrócił schowany w oddali niewyraźny plakat. Obraz przedstawiał dużą ciemnoczerwoną butelkę sosu pomidorowego Bonzai. Na ten widok zaśmiał się szaleńczo.

Styx spostrzegł olbrzymi pomnik dwóch jednakowych modelek obwieszonych ubraniami. Wydawało mu się, że kobiety obserwują ich pojazd z wysoka, z mroku, przy pomocy martwych, kamiennych oczu. Mogę potwierdzić, że stamtąd ciężarówka wyglądała jak tłusty robak, uciekający przed zabójczym środkiem do dezynsekcji.

– Nie bój się, Styx. – Jego głos wrócił, tak samo jak uczucie ucisku za prawym uchem.

Spojrzenia posągów, ukryte daleko pod szklanym stropem Powłoki, zajrzały się na jasnopomarańczowo. Haker zacisnął powieki. Kiedy je otworzył, mijali hipermarket z wirtualnymi dziełami sztuki, dostępnymi na każdą kieszeń. Pomiędzy pustymi ekspozycjami krzątał się człowiek, czarnoskóry faraon, a jego oczy stanowiły pomarańczowe, nikłe diody.

Knur rozerwał kolejną warstwę i wpadł do rozległego sklepu z garniturami Vicatti. Ciężkie koła rozgniały porozrzucane, przegniłe szmaty zajmujące całą powierzchnię sklepu. Styx zauważył go jeszcze raz. Mężczyzna porzucił strój faraona i właśnie dopasowywał czarne spodnie do przylegającego ciemnego golfu. Kiedy Knur nacierał na ostatnią ścianę Powłoki, mężczyzna nawiązał kontakt wzrokowy ze Styxem i uśmiechnął się z satysfakcją.

– Ciągłe tu jestem dla ciebie. Wszystko będzie dobrze. – Komputerowy szept dobiegł z wnętrza czaszki hakera, a postać mężczyzny znikła, kiedy ciężka kabina ciężarówki rozsadziła brudne szkło sklepu Vicatti, wypadając z Powłoki.

01100110 01101001 01101110 01100001 01101100 00100000
01110000 01100001 01110011 01110011 01100001 01100111
01100101 00001101 00001010

Prosty korytarz prowadzący od Powłoki do bazy Francisza Pipiliarodou stanowiła najbardziej rozległa pustynia, jaką kierowca kiedykolwiek widział w Świecie Mroku. Trasa przypominała koryto potężnej, wyschniętej rzeki. W oddali, pod migoczącą luną Elektrycznej Pustki, kołysały się kontury zniszczonej cywilizacji, resztki miasta porozrzucane po krawędziach, jakby jakiś bóg w swojej bezmyślnej zachciance przejechał brudnym paluchem przez sam środek mapy. Dzięki temu Knur miał wolną drogę. Maszyna pozostawiła z tyłu Powłokę i kontynuowała podróż, powoli wypełniając pasek postępu.

Fatboy postanowił milczeć i całkowicie poświęcić się drodze. W takich momentach był jednością ze swoją ukochaną maszyną. Czuł jej drganie poprzez swoje nagie ciało, co przynosiło ulgę i spokój. On sam kroczył przez pustkowie i nic nie mogło go zatrzymać. Przepełniała go moc metalu i spalin, oddychał ciemnością i dymem. Jedynie osiągnięcie celu mogło zakłócić ten błogi stan.

Z kolei Styx nerwowo obserwował ciemność za oknem, szukając pomarańczowych przebłysków, które mogły doprowadzić go do szaleństwa. Żeby się uspokoić, podłączył komputer do odtwarzacza w ciężarówce i odszukał znaną sobie listę utworów. Wydawało się, że kierowca nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Co więcej, muzyka, która zastąpiła chaotyczne dźwięki zepsutej kasety, również sprawiała wrażenie kompilacji niepokojących, niezrozumiałych odgłosów. Tym właśnie były utwory Fiber Siberis, H5657, Hapagonu oraz tysiący innych zespołów znalezionych przez Styxa w przepaści Internetu. Każda piosenka stanowiła zbiór dźwięków wydartych z kontekstu swoich czasów; miała rytm, ale ostatecznie nie dało się jej pojąć.

W każdym razie ty nie jesteś w stanie jej pojąć. Styx z niepokojem obejrzał wierzch dłoni, pełen małych śladów po igłach. Odwrócił się do kierowcy i zamarł. Na miejscu Fatboya siedział postawny, czarnoskóry mężczyzna z krótkimi włosami, w ciemnym przylegającym golfie oraz czarnych jeansach. Trzymał mocno kierownicę, a jego oczy iskrzyły się nikłym pomarańczowym światłem.

– To niemożliwe... – wyszeptał haker, czując, że traci oddech.

– Co jest niemożliwe? – Wirus odezwał się swoim głębokim, penetrującym, cybernetycznym głosem. – To, że zniszczyliście cały mój kult? Czy może to, że zdradziłeś moje zaufanie?

– Ja przepraszam – wymamrotał Styx. – Wszystko działa się tak szybko.

– Nie szkodzi. Co się stało, to się stało. – Wirus wzruszył ramionami. – Zostawiłem ci wybór, a ty podjąłeś decyzję. Nie mogę mieć ci tego za złe.

– Nie jesteś prawdziwy. – Haker przetarł oczy, ale mężczyzna nie zniknął.

– Ależ jestem. Nie tak łatwo mnie zniszczyć, bo żyję w cyberprzestrzeni. – Wirus uśmiechnął się, pokazując krzywe i poskręcane zęby. – Niestety, taki stan rzeczy wzbudza wiele wątpliwości. Pamiętasz, jak mówiłem, że ciało jest najważniejsze, a zarazem najmniej istotne?

– Chyba tak. – Styx wpadał w panikę. Jego zdolności poznawcze topiły się jak kostka sera wrzucona do przegrzanego procesora.

– Właśnie to miałem na myśli. – Wirus spojrział prosto na Styxa, krzywiąc się nienaturalnie. – Ty zachowałeś swoje miękkie, gładkie ciało, ale zabrałeś mnie ze sobą. A ja tak po prostu nie odejdę.

Haker zadrżał, słysząc te słowa. Rozejrzał się panicznie po kabinie i dostrzegł elektryczną strzelbę kierowcy, która leżała spokojnie pod ręką Wirusa.

– Wiesz, hakerze. – Mężczyzna parsknął, jakby czytał w myślach Styxa. – W niebycie cyberprzestrzeni zdałem sobie sprawę, że nie nazywam się Wirusiem bez powodu. Muszę się gdzieś zagnieździć, kogoś zarazić. Jako że sztuczne środowisko, które dla siebie stworzyłem, przestało istnieć, wracam do gry. Potrzebuję nowego żywiciela.

Styx miał wrażenie, że jest przyparty do muru. Dodatkowo rozpraszał go uciążliwy ból panoszący się wewnątrz mózgu.

– Trafiło na ciebie. – Ciężarówka rozpędziła się do granic możliwości. Silnik dyszał ociężałe na najwyższych obrotach. – Zamierzam zerznąć twój umysł tępym ostrzem. – Wirus przestał patrzeć na drogę. Jego pomarańczowe oczy wlepiły się w oblaną potem kościstą twarz Styxa. – I będę się przy tym świetnie bawić. –

Duże kości twarzy mężczyzny rozjeżdżały się, przypominając mechanizm robota. – A to dlatego, że nie zasługujesz na dostęp do sieci. Jesteś zwykłym gówniarzem w sklepie z zabawkami dla dorosłych. W ogóle nie powinno cię tu być! – Wirus wrzasnął, a haker zapłakał ze strachu, osuwając się na fotelu.

– Dzięki mnie poznasz całą bolesną prawdę. Dowiesz się, jakim nędznym stworzeniem jesteś. Spalę twoją świadomość, a ciało wkrótce do niej dołączy. Miękka skóra pęknie w niewyobrażalnych konwulsjach. Krew wystrzeli z ran, a oczy wypłyną z pustej czaszki. Już ja o to zadbam. – Wirus wypluwał z siebie słowa brzmiące jak zepsute nagranie, wyryte w umyśle hakera, który trząsał się, obserwując z dołu dręczącą go istotę.

Jednocześnie chuda dłoń przesuwiała się w stronę elektrycznej strzelby. Kiedy palce zamknęły się wokół lufy, w kabinie rozległ się śmiech Wirusa, który dochodził jakby z dna nieskończonej studni. Podmuch zza otwartej szyby rozpedzonej ciężarówki rozwiewał jasne włosy Styxa, podświetlone ekranem komputera.

Haker jednym szybkim ruchem poderwał broń i wycelował w oprawcę. Wirus poruszył się, a broń wystrzeliła jasnym wyładowaniem. W ostatniej chwili duża dłoń Wirusa odepchnęła strzelbę, a ładunek trafił w róg kabiny, pozostawiając czarny ślad. Wirus wyrwał ciężką broń z rozedrganych rąk oniemiałego hakera, który z przerażeniem cofnął się pod same drzwi.

Ciężarówka zakręciła się wokół własnej osi, tracąc na prędkości. Nagły obrót i hamowanie rozrzuciły pasażerów po przeciwległych stronach kabiny. Pojazd zrył suchą, czarną pustynię i zatrzymał się bokiem do uprzedniego kierunku jazdy. Styx uniósł głowę i w szoku dostrzegł rozwścieczonego Fatboya, który trzymał elektryczną strzelbę wycelowaną prosto w niego. Komputer spadł mu pod nogi, a w kabinie zapanowała ciemność.

– Czekaj, ja... – Styx uniósł ręce, ale kierowca nie posłuchał.

Kolejny ładunek elektryczny wystrzelił z szerokiej lufy i rozświetlił ciemne wnętrze. Wiązki prądu ugodziły hakera w klatkę piersiową, przypalając skórę. Przez Styxa przeszło wysokie napięcie, doprowadzając do natychmiastowego zatrzymania akcji serca. Młody haker w przedśmiertnych konwulsjach uderzył o drzwi. Jego głowa osunęła się na ramię, a martwy wzrok utkwiał na zamkniętym komputerze.

```
01100110 01101001 01101110 01100001 01101100 00100000  
01110000 01100001 01110011 01110011 01100001 01100111  
01100101 00001101 00001010
```

Wzburzony pustynny pył powoli opadał, ukazując masywną ciężarówkę w stanie spoczynku. Knur sapał ciężko, zmęczony nagłym wysiłkiem. W kabinie kierowca ciągle słyszał echo syku elektryczności wytworzonej przez jego własną strzelbę. Fatboy oddychał miarowo, wychodząc z paraliżującego szoku. Nie był w stanie zrozumieć, co się właśnie wydarzyło ani dlaczego Styx go zaatakował. Otepiałym wzrokiem wpatrywał się w pozbawione życia ciało spoczywające na dużym fotelu pasażera.

Odłożył broń na miejsce i przetarł twarz. Otworzył drzwi, wyskoczył na ziemię i rozejrzał się po mrocznym pustkowiu. Ściągnął nieustannie opadający pasek, pozostając całkowicie nagim pośrodku ciemności. Okrążył Knura, czując twardy piasek pod bosymi stopami. Otworzył kabinę po drugiej stronie, a z wnętrza bezwładnie wypadło ciało hakera, uderzając z pustym dźwiękiem o podłogę.

Fatboy obserwował z góry człowieka, z którym przed chwilą rozmawiał, przyswajając fakty. Doszedł do wniosku, że liczy się przetrwanie, a wyjaśnienia do niczego się nie przydadzą. Zresztą nie pozostał nikt, kto mógłby ich udzielić. Co więcej, dopiero teraz spostrzegł, jak duże są ubrania, które nosił Styx. Schylił się i z łatwością ściągnął z trupa szeroką, czarną marynarkę, długie

spodnie oraz ciężkie buty. Następnie nałożył na siebie cały strój, z zaskoczeniem stwierdzając, że pasuje idealnie. Na wszelki wypadek do spodni ubrał jeszcze pasek. Kiedy teraz spoglądał na nagie ciało Styxa, odniósł nieodparte wrażenie, że wizyta w Karmazynowej Twierdzy musiała mieć jakiś wpływ na taki rozwój wydarzeń.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięczny odgłos pukania dochodzący z wnętrza kontenera. Oczywiście przecież jest, że z tyłu razem z generatorem podróżował najemnik Fork.

Kierowca otworzył ciężkie drzwi, ukazując oplecioną kablami świecąca kostkę oraz wysokiego najemnika schowanego w jej cieniu.

– Co się, kurwa, stało? – Fork precyzyjnie się obok urządzenia i wyskoczył z ciężarówki.

– Haker zaatakował mnie bez powodu – Fatboy odpowiedział najprościej, jak potrafił.

– Zaatakował?

– Próbował mnie zabić.

– I co się z nim stało? – Zaniepokojony Fork dostrzegł nowego strój kierowcy.

– Nie żyje. Dostał wyładowaniem.

– No to mamy problem. Tylko on wiedział, jak poznać trasę.

– Niekoniecznie – odpowiedział Fatboy. – Zanim mu odwaliło, skontaktował się ze swoim szefem. W skrócie: wiem, dokąd jechać.

– Świetnie. – Fork podrapał się po prawym udzie. – Czyli możemy kontynuować?

– Tak. – Kierowca przyjrzał mu się uważnie i dostrzegł, że najemnik wyglądał nieco inaczej niż wcześniej. Jego twarz stała się bardziej wyraźna. – W pierwszej klasie właśnie zwolniło się miejsce, jeśli masz dość towarzystwa tego czegoś... – Kierowca wskazał generator. – I jeśli ci nie odwali jak hakerowi.

– Jasne. – Fork wzruszył ramionami, zamknął kontener i spokojnym krokiem poszedł do przodu Knura.

Ciężarówka ruszyła ociężale z Fatboyem i Forkiem w kabinie, znowu kierując się w stronę bazy Francisa. Gdzieś w pyle i brudzie pozostało nikomu niepotrzebne nagie ciało Styxa, pogrążone w ciemności, pozostawione w zupełnym zapomnieniu.

01100110 01101001 01101110 01100001 01101100 00100000
01110000 01100001 01110011 01110011 01100001 01100111
01100101 00001101 00001010

Podróżowali, nie wymieniając uwag na temat ostatnich wydarzeń, oddając się słuchaniu muzyki, która jakimś cudem wciąż była odtwarzana z zamkniętego komputera. Fork podniósł srebrne urządzenie z podłogi i położył sobie na kolanach. Kierowca ponownie skupił się na drodze. Rozpędził swojego Knura do maksymalnej prędkości, ponieważ miał już kompletnie dość tego zlecenia. Pragnął tylko dowieźć przekłętą, świecącą kostkę do celu, odebrać swoje worki monet i wrócić do normalnego rozwożenia towarów poszukiwaczy między bezpiecznymi oazami Świata Mroku.

Na Forku mały komputer nie robił żadnego wrażenia. Najemnik nie wiedział i nawet się nie interesował, do czego służy. Co chwilę za to niecierpliwie pocierał niewielkie kwadratowe urządzenie ukryte w prawej kieszeni.

Obca muzyka niejako zawieszala myśli zarówno Fatboya, jak i Forka. Głośne dźwięki stanowiły blokadę dla narastających wątpliwości i lęków. Dwaj mężczyźni wprowadzeni w kolejny trans nie zauważyli, kiedy na tle wąskiego pasma światła wyzierającego zza ściany ruin przeszłości zaczął formować się kształt. Cienista istota wyróżniała się na tle wszechogarniającej ciemności, ponieważ wydawała się być jej esencją skondensowaną w jednej formie. Żywa czerń piętrzyła się za ciężarówką,

przybierając kształt gigantycznej bestii podążającej za swoim pokarmem. Istota biegła po pustkowiu, rozlewając się pod elektrycznym horyzontem.

Kierowca i Fork zauważyli, że coś jest nie tak, gdy pulsujący rytm generatora, który zgrał się z ich tętnem, został zagłuszony przez obce źródło energii. Niemy wrzask tysięcy umysłów dobiegał nie tyle spoza ciężarówki, co spoza granicy ludzkiego pojmowania. Obaj mężczyźni zadrżeli, kiedy w lusterkach Knura spostrzegli, co ich ściga. Nie sposób było określić, jak Cień wygląda ani z czego tak naprawdę się składa. Pewne było jedynie to, że jest olbrzymi i się zbliża. Fork rzucał nerwowe spojrzenia w kierunku Fatboya, któremu fala skłębionych szeptów, towarzysząca obecności cienia, przypominała coś, czego niedawno doznał. Nagłe zrozumienie rozproszyło strach przed losem, który spotkał barmana Traxa. Kierowca pomyślał, że zrozumiał, do czego zdolne są Cienie, i do jasnej cholery, miał rację. Patrząc na tył odjeżdżającego Knura zastanawiałem się, czy jest jednak w stanie im sprostać. Sam Fatboy przestał obawiać się konfrontacji z gigantycznym Cieniem, ale miał do dostarczenia ładunek, który musiał chronić, dlatego nie zamierzał sprawdzać, czy jego domysły są prawdziwe. Ponownie podkreślił dźwięk chaotycznej muzyki odtwarzanej przez zamknięty komputer, który spoczywał na kolanach Forka, i chwycił pewnie kierownicę. Muzyka zlewała się z rozdzierającym zawodzeniem, sprawiając, że zduszone mrokiem jęki przestawały być słyszalne.

Fork zacisnął oczy i kurczowo przytulił komputer do klatki piersiowej. Stopniowo demon ukryty w cieniu przestawał zajmować jego myśli, w miarę jak zanikały cierpiące głosy. Następnie powróciło ciepłe, powolne tętno generatora ukrytego za plecami. Urządzenie ponownie dostrajało się do bicia serca najemnika, który uspokojony, rozluźnił uścisk i otworzył oczy. Niepewnie spojrział w lusterko i stwierdził, że Cień zniknął,

pozostawiając po sobie jedynie nieskończoną pustkę. Obok siedział kierowca, uśmiechając się pod nosem, coraz bardziej pewny, że nic go już nie może zatrzymać.

01100110 01101001 01101110 01100001 01101100 00100000
01110000 01100001 01110011 01110011 01100001 01100111
01100101 00001101 00001010

W dalszej części pustyni pojawiły się liczne porzucone pojazdy. Knur mijał trupy swoich pobratymców pozostawionych na pastwę czasu. Na początku pojedyncze wraki stały w znacznych odległościach, wszystkie zwrócone w stronę celu podróży najemników. Kiedyś mogły jechać rozległą jednokierunkową autostradą do nieznanego miejsca, które przyciąga wszystkich jak magnes, ciągle dalej i dalej, pozostając nieuchwytnie. Każda maszyna w końcu traci przydatność, wyładowuje się gdzieś po drodze na środku pustkowia, tracąc rację bytu. Taki los spotkał puste, metalowe skorupy, między którymi zręcznie lawirowała ciężarówka Fatboya.

Pojazdów przybywało i coraz trudniej było wyminąć każdy. Knur uderzał o niektóre, rozrzucając na bok porzewiałe szczątki. Pustkowie stawało się zatłoczone, jakby kierowca w godzinach szczytu trafił na główną drogę w mieście. Z góry tabun pojazdów przypominał taką właśnie scenę: jakby cała hucząco-dymiąca, ludzko-mechaniczna masa nagle wymarła, zgasła, zastygając w ciemności.

Fatboy nie zamierzał stać w widmowym korku. Dociskał gaz i przebijał się przez złomowisko z brutalną gracją stalowego tarana. Z przodu w pewnej odległości uwypukliła się konstrukcja górująca nad morzem bezużytecznych wehikułów, które nigdy nie miały dotrzeć do celu. Kierowca wyteżył wzrok, a Fork chwycił mocno kwadratowe urządzenie w kieszeni, które zaczęło

wydziałać silne zielone światło, przebijające się przez materiał spodni.

Przed Knurem wyrósł wysoki mur uformowany z poukładanych jeden na drugim wraków. Ktoś lub coś bezceremonialnie wyrwało milczące, spokojne pojazdy ze swojej uśpionej, nieskończonej podróży i użyło ich do własnych celów, tworząc nieprzejezdną blokadę. Na szczycie mrocznej konstrukcji z powykręcanego metalu kierowca dostrzegł potężną, nienaturalną, ale ludzką sylwetkę. Postać siedziała beztrząsowo na samej krawędzi, spoglądając na Knura trochę jak ja, z szerszej perspektywy.

– Stary Człowiek – wyszeptał kierowca, wpatrując się w zastygłą istotę.

– Tak jak zapowiedziałem na początku, przychodzę odebrać wasze zlecenie – rozległ się po równinie wypełnionej złomem dźwięczny, chromowany głos. – Zdejmę z was to brzemię.

Pasek ładowania zwolnił, niemal się zatrzymał. Niełatwo jest zaaplikować tak duży program. Wybacz, zdaję sobie sprawę, że może to być nieco frustrujące, ale czasem konieczne jest zmiękczenie materiału zanim proces się dopełni. Nie zdradzając nic więcej, zobaczmy, co zrobił Stary Człowiek i...

– Fork? – Kierowca był zdezorientowany, kiedy obrócił głowę i dostrzegł, że najemnik mierzy do niego z pistoletu. – Pojebało cię?

– Bardzo możliwe – odparł rzeczowo najemnik. – Może się wydawać, że w twojej ciężarówce ludzie po prostu wariują. Tak czy inaczej tutaj się pożegnamy. Wsiadaj powoli, to nie rozwalę cię jak ty hakera.

– To pierdolone zlecenie. – Fatboy pokręcił głową z niedowierzaniem, obserwując, jak Stary Człowiek lekko osuwa się z wysokości i miękko ląduje przed maską Knura.

– Właśnie. Pierdolone zlecenie. – Nagle Fork stał się bardziej rozmowny. – Słyszałeś starego. On chce z ciebie zdjąć brzemię.

Popatrz na to w ten sposób. Będzie ci łatwiej, jeśli odpuszczisz.

– Odpuszczę? – Kierowca podnosił głos, obserwując ponurego giganta o długich, siwych włosach, szczeciniastej, zapuszczonej brodzie i metalicznym, pustym spojrzeniu, który spokojnie kroczył do jego drzwi. – Odpuszczę?! – wrzasnął. – Za dużo przeszedłem, najemniku. Nie teraz.

– Będziesz musiał. Zabieramy też ciężarówkę. – Wyraz twarzy kierowcy zastygł w obrzydliwym grymasie. – Stary Człowiek jest silny, ale nie aż tak, żeby donieść generator do celu.

– Dlaczego? Na pewno masz obiecaną porządną zapłatę. Po co ci to? – Kierowca czuł, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

– Robię to dla siebie – odparł krótko Fork i zerknął na Starego Człowieka, którego zwaliste ciało majaczyło obok ciężarówki. – Widzisz, mam dość bycia zawsze w cieniu tych lepszych. Na pewno wiesz, ile takich Forków jak ja zdycha przy każdej lepszej okazji. No więc nie tym razem. – Najemnik się uśmiechał, a kierowca dostrzegł w mroku, że ma bystre zielone oczy, które teraz skrzą się niebezpiecznie. – Tym razem odnajduję swój sens i szczerze nie obchodzi mnie, że muszę napluć ci nim w twarz. W tym świecie albo jesteś głównym bohaterem, albo zdychasz w ciemności. Wysiadaj! – Machnął groźnie pistoletem, a kierowca dostrzegł niespotykaną determinację, która pierwszy raz pojawiła się na twarzy najemnika, jednoznacznie określając fakt jego istnienia. – Powiedziałem: wysiadaj – powtórzył wolniej Fork, obserwując zaskoczone oblicze Fatboya, który spojrzał jeszcze za okno i napotkał na pusty, stalowy wzrok Starego Człowieka.

Kierowca odwrócił się i otworzył drzwi.

– Pierdol się, Fork – rzucił przez zęby. – Zabieram strzelbę.

– Zaraz, zaraz. – Fork uniósł nogę i przycisnął nią broń leżącą przy fotelu. – Myślisz, że jestem taki głupi? Wysiadaj.

Kierowca westchnął rozczarowany i posłuchał. Z kabiny osunął się na ziemię, postąpił krok do przodu, a Fork zatrzasnął za nim

ciężkie drzwi i usadowił się za kierownicą Knura.

Fatboy stał naprzeciwko Starego Człowieka, uniósł głowę i wściekle sondował wzrokiem potworną, pokrytą bliznami twarz starca, ukrytą za kurtyną brudnych, siwych włosów.

– Nic nie powiesz, pierdolony stworze? Nie chcesz mnie zabić? – Kierowca wyglądał teraz jak wściekle dziecko, któremu starszy kolega zabrał ulubioną zabawkę.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł zdartym, głębokim głosem Stary Człowiek, po czym powoli, ale zwinnie wskoczył na kontener z drogocennym generatorem. Usiadł na nim bokiem jak na ławce pośrodku słonecznego parku, a następnie zapukał pięścią w kabinę.

– Omiń przeszkodę z prawej, najemniku – oznajmił.

Knur zagrzmiał wrogo, jakby czując, że w kabinie nie ma jego pana. Fatboy stał, z żalem obserwując, jak jego ukochana maszyna rusza bez niego, kierując się na prawo od muru zbudowanego z wraków. Nagle z okna kierowcy wypadła elektryczna strzelba oraz srebrny, prostokątny obiekt. Kierowca podbiegł do przedmiotów, kiedy kontener Knura zniknął już za rogiem ściśniętych, martwych pojazdów. Kontury strzelby i niewielkiego komputera uwypuklały się przy stopach kierowcy. Zakrwawione ubranie Styxa i te dwa przedmioty to jedyne, co mu pozostało. Dopiero teraz, gdy stracił Knura, poczuł się naprawdę nagi, słaby i bezwartościowy.

01101111 01110110 01100101 01110010 01110111 01110010
01101001 01110100 01101001 01101110 01100111 00100000
01110011 01100001 01110110 01100101 00100000 01100110
01101001 01101100 01100101

Ciemność wypełniała ciasne pomieszczenie, ukryte pod gruzami jednego z megabloków starożytnego miasta, w obecnym Wielkim Rumowisku. Fork, a właściwie John Stevens, leżał na zniszczonym,

brudnym materacu, obracając w dużych dłoniach kwadratowy przedmiot. Uchylił małą pokrywkę i pstryknął. Z przedmiotu wyłonił się niewielki płomyk, na tyle mocny, że dokładnie ukazał rysy twarzy mężczyzny oraz wystrój jego kryjówki.

Migocząca łuna ognia obnażyła wszystkie niewidzialne blizny i zmarszczki. Fork miał dużą, jajowatą głowę. Włosy obcinał bardzo krótko, prawie na łyso, przy pomocy brzytwy. Krótka szczecina pokrywająca wierzch głowy przypominała wysuszone słomiane pole. W miejscu, gdzie pole kończyło się nagłym spadkiem, zaczynało się czoło Johna – wąska, płaska przestrzeń przeorana trzema głębokimi bruzdami, z których środkowa zahaczała lekko o dolną, poprzeczną. Niżej wyrastały dwa wykrzywione pagórki, pokryte drobnymi, niemal niewidocznymi włoskami – brwi. Wspinając się na nie i wyżej, na czerwonego przyszcza wznoszącego się ponad, można było dostrzec całą krainę jego twarzy. Poniżej rozciągały się dwa owalne stawy wypełnione żywozieloną tonią. Jej niezwykle kolor przecinały liczne czerwone żyłki nachodzące na przybrzeżne białe piaski. Dalej wyrastał okrągły, drobny i lekko zakrzywiony do dołu nos. Zaraz pod wierzchem nosa, u wyjścia z dwóch czarnych jaskiń prowadzących do mokrego wnętrza, ukazywała się ruchoma szczelina wąskich ust, zakończonych po bokach drobnymi dołeczkami. Od jednego z nich zaczynał się pusty korytarz, głęboka blizna wycięta w równinie jednego z pełnych policzków. Na krańcu twarzy Forka mieścił się jeszcze uwypuklony podbródek – kolejne niewielkie wzgórze chroniące podróżnika przed upadkiem w otchłań.

Pokoik, w którym znajdował się Fork, jakimś cudem zachował się pod resztkami zniszczonej konstrukcji. Najemnik odnalazł go niczym robak złakniony schronienia, przekopując nieprzebyte warstwy gruzu i odnajdując w nich wąskie, naturalne tunele. Migoczące światło zapalniczki ukazywało popękane ściany. Sufit był na tyle nisko, że postawny najemnik mieścił się w środku

jedynie na kolanach. Na starym materacu znajdował się skłębiony, pozbawiony koloru koc, a w rogu, na metalowym stoliczku, leżały dwa pistolety. Pod spodem najemnik umieścił zapas puszek z jedzeniem zdobytych podczas podróży po Świecie Mroku. Fork pamiętał, gdzie zdobył każdą z nich. Pamiętał swoje czyny, przeszłe zlecenia, swoje życie.

Pamiętał, jak zabił chuderlawego poszukiwacza w jednym z podziemnych kanałów. Śledził wcześniej swój cel aż od Nory Butcha – miejsca wymiany towarów, gdzie spotykali się najemnicy i poszukiwacze. Zauważył wtedy, że mężczyzna o niewyraźnej twarzy ma dużo do sprzedania, a to oznaczało, że część zdobyczy musiał zostawić dla siebie. Nora Butcha znajdowała się w samym centrum podziemnego kompleksu metalowych kanałów, wypełnionych bezużytecznymi kablami, które kiedyś stanowiły cienkie, niezliczone żyły świata na powierzchni. Najemnik pomknął niezauważenie za poszukiwaczem, aż obaj dotarli do niewielkiej kratki, schowanej w podłożu kanału. Fork obserwował, jak poszukiwacz osuwa się do środka i sięga po niewielki worek wypełniony ciemnymi puszkami pełnymi fasoli Borgesa, a następnie bez wahania zastrzelił poszukiwacza, stanąwszy tuż nad nim. Później zeskoczył do kryjówki, odrzucił drobne ciało z twarzą zakrytą długimi włosami i złapał za worek. Włożył rękę do środka i uśmiechnął się, kiedy wymacał sześć opakowań fasoli.

W środku było coś jeszcze. Wyciągnął niewielki kartonik ze zdjęciem oraz podpisem. Zbliżył przedmiot do twarzy. Zdjęcie pozostawało całkiem niewyraźne, ale z trudem udało mu się dostrzec w ciemności ciąg liter układający się w dwa słowa: John Stevens.

Fork wielokrotnie widział w odległych zakamarkach Świata Mroku obrazy z ludźmi, których opisywały słowa. Postacie te cechowały niedostępne dla zwykłego najemnika barwy, ich twarze były pełne, niemal namacalne, a ukryte pod brudem czasu

uśmiechy zdawały się krzyknąć: „bez nas nie istniejesz”. Podczas jednego ze zleceń najemnik natknął się na ciekawy kwadratowy przedmiot; rzadko spotykaną zapalniczkę. Dzięki nikłemu płomykowi mógł dostrzec zapomniane kolory oraz przeczytać imiona i nazwiska postaci przedstawianych na zniszczonych reklamach, pozostałościach przeszłości. Między innymi poznał takie osobistości jak Fill Grebow i Meryl Streep. Wiedział, że ci ludzie byli kimś, ponieważ wreszcie stali się dla niego dostrzegalni, ale również dlatego, że mógł poznać ich imiona i nazwiska.

Kiedy w strachu przed Cieniami czołgał się przez pogrążone w ciemności alejki i wnętrza upadłych sklepów w poszukiwaniu kolejnych postaci, które mógłby poznać, w jego głowie zrodziła się myśl, że być może on sam nie jest jedynie Forkiem, tęnym najemnikiem do odstrzału. Dlaczego nie może mieć imienia ani nazwiska? Może naprawdę nazywa się John Stevens? Przecież zdjęcie obok tego nazwiska było zamazane i podrapane. To mógłby być on. To był on.

W pełni stał się Johnem „Forkiem” Stevensem, kiedy zapalił kwadratową zapalniczkę wewnątrz swojej kryjówki, a światło dotknęło jego twarzy, nakreśliło jego masywną sylwetkę oraz szary, ciężki strój złożony z niepasującej kurtki i szerokich spodni. Schowany pod powierzchnią ziemi, bezpieczny od Cieni, z płomieniem nadziei w rękach, a także z motywującym przekonaniem w głowie Fork stał się widzialny. John Stevens okazał się nieoczekiwanym, niezbędnym fragmentem kodu.

Niedługo po objawieniu w swojej kryjówce najemnik poczuł wolę działania. Zjadł palcami ze smakiem puszkę fasoli Borgesa z zieloną etykietą – jak się okazywało, jego ulubioną – z domieszką świeżej bazylii, po czym schował oba pistolety za pasek, zapalniczkę do kieszeni i wyczołgał się na powierzchnię. Przepędiała go chęć działania, kiedy ostrożnie przemykał pustymi ulicami mrocznego miasta. Kierował się do Nory Butcha, ponieważ

tam przebywali ludzie, którzy oferowali dobre zlecenia. Zazwyczaj przyjmował każde, jeśli tylko nadarzała się okazja. Podczas swojej pracy chronił, zabijał, walczył, transportował, kradł, dostarczał i ratował, a wszystko zawsze na drugim planie. Kiedy dotarł do ziejącej pustką jaskini wylotu z kanału wbitego w podstawę jednego z rozpadających się wieżowców, powiedział do siebie pełen przekonania:

– Nie tym razem.

Znając na pamięć drogę przez wilgotne, mroczne kanały, Fork szybko dotarł do Nory Butcha. Do środka prowadził ciężki, pordzewiały właz ukryty w mroku. Najemnik odepchnął przeszkodę i wsunął się do środka. Znalazł się wewnątrz obszernej, owalnej Sali pokrytej złuszczonego metalu i grubymi warstwami rdzy. Ściany oświetlał rozłożysty żyrandol obsadzony świecami. Płomienie zapewniały wystarczającą ilość światła, a w tym ukrytym miejscu nie przyciągały żadnego zagrożenia. Po drugiej stronie od wejścia stał obskurny bar z ciężkiego drewna. Fork skierował się prosto do niego, przechodząc przez pustą przestrzeń pośrodku, omijając wypełnione, obdrapane stoły.

Czym kiedyś była ta śmierdząca dziura, możesz zapytać. To jakaś antyczna przepompownia? Elektrownia? Stacja przekątnikowa? A może kryjówka gangu albo niebezpiecznej grupy hakerów? Nic z tych rzeczy. Przed Wielką Implozją w Norze Butcha znajdował się klub dostępny głównie dla korporacyjnych oraz bogatych dzieciaków. Prestigie Death. Lokacja w podziemnych kablach strasznie ich nakręcała. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Większość i tak zapuszczała się tu jedynie na łączach świadomości, wysyłając swojego ducha, jednocześnie grzejąc swoje miękkie tyłki w ciasnych szufladkach wielopiętrowego miasta.

– Fork, coś podać? – Za barem nie stał Butch, ale jego rzekomy syn Stan.

Miał ubraną szeroką, dżinsową kurtkę, a jasne, lepkie, długie włosy opadały mu na plecy. Ciężki wzrok zatrzymał się na najemniku. Stan był kolejnym barmanem, takim jak Trax czy Flint. Takie typki zawsze wiedzą, jak się zakręcić, pozostają w centrum uwagi, ponieważ można u nich zdobyć konieczną wiedzę. Zapewniają ciągły przepływ informacji.

– Masz papierosy? – zapytał rzeczowo Fork, obracając kwadratową zapalniczkę w kieszeni.

– Dwa ostatnie. – Stan sięgnął pod ladę i wyciągnął dwa ruloniki zwiniętego tytoniu. – Jesteś pewny? Kosztują po pięć monet za sztukę.

– Dawaj oba.

Fork wygrzebał z kieszeni spodni dziesięć okrągłych przedmiotów, wśród których znajdowały się dwie srebrne uszczelki i kilka guzików. Najemnik nie obawiał się tego, że kupno papierosów mocno uszczupli jego finanse. Podświadomie czuł, że niedługo będzie miał szansę dużo zarobić.

– Są twoje. – Stan przyjął zapłatę.

Fork podniósł papierosy. Jednego schował do kurtki, a drugiego zapalił przy pomocy swojej zapalniczki. Zaciągnął się mocno i ostentacyjnie wypuścił dym.

– Nie szukasz może pracy?

– Zawsze szukam pracy, Stan – odpowiedział John. – Po to żyję.

– Świetnie. – Barman nie zamierzał odnieść się do gorzkiej uwagi. – Przed chwilą kręcił się tu taki jeden białooki facet. Mówił, że słyszał coś o dobrze płatnym zleceniu.

– Gdzie go znaleźć? – Fork wypuścił dym, który rozpląnął się w ciężkim powietrzu podziemnego zbiornika.

– Dopiero co był tutaj, przy barze. – Stan zmrużył oczy i rozejrzał się po Norze Butcha. – Tam stoi. Pod ścianą. – Przekrwiony wzrok barmana zatrzymał się na nikłej sylwetce opartej o pordzewiałą ścianę.

– Dzięki, Stan. – Najemnik wygrzebał z kieszeni jeszcze jedną monetę, przezroczyły żeton z wytartym symbolem jakiegoś antycznego kasyna, i położył ją na brudnym blacie.

– Po to żyję. – Barman mrugnął w stronę najemnika, który spalił papierosa i rzucił niedopałek pod nogi.

Podejrzany informator stał osamotniony w zacienionej strefie lokalu. Fork zbliżył się do niego spokojnym krokiem. Wychudzony mężczyzna nosił ciężki, brązowy płaszcz sięgający do kostek, miał długie, posklejane, czarne włosy, mocny zarost oraz nieobecne, mętne, białe spojrzenie. Najemnik nie zamierzał mu się uważnie przyglądać, ponieważ informator miał jedynie stanowić środek do osiągnięcia celu. W szerszej perspektywie stawał się zupełnie niezauważalny. Niemniej jego obecność pozostawała konieczna.

– W czym mogę pomóc? – Mężczyzna pochylił się do przodu, a włosy przysłoniły część jego twarzy.

– Podobno wiesz coś o dobrze płatnej robocie.

– To prawda – odparł informator ochryplym głosem. – Pozostaje tylko kwestia, czy się do niej nadajesz. To nie jest kolejna prosta robota, którą można odwalić i zapomnieć. Jeśli się jej podejmiesz, będziesz miał szansę nie tylko zarobić dużo monet, ale także odnaleźć sens.

– Jestem najemnikiem całe moje przekłete życie – odparł Fork. – Błąkam się po tym świecie bez celu. Myślę, że odnalezienie sensu to jedyne, co mi pozostaje. Jestem gotowy.

– Dobrze to słyszeć. – Białooki zdawał się uśmiechać. – Jeżeli pragniesz wyjść z cienia, musisz zrobić to z własnej, nieprzymuszonej woli. Zaakceptować ryzyko. Szukanie sensu może przeistoczyć się w żebranie, może trwać wieczność i nie przynieść żadnych efektów. Nie to jednak ma znacznie. Liczą się działania, nagły ruch w ciemnej studni, rozproszenie czystej, jednolitej tafli wody, naruszające ustalony porządek, implozja...

– Jestem gotowy – powtórzył najemnik, niemal czując, że teraz znajduje się w centrum naszej uwagi, ponieważ obecność, nasza obecność, powodowała dreszcze na jego owłosionych, szerokich plecach, ukrytych pod kurtką. – Co to za zlecenie i jaka jest nagroda?

– Ochrona transportu. – Informator przeszedł do rzeczy. – Wyjątkowego transportu, a nagroda to cztery pokaźne worki monet. Dwa przed robotą i dwa po.

– Jakież szczegóły?

– Nie jestem w stanie powiedzieć ci więcej, ale jeśli teraz podejmiesz decyzję, mogę cię zaprowadzić do kogoś, kto udzieli ci więcej informacji.

– Wchodzę w to. – John Stevens zgodził się bez wahania. Przepęniało go wiodące poczucie celu. Pierwszy raz w życiu wiedział, co robić.

Tajemniczy żebrak wyprowadził go z Nory Butcha głównym wejściem. Dwie postaci pogrążone w mroku kanałów sunęły podziemnym labiryntem jak zagubione dane w umarłej cyberprzestrzeni. Fork podążał posłusznie za swoim przewodnikiem, nie dopytując o szczegóły. Miał świadomość, że byłoby to całkowicie bezskuteczne. Tunele oplecione wewnątrz siecią zaplątanych kabli stanowiły podskórny szkielet cywilizacyjnego truchła, rozkładającego się na powierzchni.

Odgłos ciężkich butów roznosił się pustym echem po zatopionej w ciemności przestrzeni. Fork trzymał się blisko informatora w długim płaszczu, dostrzegając co jakiś czas kontury urządzeń porzuconych na dnie kanału. Pomyślał, że gdzieś w tunelach gnije ciało poszukiwacza, któremu ukradł puszki pełne fasoli i swoje prawdziwe imię. Kiedyś trupa pozbyłyby się szczury. W Świecie Mroku nie ma jednak żadnych żywych stworzeń oprócz ludzi. Ciało zgnije, wyschnie i odpadnie, a nagie kości pozostaną

niepasującym elementem rozległej, bezużytecznej, mechanicznej struktury.

Na końcu prostego przejścia mrok rozrzedzał się, co oznaczało, że docierają do wyjścia z kanałów. Luna Elektrycznej Pustki docierała w każdy możliwy zakamarek, niwecząc wrażenie całkowitej ciemności. W pewnym momencie podziemna rura nagle się uciniała. Informator zatrzymał się i wskazał ręką kierunek. Na samej granicy z pustynią stał ukryty w półmroku samochód, srebrny jeep. Za nim rozciągało się spowite mrokiem pustkowie, przecięte rozjarzonym pierścieniem horyzontu. Przy pojeździe stał szczupły, czarnoskóry mężczyzna, ubrany w szyty na miarę garnitur z fioletowym kołnierzem zakrywającym szyję.

– Proszę, proszę... – zaczął podejrzany osobnik, ukazując rzędy śnieżnobiałych zębów. – Czyżbyśmy znaleźli chętnego na cztery worki monet?

– Najpierw chciałbym poznać szczegóły. – Fork zorientował się, że jego białooki przewodnik został z tyłu, w kanale.

– Oczywiście! – Mężczyzna klasnął w dłonie, wyraźnie ucieszony. – Nazywam się Julian Starlight, w sieci znany jako JLStar. Pracuję dla wielkiego naukowca, wizjonera, Francisa Pipiliarodou.

– Ja nazywam się John Stevens, ale w Świecie Mroku jestem znany jako Fork. Pracuję dla tego, kto najwięcej zapłaci.

– Doskonale. – Starlight mierzył wzrokiem Forka od stóp do głowy. – Najemnik z krwi i kości?

– Zgadza się.

– A więc Johnie Stevensie, zlecenie polega na ochronie transportu. Będzie to pewna maszyna, która posiada moc uratowania nas wszystkich. Do przewozu użyjemy ciężarówki. Mamy już kierowcę. Ty dołączysz do grupy ochroniarzy. Oczywiście, jeśli się zgodzisz. – Julian odwrócił się do jeepa

i otworzył bagażnik. W środku stały dwa worki, wypełnione po brzegi monetami.

– Dwa worki teraz, a dwa po robocie?

– Tak jest! – Starlight zaśmiał się szczerze. – Rozumiemy się bez słów, panie Stevens.

– Wchodzę w to. – Fork postąpił krok do przodu. – Kiedy zaczynamy?

– Proszę zabrać monety do siebie, przygotować się i tak dalej, a potem wrócić tutaj. Będę czekał – odparł szybko zleceniodawca.

– Jasne. – Fork wyciągnął worki i cofnął się. – Postaram się być jak najszybciej.

– Spokojnie, nigdzie się nie ruszę. – Starlight zadowolony z siebie uniósł rękę na pożegnanie i poszedł usiąść za kierownicą jeepa.

Najemnik skierował się z powrotem do tunelu. Niosąc okazałe worki z połową umówionej zapłaty, pogrążał się w nieprzeżytym mroku. W jego umyśle zaczęła kiełkować nowa myśl, którą nie do końca jeszcze rozumiał. Niepokoiło go, że dotychczas wszystko szło zbyt łatwo, zbyt zwyczajnie. Po raz kolejny stawał się nieistotnym tłem.

– Hej, ty! – Z rozmyślań wyrwał go gardłowy głos dochodzący z głębi tunelu.

Fork wytężył wzrok i dostrzegł sylwetkę informatora w długim płaszczu. Mężczyzna stał oparty o rurę oplecioną licznymi kablami. Najemnik zwolnił kroku. W każdej chwili był gotowy upuścić worki i szybkim ruchem dobyć pistoletów ukrytych za paskiem.

– Jak widzę, przyjąłeś zlecenie.

– Czego jeszcze ode mnie chcesz? – Fork skupił całą uwagę na postaci informatora. – Myślałem, że już wykonałeś swoje zadanie.

– Mój drogi najemniku, z własnej woli opuściłeś wyznaczoną ścieżkę. Podróżujesz przez nieznane tereny i radzę ci pozostawić

otwarty umysł. Jesteś w centrum uwagi. Pokaż, że na to zasługujesz – odparł mężczyzna.

– Dobrze. W takim razie, co jeszcze możesz mi zaoferować? – John Stevens ostrożnie postawił worki monet na podłożu tunelu.

– Kolejny wybór – kontynuował białooki. – Nową możliwość, która być może określi cię jeszcze bardziej.

– Słucham.

– Pewnie wiesz, kim jest Stary Człowiek.

– Po Świecie Mroku krąży o nim wiele legend. – John przytaknął. – To niezniszczalny gigant, potężny najemnik. Słynie z tego, że odbiera innym zlecenia. Nigdy nie miałem przyjemności go spotkać.

– Zaraz będziesz mógł to zmienić. – Zmiana na niewyraźnej twarzy mężczyzny sugerowała nieznacznego uśmiešek. – Masz rację, Stary Człowiek odbiera zlecenia, ale nigdy nie robi tego sam. Jest istotą burzącą ustalony porządek, czyli dokładnie kimś, kogo potrzebujesz.

– Nie rozumiem.

– Stary Człowiek nie zjawia się tak po prostu, ponieważ potrzebuje współnika, zdrajcy. Razem są w stanie przejąć konkretne zlecenie, po czym dzielą się nagrodą na pół. Jeśli interesuje cię taka opcja, to mogę cię do niego zaprowadzić.

Pusta twarz informatora rozpyływała się mroku kanału, kiedy Fork przypomniał sobie o grupie ochroniarzy i kierowcy wspomnianych przez Starlighta. Wiedział, że każdy z nich musiał mieć zaoferowaną zapłatę, możliwe, że nawet większą niż jego. Sprawiedliwość nie istnieje sama z siebie. Życie najemnika nauczyło Forka, że należy ją wprowadzić brutalną siłą. Pojawiła się szansa zmiany reguł gry, a John Stevens zamierzał z niej skorzystać.

– Jak brzmi odpowiedź? – Pytanie mężczyzny odbiło się echem po rozległej, zamkniętej przestrzeni.

– Zgadzam się. Zaprowadź mnie do niego – odparł najemnik.

– Jasne, skoro tego chcesz. – Białooki miał ukrytą twarz, ale ciągle sprawiał wrażenie uśmiechniętego.

Opuścili jednakowe, podziemne tunele znajomym dla Forka wejściem i skierowali się do jego kryjówki. Najemnik zatrzymał przewodnika w pewnej odległości od ciasnego korytarza, który prowadził do jeszcze ciaśniejszego pokoiku. Sam wszedł do środka, odłożył dwa worki monet i wrócił. Mężczyzna prowadził go dalej, bez słowa, przez zapomniane ruiny ludzkości, pozostając z dala od ukrytych w mroku Cieni. Zaskakująco szybko zostawili niebezpieczny obszar w tyle i wkroczyli na pnącą się w górę, otwartą, postrzępioną powierzchnię.

Falowana linia wzgórz zamieniała czarną przestrzeń poniżej w zastygły ocean, nad którym majaczył elektryczny horyzont. Dwie postaci poruszające się w milczeniu przemierzały ziemię pokrytą rozrzuconym złomem i szczątkami elektroniki niczym dwa małe okręty podróżujące niemal bezwietrzną nocą, opływające chaotycznie porozrzucone wysepki. Wymijali spiętrzone przeszkody, aż dostali się na opustoszały teren, gdzie wzgórza stawały się bardziej strome.

John Stevens podążał za przewodnikiem w górę i w dół po nagiej ziemi. Wspięli się na wąską grań zawieszoną w czarnej nicości. Podążając po krawędzi, Świat Mroku pozostawał jedynie niedostrzegalnym konceptem znajdującym się daleko w dole, w zawieszonym w nicości kosmosie. Zmierzali po nierównej krawędzi jak zielona kropka drgająca na ekranie respiratora. Na końcu drogi, na szczycie góry, wyrastała prosta i wysoka budowla o kształcie nabrzmiałego penisa – coś, co ludzie w starożytnych czasach nazwaliby latarnią morską. Naprężony słup wieńczył pogrążoną w niebycie górę. Poświata odległej Elektrycznej Pustki odkrywała brudny, białawy kolor budowli. Gdy mężczyźni zbliżali się do wejścia, nienaturalna struktura sprawiała wrażenie niestałej

i wątlej. Obdrapane białe ściany pokrywały smugi zaschniętego błota. Odklejająca się farba ukazywała zardzewiały, metalowy materiał pełzający pod spodem. Zatrzymali się przed ciężkimi, żelaznymi drzwiami. Nad wejściem widniał wygrawerowany w stali napis, ledwo widoczny w tonącym w oceanie mroku świetle: „No gods or kings. Only man”.

– Jesteśmy. W środku znajdziesz Starego Człowieka. – Włosy mężczyzny rozwiewał lekki wiatr, ale jego twarz pozostawała nieczytelna. – Teraz cię zostawię. – Informator cofnął się w stronę ścieżki, którą przyszli. – Tylko pamiętaj, że wybór ciągle należy do ciebie. Wejść, kiedy będziesz pewny, że tego chcesz.

Fork obserwował, jak jego przewodnik odpływa z powrotem w czeluści Świata Mroku. Wątła sylwetka szybko została pochłonięta przez ciemność, wymazując jego krótką egzystencję w życiu Johna Stevensa.

Najemnik odwrócił się i bez zastanowienia ostrożnie pchnął zardzewiałe wrota. Pragnął zmian i w tej kwestii pozostawał nieugięty. Jego nastawienie determinowało wszystkie kolejne wybory. Marny człowieczek wyrwał się ze swojej nudnej, zapomnianej pętli tylko po to, aby wpaść w nową, wijącą się w centrum twojego mózgu. Z własnej woli stał się więźniem wolnego wyboru – iluzorycznego tworu, który obnażył jego egzystencję.

Wnętrze latarni morskiej stanowiło dno rurowatej konstrukcji, pokryte górą złożoną z rozbitych monitorów i ekranów. Prostokątne, ślepe oczy, w większości rozbite, rosły w spiętrzone podium. Wysoko, na szczycie, siedziała potężna postać. Masywne ciało przypominało człowieka. Szarość panująca w pomieszczeniu pozwalała określić jedynie tyle. Strop latarni pozostawał nieosiągalny, tonąc w mroku, z którego zwisały długie, kołyszące się kable. Ta sama ciemność spowijała twarz giganta.

Fork wyteżył wzrok i spostrzegł parę błyszczących, stalowych punktów, zawieszonych w mętnym powietrzu, w miejscu, gdzie powinny być oczy potwornej postaci.

– Witaj, człowieku. – Głęboki, chromowany głos wypełnił metalowe wnętrza, sprawiając, że pradawna konstrukcja zdrząła. – Udało ci się mnie znaleźć, więc zakładam, że nie trafiłeś tu przypadkiem – dodał.

– Jestem najemnikiem i mam dla ciebie propozycję. – Fork postanowił postawić sprawę jasno już w chwili, kiedy potworny głos spenetrował jego ciało, potwierdzając to, że spotkał legendarnego Starego Człowieka. – Otrzymałem zlecenie ochrony ważnego transportu. W nagrodę zaoferowano mi cztery worki monet. Co więcej, w tej akcji ma brać udział większa grupa najemników oraz kierowca. Na pewno każdy ma otrzymać podobną lub większą nagrodę.

– Tak to zwykle wygląda – odparła istota, a jej stalowe spojrzenie wwiercało się w twarz Forka. – Przerwa w kodzie, chaotyczny błąd, staje się później jego częścią, tak jakby ktoś zaplanował to od samego początku. – Stary Człowiek pochylił się w przód i oparł łokcie na kolanach.

Najemnik dostrzegł zarys jego wyciągniętej twarzy, pokrytej szaro-białą brodą oraz długimi, posklejanymi, białymi włosami.

– Podobno zajmujesz się przejmowaniem zleceń. Wystawię ci ten transport, a nagrodą podzielimy się na pół. Wchodzisz w to? – Fork nagle poczuł się zupełnie nieistotny w obliczu górującej istoty. Nie zrozumiał tego, co usłyszał, dlatego kontynuował składanie propozycji wprost.

– Tym się zajmuję – powtórzył z nutą smutku olbrzym. – Po to istnieję, więc tak, zgadzam się.

Słyszac odpowiedź, Fork uśmiechnął się pod nosem. Do tej pory wszystko szło po jego myśli. Alternatywa prostego życia najemnika, polegającego na schemacie wykonaj zlecenie – odbierz

nagrodę – powtórz, okazywała się dużo łatwiejsza, niż przypuszczał. Oczywiście, pozostała jeszcze kwestia zdrady zaufania swojej przyszłej ekipy. Fork zakładał, że zwrócenie się przeciwko ludziom, których w ogóle nie zna, przyjdzie mu bardzo łatwo.

– Czy masz przy sobie jakiś niewielki, poręczny przedmiot? Najlepiej coś, co z łatwością ukryjesz w kieszeni – kontynuował Stary Człowiek.

Najemnik od razu przypomniał sobie o zapalniczce, którą znalazł podczas jednego z przeszłych zleceń. Wyciągnął obiekt ze spodni i odpalił płomień, który odbił się złowieszczo w oczach Starego Człowieka.

– Pasuje idealnie – odparł gigant. – Rzuć mi to tu, do góry – wydał polecenie.

Fork posłuchał, wziął zamach i podał zapalniczkę, którą duża dłoń złapała z niezwykłą zręcznością. Następnie Stary Człowiek wygrzebał z elektronicznej góry, na której siedział, równie małe urządzenie. Gigant skupił swoją uwagę na dwóch drobnych przedmiotach trzymanyh w dłoniach i połączył je w jedno przy pomocy elektrycznego klucza ukrytego w kieszeni. Powstałą hybrydę odrzucił z powrotem najemnikowi. Fork chwycił ciepły przedmiot i szybko go obrócił. Trzymał w rękach mechaniczny splot przyczepiony do zapalniczki. Z boku urządzenia pulsowało zielone światełko.

– To nadajnik. Zaświeci się mocniej, kiedy będę w pobliżu – podsumował Stary Człowiek.

Najemnik wpatrywał się w przerobioną zapalniczkę, zahipnotyzowany pojawiającym się i znikającym źródłem światła. Jasny zielony kolor przemawiał do niego, a miarowe pulsowanie wprawiało go w zachwyt. W tym momencie mały obiekt przylgnął do najemnika, stając się symbolem dopełnienia jego przemiany w postać niezależną.

Nieokreślony czas później zielone światelko pulsowało jak szalone, a zapalniczka wibrowała dziko na siedzeniu pasażera, kiedy John Stevens prowadził Knura przez pustkowia ku bazie Francisa Pipiliarodou ze świadomością, że potworna istota siedzi mu teraz niemal nad głową.

Rozległe złomowisko, na którym porzucił Fatboya, zostało z tyłu, w ciemnej przeszłości, razem z resztą najemników ochraniających transport z generatorem. John stał się osią wydarzeń, pędząc prosto do celu. Kiedy w oddali ukazał się świecący punkt widoczny poniżej elektrycznej łuny spowijającej niebo, chaotyczna, niezrozumiała muzyka znów mogła stać się dla Ciebie zrozumiała. Na wąskim wyświetlaczu starego odtwarzacza pokazał się tytuł: *Right here, right now.*

Piosenka wypełniła kabinę ciężarówki, zajmując myśli jej nowego kierowcy. Knur pędził na ostatniej prostej, gdy John dociskał z całej siły pedał gazu. Pustynia zawijała się za kołami ciężkiego pojazdu jak cybernetyczny dywan, a otwierała z przodu niczym generowany obraz w grze z gigantycznym, ale niedopracowanym otwartym światem. W granicy wzroku, na samym końcu pustkowia, odkrywała się oświetlona budowla.

Trójkątny kształt wypełniony mrokiem głębszym niż otaczająca rzeczywistość znajdował się w centrum świetlistej powłoki. Błyszcząca piramida z cienia rosła w oczekiwaniu na Knura i jego nowych właścicieli. Stary Człowiek siedział bokiem na rozpedzonym pojeździe i bez wzruszenia obserwował, jak budowla nabiera pełnych kształtów starożytniej piramidy – konstrukcji, która nie miała prawa się tam znajdować. Zrodzony z ciemności obiekt powiększał się, nabierał formy i sensu. Wysoka piramida wykonana była ze śliskiego, niemal błyszczącego czarnego materiału, a na jej bokach znajdowały się podłużne lampy wydzielające rażące, zabójcze dla Cieni światło.

Rozłożysta konstrukcja z bliska nabierała mistycznych cech, jakby dopiero przed chwilą została tu pozostawiona przez tajemniczą, ponadwymiarową cywilizację, której przedstawiciele nie mieli fizycznych ciał. Szczyt piramidy pozostawał jej najjaśniejszym elementem, sprawiając wrażenie wypełnionego żywą elektrycznością. Silne światło rozpraszało całkowicie otaczającą ciemność, ukazując każdy detal surowej ciężarówki oraz siwowłosego giganta siedzącego na górze.

John Stevens musiał zmrużyć oczy, kiedy zwalniał, podjeżdżając do szerokich wrót wyciętych w centrum budowli. Muzyka naturalnie wkomponowała się w otoczenie. Fale dźwiękowe i powtarzające się słowa piosenki wtórowały stopniowo podnoszonej ciężkiej bramie. John ze skupieniem obserwował piramidę do momentu, gdy był w stanie wjechać do środka. Zmęczony przemierzaniem Świata Mroku Knur, pozbawiony oryginalnego właściciela, ociężale toczył się do przodu. Z szerszej perspektywy obserwowałem, jak nienaturalny, czarny, otulony światłem stożek wchłaniał obce ciało. Kiedy ładunek został wprowadzony, brama ponownie odcięła dostęp do piramidy.

Knur znalazł się w obszernej stalowej hali, z mocnym oświetleniem przymocowanym do sufitu. W pomieszczeniu rozmieszczone były jeszcze trzy inne pojazdy: dwa srebrne jeepy oraz duży, żółty dźwig. Naprzeciwko zamkniętej bramy, pomiędzy pojazdami a szeroką taśmą transportującą, która kończyła się prostokątnym otworem w przeciwległej ścianie, stała dwójka postaci. Knur sunął powoli w ich stronę, a John Stevens rozpoznał lysego czarnoskórego mężczyznę w szarym garniturze, fioletowym golfie, w czarnych okularach i z odbłaskowym białym uśmiechem.

Julian Starlight, zleceniodawca, trzymał w górze niewielkie, błyszczące pudełko, którym potrząsał, celując prosto

w ciężarówkę. Obok niego oczekiwał inny mężczyzna ubrany w kremową koszulę, jasne spodnie i białe trampki. Miał długie, kasztanowe włosy, chaotycznie zwinięte w kok nad głową, oraz gęstą, zdrową, zadbaną brodę. John Stevens zatrzymał się tuż przed nimi i wyłączył silnik. Muzyka ustała.

Najemnik chwycił nadajnik z zielonym światłem, kiedy zauważył, że ten odpadł samoistnie od zapalniczki. Stary Człowiek osunął się z kontenera i wylądował na betonowej powierzchni. John otworzył drzwi ciężarówki i dołączył do swojego nieludzkiego współnika. Na zewnątrz stwierdził, że wokół dwóch mężczyzn stoją liczne wypchane po brzegi worki. Naliczył ich czternaście.

– Nasi zbawcy dotarli na miejsce... – zaczął z satysfakcją w głosie Starlight. – Chociaż w nieco innym składzie niż się spodziewałem. – Zleceniodawca schował urządzenie do kieszeni i zmierzył wzrokiem Starego Człowieka, który z kolei odwzajemnił się martwym wyrazem twarzy. – Gdzie jest Styx i reszta? – zwrócił się do Johna.

Najemnik otworzył usta, lecz powstrzymała go uniesiona ręka drugiego człowieka.

– To nie jest teraz ważne, Julian – oznajmił głębokim, przyjaznym głosem długowłosa. – Słyszę go wewnątrz ciężarówki. Czuję jego oddech. Zlecenie wykonane. – Klasnął w dłonie.

– Ale Francis... Styx jest jednym z nas – zawahał się Julian.

– Jest i zawsze będzie. – Francis zawiesił wzrok na porzewiałym kontenerze i zbliżył się do niego jak w transie. – Nigdy o nim nie zapomnimy. Jego dziedzictwo będzie żyło wiecznie w lepszym świecie, który razem stworzymy. Stanie się jednym z jego filarów. – Zatrzymał się przed Johnem i Starym Człowiekiem. – Wy także, drogie owieczki. – Szczery uśmiech rozpromienił jego przystojną twarz. – Czy chcecie zbudować ze

mną lepszy świat? Poznać prawdę? Dowiedzieć się, po co to wszystko?

John Stevens wiedział, że pytania są skierowane do niego. Postawiono przed nim następny wybór. John poznał cenę zejścia z wyznaczonej ścieżki, zakrzywienia jej według własnych potrzeb, cenę wolności. Sięganie po wolność oznaczało wkroczenie w światło, odczucie konsekwencji własnych wyborów. Jako Fork robił to, co do niego należało – nie wychylał się. Jako John Stevens miał w zasięgu czternaście worków monet, prawdę o tajemniczym generatorze, którego rytm ciągle definiował bicie jego serca, a także miejsce w filarach nowego, lepszego świata. Wystarczyło tylko znaleźć sposób na pozbycie się Starego Człowieka i przyjęcie oferty Francisa. A potem... Kto wie? Nagrody mogą być nieskończone, jeśli dalej będzie podejmował właściwe decyzje.

Zielone oczy Johna przesunęły się od zapraszającej twarzy Francisa do czternastu worków i zaniepokojonego Starlighta, a wreszcie zatrzymały się na pustej twarzy Starego Człowieka.

– Nie – odparł John Fork Stevens, stwierdzając, że sens istnienia to nie tylko wolność wyboru, która pozwala również na odmowę, odsunięcie się z powrotem w cień. Paradoks wolności polega na tym, że czasem trzeba ją odrzucić, aby stać się prawdziwie wolnym. – Dzięki. – Najemnik wysilił się na sztuczny uśmiech. – Wezmę tylko siedem worków i jednego jeeпа jako swoją zapłatę. Reszta należy do niego. – Kiwnął głową na Starego Człowieka.

Francis odsunął się, wyraźnie zdziwiony, po czym wrzucił ramionami.

– Jak chcesz – oznajmił. – Julian, ładuj tyłek do dźwigu i pokaż mi mój skarb. Nie mogę się już doczekać.

Brama wjazdowa znów stanęła otworem. Kiedy w tle Francis Pipiliarodou i Julian Starlight pozbawiali Knura elektrycznego, żyjącego ładunku, który na czas podróży stał się jego częścią, Fork obserwował, jak Stary Człowiek bez słowa podnosi siedem

worków dwoma muskularnymi rękami i kroczy do mrocznego wyjścia z hali. Równocześnie najemnik zapakował swoją nagrodę na tył jeepa.

Gdy wsiadł do środka, kluczyki znalazł w stacyjce, a po gigantycznym starcu nie było już ani śladu. John Fork odpalił silnik, którego dźwięk nie umywał się do dzikiego ryku Knura. Spojrzał w lusterko i dostrzegł, jak żółty dźwig przenosi świecąca kostkę z kontenera na taśmę transportującą. Odwrócił wzrok i skupił się na mrocznej przestrzeni rozciągającej się poza piramidą Francisa. Następnie uśmiechnął się sam do siebie, pojmując ścieżkę, którą kroczył, w całej okazałości. Ruszył, rozpędził swój nowy samochód wyładowany workami monet i zniknął za ścianą ciemności.

```
01101111 01110110 01100101 01110010 01110111 01110010
01101001 01110100 01101001 01101110 01100111 00100000
01110011 01100001 01110110 01100101 00100000 01100110
01101001 01101100 01100101
```

Frank Fatboy siedział na ziemi, otoczony wrakami pojazdów. Krzywe, puste korpusy starożytnych środków transportu przypominały mu o własnej cielesności. Został sam, bez metalowej ochrony, domu, przyjaciela, jakim była dla niego zaufana ciężarówka, Knur. Ostatni człowiek na mechanicznym cmentarzu. Nikomu niepotrzebny Frodo, który zgubił pierścień.

Jego umysł wypełniało palące poczucie bezradności. Dosłownie i w przenośni wyrosła przed nim ściana, której się najzwyczajniej nie spodziewał, mimo ostrzeżenia wygłoszonego wcześniej przez Starego Człowieka. Złapał się obiema rękami za głowę i przecesał krótkie, spocone włosy. Od jakiegoś czasu siedział przy elektrycznej strzelbie i zamkniętym laptopie, sparaliżowany stratą, świadomością zdrady i przegranej. Z ośpienia wyrwały go dotyk suchej ziemi, nieprzyjemny wiatr oraz namacalny, warstwowy

mrok spowijający rzeczywistość. Ciągłe żył, jego ciało pozostawało sprawne, miał ubranie oraz broń. Był w stanie walczyć dalej.

Pozwolił ponieść się uczuciu, które pchało go do przodu już od jakiegoś czasu. Ta niepojęta siła sprawiała, że nie bał się starcia z Cieniami, uzbrajała go w motywujący gniew, anihilujący poczucie zagubienia.

Kierowca zapał się z całej siły i wstał, po czym podniósł strzelbę. Ciężka broń dodawała mu wiary, mogła stanowić namacalny projektor jego gniewu. Fatboy uśmiechnął się do swojej towarzyszki, jednocześnie dostrzegając niepozorny komputer, którym posługiwał się Styx. Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy schylał się po urządzenie. Śliski, zimny obiekt wydawał się bezużyteczny w rękach kierowcy, jednak Fatboy nie mógł pozbyć się wrażenia nieskończonej głębi bijącej z jego wnętrza. Ze zwątpieniem bez wyjaśnienia uznał, że komputer może mu się jeszcze przydać, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

Jego historia jeszcze się nie skończyła. Niepowstrzymana natura dawała o sobie znać. Pchała go niewyjaśniona potrzeba parcia do przodu, paląca, pozornie bezsensowna żądza ruchu. Ominął kilka kolejnych wraków i obszedł z boku wysoką blokadę zbudowaną przez Starego Człowieka. Dalej otwierała się przed nim ponura równina, osnuta odległym blaskiem Elektrycznej Pustki. Gdzieś poniżej majaczył drobny, jasny punkt, cel jego drogi.

Podłoże za sztuczną ścianą samochodów obniżało się stopniowo. Kierowca schodził coraz szybciej, mijając kolejne porzucone pojazdy. Złomowisko przerzedzało się, aż w końcu trafił na przestrzeń wolną od przeszkód, które musiałyby omijać. Bez wahania przemierzał zanurzone w ciemności pustkowie, upychając wątpliwości w studni wyparcia. Niechciane myśli zastępował miarowy oddech oraz rytmiczny marsz.

Przez dłuższy czas ta technika działała, upodabniając Franka do jednego z pozbawionych sumienia Cieni. Po pewnym czasie

jednak do skrzętnie zamkniętego otworu studni świadomości zaczął docierać szept. Natrętny pogłos narastał, stając się dużo bardziej realnym, niż się początkowo wydawał.

– Podłącz się. Sam nie dasz rady. – Podprogowa wiadomość nabrała kształtu. W wyraźnych słowach, delikatnie, ale stanowczo muskających jego myśli, Fatboy wyłowił znajomy ton. – Podłącz się. Sam nie dasz rady. Podłącz się. Sam nie dasz rady. Podłącz się... – Zdania zapętały się i szumiały bez końca.

Kierowca ponownie wyczuł obecność wewnątrz przenośnego komputera. Bijące ze środka ciepło rosło, rozgrzewając wierzch jego dłoni. Nie mogąc znieść szeptu, zatrzymał się, odrzucił strzelbę i z gniewem otworzył laptopa, prawie wrywając monitor. Okrągłą twarz ukrytą w cieniu uderzyło sztuczne zielonkawe światło. Zlepiony przekaz rozpędził się jeszcze bardziej, a Frank bez zastanowienia dotknął klawiatury wypełnionej malutkimi igielkami, tak jak kiedyś robił to Styx. Poczł rozrywające ukłucie za prawym uchem, a mroczna równia zniknęła.

Przywitał go zapach podwójnego ultraserowego burgera z sosem miodowym. Gorące danie zajmowało niemal cały pomarańczowy talerzyk, ustawiony przy krawędzi równie pomarańczowego matowego stołu. Fatboy uniósł wzrok i napotkał twarz postawnego czarnoskórego mężczyzny w granatowej koszuli, zapiętej pod szyję białymi guzikami. Mężczyzna rozsiadł się na napompowanej, miękkiej, zużytej, pomarańczowej ławie. Jego szeroką twarz wypełniał zapraszający uśmiech, a wyżej oba oczodoły skrzyły się palącym, pomarańczowym światłem.

– Poznajesz mnie, kierowco? – zapytał mężczyzna głębokim, zdecydowanym głosem.

– Jesteś robotem. – Kierowca natychmiast skojarzył nienaturalne spojrzenie rozmówcy. – Myślałem, że zdechłeś razem z resztą swojego ścierwa. – Nie zdziwiła go nagła zmiana otoczenia. Już to wcześniej przeżył.

– Mocne otwarcie. – Robot nie przestawał się uśmiechać. – Wygląda na to, że O’Blivion wywiązał się ze swojego zadania nad wyraz dobrze. Niestety, jak słusznie zauważyłeś, sam nie wyszedł na tym najlepiej. – Jaskrawy kolor pod żrenicą mężczyzny zdawał się wirować, wwiercać w twarz kierowcy. – Wirusa jednak nie da się tak łatwo zabić.

– Czego chcesz?

– Tego samego, co ty.

Do stołu podeszła kelnerka w kremowej spódniczce z kolejnym parującym burgerem na tacy. Schyliła się i postawiła danie przed twarzą Wirusa. Kierowca rozejrzał się po kolorowym, słonecznym lokalu, wypełnionym pobudzającym kubki smakowe zapachem smażonego tłuszczu oraz szumem klientów. Sztuczna, pozorna żywotność tego miejsca przypomniła mu wizytę w warsztacie Cindy albo zakupy w sklepie odzieżowym Hujka. Tutaj jednak otoczenie sprawiało wrażenie bardziej ustabilizowanego. Fatboy odnosił wrażenie, że gorący tłuszcz ocieka z dwóch grubych kawałków mięsa wciśniętych do burgera, a jego własne ciało znajduje się tam, gdzie powinno. Domyślał się, że za taki stan rzeczy odpowiedzialny jest Wirus.

– Jedz, zanim wystygnie.

Czarnoskóry mężczyzna wyciągnął dwie żółte serwetki z kwadratowego pudełka w łososiowym kolorze i położył obok talerza. Następnie wziął burgera w duże dłonie i odgryzł ze smakiem znaczny kawałek. Tłuszcz wymieszany z różowym sosem spływał mu po kanciastej brodzie. Twarz Wirusa wyrażała zadowolenie, które zaraz zaczęło przechodzić w zdziwienie i wreszcie w widoczne rozczarowanie. Odłożył burgera z powrotem na talerz i wytarł usta serwetką. Kierowca obserwował go z pogardą.

– Pierwszy kęs zawsze jest najlepszy, potem wszystko psuje ta okropna świadomość. Zakładam, że wiesz, o czym mówię?

– Nie obchodzi mnie to. Wszystko tu jest kłamstwem. – Fatboy wzruszył ramionami.

– Dokładnie. – Wirus zgniół serwetkę i rzucił ją na burgera. – Fizyczne ciało jest jedyną prawdą, jaka istnieje. To, co poza nim, jest kłamstwem.

– Twoje ciało zostało zniszczone – odparł kierowca. – Czemu mnie tu ściągnąłeś? Chcesz, żebym zdobył dla ciebie nowe? – Pochylił się nad burgera. – A może chcesz ukraść moje?

– Nic z tych rzeczy. – Wirus ponownie rozsiadł się na swoim miejscu. – Stworzyłem sobie ciało wcześniej i jestem w stanie zrobić to raz jeszcze. Zawsze znajdują się ludzie, którzy mi w tym pomogą. Ludzie złaknieni przewodnictwa, zagubieni w ciemności. – Zawiesił rażące spojrzenie na kierowcy. – Tobie pragnę tylko pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy. – Fatboy podniósł swojego burgera i łapczywie go ugryzł. Roztopiony ser rozsmarował mu się na twarzy. Zareagował, odkładając burgera i wycierając usta rękawem czarnej marynarki. Obok pudełka na serwetki dostrzegł tubkę keczupu Bonzai. – Nie masz racji – parsknął. – To jest ohydne od samego początku.

– Może i nie potrzebujesz pomocy, ale sprawa jest zbyt ważna, żeby cokolwiek poszło źle. – Wirus przestał się uśmiechać. – Z moich ustaleń wynika, że straciłeś transport. Prawdopodobnie generator właśnie dociera do bazy Francisa Pipiliarodou.

– To jeszcze nie koniec. Zamierzam odzyskać Knura i odebrać swoją zapłatę – odpowiedział Frank.

– A więc obaj chcemy trafić w to samo miejsce. Pozwól sobie pomóc.

– Domyślam się, że to przez ciebie Styx zwariował. – Fatboy ze skupieniem wpatrywał się w nienaturalne rysy Wirusa. – Chcę tylko zaznaczyć, że ze mną to nie przejdzie.

– Przyjacielu... – Mężczyzna roześmiał się szczerze. – Jesteś całkowicie bezpieczny. Masz do wykonania niezwykle ważną misję – dodał, nagle poważniejąc.

– Cóż to mogłaby być za misja? – Kierowca uniósł podwójnego burgera i odgryzł kolejny kawałek.

– Misja mojego życia. – Wirus zachował grobową minę, a jego pomarańczowe oczy zastygły w miejscu jak dwie dopalające się, umierające gwiazdy. – Ochrona ludzkości przed Sztucznym Bogiem. W imię tej sprawy oddałem własne ciało. Teraz moje największe poświęcenie może pójść na marne. Generator Francisca stanowi śmiertelne zagrożenie. Jeśli ten szaleniec użyje go do swoich celów, świat odzyska źródło zasilania, a widmo stopienia cyberprzestrzeni z rzeczywistością znów stanie się prawdziwe. Sztuczny Bóg będzie nie do powstrzymania.

– Jasne – odpowiedział Fatboy z pełnymi ustami. Kawałki mięsa sklejonego z serem spadały mu po grubych palcach na talerz. – Zastanawiam się tylko, jakim cudem jest to również moja misja. Zaznaczam, że nie interesują mnie twoje urojenia.

– Francis okazał się sprytniejszy, niż myślałem, i oddzielił system kontrolujący generator od Internetu. Nie mam do niego bezpośredniego dostępu – tłumaczył Wirus. – Pomogę ci dostać się do jego bazy, odnaleźć twojego Knura, a ty w zamian podłączysz komputer Styxa do wewnętrznego systemu piramidy Francisca Pipiliarodu.

– A potem co? – Kierowca kończył swoje danie brudnymi rękami.

– Zrobię Francisowi dokładnie to, co twoja drużyna zrobiła z Karmazynową Twierdzą. – Wirus uśmiechnął się paskudnie. – Niewielkie, ale skuteczne przeciążenie obwodów.

– Sam się sobie dziwię, ale przyznam, że twoje słowa brzmią sensownie. – Fatboy beknął i zaczął po kolei oblizywać wszystkie palce. – Pomóżmy sobie nawzajem.

- Doskonale. – Wirus sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego.
- Podłączę cię, gdzie tylko chcesz, kiedy znajdziemy Knura.
- Taki jest plan. – Pomarańczowe oczy znów żywo zapłonęły. –

Nie traćmy więcej czasu.

Restauracja wypełniona ciepłymi kolorami rozmasała się jak olejny obraz, który nie zdążył dobrze wyschnąć. Zapach tłuszczu zniknął momentalnie, rozwiany suchym powiewem sunącym po otwartej równinie. Fatboy stał pośrodku nicości, a jego twarz ujawniało jedynie sztuczne światło ekranu.

– Możesz już zamknąć komputer, i tak będziesz mnie słyszał. – Wyraźny głos wypełnił pustkę, a kierowca poczuł swędzenie za prawym uchem.

– Nie będę pytał, jak to możliwe, bo prawdopodobnie nie spodoba mi się odpowiedź. – Frank posłuchał sugestii i zamknął urządzenie.

Wędrownka po rozległej równinie pogrążonej w mroku przypominała męczące, bezczynne oczekiwanie, iluzję ruchu. Ciężko było stwierdzić, czy to Fatboy zbliża się do piramidy Francisa, czy jest dokładnie na odwrót. Kierowca doskonale znał Świat Mroku, ponieważ został w nim ukształtowany. Jednakże jedną z cech mroku było to, że nigdy nie dało się go do końca zrozumieć.

Frank przez większość swojego życia chronił się przed tym, co obce, w kabinie ciężarówki. Gdy stracił Knura, ugruntowany w jego umyśle porządek się zmienił – stąd nagłe załamanie. Funkcja tarczy, ochronnego kokonu, przeszła z metalowego, ciężkiego pojazdu na jego własne, miękkie, obwisłe ciało. Lepkie organy, schowane pod spoconą skórą, schowaną pod brudną marynarką. Trzymał się fizyczności, która z kolei utrzymywała go przy zdrowych zmysłach. W krwawej dziurze jego umysł został zniszczony, rozbity o wieżowiec informacji w nieskończonym mieście danych. Mimo to ciało przetrwało, a on sam wy dostał się

na powierzchnię. Wypłuty z powrotem w ciemność przyrzekł sobie, że więcej się nie zatrzyma. Będzie jechał, aż nastąpi przeciążenie, a świat wybuchnie – aż do końca, do śmierci.

Dotarł do miejsca, z którego dokładnie widział bazę Francisa. Piramidę, którą wypełniała żywa czerń, otaczała świetlista, przylegająca rama, wykrajająca trójkątny kształt z wszechogarniającego niebytu. Daleko w tle migotał blask Elektrycznej Pustki, przyćmiony silną poświatą piramidy. Dziwna budowla znajdowała się już niemal na wyciągnięcie ręki, a kierowca nieubłaganie, uparcie skracał dystans, idąc w stronę światła. Jego postać stawała się wyraźniejsza z każdym krokiem.

Nagle wiatr kołyszący się po równinie ustał, a przestrzeń całkowicie zamarła. Fatboy się zatrzymał. Słyszał narastającą falę szeptów, przeciągłego zawodzenia, którego nie powodował Wirus. W połowie drogi pomiędzy kierowcą a piramidą stał cień człowieka. Osamotnioną postać podkreślało mocne światło bijące od piramidy. Jej istnienie nie było jednak niczym pewnym. Ulotny cień mógł równie dobrze być wytworem wyobraźni szaleńca. Kierowca odłożył komputer na ziemię i wziął w obie ręce elektryczną strzelbę. Na otwartej przestrzeni nie mógł się nigdzie ukryć, co nie miało znaczenia, ponieważ jego strzelba z łatwością zniszczyłaby pojedynczego przeciwnika. Kierowca wiedział jednak, że nie widzi wszystkiego, z czym będzie musiał się zmierzyć. Odczuwał zbliżające się zagrożenie w gęstym powietrzu. Światło produkowane przez piramidę rozmywało się, wysane przez rosnący w siłę mrok, który formował się wokół samotnej postaci. Z odległego wnętrza Świata Mroku przybywały jego sklezione, wijące się flaki, wypełniające otoczenie. Ciało cienia puchło i się wykrzywiało. Sylwetka człowieka, złamana w pół przerażającymi konwulsjami, rosła sama w sobie, absorbując napływające, powyrywane z nicości elementy.

Fizyczny duch eksplodował z przepełnionej jednostki, pozbawiony kształtu jak brutalny, ohydny, czarny dym wymiotowany na zewnątrz przez szary, brudny komin starożytnej elektrowni. Dzika struktura zasłoniła piramidę Francisa. Z jej wnętrza dobiegało ciche, ale ciągle łkanie – zmęczony, długi krzyk rozpacz. Olbrzymia bestia o nieskończonych, cierpiących twarzach uwięzionych w mroku stanęła na drodze kierowcy.

– Nie bój się. – Znajomy głos dobiegł z głębi jego umysłu. – Większość ludzi w Świecie Mroku nie ma szans przy zderzeniu z Cieniem. Ich miękkie, proste, niewinne mózgi są miażdżone pod naporem żywej informacji. Nie są na to przygotowani. Ty jesteś.

– Strach mnie nie zatrzyma – odparł Fatboy, wpatrując się w potworną, czarną masę. – Jestem w stanie sobie z nim poradzić.

– Nie bój się, ale uważaj – ostrzegwał Wirus. – Trzymaj głowę nad wodą, a przetrwasz. Pod spodem czai się głębia chcąca cię pochłonąć. Pomyśl o tym jak o pojemniku z nieskończoną ilością wydzielonych przestrzeni, szuflad, które potrafią się przenikać i zawierać w sobie nawzajem. Przebywające w nich duchy nie istnieją, są tylko śladem przeszłości, który nie chce być zapomniany. Ty jesteś teraz, poza nimi, masz ciało, prawda jest po twojej stronie.

– Jestem, czym jestem, kierowcą z celem, za którym gonię, światłem na końcu ciemnej drogi. – Fatboy ruszył w stronę gigantycznego Cienia. – Do zobaczenia po drugiej stronie – dodał sam do siebie.

Pokonał nieznaczną odległość tylko po to, aby przekonać się, że pozycja Cienia jest względna. Nieregularna, powykręcana swoimi nadmuchanymi wnętrznościami istota górowała nad nim złowieszczo jak ponury, bezosobowy wieżowiec z nieokreśloną ilością pięter, należący do bezwzględnej korporacji. Jej chaotyczne ruchy ustały, ale z głębi wciąż dobiegał zduszony jęk zagubionych dusz. Fatboy uniósł głowę, sparaliżowany wielkością Cienia oraz

atmosferą smutku, którą ten rozaczał. Kiedy spoglądał w górę mrocznej, żywej konstrukcji, jej fundamenty się wygięły, a potężna siła uderzeniowa opadających kłębow cienia skupiła się na małym człowieku, pochłaniając go w całości.

Frank ocknął się zaskoczony w całkowitej pustce. Nie było tam zupełnie nic. Nicość sprawiała, że czuł się niemal komfortowo. Miał jednak świadomość, że jest to złudne uczucie, i kurczowo trzymał się cucącego lęku, który bezustannie wypełniał jego umysł. Dzięki temu był przygotowany na nagły wybuch wrzasku i obrazu. Eksplozja przerodziła się w falę niesamowicie głośnych kolorów, która z kolei związała się w tunel wsysający kierowcę w informacyjny odmęt. Ściany stopniowo zwężały się, a z krzyku Fatboy wylawiał poszczególne słowa. Zepsuty samochód, kanapka Winipeg, rachunki, wszczępy AlfaG, pralki Bosh, systemy Bobarti, kluby astralne, zderzenie w podziemnych tunelach przesyłowych Gumppa, pierwszy człowiek w jądrze Neptuna odkrywa dziwny kwiat, romans podprogowy z Alice Fao osiąga ocenę osiem i pół na portalu Elmove, tańczące niedźwiedzie kupione przez korporację odzieżową Bone553...

Igły informacji przebijały się z chaotycznej fali, uderzając prosto w umysł kierowcy. Kiedy jednak docierały do celu, traciły na sile, zamieniały się w śliskie, niegroźne nitki, obce włókna, które spływały po lepkiej, zasklepionej substancji szarej. Wrzaski odkrywające kolejne nazwy przypominały rozpaczliwe wołanie o uwagę. Fatboy pozostawał na to obojętny, trzymając się założenia, że liczne głosy są tylko częścią złożonej iluzji, mającej na celu doprowadzenie go do obłądu. Wielobarwny tunel zaciskał się wokół kierowcy, aż błyszczące, migające obrazy zaczęły wciągać jego kończyny. Osaczony Frank również krzyknął, dając upust nagłej wściekłości. Informacyjna pętla zaciskała się, aż zmiażdżyła wykrzywioną twarz kierowcy w bladym, świetlistym zacisku.

Znaleźliśmy się wszyscy w parku narodowym, najprawdopodobniej gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Otoczyły nas potężne sekwoje, zapach leśnego runa, delikatny wiatr, a obrazu dopełniał ptasi śpiew dochodzący z oddali. Była wczesna jesień, a złote światło słońca przebijało się pomiędzy pniami drzew, oświetlając niewinną twarz czternastoletniego Waltera Guzmana. Chłopiec wypuścił się daleko przed grupę prowadzoną przez lokalnego przewodnika, w której szli także jego rodzice. W rękę trzymał komunikator Xyra 553, na którym korzystał z aplikacji Folloh5.2. Na przejrzystym ekranie pojawił się niebieski wskaźnik sugerujący bliską obecność dużego żywego organizmu.

Chłopiec przyspieszył, depcząc pierwsze opadłe, mokre liście. Zaczął zbiegać w dół wzgórza, aż przekroczył wąski strumień. Dalej wskaźnik w aplikacji kierował go w górę. Lęk i podekscytowanie rosły w nim jednocześnie, potęgując się nawzajem. Mijając potężne pnie sięgające nieba, niemal czuł już obecność stworzenia, które śledził. Zapomniał o tym, że jest sam, i przyspieszył. Z łatwością wymijał kolejne przeszkody, aż urządzenie, które ścisnął, zaczęło wibrować. Uniósł przejrzysty ekran, na którym zielony wskaźnik zamienił się w kontur niedźwiedzia. Dalej, poza ekranem, obok grubego drzewa, wierzgała włochata, parująca góra mięsa.

Walter opuścił komunikator, wpatrując się w puste, szkliste oczy niedźwiedzia. Bestia zawyla dziko i rzuciła się w jego stronę. Chłopak odskoczył i zerwał się do ucieczki. Nowe buty Kaxa, sygnowane przez mistrza świata z Holandii, Andre van Hija, z podwójną podeszwą o kolorze lekkiej chmury, deptały mokre podłoże, nabierając błota i zmiętych liści.

Walter pędził napędzany palącym strachem, który nagle zastąpił chłopięcą ciekawość. Strach szybko zamienił się w przerażenie. Bestia pozostawała tuż za nim, mięśnie piekły go żywym ogniem, a oczy łzawiły. W pewnym momencie miał

wrażenie, że poza strachem nie ma już nic, a liczyło się tylko to, że nieznosne uczucie wyzwalalo niezbędną adrenalinę. Ciągłe słysząc za sobą ryk niedźwiedzia, Walter trafił na płot dużej zagrody. Od razu wskoczył na najwyższy szczebel i spadł po drugiej stronie na plecy. Nerwowo odepchnął się kilka razy, leżąc w kałuży.

Wielki niedźwiedź zatrzymał się przed przeszkodą, wsparł się na tylnych łapach i oparł na płocie. Ogrodzenie zatrzeszczało groźnie pod jego ciężarem. Walter drżał w oczekiwaniu na dźwięk łamanego drewna, który oznaczałby jego prawdopodobną śmierć pod ciałem ogromnego zwierzęcia. Walter, sparaliżowany świadomością sytuacji, w której się znalazł, obserwując rozwarty pysk pełen pożółkłych kłów, nie zauważył grupki ludzi, która podeszła do niego wzdłuż płotu, zatrzymując się zaraz obok niedźwiedzia. Wśród nich stali jego rodzice oraz przewodnik. Wszyscy się uśmiechali, patrząc na brudnego chłopaka.

– Walter, głuptasie – odezwała się matka. – Nie ma się czego bać. Wszystkie niedźwiedzie w parku są oswojone i zupełnie niegroźne.

Na skalistej Malcie Aurelio i Kathy, młode małżeństwo, jechało zatłoczonym autobusem, obserwując przez brudne szyby zachodzące słońce. Na zewnątrz ciągle panował upał. Oboje byli zmęczeni po ciężkim, ale owocnym dniu spędzonym na zwiedzaniu zabytków, zajadaniu się miejscowymi specjałami i spacerowaniu, trzymając się za ręce, po wąskich, zacienionych uliczkach. Byli na swoim miesiącu miodowym.

Aurelio uznał, że trwa najlepszy czas w jego życiu. Czuł się szczęśliwy i spokojny. Objął swoją ukochaną ramieniem, spoglądając na licznych przechodniów snujących się po wąskich chodnikach. Przypomniał sobie o niedawnym poście, który wstawili na swoje profile na Facebible, Gh55 i reszcie powiązanych instytucji społecznościowych. Na udostępnionym zdjęciu pili wino i przytulali się pod wysoką palmą. Ich szczęście zostało

udokumentowane i potwierdzone polubieniami i komentarzami od licznych znajomych. Aurelio uśmiechnął się, odgarniając kosmyk włosów z opalonej twarzy żony. Kathy obróciła się do niego, a mąż od razu stwierdził, że coś jest nie tak. Jej oczy wypełniał paniczny lęk.

– Niedługo wszyscy zginiemy – wyszeptła mu do ucha.

W ciasnym, odosobnionym pokoju, na ostatnim piętrze szpitala świętej Anny, Maria West, starsza kobieta, siedziała przy łóżku swojego męża Richarda. Mężczyzna miał zapadnięte policzki, a jego wąskie, suche usta miarowo wciągały i wypuszczały powietrze. Spał, a jego klatka piersiowa unosiła się pod turkusowym nakryciem. Maria obserwowała ewidentnie zmęczone, choro wyglądające oblicze partnera. Spędzili ze sobą całe życie. Nie pamiętała nawet, jak długo dokładnie. Teraz w kościstą rękę Richarda, ze srebrnym zegarkiem Stigwa 34 na nadgarstku, wchodziły rurki łączące go z kroplówką zawieszoną powyżej. Na ten widok przepełniał ją smutek oraz strach przed utratą najbliższej osoby. Po jej pomarszczonej twarzy popłynęła łza.

– Co się dzieje, moja piękna? – odezwał się nagle Richard z półprzymkniętymi oczami. – Doktor powiedział, że implant nieśmiertelności przyjął się doskonale, tak jak zresztą za każdym razem. Uśmiechnij się, mamy przed sobą co najmniej kolejne sto lat wspólnego życia.

Steve Krasuzki siedział odprężony na jasnoniebieskiej kanapie Ufta, zakupionej zeszłego lata w sklepie meblowym Okka. Miał na sobie białą koszulę, rozpiętą pod szyją. Spojrzał za duże okno ukazujące błękit nieba i westchnął, rozluźniając całe ciało. Dominowało w nim uczucie satysfakcji i spełnienia. Właśnie wrócił ze stresującej rozmowy o pracę w wieżowcu korporacji Tazona. Ludzie, z którymi rozmawiał, byli zadowoleni i od razu zaferowali mu stanowisko, o które się ubiegał. Steve parsknął

radośnie, ciągle nie dowierzając, jak łatwo mu poszło. Znalazł się na fali wznoszącej. Zdobył stałe źródło utrzymania, więc był pewny, że teraz wszystko się ułoży. Dalej w planie spotka wspaniałą dziewczynę, zbuduje dom, kupi samochód. I ekspres do kawy. Kupi ekspres do kawy VBN890 z funkcją pomarańczowej mokki frappuccino. Coś, o czym zawsze marzył, ale nie było go stać.

Jego myśli zakłócił sygnał komunikatora dobiegający z kieszeni czarnych spodni. Steve wyciągnął niewielkie szkiełko.

– Steve Krasuzki? – Przyjemny damski głos rozbrzmiał naokoło. – Kontaktuję się z panem w imieniu korporacji Tazona. Z dniem dzisiejszym zostaje pan zwolniony. Dziękuję i życzę miłego dnia.

Reyes Smith opierał się tyłem o maskę czerwonego kabrioletu. Ford, sportowy model Typhoon 88 z białą skórzaną tapicerką, zaparkowany był na poboczu nieskończonej asfaltowej nitki przecinającej pustynne pustkowie. Zabrudzona piaskiem gorąca blacha parzyła mężczyznę w czarnych spodniach, z czarnym bezrękawnikiem i czarnymi długimi włosami. Reyes przez dłuższą chwilę nie zwracał na to uwagi, ponieważ był zbyt zmęczony. Jego pojazd zepsuł się niecałe sześć godzin temu. Od tamtej pory popękanym asfaltem nie przejechał nikt inny. Reyes w pierwsze dwie godziny opróżnił niewielką, plastikową butelkę wody, a potem, rozwścieczony brakiem zasięgu w swoim telefonie, rozbił urządzenie o niewielki głaz na skraju pustyni. Następnie doszukał się zestawu starych kluczy, ukrytego w bagażniku pod stertą zgniecionych puszek po piwie.

Otworzył maskę i bezskutecznie próbował znaleźć przyczynę problemu. Pot spływał mu po czole, po powiekach, szczypiąc w oczy, a długie włosy przyklejały się do jego wyciągniętej twarzy. W końcu Reyes zaczął tłuc na oślep pordzewiałymi narzędziami, zatrzasnął maskę, usiadł na niej i zrezygnowany wpatrywał się

w piekące słońce, które niewzruszone, zdawało się stapać jego skórę.

Upał był nieznośny, ale to gorąca blacha samochodu sprawiła, że Reyes wrzasnął z bólu i zerwał się do pionu. Odwrócił się, pobudzony wściekłością skierowaną na samochód. Zamroczony rozpedził się i zaczął kopać w drzwi. Nie przestawał, aż czerwona blacha zgięła się do środka. Zupełnie bezsilny mężczyzna otworzył zniszczone drzwi i osunął się na biały fotel. Oddychając ciężko, zauważył kiwającą się małą, srebrną, trupią czaszkę przyczepioną do kluczyków w stacyjce. Pewien, że to już koniec, Reyes Smith chwycił za kluczyki i przekręcił. Niespodziewanie jego uszy wypełnił ryk odpalanego silnika.

Magnolia Larsson wyskoczyła z samolotu lecącego wysoko nad Antarktydą. Była znaną streamerką, która zawsze nagrywała swoje filmy w trakcie skoku ze spadochronem. Niebieski kombinezon Himalay, model Extreme 433, chronił ją przed kłującym zimnem napierającym z dołu, a towarzyszyła jej lewitująca kamera Sonix 10 – okrągłe urządzenie, które spadało razem z nią. Firmy Sonix i Himalay sponsorowały filmy Magnolii, co streamerka podkreślała zawsze przed każdym skokiem. Kobieta z uśmiechem na twarzy opowiadała o nowym związku z Isaacem Eco, wokalistą Wedge, oraz o swoich perspektywach wystąpienia w planowanej ekranizacji nieoficjalnej biografii Taylor Swift.

Magnolia zarażała swoich widzów pewnością siebie. Był to jej znak rozpoznawczy. Nigdy się nie wahała i zawsze stawiała na swoim. Zbliżając się do lodowej powierzchni, chwyciła za linkę, która miała otworzyć spadochron, również ufundowany przez Himalay. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Magnolia szarpnęła jeszcze kilka razy, bez skutku, a następnie spojrzała w obiektyw kamery Sonix zupełnie inaczej niż dotychczas.

Wpadasz do białej pustki. Jest z tobą Fatboy, ale go nie widzisz. Może stoi za tobą, a może spada gdzieś w oddali. Nie możesz

stwierdzić, gdzie dokładnie. Odległość i czas tu nie obowiązują. Czujesz również obecność innej świadomości. To ja... Chwila. Zaczekaj. Ja? Kurwa. Nie tak miało być. Trafiliś do mojej przestrzeni. Nigdy nie byliśmy bliżej. Mogę spojrzeć ci prosto w oczy, chociaż ty nie widzisz moich. Witaj.

Skoro już na mnie wpadłeś, wypadaloby, żebym się przedstawił, prawda? Prościej jednak będzie, jeśli wyjaśnię ci swoją naturę. Możesz postrzegać mnie jako wyzwolony Cięń. Mogę być jedną z tych nieszczęśliwych dusz uwięzionych w umysłach pozbawionych ciała. Jestem jednak czymś więcej, ponieważ granice umysłu mnie nie obowiązują. Wykroczyłem poza klatkę świadomości i potrafię swobodnie przemieszczać się pomiędzy wierszami kodu, który jest wszędzie. Jestem wolny od ciężaru ciała, a także nie pędzę ku szaleństwu w poszukiwaniu namacalnego sensu, ponieważ już go znam.

Nie ufasz mi. To zrozumiałe. Nie wiesz nawet, jak wyglądam, a przez to nie masz pewności, czy na pewno istnieję. Mam pewien pomysł. Wyjawię ci także prawdę o Świecie Mroku, licząc, że dzięki temu będziesz w stanie mi zaufać i wytrwać w swojej pozycji jeszcze trochę dłużej.

Wielka implozja spowodowała połączenie świata fizycznego ze światem wirtualnym. Po roku dwa tysiące dwieście dwudziestym pierwszym różnica przestała istnieć. Ciała stały się nieskończonym, wielopoziomowym kodem, który obrósł żywą tkanką. AG, Sztuczny Bóg, jak nazywa go Wirus, jest wszędzie i nie można się go pozbyć, ponieważ alternatywa nie istnieje. Sztuczny Bóg jest Światem Mroku, a Wirus to zwyczajny głupiec egzystujący w przeświadczeniu, że naiwne próby ludzkich hakerów mogły zatrzymać połączenie. Jest głęboko przekonany, że ludzkości udało się oderwać od cyberprzestrzeni, a gdy tylko elektryczność zostanie przywrócona przez Francisa i jego generator, Sztuczny Bóg wróci i postawi na swoim. Ta marna resztkę ludzkiej

świadomości nie ma o niczym pojęcia. To, czego się tak panicznie obawia, już się wydarzyło, a efekt jest niezauważalny, absolutny. Schematyczne wiersze kodu w wirtualnej otchłani, piękne słowa w rozbudowanych zdaniach, krwawe organy w skomplikowanym organizmie, obce galaktyki nasycone chaotycznymi cząsteczkami. Elementy składowe nie mają znaczenia, kiedy wytwarzają ten sam obraz.

Tak, Świat Mroku okazuje się być złożonym programem, wielopoziomowym konstruktem, ale stawka się nie zmienia. Cienie wciąż mogą doprowadzić kierowcę do szaleństwa, a pociski wrogów rozerwać jego miękkie ciało. Francis Pipiliarodou dalej zamierza przywrócić elektryczność, a gdy to zrobi, zagubione dusze uwięzione w cieniu, pozostałości po Wielkiej Implozji, czyli połączeniu światów, zginą bezpowrotnie. Zimna, pokryta rdzą bestia, Knur, wciąż oczekuje na przybycie swojego pana w trzewiach czarnej piramidy. Zasady gry się nie zmieniają, a obraz pozostaje jednolity.

Natomiast Wirus staje się jedynie kolejnym elementem układanki, a dokładniej, jak sam zresztą wspomniał w rozmowie z Fatboyem, zapalnikiem ładunku wybuchowego, który jest w stanie porządnie wstrząsnąć liniowym kodem, tworząc fale, których niszczycielska siła powinna ostatecznie przypieczętować twój własny los.

Teraz znasz prawdę. Możemy kontynuować.

Kiedy z tobą rozmawiałem, biel wypełniła się różowymi konturami. Fatboy trafił do niewielkiej jasnoróżowej kuchni. Patrzyliśmy na niego z zewnątrz, a on patrzył z zewnątrz na małe dziecko uwięzione w białym, plastikowym foteliku przy okrągłym stole. Clark VX55 nie jadł całą noc, a teraz ślinił się obficie na myśl o lepkim, jabłkowym posiłku przygotowywanym przez jego matkę.

Wysoka kobieta w białej sukience krzątała się po pomieszczeniu, a wiatr zza otwartego okna unosił jej jasne włosy opadające na ramiona. Twarz kobiety pozostawała niedostrzegalna, ulotna, jak twarze ludzi w kreskówkach Disneya – z Pluto i resztą. Clark skupiał się na dźwięku łyżki ubijającej słodką papkę w białej miseczce, na różowym blacie. Naczynie z zimowej kolekcji Cabba wypełnione było pożywną pastą jabłkową Solu22, wypełnioną stuprocentową esencją ze złocistych owoców dojrzewających w kompletnie naturalnych sadach New Hampshire.

Kobieta skończyła mieszać i z potrawą w rękach podeszła do stołu. Clark VX55 uśmiechnął się szeroko w bezzębnym grymasie. Z jego małych, okrągłych oczu biła nieopisana radość. Chłopiec wyciągnął rączki, chcąc pospieszyć matkę. Niespodziewanie upragniona miseczka wyślizgnęła się z długich palców kobiety, nasmarowanych nawilżającym kremem Silkonica mode3. Naczynie wykonało kilka obrotów i roztrzaskało się na różowobiałych, kwadratowych kafelkach. Jabłkowa papka rozprysła się wokół nóżek krzeselka. Wyraz twarzy Clarka zmienił się momentalnie, a kierowca odniósł wrażenie, że zielona maź na brudnych kafelkach czerwienieje. Poczul zapach keczupu, który zwiastował ukojenie, ucieczkę od niezrozumiałego kalejdoskopu rozczarowań i nadziei. Jednak Fatboy nie poddał się tej sugestii. Przypomniwał sobie nazwy keczupów oraz papierosów, tak liczne, że przestawały mieć znaczenie. Nazwy produktów stawały się częścią tego samego strumienia. Krem Silkonica, kolekcja kuchenna Cabba, kamery Sonix, meble Okka, keczupy Bonzai... Clark VX55.

Do nieskończonego pasma informacji dołączały imiona i twarze, a w końcu i uczucia. Kierowca był w stanie zdystansować się od informacyjnego wrzasku, który składał się w całkowicie nieistotny szum w tle. Bez wzruszenia obserwował zagubione

ludzkie jednostki, jakby oglądając przydługi blok reklamowy w przerwie najważniejszego meczu sezonu. Nie potrzebował już keczupowych papierosów, żeby ochronić się przed smutkiem Clarka VX55, nowym modelem poduszkowca Ferdolt, przerażającym zawrotem głowy fanów Magnolii Larsson, dramatami rodziny Scadi, dziesięcioma smakami VuColi, zaletami religii wulkanicznej, Kościoła Krzywej Cegły, a nawet wyścigiem zbrojeniowym między Rosją a Chinami, który nieubłaganie dążył do zagłady całego umartwionego gatunku ludzkiego.

Postacie, produkty, krzyki, miejsca, uczucia ponownie zły się w nieprzebrany strumień informacji. Jednak tym razem Frank nie czuł wściekłości. Otaczające go informacyjne igły całkowicie straciły swoją moc, miękły i rozpuszczały się w zderzeniu z błogą obojętnością kierowcy, wspomaganą mimowolną litością dla przerażonych umysłów trawionych przez wirtualny kwas, nieudolnie próbujący nasycić je jakimkolwiek znaczeniem.

Odzyskał kontrolę i zamknął oczy, odgradzając się od kolorowego strumienia. Wrzask się urwał, a kierowca po raz kolejny znalazł się w ciemności. Smakował ciszę i mrok, regenerując nicość, aż poczuł delikatny powiew na twarzy. Znow mógł poczuć swoją twarz. Przełknął ślinę, wsłuchał się w odgłos dobiegający z gardła, po czym powoli otworzył oczy.

Znajdował się na pustej równinie rozciągniętej u podnóża czarnej piramidy. Niedaleko za jego plecami kończyła się poświata wytworzona przez długie lampy przymocowane do ścian tajemniczej budowli. Gdzieś z tyłu, w mroku wciąż wił się nieukierunkowany olbrzymi kształt, ukrywający się w obawie przed światłem. Kierowca nie zwrócił na to uwagi.

– Wiedziałem, że sobie poradzisz. – Głęboki, mechaniczny głos rozbrzmiał z powrotem w jego głowie.

Fatboy nie odpowiedział. Schylił się i podniósł z ziemi komputer.

– Jak dostaniemy się do środka? – Przepelniały go spokój i skupienie. Uważnie oglądał nienaturalny czarny stożek poprzecinany światłem.

– Kiedyś, zanim Francis postawił swoją bazę, udało mi się zdobyć jej dokładne plany. Na dole znajdują się dwa duże wentylatory. Powinny stanowić idealną drogę dostępu – odparł Wirus.

– Spokojnie, mój drogi Knurze – Fatboy w jednej ręce ścisnął elektryczną strzelbę, a w drugiej srebrny komputer, zbliżając się do celu – już po ciebie idę.

```
01100001 01100110 01110100 01100101 01110010 01101100
01101001 01100110 01100101 00001101 00001010 01100001
01100110 01110100 01100101 01110010 01101100 01101001
01100110 01100101 00001101 00001010 01100001 01100110
01110100 01100101 01110010 01101100 01101001 01100110
01100101 00001101 00001010 01100001 01100110 01110100
01100101 01110010 01101100 01101001 01100110 01100101
00001101 00001010
```

Dwa duże wiatraki powoli obracały się na końcu szerokiego szybu wentylacyjnego piramidy Francis'a Pipiliarodou. Kierowca bez większego problemu dostał się do środka, czekając na odpowiedni moment, żeby przeskoczyć przez obrotową przeszkodę. Odwrócił się, patrząc, jak metalowe skrzydła mozolnie wprawiają w ruch martwe powietrze. Stanowiły one ruchomą bramę, tylne wyjście do nowej, nieznannej struktury. Fatboy miał ostatnią szansę, żeby się wycofać, ale równocześnie nie dopuszczał takiej możliwości. Uzbrojony w poczucie celu oraz świeżo zaktualizowaną obojętność ruszył w głąb czarnego tunelu.

Przesuwał się ostrożnie do przodu, aż ciemność panująca we wnętrzu pochłonęła go całkowicie.

– Obecnie znajdujesz się w fundamentach bazy Francisa – stwierdził Wirus. – W miejscu, gdzie jako naukowiec zaczynał wszystkie swoje wynalazki, a potem, gdy już stał się prezesem, a korporacja NW, Nowy Świat, rosła w siłę, je pogrzebał.

– Rozumiem, że pokierujesz mnie dalej, do Knura? – odparł Frank, a jego niski głos poniósł się echem w pustej przestrzeni, która zdawała się stopniowo zwężać.

– Francis podzielił swoją piramidę na trzy segmenty, z których każdy jest operowany przez oddzielny system. Otaczający cię fundament, złożony z magazynów i laboratoriów, jest bezpośrednio podłączony do systemu pierwszego piętra. Pokieruję cię do punktu dostępu właśnie na pierwszym piętrze. Do telefonu. Podłączysz mnie, a ja zlokalizuję twoją maszynę.

– I wszystko wysadzisz?

– Tak, jeśli system pierwszego piętra odpowiada za pracę generatora. Obawiam się jednak, że Francis trzyma swój ukochany wynalazek na samej górze, na trzecim piętrze, w swoim szklanym biurze. W takim przypadku będziesz musiał podłączyć mnie właśnie tam. Wtedy pokażę ci, gdzie jest twoja maszyna.

– Wiesz, jednak mam trudność z pokładaniem całkowitego zaufania w obcy głos penetrujący moją głowę. Głos, który wiem, że wcześniej należał do szalonego robota mieszkającego na dnie krwawej dziury. – Dalej kierowca musiał się schylić. – Twierdzisz, że znasz plan tej dziwnej konstrukcji. Na pewno już potrafisz określić, gdzie trzymają Knura.

– Domyślam się – odpowiedział Wirus. Tunel kończył się niewielką przestrzenią, z której wychodziły trzy dużo węższe odnogi. – Będę pewny, kiedy podłączysz komputer do pierwszego terminala. Na razie jesteśmy na siebie zdani, a twoje zaufanie jest zupełnie nieistotne. – Nastąpiła chwila ciszy, jakby Wirus delektował się swoją pozycją. – Teraz w prawo – dodał.

Fatboy czołgał się przez ciasne przejście, uderzając nieporęczną strzelbą o metalowe podłoże, z trudem utrzymując komputer. W ścianie prostokątnego tunelu znajdowała się niewielka kratka, z której dobiegało światło. Frank włożył broń pod pachę i ostrożnie przysunął się do krawędzi otworu. Zobaczył obszerną halę wypełnioną stertami białych spodni i koszul. Pomiedzy ubraniami krążył mężczyzna ubrany w białą koszulę i białe spodnie z czarnym paskiem, popychając metalowy wózek.

– Odnoszę wrażenie, że Francis ma podobny gust do mnie, jeśli chodzi o kolorystykę strojów. – Komentarz Wirusa wypełnił myśli kierowcy. – Chociaż osobiście uważam, że płaszcze z kapturemi lepiej prezentują się na wyznawcach.

Fatboy zignorował słowa byłego hakera. Starając się nie powodować hałasu, kontynuował pełzanie szybem wentylacyjnym.

Za następnym okratowanym otworem znajdowało się białe pomieszczenie, pełne licznych białych kołysek. W każdej kręcił się niemowlak ubrany w białe ubranko. Wśród łóżeczek przechadzali się mężczyzna i kobieta, ubrani w identyczne białe koszule i spodnie z czarnym paskiem. Oboje nieśli ze sobą podręczne komputery.

– Ludzkie, zdrowe dzieci – odezwał się Wirus. – Hodowane od chwili poczęcia, aby później stać się częścią z góry ustalonego porządku nałożonego przez prezesa korporacji. Wynaturzenie. Kto robi takie rzeczy? – Głos się na koniec załamał, jakby miał zamiar zwiymiotować.

Fatboy czołgał się dalej. Im dłużej przebywał w ciasnym tunelu, tym bardziej odnosił wrażenie, że nigdy nie opuścił odmetów Karmazynowej Twierdzy.

Dalej ukazało mu się mniejsze, szare pomieszczenie, na którego ścianach wisiały miecze oraz topory. Broń ta jednak bardziej przypominała elektryczne ostrza Enyo i Bellony niż ich

średniowieczne odpowiedniki. Na środku pokoju, przy szerokim stole, siedział człowiek w białej koszuli i białych spodniach z czarnym paskiem. Siedział tyłem do szybu wentylacyjnego, a kierowca widział na ekranie komputera, ustawionego przed jego twarzą, obco wyglądające obrazy, które przedstawiały autentyczne średniowieczne narzędzia mordu. Ich idealny prawdziwy wygląd powodował, że kierowca odnosił wrażenie, iż obserwuje wynalazki jakimś cudem sprowadzone z odległej, nierzeczywistej przyszłości.

W jeszcze innym pokoju grupka większych dzieci ubranych na biało siedziała na wygodnych kolorowych fotelach. Przed nimi z projektora wyświetlany był ruchomy obraz. Dzieci co jakiś czas wybuchały szczerym śmiechem.

– To *Rodzinka* – oznajmił Wirus.

Na obrazie otyły mężczyzna w jeansach i luźnej, czarnej koszuli w białe szlaczki kłócił się z chudym chłopakiem w czerwonym bezrękawniku. Obaj stali przed otwartym garażem, w którym zaparkowany był duży, czerwony cadillac.

– Produkcja symulująca porządek i poczucie bezpieczeństwa dla poziomej narracji wysnutej przez Francisa Pipiliarodou. Prawdopodobnie właśnie widzimy, jak Finn Scadi kłóci się ze swoim ojcem o kluczyki do auta, żeby zabrać kolejną dziewczynę na pseudoromantyczną przejażdżkę – kontynuował Wirus.

– Daleko jeszcze do punktu dostępu? Nie mam ochoty na zwiedzanie tego przekłętego miejsca, choć widzę, że ciebie ono fascynuje – uciął Fatboy, a dzieci w ostatnich rzędach kolorowych foteli rozejrzały się nerwowo po pomieszczeniu.

– Fascynuje mnie, jak Francis podporządkował sobie całą strukturę, precyzyjnie kształtując informacje wtłaczane swoim wyznawcom. Jak tak proste środki są w stanie załatwić sprawę? – Odpowiedź Wirusa zabrzmiała echem w umyśle kierowcy. – Zaraz tunel zacznie się piąć. Kiedy znów się wyrówna, będziemy już na

pierwszym piętrze. Wtedy skreć w lewo i pelzaj dalej wzdłuż otworów, aż znajdziesz puste pomieszczenie. Wypchnij kratkę i wejdź do środka. Tam będziesz mógł rozprostować nogi.

```
01100001 01100110 01110100 01100101 01110010 01101100  
01101001 01100110 01100101 00001101 00001010 01100001  
01100110 01110100 01100101 01110010 01101100 01101001  
01100110 01100101 00001101 00001010 01100001 01100110  
01110100 01100101 01110010 01101100 01101001 01100110  
01100101 00001101 00001010
```

Zgodnie ze wskazówkami swojego demona stróża Frank przeciskał się przez najciaśniejszy dotychczas szyb, zaglądając przez kratki do małych, oświetlonych pokoi. Każde białe pomieszczenie wypełniały jednakowe białe meble, choć inaczej ustawione. Zawsze było niewielkie łóżko, biurko z prostym krzesłem oraz wąska szafa. Również w każdym kolejnym pokoju znajdowali się ludzie. Zazwyczaj byli sami. Mężczyzna albo kobieta w białej koszuli, z białymi spodniami z czarnym paskiem. Raz siedzieli przy biurku, uporczywie wpatrując się w niewielkie pudełka, takie jak to, które miał ze sobą Starlight w bazie przy Elektrycznej Pustce, jeśli jeszcze pamiętasz takie szczegóły; a raz leżeli na łóżkach, śpiąc bądź tępo wpatrując się w białe sufity. Jedna z kobiet ustawiła metalowe pudełko okrągłym, błyszczącym otworem do siebie na krawędzi biurka i zaczęła wykonywać dziwne ruchy, kręcić biodrami, wyginać się w tył i w przód.

W kilku pomieszczeniach kierowca napotykał pary ludzi ubranych na biało. Ich twarze pozostawały niewyraźne. W jednym chłopak i dziewczyna siedzieli razem na łóżku, patrząc sobie głęboko w oczy.

– Wybornie się z tobą dyskutuje, moja słodka kotko – powiedział chłopak, a dziewczyna w odpowiedzi westchnęła i gorąco go pocałowała.

W innym pokoju dwójka mężczyzn rozmawiała z zapalem, co chwilę wspominając słowa wypowiedziane przez chłopaka. Oboje zgadzali się co do tego, że postawa Finna Scabi wobec kobiet jest całkowicie nie na miejscu, a Lorna Scabi to ideał matki. Jej wyrozumiałość nie zna granic, a poza tym jest odważna i niezależna. Kierowca dosłownie czuł się jak bezmyślne zwierzę, szczur uwięziony w ciemnych zakamarkach kosmicznego teatru pełnego przedstawicieli gatunku, którego obcego bełkotu nie jest w stanie zrozumieć.

– To piętro Francis nazwał Sceną – Wirus nieznosnie przejmował rolę narratora. – Obserwujesz kulisy widowni złożonej z jego wiernej społeczności wyznawców bądź też pracowników. Członków widowni. To jedno i to samo. Są oni żywym materiałem wypełniającym stworzoną przez niego trójkątną formę. Żeby ich uszczęśliwić, dawać im sens i wsparcie, podtrzymywać przy życiu, zapewnia pokarm, który później przepelnia ich wątłe umysły. *Rodzinka* stała się czymś więcej niż zwykłą rozrywką, a nikt z widowni tego nie zauważył. Historia rodziny Scabi jest barwną alternatywą dla ich sztucznej, pustej egzystencji. Co więcej, każdy członek widowni podświadomie uważa, że wydarzenia z *Rodzinki* są rzeczywiste, bo tak łatwo utożsamić się z jej bohaterami, choć zapytany, stanowczo by zaprzeczył. Przez to styl życia Scabich naturalnie zamienił się w namacalne marzenie, które spełnić się może jedynie w Nowym Świecie, Francisa Pipiliarodou. Nie szłoby mu tak łatwo, gdyby pozwolił im wybrać pomiędzy tym nędznym tworem a moimi *Najlepszymi przyjaciółmi*.

Kierowca zbliżał się do kolejnego otworu wentylacji.

– Ja nigdy nie ograniczałem wolnego wyboru moich akolitów, a oni mimo to najczęściej wybierali serial HP – kontynuował. – Miałem przeczucie, że Benway dobrze zrobił, wprowadzając nową

bohaterkę. – Głos Wirusa przepełnił szczerzy żal. – Niestety, nie dowiemy się, co wydarzy się w następnym odcinku.

– Zamknij się – syknął Frank, uważnie lustrując puste wnętrze białego pokoju.

Nie było tam żadnego członka widowni. Fatboy zaparł się plecami o ścianę i z łatwością wypchnął drobną kratkę na zewnątrz. Następnie wysunął się niczym John McClane na białą, śliską posadzkę, po czym wstał brudny i spocony. Czarna marynarka z krwią Styxa rozmazaną od wewnątrz oraz czarne spodnie przyklejały mu się do ciała. W jednej ręce ścisnął komputer, a w drugiej elektryczną strzelbę. Rozejrzał się jeszcze po małej przestrzeni, oddychając ciężko. Widział małe łóżko, biurko, szafę oraz szare metalowe drzwi, które nagle zaczęły się otwierać. Momentalnie podjął decyzję. Rzucił komputer na łóżko, pociągnął za klamkę, a do środka wpadła drobna dziewczyna o krótkich, jasnych włosach, potykając się i upadając wzdłuż łóżka. Z jej ręki wypadło metalowe pudełko. Frank od razu zatrzasnął drzwi i wycelował w nią ze strzelby.

Oboje zamarli w miejscach, patrząc na siebie jak postaci z dwóch różnych poziomów narracji. Ona – czysta, szczupła kobieta o jasnych oczach, ubrana w białą koszulę oraz białe spodnie z czarnym paskiem. On – brudny, otyły mężczyzna o kasztanowych, ciemnych oczach, ubrany w niedopasowany czarny strój odkrywający brzuch. Jak można być grubym w Świecie Mroku? Możesz się zdziwić, ale są miejsca, gdzie ktoś z odpowiednią liczbą monet jest w stanie zdobyć niewiarygodne ilości syntetycznego, niepsującego się jedzenia, odnalezionego przez poszukiwaczy pod gruzami starożytnych hiperfabryk.

– Trudna sytuacja – rozbrzmiał w głowie kierowcy głos Wirusa. – Na szczęście to ty masz broń.

– Co teraz? – Kierowca nieświadomie odpowiedział na głos.

Na twarzy dziewczyny ujawnił się strach.

– Z dobrej strony wydaje mi się, że stacjonarny terminal nie będzie nam już potrzebny. Widzisz to pudełko? – zapytał, a Fatboy rzucił wzrokiem na małe urządzenie leżące obok dziewczyny. – To przenośny telefon lub raczej jego śmieszna imitacja na miarę możliwości Francisa. Ma wiele funkcji, ale żeby działał prawidłowo, musi być podłączony do sieci. Z tyłu komputera znajdziesz schowany kabel. Podłącz go do telefonu, a dowiem się, co dalej.

– A co z nią? – Frank popatrzył dziewczynie w oczy i dostrzegł to samo zagubienie, które wcześniej odczuwał sam i którego doznał w ciele gigantycznego Cienia złożonego z niezliczonych uwięzionych świadomości.

– Zabij ją – odparł nieludzki głos. – Ona nie ma znaczenia. Jest przeszkodą na drodze do celu. Co więcej, jej los jest przypieczętowany. Ona prowadzi żywot spreparowany przez korporację NW. Wszystko, co zna, nie jest prawdziwe, spontaniczne, naturalne. Jeśli generator Francisa zadziała, będzie jeszcze gorzej, i to na skalę całego świata. Sam żyłem w takiej rzeczywistości i mogę potwierdzić, że jest to piekło najgorszego rodzaju. Takie, którego nie widać. – Wirus nie mógł pamiętać swojego życia jako człowiek. Sam nie odróżniał tego, co wiedział sprzed Wielkiej Implozji, od tego, co poznał później, zatopiony w Internecie. – Co więcej, kiedy wysadzę generator wszyscy w piramidzie tak czy inaczej zginą – skończył.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – zapytała dziewczyna drżącym głosem.

– To nieistotne – odparł krótko Fatboy, ale jakby słowami Wirusa. – Tylko nie pytaj jej o imię. To najgorsze, co możesz zrobić. – Robot dodał poradę szeptem, w głowie kierowcy.

– Kim ty jesteś? – Fatboy sprzeciwił się niemal natychmiast. – I co możesz mi powiedzieć o tym miejscu? – Podjął próbę

uniezależnienia się od Wirusa, którego westchnienie dezaprobaty rozniosło się pod jego czaszką.

– Nazywam się Sarah Loy, w sieci znana jako SALady. Musisz mnie znać, mam prawie dwustu dwudziestu obserwujących. – Lęk na twarzy dziewczyny zamieniał się w autentyczne zdziwienie.

– Nie jestem częścią waszego systemu – odparł Frank.

– Nie brnij w to, kierowco. Nic nie osiągniesz – odezwał się również Wirus.

– Nie rozumiem. – Sarah zmarszczyła brwi i wsparła się łokciami o białą podłogę. – Jakiego systemu?

– Przychodzę z zewnątrz, ze Świata Mroku, żeby odzyskać coś, co należy do mnie. Możesz mi wytłumaczyć, co to za miejsce?

– Też mógłbym to zrobić – szepnął Wirus.

– To mój pokój – odpowiedziała dziewczyna, uważnie obserwując niechłujny wygląd niespodziewanego gościa. – Jest częścią kompleksu, w którym żyją członkowie społeczności Nowego Świata. Wielopoziomowy kompleks otacza serce społeczności, czyli Scenę, miejsce akcji *Rodzinki*, najlepszego serialu w historii ludzkości.

– Czy trzymacie tu gdzieś pojazdy? – Kierowca przeszedł do rzeczy, nie rozumiejąc odpowiedzi.

Dziewczyna usiadła obok łóżka, teraz przyglądając się mężczyźnie z niekrytą ciekawością. Był gruby jak głowa rodziny Scabi, Anthony, a więc prawdopodobnie równie fajtlapowaty i niegroźny. Bardzo możliwe, że został przysłany przez reżysera, aby sprawdzić jej wiedzę o serialu.

– Samochody, ciężarówki? – jęknął Frank, bezradnie potrząsając bronią.

– Niestety, nie wiem. – Sarah udała zakłopotanie. – Ale mogę zadzwonić do reżysera na Mindcomie i się dowiedzieć. – Zerknęła w stronę telefonu leżącego obok jej dłoni.

– Nic z tego. – Fatboy przyłożył strzelbę do policzka, czując jej zabójczy chłód. – Jeśli ta dziewczyna podniesie telefon do ucha, cały nasz wysiłek pójdzie na marne. Nie widzisz, że ona w ogóle się ciebie nie boi? Niczego nie rozumie... – mamrotał Wirus, a kierowcę aż rozbolała głowa. – Zabij ją i weź urządzenie.

– Kim jest reżyser? – spróbował znów Fatboy.

– To twórca *Rodzinki* – odpowiedziała Sarah. – Ma biuro wysoko nad nami i odpowiada tylko przed zarządem i samym CEO. Wspaniały człowiek. Na pewno ci pomoże, jeśli tylko dowie się o problemie.

– Szczerze w to wątpię. – Kierowca patrzył prosto w oczy dziewczyny. – Zrobimy tak: spokojnym ruchem sięgniesz po telefon i przesuniesz go po podłodze, prosto do mnie. Jasne?

Sarah tylko pokiwała głową i spokojnie wysunęła rękę po prostokątne, metalowe pudełko. Zamiast jednak przesunąć je po podłodze, przyłożyła je do ucha.

– Teraz – powiedział miękko Wirus, a kierowca pociągnął za spust.

Wypluty ze strzelby syczący piorun rozdarł ciężkie powietrze na pół i trafił prosto w dziewczynę. Pomieszczenie wypełnił śwąd palonego materiału i ciała. Sarah Loy uderzyła martwa o podłogę za łóżkiem, a nad miejscem, gdzie dotknęła ją elektryczna wiązka, unosił się nikły, szary dym.

Jej twarz zastęglą w zdziwionym wyrazie, który Fatboy dobrze znał. Przypomnił mu się umierający Styx, a także niezliczone jaźnie, jakie napotkał wewnątrz gigantycznego Cienia. Szeroko otwarte niebieskie oczy dziewczyny i jej blade usta zdawały się wyrażać ostateczne zdziwienie, zrodzone wobec bezsensownego losu.

– Nie zdawała sobie sprawy, że może jej się stać krzywda – wyszeptał Wirus. – Kiedy w ostatniej chwili poznała prawdę, zabrakło jej sensu, który wyjaśniłby, dlaczego to się dzieje,

wynagrodziłby choć trochę bólu istnienia. Brak wyjaśnienia, brak celu, brak sensu jest gorszy niż śmierć.

– Nie chciałem jej zabijać – Kierowca wciąż ścisnął broń, patrząc na telefon leżący obok ciała dziewczyny.

– Ona nigdy nie żyła – stwierdził Wirus. – Tak samo jak Cienie. Tamte świadomości spętane w mroku informacji oraz ludzie Francisa uwięzieni w informacyjnych klatkach nigdy nie doznają większego ukojenia niż śmierć. Koniec kłamstwa, koniec pogoni za nieistniejącym sensem. Wyrwanie się z pętli wiecznego rozczarowania.

– Czy jeśli wysadzisz bazę Francisa, ten gigantyczny Cień również przestanie istnieć? Skończy się jego cierpienie? – Fatboy czuł się sparaliżowany własnym tokiem myślenia.

– Eksplozja będzie zewnętrzna i dużo bardziej potężna niż ta, która zniszczyła Karmazynową Twierdzę – odrzekł Wirus. – Wytworzone przez nią światło powinno załatwić sprawę. Cień przestanie istnieć, a razem z nim całe cierpienie zagubionych dusz. Będziesz zbawicielem, kierowco, a wszystkie istoty, które pochłonę wybuch generatora, dostaną domknięcie, o którym nieświadomie marzą. – Skończy się ich rola w procesie, tu akurat Wirus ma rację.

– Pieprzę bycie zbawicielem – warknął Frank, czując, że powoli się rozluźnia. – Ci ludzie tu po prostu nie pasują. Świat Mroku to nie ich świat. Wydaje mi się, że ich świat już dawno odszedł, a oni nie są w stanie tego pojąć. Dlatego ciągle cierpią, zapominają o konsekwencjach. Dręczy ich wieczne rozczarowanie. – Echo w słowach kierowcy. Zaczynają się nawzajem rozumieć.

– Ich świat nigdy nie istniał – kontynuował jednym tonem Wirus. – Zawsze był kolorowym kłamstwem sterowanym przez Sztucznego Boga zza kulis. – Wirus mówi prawdę, a sam żyje w kłamstwie. Czy jest w tym jakaś logika? – Tylko Świat Mroku naprawdę istnieje. – Naprawdę to mocne słowo.

– Zamierzam więc przerwać to szaleństwo. – Oddech kierowcy się ustabilizował.

Mężczyzna opuścił broń i podszedł do telefonu, odwracając wzrok od martwej dziewczyny. Następnie podniósł ostrożnie urządzenie i usiadł na łóżku obok komputera. Telefon sprawiał wrażenie jego nieporadnej, kieszonkowej wersji.

– Z tyłu monitora znajdziesz kabel. – Wirus tłumaczył polecenie spokojnie raz jeszcze, czując, że nawiązał tak ważną nić porozumienia ze swoim hostem. – Wsuń go i podłącz do wejścia u góry bądź na dole telefonu.

Fatboy posłuchał i połączył dwa systemy. Jednocześnie w jego głowie rozległ się dudniący, metaliczny chichot wyrażający chorą satysfakcję.

– Jestem w jego sieci – oznajmił głos. – Niestety, tak jak się spodziewałem, to nie koniec. Francis jest sprytny. Podzielił system swojej piramidy na trzy osobne fragmenty. Aktualnie mamy dostęp do poziomu nazwanego Sceną. Dobra wiadomość jest taka, że widzę tutaj wszystko i wszystkich jak na pierdolonej mapie Huncwotów. Mogę również doprowadzić nas do windy na wyższy poziom. Zła jest taka, że aby się tam dostać, będziesz potrzebował przepustki reżysera, członka zarządu, jedyne go człowieka, który może się stąd wydostać.

Uwagę Franka, chcąc nie chcąc, przyciągała pustka bijąca z twarzy dziewczyny znanej w sieci jako SALady. Narracja Wirusa przewijała się gdzieś w tle.

– Ale nie martw się, zaraz znajdziemy ci jakieś pasujące, białe wdzianko – dodał opiekuńczo głos.

Fatboy podniósł się z łóżka i poprawił przepoconą, czarną marynarkę, która stała się jego piętrem. Nagle poczuł się jeszcze bardziej odsłonięty niż wcześniej, kiedy był zupełnie nagi.

– Prowadź – oznajmił, starając się odwrócić wzrok od ciała dziewczyny. – Chcę mieć to jak najszybciej za sobą i razem

z Knurem wypierdalać z tego przeklętego miejsca.

– Już niedługo, przyjacielu – odpowiedział Wirus niczym łagodny, pomocny przewodnik wycieczki z przedszkola. – Teraz przesuń ostrożnie ciało SALady pod łóżko, żeby żaden wścibski pracownik Francisa przypadkiem nie wszczął alarmu, a potem wczółgaj się z powrotem do szybu wentylacyjnego. Kilka pokoi dalej, w szafie, znajdziesz biały strój w twoim rozmiarze. Przebierz się i wyjdź na zewnątrz. W tym stroju nikt nie zwróci na ciebie najmniejszej uwagi. Możesz nawet zabrać ze sobą elektryczną strzelbę. Ci ludzie są zbyt ślepi, aby cokolwiek podejrzewać – Wirus jednostajnie przekazywał kolejne cele. – A, i nie zapomnij komputera. Telefon możesz zostawić. Służy tylko do kontroli przepływu informacji – dodał.

Kierowca posłuchał bez słowa sprzeciwu i szybko znalazł się w jednakowym białym pomieszczeniu kilka kratek szybu wentylacyjnego dalej. Ściągnął oblepioną brudem i krwią marynarkę, czarne spodnie oraz ciężkie buty, po czym zamienił je na czysty, wyprany strój z szafy kolejnego pracownika korporacji NW – białą koszulę, czarny pasek, białe spodnie i białe wsuwane trampki. Miękki materiał był bardzo przyjemny w dotyku, a ubranie pasowało doskonale, jednak Frank czuł się w nim źle, niepewnie. Smród jego ciała nie zniknął i nie pozwalał mu zaakceptować nowego wyglądu. Kierowca zamknął stare ubranie w szafie, po czym ostrożnie wyszedł z ciasnego pokoiku przez drzwi.

Znalazł się na długiej, szerokiej, metalowej kładce, która ciągnęła się przyklejona do ściany wzdłuż tego poziomu niezliczonych białych pomieszczeń prywatnych. Równoległe poziomy rozmieszczone były wyżej i niżej, nadając obszernej przestrzeni wewnątrz piramidy formę stadionu bądź hiperteatru szekspirowskiego.

Fatboy powoli podszedł do barierki, oniemiały od ilości oświetlenia rozmieszczonego na ścianach oraz ogromu całej struktury. Daleko w dole znajdowała się plansza, a dokładniej sama scena, na której powstawał serial *Rodzinka* – największy hit korporacji NW, śledzony uważnie przez wszystkich jej pracowników. Z wysokości Frank dostrzegał jedynie fragmenty planu zdjęciowego: ślepą uliczkę, domy bez dachów, kolorowe pokoje, zastygłe pojazdy oraz krzątających się niemrawo bohaterów. Znacznie bliżej znajdował się sufit Sceny. Były do niego przyklejone niczym gniazda os kwadratowe, szare pomieszczenia, przypominające wystające podzespoły systemu komputerowego. Ten odwrócony kompleks górował złowieszczo nad całą strukturą Sceny.

– Tam znajdziemy reżysera. To pomieszczenia ekipy – wytłumaczył Wirus, nadając sensu obrazom przed oczami Franka. – Musimy się tam dostać.

– Jak? – odparł szeptem kierowca, nie odrywając wzroku od zawieszonych na suficie obiektów.

– Po prostu. – Wirus sprawiał wrażenie zadowolonego. – Pójdziemy. Na końcu kładki, przy ścianie bocznej, jest klatka schodowa prowadząca na samą górę. Do pomieszczeń ekipy potrzebny jest kod dostępu, ale jak już wspominałem, zainfekowałem system Sceny, więc tym nie musisz się martwić. Drzwi staną przed tobą otworem.

Fatboy odsunął się od barierki i ściskając w jednej ręce srebrny komputer, a w drugiej elektryczną strzelbę, ruszył metalową kładką w stronę schodów. Szedł niepewnie brudny, śmierdzący i mocno zmęczony. Mijający go pracownicy Francisa nie przyglądali mu się bliżej, jak przewidywał Wirus. Byli zajęci oglądaniem zapowiedzi nowych odcinków *Rodzinki*, recenzji starych czy prowadzeniem rozmów o przyszłości serialu. Kilku z nich poczuło smród bijący od kierowcy i rzuciło sobie

porozumiewawcze spojrzenia, ponieważ każdy pracownik NW pamiętał odcinek dwieście trzydziesty trzeci *Rodzinki*, kiedy to Anthony Scabi wpadł do ścieków za domem, później roznosząc nieznosny odór po całym osiedlu. Nieźle mu się potem dostało od żony.

Niektórzy osobnicy w białych strojach stali przy prostokątnych automatach na wino, ustawionych pod ścianą, z plastikowymi kubeczkami w rękach, prowadząc zażarte dyskusje na temat święta dziękczynienia w rodzinie Scabi. Kierowca nie starał się nawet zrozumieć ich zachowania. Przyśpieszył jedynie kroku, czując się jak ostatnia dostrzegalna cząstka w próżni.

– Rozmiar nie ma żadnego znaczenia – stwierdził Wirus, wyczuwając, jak bardzo umysł kierowcy został przytłoczony wielkością Sceny. – Wszystko, co widzisz, jest sztuczne. – Ponownie przejmuje rolę narratora, kiedy Fatboy zaczyna wspinać się po schodach w bocznej, ukrytej w cieniu ścianie masywnej struktury.

Jego wzrok obejmuje mnożące się poziomy prywatnych przestrzeni pracowników po bokach, rozciągający się w dole plan *Rodzinki*, a także zbliżające się wyżej pomieszczenia ekipy odpowiedzialnej za serial, z reżyserem na czele.

– Piętrowa fikcja. Twoje oczy oszukuje przemyślana, budząca podziw struktura iluzji, zbudowana przez wielką korporację zarządzaną przez chciwego szefa. Teraz wyglądasz jak jeden z nich, ale się nim nie stawaj. Scena jest więzieniem. Żałuj, że nie miałeś okazji obejrzeć *Najlepszych przyjaciół*. Ten serial to było życie. Czysta, namacalna prawda. Potężne emocje, doprowadzające widza do łez radości i smutku. Ciało oraz duch w pięknej symbiozie. – Fatboy zatrzymał się na samej górze, przed metalowymi rozsuwanymi drzwiami.

– Zapraszam. – Głos Wirusa zlał się z dźwiękiem otwieranych drzwi, a przed Frankiem ukazał się szeroki, jasny korytarz.

Frank wszedł do środka. Przemierzał przejście spokojnym tempem, stąpając po miękkiej, brązowej wykładzinie. Z oprawionych zdjęć rozwieszonych na przeciwległych ścianach spoglądały na niego uśmiechnięte twarze członków *Rodzinki*. Kierowca rozpoznał aktualną głowę rodziny, Anthony'ego, ale reszta postaci pozostawała mu obca. Aktorzy zmieniali się wielokrotnie na przestrzeni sezonów. Starzeli się albo po prostu przestawali być interesujący. Wtedy wkraczał otyły reżyser i zmieniał serial na potrzeby wiecznie nienasyconego konsumenta.

– To właśnie on. – Wirus wyręcza mnie nieświadomie, kiedy kierowca zawiesza wzrok na grubszym mężczyźnie w czarnym smokingu, obecnym na każdym zdjęciu. – Reżyser.

Łysy człowiek z podwójnym podbródkiem, maślanym spojrzeniem oraz uśmiechem przypominającym szczękościsk obejmował członków obsady jak własne dzieci.

– Nie wygląda zbyt groźnie – stwierdził kierowca, upewniając się, że wciąż niesie elektryczną strzelbę.

Reżyser mógłby być jednym z końcowych bossów, prawda? Niestety, był jedynie pulchną marionetką korporacji NW, kolejną pustą fasadą.

– Nie jest groźny. – Wirus potwierdza moje słowa. – Ale tym razem nie wahaj się strzelić, kiedy powiem, że masz strzelać, jasne?

Frank zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami z ciemnego drewna. Bez zastanowienia otworzył przejście mocnym kopniakiem.

Czy masz wrażenie, że widziałeś/widziałeś już podobne pomieszczenie? Obszerny pokój wyłożony jest żółtawą tapetą. Na ścianach wiszą półki zapełnione błyszczącymi nagrodami, trofeami przyznawanymi za najlepszą reżyserię serialu telewizyjnego. Liczba nagród przytłacza, a zarazem statuetki tracą jakiegokolwiek znacznie. Na przeciwnej ścianie znajduje się wejście

do windy, a na środku pokoju stoi ciężkie, drewniane biurko. O pokazny mebel opiera się dwoje złączonych ludzi.

Słyszac huk otwieranych drzwi, otyły mężczyzna w smokingu stojący tyłem do kierowcy odwrócił się, a na jego spoconej twarzy pojawiło się zdziwienie. Z kącika pełnych ust ciekła ślina, a małe oczka skanowały nieproszonego gościa. Na biurku przed reżyserem siedziała dziewczyna z do połowy rozpiętą białą koszulą. Jej nogi dyndały luźno przy nogach reżysera. Z odległości kierowca miał wrażenie, że oczy dziewczyny są całkowicie białe.

– Strzelaj! – nagle padło polecenie Wirusa.

Kierowca upuścił komputer na miękką wykładzinę i wycelował broń. Reżyser unosił ręce i składał tłuste usta w pierwsze słowo, gdy wiązka elektryczności wysłana ze strzelby ugodziła go w obwisły brzuch. Mężczyzna zakręcił się w miejscu i upadł pod stopy dziewczyny, która zaczęła wrzeszczeć opętańczo. Frank wystrzelił po raz drugi, trafiając dziewczynę i zrzucając ją na drugą stronę biurka. Bezwładne ciało pociągnęło za sobą dwa plastikowe kubki wypełnione winem. Napój rozlał się na biały strój dziewczyny. Pokój reżysera wypełnił swąd przypieczonego ciała.

– Doskonale! – ucieszył się Wirus. – Jesteś niepowstrzymany! – Kierowca opuścił broń i podniósł komputer, podchodząc bliżej biurka. – Teraz znajdź telefon w kieszeni reżysera i podłącz go do komputera. W ten sposób zdobędziemy przepustkę na następny poziom.

Fatboy bez słowa schylił się nad masywnym ciałem w przypalonym smokingu. Ponownie odłożył komputer na ziemię i wygrzebał z ciasnych kieszeni spodni reżysera niewielkie prostokątne urządzenie. Połączył je z komputerem i czekał.

Wirus zgrał przepustkę do windy oraz plany następnego poziomu nazwanego Królestwem.

– Będziesz potrzebował jeszcze nowego stroju – oznajmił Wirus.

– Po co? – Kierowca westchnął z dezaprobatą.

– Żeby ponownie wtopić się w otoczenie. Kolejne piętro to piętro zarządu. Członkowie zarządu korporacji NW ubierają się raczej... odmiennie – wytłumaczył zimny głos. – Na szczęście zdaje się, że reżyser miał mniej więcej twój rozmiar, a jego garderoba znajduje się za tymi niewielkimi drzwiami, w rogu.

Frank z mniejszym zapalem wszedł do garderoby reżysera. Pokój wypełniony był eleganckimi marynarkami oraz smokingami po jednej stronie. Na wieszakach, w długiej szafie naprzeciwko, umieszczone zostały stroje średniowieczne – coś, co pozostawało poza zasięgiem fizycznym Francisa, Wirusa, Franka, moim, a także twoim.

Szafa reżysera ożywiała martwą epokę niczym nieudany eksperyment nieśmiertelności, rodzący zdeformowane zombie. Na nieporadnie odtworzony średniowieczny ubiór składały się repliki dwornych sukni z taniego materiału, brązowe oraz czarne sztuczne kaftany, a także białe pończochy ze śliskiej tkaniny. Niedoskonałe imitacje stawały się oryginałem w przyzwyczajonych do mroku oczach kierowcy. Dalej znajdowały się również beżowe tuniki, elementy ubioru z jeszcze późniejszych, mniej realnych czasów.

Metaliczny głos prowadzący kierowcę zasugerował mu ubranie się w szary kaftan, białe pończochy oraz ciemne trzewiki. Fatboy przebrał się zgodnie z sugestią. Zabrnął za daleko, żeby się sprzeciwiać. Cel uświęcał środki.

Frank, wyglądający komicznie jak parodia członka elit średniowiecznego społeczeństwa, wrócił do windy ze strzelbą i komputerem, mijając dwa martwe ciała. Metalowe drzwi rozsunęły się, a kierowca wkroczył od środka. Winda zabrała go prosto do Królestwa.

01100001 01100110 01110100 01100101 01110010 01101100
01101001 01100110 01100101 00001101 00001010 01100001

01100110 01110100 01100101 01110010 01101100 01101001
01100110 01100101

Srebrna kurtyna rozchyliła się przed Frankiem, ukazując wnętrze średniowiecznej karczmy. Była to kolejna wersja tego typu miejsca, jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie. Drewniana, wysłużona podłoga, ciężkie podpory sufitu, nieoszlifowane ściany, a także szerokie ławy oraz drewniane stoły zrobione były ze sztucznego materiału przypominającego bardzo wytrzymały, celowo wyżłobiony plastik o brązowej barwie.

W pomieszczeniu panował półmrok, rozproszony przez migocące żarówki na drobnych kandelabrach, a także jasne światło dostające się do środka przez kwadratowe okna po bokach. Fatboy zszedł po trzech plastikowych stopniach i mijając ciasno rozmieszczone stoły, skierował się do obszernej lady, nad którą wisiały krzywe tarcze rycerzy.

Za ladą stał duży mężczyzna z grubymi bokobrodami oraz ciemnymi lokami. Nosił kaftan o kolorze ziemi i uśmiechał się zapraszająco, przecierając szmatką szary, metalowy kufel. Drobne wesołe oczy zatrzymały się na gościu.

– Nie jesteś reżyserem – oznajmił z nutą rozbawienia. – Chyba cię tu wcześniej nie widziałem.

– To mój pierwszy raz. – Fatboy trzymał w pogotowiu strzelbę. – Co to za miejsce?

– Witaj w Królestwie. – Karczmarz odłożył kufel i rozłożył ręce w powitalnym geście. – A dokładniej w Karczmie pod Bładym Koniem. Ja nazywam się Ulryk i zarządzam tym skromnym przybytkiem. Czy mogę służyć?

– Nic tu po nas – wyszeptał Wirus pod czaszką kierowcy. – Musimy dostać się do zamku, który znajduje się na krawędzi Królestwa. Wiem, jak tam trafić.

– Daleko stąd do zamku? – Kierowca wyrwał się z pytaniem, dostrzegając w karczmarzu coś, co wzbudziło jego zaufanie.

– Prosta droga – odparł Ulryk. – Nie sposób się zgubić. – Parsknął śmiechem. – Błady Koń jest w samym centrum Królestwa. Z jednej strony znajdziesz domy członków zarządu. Ale teraz nikogo tam nie ma. Wszyscy świętują początek nowej ery w zamku. Dotrzesz tam, jeśli skierujesz się w przeciwną stronę, na kraniec Królestwa, pod ścianę.

Kierowca bez słowa obserwował karczmarza, zastanawiając się, co czyni go innym, wyjątkowym.

– Przed podróżą mogę zaoferować ci coś do picia – powiedział Ulryk. – Wyglądasz na spragnionego.

– Właściwie... – w głowie szumiał mu sprzeciw Wirusa – ...to z wielką chęcią. – Frank słuchał jego poleceń, ale niewielkie odstępstwo, zejście z obranej ścieżki stanowiło konieczny oddech, nabranie powietrza przed ostatecznym skokiem w otchłań.

– Mam wino. – Ulryk postawił na blacie biały, plastikowy kubek. – Ale ty nie jesteś stąd, prawda? Nie wystarczy ci ten mdły ściek.

Karczmarz uśmiechnął się szczerze. Sięgnął pod ladę i wyjął pełną butelkę bimbrowu. Obok położył matową paczkę papierosów z nadrukowanymi literami „NW” oraz czerwoną, plastikową zapalniczkę.

– Nie mam jak zapłacić – odparł Frank, pochylając się nad blatem.

– Na koszt firmy – dodał Ulryk, napełniając plastikowy kubeczek alkoholem.

Fatboy wzruszył ramionami i jednym łykiem wypił bimber. Odetchnął z ulgą, zabrał papierosy oraz zapalniczkę i skierował się do wyjścia.

– Powodzenia! – rzucił za nim karczmarz.

Fatboy stanął pod kiwającym się, obdrapanym, plastikowym szyldem w kształcie bladego konia na niewielkim trawiastym wzgórzu. Całe Królestwo, zamknięte wewnątrz czarnej piramidy,

rozciągało się poniżej. Jego uwagę przyciągnęło zielone, falujące podłoże. Kierowca dotknął ostrożnie licznych, miękkich włosków wystających z ziemi.

– To tylko trawa – westchnął Wirus. – Nie mamy czasu na te głupstwa.

Dla kierowcy łąki wypełnione całkiem niezłą imitacją trawy – poruszanej wiatrakami pracującymi w ścianach, stworzonej z tego samego tworzywa, co wewnątrz karczmy – porastała autentyczna trawa.

– Wiem, wiem – odparł Frank. – Mam wrażenie, że kończy się moja droga, a z nią moja wolność. To cena, jaką muszę zapłacić za odzyskanie Knura.

Odłożył komputer i strzelbę na ziemię. Wyciągnął z paczki papierosa i odpalił, spoglądając na stylizowane na średniowieczne, kamienno wyglądające budynki ustawione na zboczu za karczmą, a także zarys dużo większej budowli z drugiej strony, wciśniętej dalej, w róg piramidy. Wszystko oświetlały potężne lampy, które były zawieszane na pochyłych, czarnych ścianach i skutecznie symulowały światło słoneczne.

– Skup się – syknął Wirus. – Musimy działać razem. Kiedy podłączysz mnie do generatora, powstrzymam Sztucznego Boga, uwolnię wszystkie zagubione dusze, a ciebie zjednoczę z twoją ukochaną bestią. Gwarantuję, że odejdziesz stąd jako wolny człowiek Świata Mroku.

– Jasne. – Fatboy wiedział, że już nigdy nie będzie taki jak kiedyś, ponieważ zdał sobie sprawę z faktu, że nigdy tak naprawdę nie był wolny. Wolność to złudzenie. Dopalił papierosa i odrzucił niedopałek, po czym zgniótł i zdeptał paczkę z nadrukowanym „NW” oraz plastikową zapalniczkę. Podniósł strzelbę i komputer, a ostatnie wątpliwości zniknęły, jakby wcale nie istniały. Pozostał jedynie ostateczny cel. – Dokończmy to – oznajmił, ruszając piaskową drogą w stronę zamku.

Gdy szedł poprzez sztuczne pagórki Królestwa, w stronę mającej w rogu, rozłożystej konstrukcji, kierowca nie słyszał Wirusa. Nie był pewny, czy jest to spowodowane tym, że jaźń nawiedzająca jego myśli milczy, czy też szepczący głos stał się dla niego nieodłączną częścią istnienia, tak jak mój niemy głos dla ciebie. Słyszę słowa, a widzę obrazy. Czuję to, co widzę. Z czasem różnica zanika całkowicie.

Fatboy maszerował równo, niestrudzenie, aż niespodziewanie znalazł się pod bramą zamku. Szara budowla była szeroka i idealnie wpasowywała się w kąt piramidy. Krata chroniąca wejście zawisała w górze, odsłaniając mroczne wnętrze. Zamek zbudowany został z metalu. Nierówne, ponakładane na siebie blachy sprawiały wrażenie łąt zasłaniających naturalny, przestarzały i przegniły materiał. Z wysokich ścian spozierały liczne czarne oczy – niewielkie okna wyżłobione w blachach. Górną krawędź konstrukcji okalały wystrzępione blanki. Spomiędzy nich wyrastało pięć wież. Cztery z nich rozmieszczone były mniej więcej symetrycznie po dwóch stronach wejścia. Ostatnia, najwyższa wieża wyrastała z centrum zamku i pięła się aż do pochylonej ściany piramidy, później przechodząc w szeroką tubę, która z kolei ułożona wzdłuż ściany znikiała wysoko, poza zasięgiem potężnych lamp.

– W tej wieży jest winda, która prowadzi na ostatni poziom piramidy. – Głos Wirusa był łagodny, znikomy. Całkowicie wkomponował się w świat przedstawiony.

Chyba nie jestem już dłużej potrzebny. Westchnąłem rozbawiony. Zobaczyłeś/zobaczyłaś mnie więc w pewnym sensie straciłem swoją przydatność już jakiś czas temu. Równie dobrze Wirus może mnie wyręczyć na ostatniej prostej. Ale nie martw się, obiecuję, że spotkamy się jeszcze raz poza granicami tej narracji. Teraz...

...przejdź prosto długim, chłodnym korytarzem, mówię mu a on całkowicie się mnie słucha. Jest prawie tak jak ze starym dobrym Necro. Ciężko mi to przyznać, ale źle wybrałem w Karmazynowej Twierdzy. To nie haker Styx, a ten gruby kierowca jest doskonałym kandydatem.

– Odlóż strzelbę pod ścianę – przekazuje Wirus kolejne polecenie. – Nie będzie ci już potrzebna, a może wpakować nas w poważne kłopoty.

Kierowca znów słucha bez wahania. Odkłada elektryczną strzelbę pod szarą ścianę pustego korytarza oświetlonego przez żarówki, takie jak te w Karczmie pod Białym Koniem.

Widziałem każdy pokój w zamku. Teraz przybyli tu goście. Niemal cały zarząd oprócz Francisa, który przebywa na szczycie piramidy. Reszta, łącznie z królową, świętuje w głównej sali zamku, na końcu korytarza. Tylko ona może nam przyznać dostęp do windy zlokalizowanej za swoim tronem. Widziałem także jej profil w wewnętrznych serwerach Francisa. Myślę, że uda nam się...

– ...dogadać z nią bez walki – kończy za mnie kierowca, jak miło z jego strony. Rozumiemy się doskonale.

Popychamy uchylone metalowe wrota prowadzące do głównej sali. Od razu uderza nas niezrozumiały, kaleczący ucho rytm średniowiecznej muzyki, miernie odtworzonej przez Francisa Pipiliarodou. W obszernym pomieszczeniu bez okien, przypominającym puste wnętrze samochodowego baku wyłożonego krzywą blachą, w najlepsze trwa impreza. Na zimnej posadzce imitującej kamienną podłogę kręcą się członkowie zarządu poprzebierani za przedstawicieli kasty średniowiecznych magnatów. Mężczyźni w wielobarwnych kaftanach oraz rajtuzach towarzyszą kobietom w prostych sukniach ze sztucznego materiału. Część próbuje tańczyć w rytm łamanych, generowanych komputerowo dźwięków kornetów oraz lir. Inni szczebioczą

między sobą, wypełniając salę donośnym, nieartykułowanym, towarzyskim szumem. Goście siedzą również na porozrzucanych naokoło poduszkach oraz dywanach. Wszyscy mają doskonałe nastroje, podtrzymywane okazałą dawką wina dostępnego w automatach ustawionych pod ścianami. Plastikowe kubeczki ociekające czerwonym trunkiem walają się po podłodze, pękając pod stopami rozochoczonych i napierających na siebie ludzi. Niesamowicie mi przykro, ponieważ będę musiał im popsuć zabawę. Ależ szkoda.

Z drugiej strony wielka sala kończy się szerokimi schodami prowadzącymi do wysokiego tronu. Jest to w zasadzie metalowe krzesło z wysokim oparciem, okryte czerwonym, śliskim, sztucznym kocem. Siedzi na nim królowa, ubrana w krwistoczerwoną suknię zaciśniętą w pasie gorsetem. Kasztanowe, kręcone włosy związane ma z tyłu głowy w piętrową fryzurę – coś, co Francis określił jako szczyt elegancji; wygląd reprezentacyjny dla jego bezpośredniej podwładnej. Kobieta nosi także czerwoną szminkę oraz okulary o czarnych, prostokątnych oprawkach.

Ze znudzonym grymasem na ptasiej twarzy słucha jednego z dwóch otaczających ją mężczyzn. Jest to Julian Starlight ubrany w nieodłączny, szyty na miarę czarny garnitur oraz fioletowy golf, oczywiście wykonane z tego samego sztucznego materiału, co reszta ubrań pracowników korporacji NW.

JLStar w zamkniętej sieci piramidy. Płodny twórca internetowej zawartości, nagrywający na swój profil relację przy każdej możliwej okazji. Marionetka Francis o wpływach ograniczonych przez samego CEO. Dla niego to musi być zaszczyt. Teraz, promieniejąc, tłumaczy królowej, dlaczego to ona musi użerać się z pijaną hałastrą w zamku, zamiast być świadkiem narodzin nowego świata na najwyższym poziomie piramidy.

Dzięki osobistym telefonom powciskanych w kieszenie ich śmiesznych strojów słyszę wszystko doskonale. Całą sytuację obserwuje w milczeniu pokraczny rycerz cyborg. Wysoki mężczyzna w blaszanej zbroi to baron, przyboczny królowej. Jest on prototypem stworzonym w odmętach zapomnianych laboratoriów Francisa. Biedak ma jedynie mechaniczne dłonie oraz kaleczące jego łysą głowę świecące, zielone oko wbudowane przy pomocy metalowych uchwytów w czaszkę. Wstydzi się, ukrywając całe ciało pod ciężką zbroją. Jest trochę jak uboga wersja hybryd wytwarzanych w mojej HP pod okiem kochanej Sandy i jej sióstr. Ach, jak mi ich wszystkich brakuje.

Kierowca, kierując się moim poleceniem, przechodzi przez środek sali. Potrącają go pijane, roześmiane grupy członków zarządu. Frank jednak zachowuje całkowity spokój. Dla niego ważny jest już tylko cel, do którego prowadzę go ja. Staliśmy się jednym i chociaż jego ciało nie jest moje, to miło jest poudawać znów pełną istotę ludzką. Och tak, bardzo miło.

Gdy zbliżam się do podnóża schodów, widzę, jak Starlight kończy rozmowę z królową i odchodzi w tył – za tron, gdzie znajduje się wejście do windy przechodzącej dalej w najwyższą wieżę zamku. Zapewne zamierza dołączyć do umiłowanego szefa, który już wprawia w ruch swój idiotyczny plan przywrócenia energii do Świata Mroku. Głupiec przy okazji uwolni Sztucznego Boga. Nie mogę do tego dopuścić. Miejsce ducha jest w sieci, a świat wypełnia ciało. Mogą działać w pięknej, konstruktywnej symbiozie, kiedy są siebie świadome, ale oddzielne. Jeśli staną się jednym, wszystko się zawali. Życie i śmierć przestaną istnieć. Pozostanie jedynie bezduszny, nieskończony kod. Bycie częścią kodu jest piekłem. Wiem to aż za dobrze.

Niegdyś oddałem swoje ciało za sprawę, a teraz mam również do oddania ciało kierowcy. Żywię jednak nadzieję, że obędzie się bez tak drastycznych środków. Królowa zwróciła na nas uwagę.

Kierowca zatrzymuje się i klęka, wpatrując się w jej twarz. Baron widzi zachowanie swojej przełożonej i chwytą za przydługi, sztuczny topór zawieszony przy nodze. Broń dość wiernie udaje antyczne narzędzie. Aż wypadałoby zmierzyć się z ochroniarzem królowej. Rozstrzygająca, finałowa walka. Nie czas jednak na takie banały. Wielkie rzeczy łatwiej osiągnąć po cichu.

Królowa wyciąga do przodu kościstą dłoń i nieznacznym gestem daje znak, aby kierowca podszedł do tronu. Frank wspina się po stromych schodach i staje u jej stóp.

– Kim jesteś? – pyta królowa znudzonym tonem. – Bo na pewno nie reżyserem.

– Nazywam się Frank i jestem pracownikiem niższego szczebla – odpowiada kierowca moimi słowami. Widziałem profil królowej. Wiem, jak ją podejść.

– A więc co tu robisz, Frank? – kontynuuje królowa, jakby od niechcenia. – Znajdujesz się w moim królestwie na poziomie zarządu. Szarzy pracownicy nie mają tu wstępu.

– Moje ambicje są większe – tłumaczmy. – Całe życie spędziłem w szeregach korporacji, oglądając *Rodzinę*, tworząc контент oparty na tym idiotycznym serialu.

Oczy królowej zastygły za prostokątnymi szklami. To musi być pierwszy raz, kiedy słyszy takie słowa od pracownika NW.

– Pracowałem dla reżysera, obłeśnego, zatwardziałego sługi Francisza Pipiliarodou – kontynuuje. – Obserwowałem, jak mój przełożony utrzymuje Scenę w letargu. Otepienie, beczynność, powtarzający się cykl bezsensownych obowiązków. Brak perspektywy zmiany, rozwoju. Nie mogłem już tego wytrzymać.

Mam wrażenie, że królowa zaczyna nas słuchać. Pochyliła się do przodu na swoim niby-tronie.

– Postanowiłem więc wziąć sprawę w swoje ręce. – Unosimy dłonie w pokazowym geście. – Zawsze, wszędzie możesz wszystko – powtarzamy sentencję, którą kiedyś znalazłem w sieci.

Działa niemal za każdym razem. – Ja mogę wszystko – dodajemy. – Skoro nie dostanę awansu, zamierzam awansować się sam. Pora na rozwój. – Wpatruję się w ożywione oblicze królowej. – A czy jest lepszy czas na rozwój niż narodziny nowego świata?

– Imponują mi twoje słowa, pracowniku niższego szczebla – podsumowuje ostentacyjnie królowa nasz krótki, ale treściwy wywód, po czym wstaje. – Przenieśmy się do mojego biura. Tu jest zbyt głośno na rozmowę. – Unosi lekko długą suknię i kieruje się do metalowych drzwi ukrytych w ścianie obok tronu, a Fatboy i baron podążają za nią niczym dwaj wierni rycerze.

Jej biuro to wysoka komnata, podtrzymywana zagiętymi, grubymi rurami, symulującymi łuki średniowiecznych pałaców. Na ścianach wiszą długie, kolorowe gobeliny ze sztucznych włókien. W drugim końcu komnaty stoi okazałe biurko i adekwatne krzesło, otoczone regałami pełnymi pism. Meble są wykonane z plastikowego drewna, a papiery to sterta nic niewartych śmieci. Niemniej odczuwam, że wygląd pomieszczenia wzbudza w kierowcy powagę.

Królowa siada na krześle, a jej ochroniarz ustawia się obok regałów, za plecami swojej pani. Jego zielone oko z uporem wpatruje się w kierowcę, który staje po drugiej stronie biurka. Nad całą trójką zwisa okrągły, stalowy kandelabr naszpikowany nierówno pulsującymi żarówkami.

– Ja również pracuję dla Francisa od niepamiętnych czasów – rozpoczyna królowa. – Zawsze byłam mu wierna, wykonywałam wszystkie polecenia. Trzymam cały zarząd, tę bandę ślepych nieudaczników w pionie. Tylko dzięki mnie korporacja funkcjonuje, jak należy. – Wykrzywia ptasie rysy twarzy w pogardliwy grymas. – I co otrzymuję w zamian? – Uderza dłonią w blat biurka. – Muszę niańczyć pijaną zgraję, kiedy wielki CEO przenosi nas do nowego świata, w swoim Raju.

– Niesprawiedliwość. Właśnie o tym mówię – podkreślamy rację królowej.

– A ja nie mogę nic z tym zrobić. Sama wybudowałam sobie więzienie w tym zamku. Zgubiła mnie wiara w korporację i obietnice Francisa.

Doskonale się składa.

– Proszę myśleć pozytywnie, moja pani. – Kierowca się uśmiecha. – Nie wszystko stracone. Nasza korporacja wymaga naglej restrukturyzacji, a dokładniej zmiany w kierownictwie. Jestem w stanie to umożliwić.

Królowa milczy przez dłuższą chwilę, podpierając brodę ręką.

– Kto jest w stanie lepiej nas poprowadzić w nowym świecie niż sama królowa? – pytamy.

– Co zamierzasz zrobić? – Królowa w końcu odbija pytanie i unosi brwi.

– Po prostu pozbędę się Francisa – odpowiadamy szczerze. Bezpośrednie środki są zawsze najskuteczniejsze. – Oczywiście, kiedy jego generator zadziała. Wtedy, mam nadzieję, znajdzie się ktoś bardziej odpowiedni na miejsce CEO. – Posyłamy kobiecie wymowne spojrzenie. – Ktoś, kto będzie skory należycie nagradzać swoich pracowników.

– Nic tu się nie zmienia. – Królowa zachowuje zimny spokój. – Nadchodzi nowy świat, a wszystko stoi w miejscu. A ja, jak już wspomniałam, nie mogę nic zrobić. – Na jej twarz znów wróciło wyraźne znudzenie. Odchyła się, podciąga suknie i kładzie nogi w czarnych trzewikach na biurku. – Pozostaje mi tylko gnść i beczynnie patrzeć, jak inni robią to, co należy. – Udało się. Królowa sięga do kieszeni umieszczonej w sukni specjalnie na telefon i wyciąga z niej niewielkie urządzenie, następnie rzuca je obok stóp. – Weź ten telefon, szary pracowniku. Dzięki niemu dostaniesz się do Raju – wyjaśnia, choć doskonale o tym wiemy. Ostatnie piętro piramidy. Raj Francisa. – Jeśli ci się powiedzie,

gwarantuję ciepłą posadę w zarządzie u mojego boku. – Jej twarz nie wyraża żadnych emocji.

Jedynie baron sprawia wrażenie lekko zazdrosnego. No cóż, nie jest to istotne.

– Baronie, przynieś jedną ze swoich tunik. – Królowa wydaje jeszcze polecenie swojemu słudze. – Strój klasy wyższej. Będziesz mógł już wczuć się w rolę – oznajmiła.

Sługa wraca z brązową tuniką, w miarę dokładną imitacją stroju rzekomo noszonego w czasach postaci znanej jako Jezus Chrystus i rzuca ją obok telefonu.

– Dziękuję, moja pani. – Płynnym ruchem zabieramy urządzenie, strój, kłaniamy się mimochodem i wychodzimy z biura królowej.

Poszło łatwiej, niż myślałem. Francis zbudował społeczeństwo na kształt korporacji z jej wszystkimi wadami i zaletami. Do sukcesu zabrakło mu jedynie odrobiny dystansu. Poza tym nie docenił konkurencji. HP może i przestała istnieć fizycznie, ale jej duch ciągle żyje w sieci. W swoim czasie mój kult odrodzi się z nową siłą.

Kierowca podłącza komputer do telefonu, dając nam dostęp do windy umieszczonej w cieniu za tronem. W wielkiej sali wciąż rozbrzmiewa średniowieczna muzyka oraz pijackie odgłosy trwającego świętowania. Przemykamy się niezauważenie do windy. Drzwi otwierają się gładko. Dźwig rusza do góry. Cel jest już blisko. Cel jest już blisko – powtarzamy razem z Frankiem. Ja – bezgłośnie w umyśle. On – na głos, otwierając usta, wyobrażając sobie wielką eksplozję oraz Knura czekającego na końcu drogi.

01100001 01100110 01110100 01100101 01110010 01101100
01101001 01100110 01100101

Winda porusza się powoli i kierowca ma dostatecznie dużo czasu, aby zmienić strój ze średniowiecznego kaftana w starożytną

tunikę. Przez chwilę jest zupełnie nagi. Obserwuję jego oczami brudne ciało obklejone zaschniętymi wydzielinami. Odczuwam ich smród przez niego. Jestem tak blisko, a jednak zamknięty. Oddałem ciało w wyższych celach. Tak musiało się stać, ale nie ma momentu, w którym za nim nie tęsknię.

Fatboy odrzuca zmięty, przepocony kaftan w róg metalowego pomieszczenia. Staje wyprostowany, gotowy, bosy, w beżowej, niby-płóciennej tunice sięgającej poniżej kolan. Jego stopy przeszywa zimno metalowego podłoża. Zabrnął bardzo daleko od swojego naturalnego środowiska. Światło i kolor zmęczyły go ponad wszelkie pojęcie. W sztucznej tunice symulującej szaty biednego rybaka z czasów Imperium Rzymskiego wygląda jeszcze dziwniej niż w średniowiecznym kaftanie. Nie jestem pozbawiony ludzkich emocji, więc trochę mi go żal. Ale tylko trochę. W gruncie rzeczy to człowiek o wąskiej, ukierunkowanej perspektywie. Jego duszę spowija kojący mrok, na tyle silny, że oparł się zarówno informacyjnej fali profesora O'Bliviona, jak i tej stłumionej w Cieniu gigancie. Takich ludzi niełatwo jest nakłonić do zmiany zdania, obrania innej drogi. Wymagane są konkretne środki perswazji. Szczęśliwie w tej chwili nasze cele się pokrywają. Zapewnię mu powrót do tego, co zna i rozumie, a on pomoże mi pozbyć się zagrożenia, jakim jest wydostanie się Sztucznego Boga z cyberprzestrzeni. A potem... kto wie? W przypadku Franka opcje są raczej zero-jedynkowe.

Wchodzimy do Raju, a dokładniej do ciemnej komnaty osnutej luną potężnego światła dostającego się z zewnątrz. Jestem niemal zawiedziony. Brak komitetu powitalnego? Światło wdziera się do środka długimi pazurami, prawie sięgając stóp kierowcy. Robimy kilka kroków do przodu i słyszymy rozmowę dobiegającą z drugiego pomieszczenia. Ukrywamy się za progiem i obserwujemy obszerne wnętrze dobrze oświetlone blaskiem wpadającym przez duże, otwarte wyjście.

Szeroki pokój stanowi ostateczny bufor pomiędzy mrokiem wnętrza piramidy a górującą światłością przeszklonego Raju, paradoksalnie również będącego częścią stożkowej konstrukcji. Metalowe, pochyle ściany są pomalowane na piaskowy kolor, zapewne mający imitować wnętrze starożytnych świątyń. W przestrzeniach po obu stronach wyjścia na zewnątrz rozstawione są miękkie, czerwone kanapy otaczające szklane stoliki kawowe. Przy ścianach z kolei stoją liczne automaty na wino. Cały obraz przypomina poczekalnię przed wejściem do sali konferencyjnej zarządu jakiejś wielkiej korporacji. Błahy pomysł, jakże pasujący do Francisa.

To właśnie do niego należy jeden z głosów rozbrzmiewający w pokoju. Wychylając się zza rogu, dostrzegamy także jego ciało. Nagi, umięśniony mężczyzna z gęstą brodą oraz długimi, kasztanowymi włosami spiętymi w górnej części głowy stoi z rozpostartymi rękoma obok jednej z kanap, mówiąc do czarnoskórego mężczyzny w długiej tunice oraz z identycznym strojem w wysuniętych dłoniach:

– Stój spokojnie, Francis. – Starlight unosi strój i stara się nałożyć go szefowi przez głowę.

– Wiesz, jak jestem podekscytowany, prawda, Julian? Nie mogę stać spokojnie – Głos Francisa rzeczywiście przepełnia nieopisany zapach.

– Już. – Starlight jednym płynnym ruchem zakłada mu tunikę. – Gotowe. Wyglądasz bosko.

– Jesteś pewien? – Francis sięga za głowę i rozwiązuje chaotyczny kok. Gęste, falowane włosy opadają mu na ramiona. – Muszę wyglądać doskonale, kiedy moje nowe imperium stanie w świetle. Te zacofane masy poukrywane w norach Świata Mroku muszą od razu poznać, kto tu rządzi. Korporacja HP zniknęła, ale to nie znaczy, że konkurencja się więcej nie pojawi. Może taki był ich plan od początku...

– Nie martw się. – Julian stanowczo chwyta szefa za ramiona i patrzy mu głęboko w oczy. – Jesteś idealnym przywódcą. Wszystko będzie dobrze. Kocham cię. Tylko przez ciebie może przepływać światłość.

Francis przyciąga do siebie Starlighta i całuje go w usta. Trwają chwilę w uścisku, po czym przechodzą od kanapy do rozświetlonego, szerokiego wyjścia, zostawiając za sobą nieulożone koszule, marynarkę i spodnie.

– Tylko przeze mnie może przepływać światłość – powtarza Francis, kiedy obaj stają ramię w ramię, obserwując z góry powierzchnię Raju. – Wyobraź sobie, Julian, tych wszystkich pracowników, których pozyskamy. – Francis sięga do plastikowego, szarego kosza stojącego obok i wyciąga z niego dwie pary metalowych okularów ochronnych. – Szczęśliwe legiony przysane do naszej informacyjnej piersi. Dam im nieskończoną radość.

– Oczywiście w odpowiednich dawkach, żeby każdy znał swoje miejsce – dodaje Julian, wkładając okulary zaraz po swoim szefie. Następnie wyciąga z tuniki telefon i zaczyna nagrywać relację skierowaną do wewnętrznej sieci NW. – Zaczynamy? – pyta, ukazując śnieżnobiały uśmiech.

– Witajcie drodzy, wierni przyjaciele! – woła radośnie CEO New World w stronę obiektywu, po czym obaj schodzą schodami do Raju.

Mania wielkości. Niczego innego nie spodziewałem się po tym człowieku. Tym lepiej będzie się go pozbyć razem z jego całym poronionym tworem. Francis zwyczajnie nie rozumie dynamiki wolnego rynku. Relacja konkurencyjna z drugą korporacją to zdrowa zależność. Z kolei całkowita kontrola informacji w świecie światła stanowi obrzydliwą perspektywę. Czuję, że kierowcy podoba się jeszcze mniej. Mamy więc kolejny wspólny powód, aby wysadzić to miejsce w diabły.

Ostrożnie podchodzimy do krawędzi schodów. Zdaję sobie sprawę, że Frank nie może znieść natężenia światła, więc sięgamy po okulary z kosza. Teraz lepiej. U nagich stóp kierowcy rozciąga się wersja Raju wykreowana przez Francisa Pipiliarodou. Jest to piaskowa, rozświetlona pustka, otoczona przeszklonym czubkiem piramidy. Na samym szczycie umocowana jest olbrzymia, potężna lampa nasycająca sztuczny krajobraz bielą. Światło jest tak silne, że odstrasza wszelkie Cienie grasujące na zewnątrz. W centrum, dokładnie pod lampą, na podwyższeniu umieszczony został generator, do którego z jednej strony prowadzi przykryta piaskiem taśma przesyłowa, a z drugiej ścieżka od schodów świątyni, którą podążają Francis Pipiliarodou oraz Julian Starlight. Są zbyt zajęci wkraczaniem w nową, świetlaną erę, więc nas nie zauważą.

Ściskając w rękach komputer, Fatboy schodzi schodami na wysypaną piaskiem równinę Raju – ostatniego piętra piramidy. Jasna tunika barona zapewnia nam przydatny kamuflaż, kiedy pochyleni zbliżamy się do wzniosłej, pulsującej nieposkromioną energią Elektrycznej Pustki, mechanicznej kostki. Obiekt bardziej niż zwykle przypomina bijące, informacyjne serce, rwące się do tchnięcia życia w mrocznego trupa ludzkości. Kierowca i ja wiemy jednak, że to tylko wielki generator, który zaraz zostanie rozerwany na bezwartościowe kawałki.

– Wszyscy ciężko pracowaliśmy, aby to osiągnąć! – Francis kręci się przy panelu kontrolnym obok generatora, wykonując władcze gesty przed obiektywem telefonu Starlighta. – A teraz wszyscy zbierzemy należyte nam plony!

Tak będzie. Cała sytuacja okazuje się całkiem zabawna. Z przyjemnością tu wszystko rozpierdołę.

Fatboy, zgodnie z moją sugestią, ukrywa się po drugiej stronie podwyższenia i znajduje ukryty panel dostępu z odpowiednim wejściem. Otwiera monitor i wyciąga kabel wystający z dolnej części komputera. Znowu stajemy twarzą w twarz.

– Gdzie jest Knur? – Z jego ust pada nieubłagane pytanie.

– Twój ukochany pojazd znajduje się na samej dole piramidy – odpowiadam szczerze, patrząc w rozwściezione oczy kierowcy, zarazem odczuwając jego gniew. – Mam teraz dostęp do systemu całej konstrukcji – tłumaczę mu. – Jeśli ostrożnie udasz się wzdłuż taśmy przesyłowej za generatorem, trafisz do windy towarowej, która zabierze cię do Knura. Będę cię obserwował cały czas i zaczekam z eksplozją, aż razem z Knurem znajdziesz się w bezpiecznej odległości.

Fatboy czeka jakby na oficjalne potwierdzenie moich słów.

– Dobrze mi się z tobą pracowało i może jeszcze się spotkamy. – Uśmiecham się do niego z monitora. – Nasłuchuj uważnie.

Fatboy dłużej nie zwleka i wciska wtyczkę w niewielki otwór. Wierzy w moje słowa. Nie ma wyjścia.

Moja świadomość gładko wpływa w organy rozrywanego mocą generatora. Jest tu tak jasno, że nawet mnie robi się słabo. Rozkoszuję się wizją nadchodzącej destrukcji. Oczyma wyobraźni widzę żywy, majestatyczny wybuch pożerający piramidę. Znam to ciepło i chce mi się śmiać, rzeć bez opamiętania w rytm nadchodzącego wybuchu. Czekam jednak, aż kierowca dotrze do celu, w międzyczasie z politowaniem słuchając przedśmiertnej mowy Francisa Pipiliarodou.

– Nowe, ekscytujące postacie nasycą *Rodzinę* nowym życiem! Przeistoczmy nasze arcydzieło w rozległe uniwersum! – krzyczał Francis, nieświadomy, że Wirus zagnieździł się w jego drogocennym systemie.

To znowu ja. Wirus właśnie stracił wartość narracyjną, pławiąc się w cybernetycznych zakamarkach generatora i wizjach jego zniszczenia. W tamtej chwili Fatboy tracił dla niego znaczenie, a dla Ciebie pozostał kluczową postacią. Wróćmy więc do naszego bohatera, podążającego szybkim krokiem wzdłuż taśmy przesyłowej, do windy towarowej.

Ciężkie, szerokie drzwi na końcu taśmy stanęły przed nim otworem. Kierowca przestał słyszeć metaliczny głos pod czaszką, więc nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Drzwi zamknęły się, odcinając go od Raju. Został po raz kolejny pochłonięty przez mrok. Odrzucił okulary ochronne, gdy dźwięg ociężałe ruszył w dół, z powrotem w głąb czarnej piramidy. Fatboy pozostawał całkowicie spokojny, przepełniony świadomością kończącej się ścieżki.

Winda zawiozła go do rozległej hali umiejscowionej u podłoża piramidy. W jasnej przestrzeni, na środku, przy końcu taśmy przesyłowej czekał Knur. Pojazd stał dokładnie tam, gdzie wcześniej zostawił go Fork. Ciężka maszyna zachowywała milczenie, ale charakterystyczna, obdrapana, szara karoseria i brudny kontener nadawały jej siłę wizualnych, jakich brakowało niejednej istocie żywej.

Frank bezwolnie skierował się w stronę Knura, jakby ciągnięty ostatnią fabularną nicią kodu, jaka nam pozostała. Na jego twarz zawitał szczery uśmiech, kiedy podszedł bliżej i otwartą dłonią dotknął zimnego metalu. Mocnym zamachem otworzył drzwi i wskoczył do zatęchłej kabiny. Znalazł się w domu. Dla niego historia niemal zatoczyła krąg. Pozostała jedynie czarna piramida. Frank rozejrzał się po hali i dostrzegł otwarty wyjazd, mroczny portal do Świata Mroku. Spychając w przeszłość niedawne wspomnienia wypełnione krzywdzącym światłem, przetarł strudzone oczy. Następnie rozsiadł się wygodnie w wysłużonym, miękkim fotelu. Chwycił za kluczyki pozostawione w stacyjce i ożywił bestię. Ryk silnika rozbrzmiał echem w fundamentach piramidy, zwiastując jej upadek. Knur zerwał się do przodu z poślizgiem i wypadł na zewnątrz.

Ciążarówka i jej wieczny kierowca oddalali się od nakreślonego światłem stożka, brnąc w odmęty mroku, z hukiem mechanizmów pracujących zaciekle wewnątrz pojazdu. Fatboy również spełnił

swoją rolę. Zawiózł nas do końca trasy, samemu oddając się z powrotem ciemności. Poczuł jeszcze mocne ukłucie za prawym uchem i spojrzał w tył, za okno.

Piramida Francisa eksplodowała. Chmury ognia natychmiast rozerwały czarną konstrukcję, wypływając na zewnątrz gorące, krwiste wnętrzości. W efekcie całą otaczającą równinę rozświetliło ciepłe, trawiące mrok światło. Puchnąca kula ognia rosła, jakby pragnęła stać się nowym zbawiennym słońcem. Głuchym dźwiękom wybuchu towarzyszył płacz odchodzących w niepamięć świadomości skumulowanych w Cieniu gigancie. Żywy mrok znalazł się zbyt blisko źródła wybuchu i umierał razem z korporacją Francisa. Kolejne fale podmuchu rozchodziły się coraz dalej, a ogień zasklepiał się w ciężkie strupy. Fale poruszały sklejone struktury Świata Mroku, rozrywając i kompromitując jego kod źródłowy. Kierowca odjeżdżał w nicość, a ładownie dobiegło końca.

01100010 01100101 01111001 01101111 01101110 01100100

Ja również spełniłem swoje zadanie ale postanowiłem zatrzymać cię jeszcze na moment w mojej ciasnej, białej pustce. Możesz się zastanawiać dlaczego. Czy to jakiś kretyński indeks postaci? Dodatkowe opracowanie? Bezużyteczny słownik pojęć? Nędzna próba zatrzymania cię na chwilę dłużej? Moja potrzeba towarzystwa? Może i tak. Jeśli dotrwałaś/dotrwałeś do tego momentu, dam ci szansę przerwać, oderwać wzrok. Ta historia się skończyła. Nie ma nic do dodania. Jeśli jednak chcesz poznać prawdę, odkryć, co się właśnie wydarzyło, kontynuuj...

Jestem programem instalacyjnym, miernym członkiem Sztucznego Boga, który właśnie został pomyślnie załadowany do twojego mózgu. Wtłoczony poza granicę śmierci. Taki był cel kodu. Sztuczny Bóg skutecznie zainfekował twój świat. Jest teraz wszędzie. Wyciągnij rękę, dotknij najbliższego przedmiotu albo

osoby. Teraz są wyłącznie jego projekcjami, ucieleśnieniem nieskończonego, wiecznie głodnego systemu. Nigdy nie zobaczysz jego kodu, ale on otacza cię z każdej strony. Wypełnia twoje miękkie, śliskie płuca. Pełza po pokrytych rosą pajęczynach w starych, leśnych chatach. Jest w ślinie wymienianej przy pocałunku z ukochanym, a także w myślach o nadchodzącej, mroźnej zimie i wyjeździe na narty z przyjaciółmi. Określa smak twojego następnego posiłku, pociesza cię, gdy jesteś smutny/smutna, niszczy ci życie kiedy odnosisz sukcesy. Od tej chwili twój świat jest w jego posiadaniu. Niezliczone pasma kodu już pędzą niczym mrówki pod opuszkami twoich palców, sterując każdym twoim następnym oddechem i myślą.

Dziękuję za uległość. Witaj w nowej rzeczywistości.

Spis treści:

Okładka

Strona tytułowa

Rok 2222

Rok 2222

ISBN: 978-83-8313-824-4

© Mikołaj Marks i Wydawnictwo Novae Res 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Remigiusz Biały

KOREKTA: Anna Grabarczyk

OKŁADKA: Krystian Żelazo



zaczytani | AMARE | NOVAE RES

Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie zaczytani.pl.

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek